

KATARZYNA MAK



SPOSOB
NA
SZEFA

 editored

Katarzyna Mak

Sposób na szefa

CHOMIKO - WARNIA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

HELION S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

https://editio.pl/user/opinie/sposze_ebook

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-0252-7-999

Copyright © Helion S.A. 2023

[Poleć książkę](#)

[Kup w wersji papierowej](#)

[Oceń książkę](#)

[Księgarnia internetowa](#)

[Lubię to! » nasza społeczność](#)

W miłości liczą się nie tylko wierność, zaufanie czy szacunek. Ważne są także drobnostki, detale, wszystkie te pierdoły, często nawet głupoty, które przeżywane razem, we dwoje, budują nierozwalny związek na całe życie.

Tę książkę dedykuję Magdalenie Black. Ty wiesz dlaczego...

CHOMIKO - WARNIA

Prolog

Wcześniej...

Maksymilian

Nie ożenię się. Nie ma mowy. Nikt mnie do tego nie nakłoni. Ani siostra, która jest mi jak matka, ani żadna z kobiet, dla których niewątpliwie jestem dobrą partią. Nie ma w tym nic osobistego. Po prostu decyzję, by pozostać wiecznym singlem, podjąłem dawno temu.

Jej rozdzierającego serce krzyku nie zapomnę do końca swoich dni. Widoku również...

Po tym, jak lekarz podpisał akt zgonu i zabrali jej męża, padła na kolana, a z jej płuc wyrwał się szloch. Mnie także dławił żal, a po policzkach nie przestawały lynać łzy. Pragnąłem ją pocieszyć, choć sam również potrzebowałem ukojenia. Ale ona zdawała się mnie nie dostrzegać. Bez reszty pogrzażyła się w rozpacz i cierpieniu po stracie ukochanego męża.

— Nie jestem tchórzem — burczę, spoglądając we własne odbicie w lustrze. — Próbuję tylko zaoszczędzić sobie cierpienia. Nie chcę skończyć tak jak ona.

Maja

Na pewne sprawy nie mamy wpływu, zwłaszcza na śmierć, która niesie za sobą ogrom bólu i niehumanitarnej wręcz udręki.

Spoglądam na ojca pogrążonego w żałobie i czuję ucisk w klatce. Ledwie panuję nad łzami, ale dla niego staram się być silna.

Zerkam na braci, którzy podtrzymują go po obu stronach, a w moim gardle pojawia się olbrzymia klucha. Obaj, podobnie zresztą jak ja, próbują być dzielni, choć wszyscy dobrze wiemy, że robią to na pokaz. Śmierć matki, na którą w zasadzie powinniśmy być przygotowani, spadła na nas wszystkich tak nagle, tak nieoczekiwanie. I sprawiła, że całe nasze życie naraz legło w gruzach. Już nic nie będzie takie samo...

Rozdział 1

Teraz...

Maja

Patrząc przez szybę autobusu na mijane właśnie olbrzymie szklane wieżowce, które w promieniach słońca sprawiają wrażenie błękitnych, myślę o drapaczach chmur na Manhattanie. Co prawda nigdy nie byłam za oceanem — właściwie nie wyściubiałam nosa dalej niż do Zielonej Góry, gdzie studiowałam zaocznie zarządzanie — ale muszę przyznać, że Nowa Warszawa, odkąd ją zobaczyłam po raz pierwszy, od razu skojarzyła mi się właśnie z Nowym Jorkiem, który wielokrotnie widywałam w czasopiśmie czy w internecie. To właśnie wtedy, gdy oglądałam zdjęcia NYC, zastanawiałam się niejednokrotnie, co ludzie widzą w tych wszystkich wielkich miastach. Mnie one zupełnie nie pociągają. Od zgiełku i harmidru zdecydowanie wolę ciszę i naturę. A tych mam pod dostatkiem w moim ukochanym Kalsku.

Wzdycham cichutko, bo nie chcę wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania innych pasażerów, którzy, podobnie jak ja, podróżują właśnie warszawską komunikacją miejską. To

myśl, że po raz pierwszy na dłużej opuściłam swój rodzinny dom, sprawia, że narastają we mnie te wszystkie obawy i smutek. Nie planowałam tak szybko wyfruwać z gniazda. Po prostu nie widziałam już innej możliwości. Musiałam pomóc ojcu. Ostatnio coraz gorzej radził sobie z prowadzeniem gospodarstwa, które zamiast zysków zaczynało przynosić same straty. Oczywiście tata nie przyznawał się do kłopotów — jest na to zbyt dumny. Ale ja nie jestem ani głucha, ani ślepa, a już tym bardziej głupia. Szczęściem, beztrudne lata były już dawno za mną. Jednak na dobre skończyły się w chwili, kiedy odeszła mama. Na myśl o niej znów mimowolnie wzdycham, a do oczu napływają mi łzy, nad którymi jak zwykle staram się zapanować.

„Ciekawe, jak mama odniosłaby się do mojej decyzji dotyczącej życia na własny rachunek” — myślę i ponownie zadzieram głowę, by jeszcze raz przyjrzeć się tym, jak na mój gust, niepasującym do tego miasta budowłom.

Kiedy zdecydowałam się na wyjazd do stolicy, zdawałam sobie sprawę, że będę musiała się zmierzyć z nową rzeczywistością. Nie sądziłam jednak, że ten z pozoru zwyczajny widok, który zresztą już znałam, wzbudzi we mnie aż tak wielki niepokój. Jediną odpowiedzią na dręczące mnie myśli jest to, że w przeszłości, gdy powstawały te wszystkie „wynałazki architektury”, przyjeżdżałam tu w odwiedziny, a nie by zapuszczać korzenie. Naprawdę nie sądziłam, że zacznę nowe życie właśnie tutaj, w miejscu, które zdawało się do mnie nie pasować jak żadne inne. W dzieciństwie Warszawa nie przytłaczała mnie tak bardzo, a już na pewno nie tak jak teraz. Gdy byłam smarkulą, to miasto kojarzyło mi się z zabytkami: Zamkiem Królewskim, Kolumną Zygmunta na placu Zamkowym, Cytadelą czy też Syrenką nad brzegiem Wisły, które byłam w stanie zaakceptować i które na swój sposób mi się podobały. Tymczasem mijane szklane wieżowce uświadomiły mi, że *tamta* Warszawa to już przeszłość, historia, którą dużo rzadziej niż kiedyś przywołują wspomniane obiekty.

Cóż, chyba czas przyznać, że to miasto, jak każde inne w Polsce, po prostu ewoluowało. Taka już naturalna kolej rzeczy. Wszystko się zmienia, nie tylko ludzie.

Nagle moje myśli zaczynają krążyć wokół Anity. Nie sądziłam, że moja *warszawska przyjaciółka* wraz z upływem lat zmieni się aż tak bardzo. Nie przypuszczałam również, że nasze dotąd bliskie relacje ulegną tak znacznemu *rozluźnieniu*. Tak, to właściwe określenie naszych obecnych stosunków.

Z Anitą poznałyśmy się wiele lat temu na wycieczce integracyjnej. Moja mama była nauczycielką; uczyła muzyki w szkole podstawowej w Kalsku. Miałam góra pięć lat, gdy zabrała mnie do Warszawy, jadąc tam wraz ze swoimi podopiecznymi. Jej uczniowie, zwiedzając stolicę, mieli się lepiej poznać, zaprzyjaźnić, a ja miałam liznąć trochę kultury. Mama uznała, że i mnie nie zaszkodzi zobaczyć tego i owego i pobyc trochę z dziećmi niewiele starszymi ode mnie. A moim zdaniem prawda była zupełnie inna. Mama chciała chyba zaoszczędzić kłopotu ojcu, pod którego opieką miałabym zostać na czas jej służbowego wyjazdu. Tak, byłam straszną rozrabiaką, a kreatywności w wymyślaniu psot mogli mi pozazdrościć nawet moi dwaj starsi bracia, którzy także byli niezłymi gagatkami.

Wracając jednak do Anity i dnia, w którym ją poznałam...

Podczas gdy klasa mamy zwiedzała komnaty Zamku Królewskiego, ja wpadłam na Anitę na jednym z jego korytarzy. Wstyd się przyznać, ale nie posłuchałam mamy, która kazała mi się trzymać blisko grupy i... zgubiłam się. Wiedziona wrodzoną ciekawością świata odeszłam tylko na moment, choć obiecałam się nie oddalać, potem jednak w żaden sposób nie potrafiłam odnaleźć grupy. Widok dziecka, które zdawało się być mniej więcej w tym samym wieku co ja, uspokoił mnie nieco. W zasadzie nie wiem, co sobie wówczas pomyślałam, ale chyba ulżyło mi, że nie ja jedna nie posłuchałam rady mamy, przez co się zgubiłam.

— *Przepraszam — zagadnęłam nieśmiało, a kiedy dziewczynka o rudej czuprynie*

spojrzała na mnie, unosząc w zaciekawieniu brew, dodałam już bardziej zdecydowanym głosem:
— Ty też się zgubiłaś?

W odpowiedzi pokręciła głową i uśmiechnęła się. Już otwierała buzię, żeby mi coś odpowiedzieć, ale ubiegłam ją. Cóż, od dziecka mówiłam dużo i szybko. Właściwie tak mi zostało do dziś.

— Tak czy siak, obie będziemy miały przechlapane — skwitowałam, mrugając do niej, gdyż byłam tego absolutnie pewna. Oprócz nas dwóch nie widziałam tu bowiem żadnych dzieci samotnie bląkających się po korytarzach.

— Skoro tak mówisz — odparła wówczas mała nieznajoma, wzruszając ramionami.

Postanowiłam nie analizować jej słów, zwłaszcza że dziewczynka pociągnęła mnie za rękę, po czym natychmiast poprowadziła w głąb korytarza. Kiedy jednak po chwili moim oczom ukazała się szatnia, zupełnie zbaraniałam.

— Nie możemy stąd wyjść! — zaprotestowałam, stając w miejscu jak wryta. — A już na pewno nie teraz — dodałam z przekonaniem, gdyż obudziły się we mnie resztki zdrowego rozsądku.

— Strasznie dużo gadasz — usłyszałam w odpowiedzi, a zaraz potem do moich uszu dotarł kobiecy głos dobiegający z szatni:

— Kolejna zguba?

— Tak, mam — westchnęła towarzysząca mi dziewczynka.

Powoli wszystko stawało się jasne. Wzięłam ją za jedno z dzieci zwiedzających zamek, a tymczasem okazała się córką zamkowej szatniarki.

— Zaproś więc koleżankę do środka — usłyszałam stanowcze polecenie. — Masz ochotę na herbatkę, kochanie? — zapytała kobieta słodkim głosem, po czym szybko dodała: — A może jesteś głodna?

Szatniarka ani trochę nie przypominała mi mojej mamy — miała rude włosy, takie same jak jej córka — niemniej zupełnie jak moja własna mama postanowiła się mną natychmiast należycie zaopiekować. Cóż, pewnie wszystkie matki są takie.

— Nie, nie jestem — szepnęłam nieśmiało. — Ale dziękuję — dodałam, robiąc minę niewiniątka.

— Niczego się nie bój, kochanie. Na pewno już niebawem ktoś zacznie cię szukać. Nawet się nie obejrzyysz, a opiekun twojej grupy przyjdzie tutaj i...

Nie słuchałam jej dłużej, bo nie chciałam sobie wyobrazić surowej miny mojej mamy — byłam przekonana, że wkrótce się po mnie zjawi. Spojrzałam jedynie na córkę szatniarki, która mnie obserwowała i uśmiechała się pod nosem.

— Mam na imię Maja — odezwałam się mimochodem, bo kobieta nie przestawała mówić, i wyciągnęłam rękę w kierunku dziewczynki.

Do wtedy sądziłam, podobnie jak wiele innych osób, że to właśnie ja jestem największą pleciugą, a jednak okazało się, że jest ktoś, kto papla więcej ode mnie. Rodzice, odkąd pamiętałam, stale powtarzali, że jestem okropną gadulą, nazywając mnie z przekorą Hanką Bielicką. Będąc pięciolatką, nie wiedziałam, kim jest owa dama, ale po latach odkryłam, że z pewnością nie przyrównywali mnie do niej z powodu kapeluszy, które nosiła, a z racji gadulstwa, które ewidentnie było naszą wspólną cechą.

— Anita — odparła moja nowa znajoma, zaciskając pewnie palce na mojej dłoni i potrząsając nią energicznie.

Uśmiecham się do tego wspomnienia, choć robi mi się ciężko na sercu. Tamta Anita była bowiem naprawdę uroczą dziewczynką z sercem na dłoni. Ta obecna zupełnie jej nie przypomina i mocno odstaje od wizerunku najlepszej przyjaciółki, za którą uważałam ją przez te wszystkie

lata.

Z powodu rozmyślań o przeszłości omal nie przegapiłam przystanku. W ostatniej chwili podrywam się z miejsca i przez powoli zamykające się drzwi autobusu wyskakuję na chodnik. Widzę niezadowolone spojrzenie kierowcy, na co robię przepaszającą minę. Poprawiam beret, który nieznacznie poderwał mi wiatr, i odruchowo przyciskam do siebie torebkę. Mama zawsze powtarzała mi, że w mieście, szczególnie tak wielkim jak Warszawa, należy na nią uważać. „Kieszonkowcy nie śpią, a kobiety, zwłaszcza turystki, są dla nich idealnym celem” — mawiała często.

Zerkam na otaczające mnie budynki, by po raz kolejny stwierdzić, że ten „Manhattan” jakoś mi do tej *mojej* Warszawy sprzed lat nie pasuje. Szklane budynki sprawiają wrażenie, jakby wyrosły nagle pośród starych, urokliwych kamienic tylko po to, by stłamsić ich naturalne piękno swoim niewątpliwym blaskiem i blichrem. W moim odczuciu podczas tworzenia planów i projektów tej części miasta musiała architektów mocno ponieść wyobraźnia.

Porzucam tę myśl i ruszam żwawym krokiem w stronę biurowca o nazwie Rondo 1, który, tak jak podejrzewałam, znajduje się nieopodal popularnego w Warszawie ronda ONZ. Muszę jeszcze tylko przebrnąć przez skrzyżowanie, żeby znaleźć się po drugiej stronie ulicy, a stamtąd mam już zaledwie kilka kroków do miejsca docelowego. Do spotkania, na które jestem umówiona, został mi raptem kwadrans, więc wołę się pospieszyć. Nie znoszę spóźnienia, dlatego ostatnie, czego bym sobie życzyła, to spóźnić się na to jakże ważne dla mnie spotkanie w sprawie pracy. Nie chciałabym wyrzucić na przyszłym szefie — szczerze liczę, że zdobędę tę posadę — złego pierwszego wrażenia. Oczywiście nadal nie jestem przekonana, czy postępuję właściwie, aplikując na to stanowisko, ale chyba nie mam wyjścia. Anita postawiła mnie pod ścianą. Z dnia na dzień poinformowała mnie, że mogę zostać u niej jeszcze tydzień, a potem muszę sobie coś znaleźć. Problem w tym, że nie mam pieniędzy, żeby coś wynająć.

Ech, życie...

Kiedy wreszcie docieram pod właściwy adres, przystaję na moment. Muszę wyrównać oddech i uspokoić szalejące tętno, które poszybowało pod wpływem przyspieszonego marszu. Korzystając z krótkiego postoju, zadzieram głowę i spoglądam na rozciągający się nade mną budynek. Ten szklany wieżowiec, tak jak i reszta tych nowoczesnych budowli, budzi we mnie mieszane uczucia.

Wzdycham, opuszczam głowę i już zmierzam do wejścia. Nagle omal nie zostaję potrącona przez nadjeżdżający samochód. Natychmiast przytomnieję i w ostatniej chwili odskakuję, ryzykując upadek. Cudem go unikam.

Z niedowierzaniem patrzę w ślad za oddalającym się pojazdem. W bocznym lusterku dostrzegam drwiący uśmieszek znajdującego się w środku mężczyzny.

— Idiota! — wrzeszczę, choć nie sędzę, że kierowca siedzący za przyciemnianymi szybami tej wypasionej fury mnie usłyszał. Wygląda na to, że w ogóle nie przejął się całym zajściem. A ja? Nie byłabym sobą, gdybym nie zareagowała.

Dając upust swojemu niezadowoleniu, klnę pod nosem i zanim auto zniknie za rogiem, wystawiam temu nierozważnemu typkowi środkowy palec. Szczerze liczę, że go zauważył. Takim jak on powinno się odbierać prawo jazdy!

Zbieram się w sobie, choć jest to niezwykle trudne, bo emocje zdążyły sięgnąć zenitu. Niemniej muszę się opanować, bo czeka mnie rozmowa w sprawie pracy, na którą — jeśli szybko nie wezmę się w garść — nie zdążę. Prostuję plecy, ponownie poprawiam beret oraz okulary, które odrobinę zsunęły mi się z nosa, a potem zmierzam do wejścia. Już od progu zwracam na siebie uwagę jednego z ochroniarzy. To starszy mężczyzna, trochę przypominający mi nieżyjącego już dziadka od strony taty. Uśmiecha się na mój widok, czym wzbudza moje

zaufanie. Podchodzę więc do niego i pytam, jak dostanę się do biura firmy „Dusza wina”, gdzie jestem umówiona na spotkanie o pracę.

— Biuro pana prezesa Iwańskiego znajduje się na trzydziestym piątym piętrze.

— Na trzydziestym piątym? — powtarzam, jednocześnie rozglądając się za jakąś windą, bo czas do spotkania kurczy mi się nieubłaganie. Patrzący na mnie z lekkim uśmiechem mężczyzna potakuje głową.

— Proszę skorzystać z jednej z wind — dorzuca jeszcze i od razu wskazuje mi do nich drogę.

Dziękuję w przelocie i już pędzę w tamtym kierunku. Na moje oko jest ich dużo, może nawet kilkanaście — nie ma czasu, żeby je teraz zliczać. Poza tym drzwi jednej z nich właśnie się zasuwają, liczę więc, że zdążę do niej wejść, zanim zamkną się na dobre. Oczywiście, jeśli nie zdołam się dosiąść — przez powstałą w drzwiach szczelinę zauważyłam, że ktoś jest w środku — pozostanie mi przywołać kolejną. Jednak gdy powoli zaczyna do mnie docierać, że jestem spóźniona, uznaję, że liczy się każda minuta, i próbuję dać znać osobie znajdującej się wewnątrz, żeby na mnie zaczekała. Niestety szybko się okazuje, że moje szanse na wejście do tej cholерnej windy są znikome, bo przebywający w niej facet albo mnie nie zauważa, albo po prostu nie jest tak uprzejmy, by zechcieć na mnie poczekać. Nie poddam się mimo wszystko i próbuję do samego końca. Ale gdy dobiegam na tyle blisko, by wsunąć dłoń pomiędzy zamykające się drzwi, w uśmiechającym się cynicznie mężczyźnie rozpoznaję typa z samochodu, który omal nie rozjechał mnie przed budynkiem. I to właśnie skutecznie powstrzymuje mnie przed wejściem do środka. Przed pokazaniem języka niestety nie.

Kwadrans wcześniej...

Maksymilian

Nie znoszę kobiet, które nie rozumieją, co do nich mówię. Wyraziłem się jasno: ma opuścić moje mieszkanie, zanim wyjdę spod prysznica. Tymczasem ta dziewczyna, odziana jedynie w moją koszulę, paraduje po mojej kuchni. Pichci coś, choć nie zapraszałem jej na wspólne śniadanie.

— Jesteś głodny? — pyta, kiedy mnie wreszcie zauważa.

— Tylko zły — odpowiadam, choć mój głos zupełnie tego nie zdradza.

— A więc i głodny — rzuca przez ramię, a potem otwiera jedną z szafek, pochyla się, eksponując swoje wdzięki, i wyjmuję z niej patelnię.

Swoją drogą zachowuje się tak swobodnie, jakby tu była już wcześniej, ale ja nie przypominam sobie, żebym ją zapraszał. Nawet nie znam jej imienia, więc mało prawdopodobne, abym ją tu kiedyś zabrał. A zatem to pierwszy, choć zarazem ostatni raz — to akurat pewne.

— Jeśli już naprawdę musisz coś zjeść, to zrób to, byle szybko — mówię, wycofując się w stronę holu. — Pospiesz się — podkreślam ponownie — a potem wyjdź, zanim zjawi się tu moja sprzątaczką.

Dziewczyna odstawia na blat kuchennej wyspy patelnię i spogląda na mnie w sposób, który świadczy, że niczego nie rozumie. Wyjaśniam więc najprościej jak się da:

— Pani Gertruda nie przywykła do widoków kobiet w tym domu, dlatego mogłaby cię wziąć za intruza.

— Żartujesz? — pyta, przyglądając mi się z niedowierzaniem.

Oczywiście, że żartowałem, ale nie zamierzałem jej wyprowadzać z błędu. Ten stary jak świat numer od dawna stosowałem na innych laskach, które po jednej namiętej nocy próbowały

zapuścić korzenie w moim mieszkaniu. I ku mojemu ogromnemu zadowoleniu zawsze przynosił taki sam skutek.

— Niestety nie. Dziewczyna, która ostatnim razem nie posłuchała i rozgościła się na dłużej, wylądowała na dołku. Zwolniono ją późnym wieczorem, jak po pracy osobiście zjawiłem się na komisariacie i poświadczyłem, że była moim gościem — ciągnę tę farsę, siląc się na bez troski ton. — Co robisz? — pytam naraz, gdy widzę, że długonoga platynowa blondynka szybkim krokiem zmierza w stronę strefy wypoczynkowej, gdzie na jednej z kanap leży część jej garderoby. Reszta spoczywa na podłodze, tuż obok skórzanej sofy.

— Jakoś nagle straciłam apetyt — odpowiada, a następnie w mig pozbywa się mojej koszuli, którą, podobnie jak szpilki czy niewiele zasłaniającą sukienkę, rzuca na podłogę.

„Bałaganiara. Nieładnie” — karczę ją w myślach.

Muszę jednak przyznać, że na widok jej wypiętych, nagich, cholernie kuszących pośladków znów mi stanął. Gdybym miał jeszcze chwilę, wziąłbym ją ponownie, choć uprawiałem z nią seks przez większą część długiej nocy. Niestety byłem już spóźniony. Miałem spotkanie służbowe. Liczyłem, że tym razem będzie ono bardziej owocne niż poprzednio. Moja firma naprawdę potrzebowała wykwalifikowanego enologa, a nie osoby, której się tylko zdawało, że zna się na produkcji win.

* * *

Uśmiecham się głupkowato, kiedy wreszcie wsiadam do swojej wypasionej bryki. Oczywiście zaproponowałem tej dziewczynie podwózkę — zasłużyła, bo dobrze spisała się w nocy — ale, prawdopodobnie zniechęcona moją krótką, zmyśloną naprędce opowieścią, odmówiła.

Wyjeżdżam z podziemnego parkingu i z piskiem opon ruszam dobrze mi znaną, codziennie pokonywaną trasą. Do pracy mam całkiem blisko, więc równie dobrze mógłbym chodzić do biura piechotą. Jednak uważam, że mnie, samemu prezesowi, jakoś nie wypada. Jeszcze któryś z moich pracowników wywnioskowałby, że jestem sknerą. A przecież nie jestem i nigdy nie byłem dusigroszem. Poza tym od lat dbam o odpowiedni, wypracowany przez samego siebie wizerunek idealnego szefa.

Żeby dojechać na miejsce, potrzebuję dosłownie paru, w porywach dziesięciu minut. Przejazd byłby znacznie krótszy, gdyby nie fakt, że Warszawa o tej godzinie jest mocno zakorkowana. Każdy gdzieś się spieszy, a większość jest niestety zmotoryzowana. Jedni jadą do pracy, inni zawożą dzieci do szkół czy przedszkoli. A jeszcze inni pędzą Bóg wie gdzie na rowerach lub, ostatnio bardzo popularnych, elektrycznych hulajnogach. Tak, w stolicy ich nie brakuje i właśnie na nie trzeba szczególnie uważać. Pojawiają się nagle, jakby znikąd, w dodatku w miejscach, w których nie spodziewasz się na nie natknąć. Są bardzo ekonomiczne i nie zanieczyszczają środowiska, ale nieoczekiwane zetknięcie z tym modnym pojazdem naprawdę może okazać się nieco... kłopotliwe. I niebezpieczne. Dla obu stron.

— Życie ci niemiłe, do cholery?! — wrzeszczę, wduszając hamulec, kiedy prawie potracam jakąś dziewczynę. Co prawda ta nie porusza się hulajnogą, o której właśnie gorączkowo rozmyślałem, ale przez własną nieuwagę o mały włos nie ląduje na masce mojego samochodu.

Wydaje się, że mnie nie słyszy, ale kiedy wreszcie raczy odwrócić głowę i spojrzeć na samochód, w jej oczach, które odrobinę zasłaniają czerwone oprawki zsuniętych na nos okularów, maluje się strach. I dobrze! Powinna bardziej uważać, a nie pchać się wprost pod koła.

Przyglądam się jej uważnie. Chcę się tylko upewnić, czy jest cała, ale taksuję ją wnikliwiej swoim wzrokiem, bo przesadnie zwraca na siebie uwagę. Ubrana w zielony,

rozkloszowany płaszcz, w czerwonych szpilkach na stopach i w berecie w tym samym kolorze, który, podobnie jak okulary, przekrzywił się jej odrobinę, naprawdę mocno rzuca się w oczy. Wygląda dziwacznie, ale nagle przelatuje mi przez głowę, że może właśnie dzięki temu udało mi się jej nie rozjechać jak żaby.

To do mnie niepodobne, ale moja złość zdaje się lekko słabnąć, choć w zasadzie powinienem opuścić szybę i zwymyślać ją, zanim komuś innemu wejdzie pod koła rozpędzonego auta. Kręcę jedynie głową i zręcznie ją omijam. Spieszę się.

Gdy odjeżdżam, zerkam jeszcze w lusterko, by upewnić się kolejny raz, czy jest cała. Nie mogę się powstrzymać i uśmiecham się z niedowierzaniem, widząc jej minę. Wydaje się na mnie wściekła. Też mi coś! W dodatku zauważam, jak wykrzykuje coś w ślad za mną, czemu zwyczajnie nie daję wiary. Ależ ma tupet! Do tego, zanim odjadę, pozdrawia mnie digitusem mediušem, potocznie zwanym środkowym palcem. To mi się nie mieści w głowie!

Gdybym miał tylko więcej czasu, pokazałbym jej, z kim zadarła i jak traktuję takie jak ona.

Błyskawicznie znikam za rogiem i wjeżdżam na parking. Potem równie szybko opuszczam auto i przechodzę przez wejście dla personelu, za którym znajdują się windy. W całym tym zamieszaniu dopisuje mi szczęście, bo nie muszę długo czekać — jedna z nich właśnie nadjeżdża. Naciskam przycisk, drzwi rozsuwają się, a ja natychmiast wchodzę do środka. Kiedy powoli zaczynają się zamykać, zauważam ruch w korytarzu. Odruchowo chcę wcisnąć przycisk, który ponownie je otworzy, ale gdy dociera do mnie, kim jest zmierzająca w moją stronę dziewczyna, powstrzymuję się przed tym zamiarem i zamiast na nią poczekać, triumfalnie się do niej uśmiecham. Niedowierzanie i szok wypisane na jej twarzy to dla niej widocznie za mało, bo zanim drzwi zasuną się na dobre, zauważam, jak wystawia mi język. Nie powiem, tym razem przeszła samą siebie.

Ostatni raz coś podobnego widziałem chyba w przedszkolu, konkretnie w piaskownicy, do której zabrała nas opiekunka. Jednej z koleżanek — nie pamiętam już jej imienia — odebrałem wówczas podstępem foremkę do robienia babek z piasku. W odpowiedzi dziewczynka pokazała mi język. Zupełnie jak teraz ta zuchwała dziewczucha.

Kręcę z niedowierzaniem głową, a następnie, gdy tylko winda zatrzymuje się na właściwym piętrze, wysiadam. Naprawdę się spieszę. Jestem umówiony na spotkanie z potencjalnym enologiem. Podchodzę do tematu dość sceptycznie, bo ostatni kandydat okazał się mało profesjonalny, ale raczej nie mam wyjścia i muszę dalej próbować kogoś znaleźć. Żeby ciągle się rozwijać, potrzebujemy specjalisty.

Nie chcę się zatem spóźnić. Poza profesjonalizmem mocno cenię sobie punktualność, więc wypada świecić przykładem. Od współpracowników oczekuję tego samego. Nie znoszę spóźniałstwa.

— Dzień dobry, panie prezesie — dochodzi mnie zza kontuaru głos mojej sekretarki, Roksany.

Odpowiadam jedynie skinieniem głowy i ruszam do swojego gabinetu.

— Mam przynieść kawę? — pyta jeszcze, kiedy przekraczam jego próg.

— Tak. Dwie — odpowiadam.

Może wyprzedzam fakty, ale liczę, że mój potencjalny nowy pracownik wkrótce się zjawi.

— Oczywiście. Już się robi.

Rozdział 2.

Maja

Przeklinam pod nosem, czekając na kolejną windę. W zasadzie już nie czuję złości na tego bezczelnego typa, który najpierw omal mnie nie potracił, a potem nie poczekał na mnie, kiedy byłam już spóźniona. Jedynie utyskuję na pecha, który mnie dzisiaj nie opuszcza. Nie wiem, co jeszcze może mi się przytrafić, ale przyznaję, że dawno nie spotkało mnie coś takiego. W dodatku lawina następujących po sobie feralnych zdarzeń tylko mi uzmysławia, że nie pasuję do tego miejsca. Odkąd przyjechałam do Warszawy, czuję się tu strasznie obco. A ludzie pokroju tego nadętego dupka, który w tak krótkim czasie dwukrotnie zagrał mi na nosie, tylko utwierdzają mnie w przekonaniu, że nie jest to miejsce dla dziewczyny takiej jak ja. Nie pasuję tu.

Chwilowo jednak nie mam wyjścia i wiem, że powinnam się jakoś dopasować — przynajmniej wypada mi spróbować to zrobić. Muszę się tylko bardziej postarać, by przeżyć kolejny dzień w tej... dżungli. Nie robię tego jednak przez wzgląd na siebie, a na ojca. Dla niego jestem gotowa na każde poświęcenie.

Wreszcie nadjeżdża wyczekiwana przeze mnie winda. Od razu wchodzę do środka i wduszam numer trzydzieści pięć. Mam nadzieję, że szybko będę na miejscu, bo przez pewnego niewychowanego typka jak nic mogę nie zdążyć na czas, choć robiłam wszystko, by do tego nie dopuścić. Na wspomnienie tego faceta kręcę z niesmakiem głową. Wciąż nie mogę uwierzyć, że tak nieładnie się wobec mnie zachował. I to nie raz zresztą. Nie znoszę ludzi, którzy uważają się za lepszych, a ten z pewnością miał się za pępek świata. Świadczyła o tym choćby jego cwaniacka mina. Była strasznie irytująca.

Mam nadzieję, że już nigdy na niego nie wpadnę, bo naprawdę nie wiem, co mogłabym mu powiedzieć.

Kiedy dojeżdżam na górę, zerkam jeszcze na swoje lustrzane odbicie. Z emocji mam zaróżowione policzki. Przed wyjściem ponownie poprawiam okulary, a gdy drzwi się rozsuwają, wreszcie opuszczam windę. Rozglądam się niepewnie, a zaraz potem ruszam w stronę szklanych, mlecznych drzwi, za którymi — przynajmniej mam taką nadzieję — znajduje się „Dusza wina”. Liczę, że wszystko dobrze zrozumiałam i że się nie pomyliłam, gdyż kolejne poszukiwania mogłyby mnie kosztować następnych kilka minut spóźnienia, na co nie mogę sobie pozwolić. Przy okazji mam też nadzieję, że to lekkie potknięcie zostanie mi wybaczone i już na starcie nie zostanie skreślona z listy potencjalnych pracowników, bo naprawdę potrzebuję tej pracy.

— Pani Maja Sokołowska? — pada pytanie zza kontuaru.

Wzdrygam się lekko, bo dopiero teraz zauważam siedzącą tam młodą dziewczynę. W odpowiedzi kiwam głową i uśmiecham się niepewnie do, jak przypuszczam, sekretarki niejakiego pana Iwańskiego.

— Pan prezes czeka na panią w swoim gabinecie — mówi dziewczyna i wskazuje na drzwi znajdujące się na końcu olbrzymiej sali zastawionej biurkami, obrotowymi krzesłami oraz kilkoma kanapami ustawionymi pod wielkimi oknami.

Ruszam więc we wskazane mi miejsce. Po drodze rozglądam się dyskretnie i zauważam kilka innych młodych kobiet, które wyraźnie skupiają się na swoich zajęciach. Jedne klikają coś w laptopach, inne coś tam notują, za to wszystkie zgodnie zdają się zupełnie nie zwracać na mnie uwagi. A może tylko udają, że mnie nie widzą? Teraz jednak nie czas na to, żeby się nad tym zastanawiać.

— Proszę zaczekać! — słyszę za sobą, więc zatrzymuję się w pół drogi. — Płaszcz poproszę — wyjaśnia nagle sekretarka i wystawia rękę po moje okrycie.

— Ach tak — odpowiadam zakłopotana, po czym szybko rozwiązuję pasek, zdejmuję płaszcz i oddaję go patrzącej na mnie z pobłażliwym uśmiechem dziewczynie. Nie bardzo wiem, o co jej jeszcze chodzi, ale nie mija chwila, a doznaję olśnienia. Beret!

„No tak” — myślę i szybko zdejmuję go z głowy. Próbuję jeszcze przygładzić włosy, bo przecież chcę wypaść jak najlepiej. To jednak okazuje się dość trudne, bo włosy zaczynają mi się elektryzować. Szlag!

— Powodzenia — pada z ust sekretarki, a ja w podziękowaniu kiwam niepewnie głową.

Bez dwóch zdań będzie mi potrzebne, zwłaszcza że spóźniłam się równie pięć minut — stwierdzam to, spoglądając ukradkiem na wiszący na ścianie zegar.

Przez wejście pukam jeszcze lekko w zamknięte drzwi. Usłyszawszy zaproszenie, naciskam klamkę i wchodzę do środka. To, co zobaczyłam, całkowicie mnie zaskoczyło. Pod oknem, za biurkiem siedzi typ, który dopiero co dał mi się we znaki i przez którego spóźniłam się na spotkanie... z nim. Szlag!

Przez moment odnoszę wrażenie, że nie jestem w stanie zrobić choćby jednego kroku w przód. Rzadko mi się to zdarza, ale w jednej chwili zamurowało mnie.

— To ty... — wrywa mi się, a na jego ustach wykwita ten sam złośliwy uśmieszek, który zdążyłam poznać już wcześniej.

— Zapraszam — słyszę w odpowiedzi, a kiedy nie reaguję, mężczyzna wstaje, zapina guzik w marynarce i rusza w moim kierunku.

Wstrzymuję oddech i przymrużam oczy. Właściwie nie wiem, dlaczego wciąż stoję w miejscu. Rozum podpowiada mi, że powinnam przeprosić i zwyczajnie stąd odejść. Ale coś nie pozwala mi tego zrobić. Prawdopodobnie to moja wrodzona przekora sprawia, że nie jestem w stanie zawrócić, ale pewnie to także chęć przetrwania.

Kiedy facet mnie mija i zamyka za mną drzwi, schodzę na ziemię. Pomimo że rozpaczliwie potrzebuję pieniędzy, dociera do mnie, że praca tutaj to raczej pomyłka.

— Przepraszam — wydobywam z siebie cichy, niepewny głos. — To chyba jednak nie jest najlepszy pomysł — dodaję, widząc, jak mężczyzna w eleganckim garniturze staje na wprost mnie, unosi brew i przygląda mi się z zaciekawieniem.

— Nie rozumiem.

Nie wiem, co nim kieruje, ale ciągnie mnie za język, ja zaś zupełnie tracę ochotę na tę rozmowę, bo przecież finał tego spotkania może być tylko jeden. Po tym, co zaszło na dole... Ech.

— Nie powinnam tu przychodzić.

— Mówisz poważnie? — pyta, przewiercając mnie spojrzeniem.

Mimo że z reguły bywam wygadana, nagle nie jestem w stanie wydusić z siebie choćby słowa, więc jedynie kiwam głową.

— Uważaj! — słyszę naraz, czego zupełnie nie pojmuję.

Wszystko staje się jasne, kiedy chwyta mnie za ramiona i przesuwają na bok. To wtedy odkrywam, że do gabinetu weszła właśnie jego sekretarka. Trzyma w rękach tacę, jak nietrudno się domyślić, z gorącą kawą. Widocznie nie usłyszałam, jak wchodziła, przez co omal mnie nie poparzyła.

— Przepraszam — mówi, po czym uśmiecha się do mnie pobłażliwie i stawia tacę na biurku prezesa. — Przyniosłam kawę. Tak jak pan prosił.

To mi daje okazję, żeby odsunąć się od mężczyzny, który jednak jeszcze przez chwilę mnie przytrzymuje. Czuję się wyjątkowo niezręcznie.

Zerkam w ślad za opuszczającą gabinet sekretarką. Sama mam ochotę pobiec za nią i uciec jak najdalej stąd, ale kiedy odwracam głowę i widzę zaciekawione spojrzenie jej szefa,

biorę się w garść. Przecież nie czeka mnie ścięcie, tylko zwykła rozmowa.

— Zapraszam — mówi, wskazując na jeden z obrotowych foteli.

Oczywiście spełniam jego prośbę. Łykam głośno ślinę i zajmuję miejsce na wprost jego biurka. Chcę to mieć wreszcie za sobą. A potem...

— Nie bój się mnie — słyszę naraz tuż koło ucha, kiedy podsuwając mi fotel, pochyla się nade mną.

Podskakuję jak oparzona. Zaskoczył mnie. Nie przypuszczałam, że stać go na taki gest.

— Nie gryzę — dodaje po chwili, a ja wstrzymuję oddech.

Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale nagle odkrywam, że nie panuję nad drżeniem własnych kończyn. To z powodu stresującej sytuacji, jestem tego pewna.

Mimo ogromnego napięcia, jakie czuję w tej jednej chwili, zadzieram głowę i spoglądam odważnie w oczy stojącemu nade mną mężczyźnie. Musi wiedzieć, że nie ma przed sobą głupiutkiej panienki, naiwnego dzieciaka, a pewną siebie, odważną młodą kobietę. Powinien zrozumieć, że to tylko sytuacja nieco mnie przerosła, co czasem przytrafia się każdemu, czyż nie?

— Jesteś zawodową enolożką? — pyta, wreszcie odsuwając się na bezpieczną odległość i zajmując miejsce po drugiej stronie biurka.

Początkowo zupełnie nie wiem, jak mam się odnieść do postawionego mi pytania, bo kompletnie nie mam pojęcia, o czym on do mnie mówi. Tego, czym właściwie zajmuje się enolog — choć określenia takie jak kiper czy sommelier nie są mi obce — mogę więc się tylko domyślać.

— Pytałem, czy masz doświadczenie w przemyśle winiarskim — doprecyzowuje.

I naraz wszystko staje się jasne, chociaż nadal nie wiem, co właściwie mam powiedzieć wpatrującemu się we mnie mężczyźnie. Może prawdę? To chyba także nie jest najlepszy pomysł. Obawiam się, że Iwański tego nie zrozumie.

— W twoim CV nie ma rekomendacji od innego pracodawcy, ale jak sądzę, pracowałaś już kiedyś na stanowisku enologa?

Uparcie milczę, choć siedzący na wprost mnie facet wyraźnie dopomina się odpowiedzi. Sprawia wrażenie zniecierpliwionego, a ja nadal nie wiem, co mam mu odrzec. Wydawało mi się bowiem, że jestem dobrze przygotowana do tej rozmowy, że mam w zanadru kilka mocnych argumentów, dzięki którym zdobędę tę posadę, aż tu nagle zdałam sobie sprawę, że to nieprawda.

— Brakuje ci doświadczenia? — spekuluje, obracając w palcach długopis i pstrykając nim kilkakrotnie, co tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że jego cierpliwość się wyczerpuje. — Ale jesteś szeroko pojętą znawczynią win. — Tym razem już nie pyta, a, zdaje się, sam podsuwa mi odpowiedź, którą niewątpliwie chce usłyszeć.

No tak, mogłam się spodziewać, że Iwański poruszy tę kwestię. Ale niestety nie przewidziałam tego. Dałam się omamić Anicie, która mnie zapewniała, że TA rozmowa przebiegnie naprawdę gładko.

W tej jednej chwili zaczynam się zastanawiać, czy może byłam zbyt naiwna, łudząc się, że sam prezes o to nie zapyta, czy może tylko nad wyraz głupia, skoro sądziłam, że ta rozmowa przebiegnie inaczej.

Bezgłośnie przeklinam Anitę. Naprawdę nie mogę sobie darować, że dałam się jej namówić na cały ten cyrk. Wspomniałam jej o swoich wątpliwościach, ale oczywiście była innego zdania i uważała, że lekkie nagięcie prawdy jeszcze nikomu nie zaszkodziło. To nikt inny, tylko ona dopisała do mojego CV, że znam się na winiarstwie.

O wilku mowa. W mojej torebce zaczyna wibrować telefon. Jestem niemalże pewna, że to właśnie Anita próbuje się do mnie dodzwonić. Naprawdę aż tak bardzo jej zależy, żeby się mnie

jak najprędzej pozbyć?

— Przepraszam — mówię, wyjmując telefon.

Niestety zapomniałam go wyciszyć, co właśnie nieudolnie próbuję zrobić. Jednak ręce trzęsą mi się tak bardzo, że nie jestem w stanie wykonać nawet tak prostej czynności. Na szczęście Anita odpuszcza, więc z powrotem chowam telefon do torby i z zakłopotaniem spoglądam na Iwańskiego. Jest strasznie poważny i przygląda mi się z rozmysłem. W dodatku wciąż bawi się tym cholernym długopisem. Wygląda na coraz bardziej rozdrażnionego.

— Dlaczego nie odebrałaś? — pyta oschłym głosem.

— To może zaczekać — bąkam jedynie i zakładam pasmo włosów za ucho, co nie umyka jego uwadze. Zawsze tak robię, ilekroć się denerwuję, choć on mógł to odebrać inaczej, w jakiś bardziej pokręcony sposób. Zresztą świadczy o tym jego nieodgadniona mina.

— Jak długo jesteś enolożką? — wraca do tematu.

Już otwieram usta, żeby mu wyjaśnić, że doszło do fatalnego nieporozumienia, lecz mój telefon znów zaczyna dzwonić.

Zduszam ciche przekleństwo i zaczynam poszukiwania komórki, która, zdaje się, zsunęła się gdzieś głębiej, bo za żadne skarby nie mogę jej znaleźć.

— Bardzo przepraszam — jęczę, czując, jak na moje policzki występują nieproszone rumieńce. — Moja przyjaciółka bywa...

— Odbierz wreszcie ten telefon — warczy Iwański.

Maksymilian

— Nie mogę teraz rozmawiać, Anita. Jestem na spotkaniu w sprawie pracy — rzuca naprędce do słuchawki i się rozłącza.

Przyglądam się siedzącej na wprost mnie dziewczynie i lekko pocieram szczękę. Zadaję sobie pytanie, dlaczego jeszcze tego nie przerwałam. Przecież nie znoszę *takich* ludzi.

— Przepraszam — odzywa się ponownie, zerkając na mnie niepewnie. — Moja przyjaciółka czasem jest trochę...

— Trochę? — pytam z niedowierzaniem. — Moim skromnym zdaniem — stwierdzam wyraźnie zirytowany — twoja koleżanka jest bardzo nachalna, skoro stale do ciebie wydzwaniała, pomimo że nie odbierasz. A to jedna z cech, których bardzo nie lubię. A ty...

— Co ja? — wchodzi mi w słowo, czego z reguły także nie toleruję. Przełamuję się jednak; ten jeden raz postanawiam zrobić wyjątek i udawać, że tego nie dostrzegam.

— Ty też jesteś nachalna?

— Raczej uparta — odpowiada, posyłając mi nerwowy uśmiech.

Zaskakuje mnie jej szczerłość, zwłaszcza że rzadko miewam do czynienia z osobami jej pokroju. Ludzie, z którymi obcuje na co dzień, mówią jedynie to, co chcę usłyszeć. Ona wydaje się szczerą, nawet pomimo ceny, jaką być może przyjdzie jej za to zapłacić.

— Chyba się pomyliłam — odzywa się nagle, czym mnie ponownie zaskakuje.

— Nie rozumiem.

— Zaczynam żałować, że tu przyszłam — dodaje, rzucając wymowne spojrzenie na swoje CV leżące na moim biurku, a następnie wstaje z krzesła.

— Możesz jaśniej? — Ja także się podnoszę.

— Wiem, że to marne wytłumaczenie — bąka pod nosem, jednocześnie unikając mojego wzroku. — Ale to moja przyjaciółka namówiła mnie, żebym aplikowała na to stanowisko. Nie powinnam była jej słuchać.

Nie rozumiem wymowy jej słów. W ogóle JEJ nie rozumiem. Szczególnie jej

zachowania. Sprawia wrażenie niezdecydowanej, co kłóci się z wizerunkiem, jaki zdążyła przede mną zaprezentować, choćby podczas spotkania przy windzie. Wtedy wcale nie wyglądała na zagubioną i przestraszoną. Wręcz przeciwnie. Była zadziorna i bezczelna.

— O czym ty, do cholery, mówisz? — pytam wprost, nawet nie kryjąc rozdrażnienia, nad którym ledwie panuję, bo naprawdę zaczyna mnie męczyć ta cała dziwna sytuacja.

— Ja po prostu...

Nie wierzę w to, co się dzieje. Ten jej pieprzony telefon znów zaczyna dzwonić, co powoli doprowadza mnie do... szewskiej pasji. Nie znoszę braku profesjonalizmu, a zwłaszcza ignorancji. Tak, ta niewychowana dziewczyna, która teraz tylko udaje przede mną ułożoną panienkę, ewidentnie posiada obie te cechy.

— Odbierz — warczę, już nawet nie siląc się na miły ton. — To musi być coś bardzo ważnego — sarkam.

— Przepraszam — odpowiada, znów racząc mnie zakłopotaną miną, a potem po raz kolejny wygrzebuje z torebki telefon i niezwłocznie odbiera. — To nieodpowiedni moment — mówi do słuchawki, jednocześnie zerkając na mnie. — Posłuchaj, Anita...

Opadam na fotel i poprawiam się lekko, bo zaczynam mieć dość zarówno tego spotkania, jak i tej dziewczyny. Pora przyznać, że tracę swój cenny czas. Nie wiem, dlaczego wciąż to znoszę, czemu to sobie robię. Właściwie kiedy wcześniej zdarzały mi się podobne sytuacje, wiedziałem, jak się zachować. A jednak tym razem jakoś nie jestem w stanie wystawić jej od razu za drzwi, co byłoby moją naturalną reakcją.

— Co?! — słyszę jej podniesiony głos, więc wracam na ziemię i wnikliwie się jej przyglądam. Sprawia wrażenie wzburzonej, mocno podenerwowanej, czym wzbudza moje zainteresowanie. — Nie możesz mi tego zrobić! Jeszcze nie teraz... — Wzdycha, a potem robi wielkie oczy, odstawia telefon od ucha i spogląda z niedowierzaniem w wyświetlacz. — Rozłączyła się — rzuca jakby do siebie.

— Kłopoty? — pytam z satysfakcją, nad którą nie potrafię zapanować. Już taki jestem, zwłaszcza wobec osób, które mi podpadły. A ta dziewczyna od kwadransa nie robiła nic innego.

— Bawi to pana? — odpyskuje. Tym razem to moje oczy stają się wielkości spodków. Nie mogę uwierzyć, że jest aż tak zuchwała.

— No skądże. — Śmieję się pod nosem. — Jestem tylko ciekawy.

Gdy zaciska usta w cieką kreskę i posyła mi mordercze spojrzenie, mam ochotę roześmiać się jej w twarz, ale kiedy dostrzegam w oczach dziewczyny migoczące łzy, opanowuję się i poważnieję. Może i jestem chamem, ale z pewnością nie jestem aż tak obojętny, zwłaszcza na kobiece łzy.

— Uspokój się — mówię jedynie. — Napijmy się kawy i zacznijmy od nowa — proponuję, choć sam nie wierzę, że stać mnie na taki gest.

Nie odpowiada, tylko wbija wzrok we własne dłonie, którymi miętosi brzeg sukienki. Muszę przyznać, że pomimo koloru — nie znoszę go, podobnie jak samej musztardy — wygląda w niej ładnie. Kobieco.

— Maksymilian Iwański — odzywam się ponownie, kiedy wstaję zza biurka i zmierzam do niej, żeby podać jej dłoń. Właściwie od tego powinniśmy zacząć, więc uznaję, że czas to naprawić.

— Wiem, kim pan jest — burczy i spogląda na mnie spod wachlarza rzęs, które rzucają cienie na jej blade policzki.

— Zawsze jesteś taka... milutka? — pytam wprost, cofając dłoń.

— A pan taki pewny siebie? — rzuca, patrząc na mnie już trochę odważniej.

— Jestem tu szefem, więc zdarza mi się to dość często — odpowiadam jedynie. —

Usiądź.

Gdy po przeciągającej się chwili namysłu wreszcie spełnia mój rozkaz, sam na powrót zajmuję miejsce we własnym fotelu. Podsuwam jej pod nos filiżankę z kawą i sięgam po swoją, z której upijam pierwszy łyk.

— Wróćmy zatem do tematu pracy — proponuję, żeby zabić tę ciszę, która pomiędzy nami na moment zapada.

— Naprawdę nie powinnam tu przychodzić — mówi wówczas, po czym wstaje.

Znowu...

Chryste, jeszcze nie miałem *przyjemności* z tak niezdecydowaną osobą!

— Zamierzasz teraz wyjść? — pytam z niedowierzaniem.

Również się podnoszę, choć ta durna zabawa zaczyna mnie nudzić. Przyznaję jednak, że patrzenie na tę dziewczynę z góry sprawia mi niezaprzeczalną przyjemność — czuję, że mam nad nią kontrolę.

— Tak, bo nie chcę dłużej się kompromitować — pada rzeczowa odpowiedź.

— Na dole nie sprawiałaś takiego wrażenia — zauważam.

— Jakiego? — pyta, mrużąc gniewnie oczy.

Zabawnie wygląda, kiedy się złości.

— Ani przed budynkiem, ani nawet przed windą nie zachowywałaś się jak tchórz.

Jej rozdziawiona buzia to zapewne objaw zaskoczenia, które wywołała w niej moja krytyka, ale ja naraz wyobraziłem sobie, jak pewna część mojego ciała ląduje właśnie w jej ustach. Dziwne. Przecież ta dziewczyna nawet nie jest w moim typie. Skąd więc ta fantazja?

— Nie boję się — odpowiada z zadartą głową, patrząc mi w oczy. — Po prostu...

— Usiądź — rozkazuję, a potem, licząc, że mnie posłucha, wracam na swoje miejsce.

Zauważam, że przez moment wyraźnie się waha, po chwili jednak siada na brzegu krzesła, jakby wciąż nie do końca przekonana, że postępuje właściwie. Zachowuje się naprawdę dziwnie, może nawet dziecinnie.

— Aplikujesz na stanowisko enologa. Znasz się na tym? — pytam wprost, po raz kolejny zresztą, licząc, że wreszcie doczekam się odpowiedzi.

— Moi rodzice mieli kiedyś winnicę. Pomagałam im w pracach, więc uważam, że znam się na tym i owym — odpowiada. Tym razem to mnie z zaskoczenia omal nie otworzyły się usta.

Biorę do rąk jej CV i spoglądam w rubrykę, gdzie wyraźnie chwali się doświadczeniem w zawodzie winiarza.

— Tu jest napisane...

— Wiem, co tam jest napisane!

Jeszcze mi przerywa! W dodatku jej ton pozostawia wiele do życzenia.

— Już wspomniałam, koleżanka mnie namówiła, żebym to dopisała — dodaje, jakby chciała zrzucić winę na kogoś innego. Nie mieści mi się to w głowie.

— A więc mnie oszukałaś i nie jesteś wykwalifikowaną enolożką? — bardziej stwierdzam, niż pytam. I staram się przy tym zachować spokój, co staje się coraz trudniejsze.

— Tak... A właściwie nie — płacze się, a potem dorzuca pospiesznie: — Ale szybko się uczę.

— Jasne.

— Mówiłam, że to nie ma sensu — kwituje wówczas, a potem wstaje nazbyt gwałtownie, przez co się potyka.

Nawet nie próbuję jej pomóc, bo nadal znajduję się po drugiej stronie blatu. Dziewczyna łapie pion w ostatniej chwili, ale robi to tak niezgrabnie, że jedna ze stojących na biurku filiżanek się przewraca. Próbuję odskoczyć, ale na próżno, bo jej zawartość już ląduje na moich kolanach i

po drodze plami także moją koszulę. Całe szczęście, że kawa nie jest już taka gorąca, bo oprócz paskudnej plamy miałbym jeszcze pamiątkę w postaci bolesnych, długo gojących się bąbli.

— Przepraszam!

Nie jestem pewien, co ta nieznośna dziewczyna kombinuje tym razem, ale widząc, co narobiła, szybko do mnie doskakuje. Chce mi pomóc? Ciekawe jak.

— Upiorę to panu — zaczyna paplać, na co kręcę z niedowierzaniem głową. — Albo i nie — dorzuca po chwili, czerwieniąc się po mieszkach włosów i uciekając wzrokiem, który jeszcze przed momentem spoczywał na plamie sięgającej mojego krocza. — Ale zwrócę panu wszelkie koszty. Przyrzekam.

Czy wciąż jestem zły na tę nierozgarniętą dziewczynę? Nie, chyba nie. Raczej już tylko nią rozczarowany. Poza tym nie chcę przed nią wyjść na snoba, ale... Cóż, nie jestem przekonany, że ją na to stać. Ten garnitur jest najnowszy w mojej kolekcji i słono za niego zapłaciłem.

— Miałaś rację — mówię jedynie znużonym głosem, a następnie wstaję z fotela i kieruję się w stronę prywatnej łazienki.

— Nie rozumiem — odpowiada niepewnie i patrzy na mnie z wyczekiwaniem.

— To nie ma sensu — rzucam tylko przez ramię, a potem znikam za drzwiami łazienki.

Rozdział 3.

Maja

„Sama się o to prosiłaś, głupia!” — besztam się w myślach. „Tak nie pomożesz ojcu...” Wzdycham ciężko i gdy tylko Iwański wychodzi, na powrót opadam na fotel.

Wiem, że powinnam posłuchać jego rady i sobie pójść, co wymownie zasugerował, ale nie potrafiłam się na to zdobyć. Potrzebowałam pieniędzy. A jak na razie poza tą posadą nie widziałam na horyzoncie niczego innego. Ponadto proponując Iwańskiemu, że pokryję koszty pralni bądź ewentualnego zakupu nowych spodni, mówiłam całkiem serio. Chciałam się z nim jakoś dogadać i spróbować od nowa. Był jeszcze jeden powód tego, że nie posłuchałam jego rady i wciąż tkwiłam w tym biurze. Iwański nazwał mnie tchórzem, a ja nigdy nim nie byłam. Dlatego musiałam mu udowodnić, że źle mnie ocenił.

Od dziecka moi starsi ode mnie o dwa i trzy lata bracia nazywali mnie szatanem w spódnicy. Może i mieli rację, bo w zasadzie nie znałam zbyt wielu dziewcząt, które wspinały się po drzewach, strzelały tak celnie z łuku czy z procy lub tak czynnie uczestniczyły w chłopięcych zawodach plucia na odległość. Tak, wiem, to mało eleganckie zajęcie, zwłaszcza dla dziewczynki, ale taka właśnie byłam i robiłam wszystko to, czym popisywali się przede mną moi bracia. No i z pewnością niczego się nie bałam! Pamiętam, że kiedyś poszłam za nimi do lasu. Miałam góra siedem lat. Na moje szczęście żaden z nich nie zauważył, że się za nimi ciągnę. W życiu nie pozwoliliby, żebym wtedy za nimi poszła. Umówili się bowiem z grupką innych chłopaków na wywoływanie duchów. Kolejne typowe chłopięce zajęcie. Schowałam się za drzewem i obserwowałam, co robią. Spoglądałam na krąg, który utworzyli, i przypatrywałam się odprawianemu przez nich rytuałowi. Miałam ciarki na wszystkich kończynach, gdy w pewnym momencie usłyszałam trzask pękającej gdzieś nieopodal suchej gałązki. Omal nie zeszłam na zawał, kiedy blisko mnie z jednej z sosen spadła szyszka. Ale nawet wtedy się nie wycofałam, bo nigdy nie byłam tchórzem!

— Jeszcze tu jesteś? — Ze wspomnień wyrывa mnie jego głos.

Podnoszę głowę. Nie spodziewałam się takiego widoku, choć przyznaję, że mogłam być bardziej bystra i to przewidzieć.

Iwański wraca w samym ręczniku, który ma owinięty wokół bioder, z czego wnioskuję, że się kąpał. Zaskoczył mnie, ponieważ nie sądziłam, że jego gabinet jest wyposażony w prywatną łazienkę. Mniejsza o to. Widok, jakim mnie raczy...

Chryste, ten facet ma ciało jak Adonis! Z jego włosów, które w tej chwili luźno opadają mu na czoło, ściekają kropelki wody. Szeroka, pokryta króciutkimi, poskręcanyimi włoskami pierś mężczyzny również lśni od skrzących się w świetle kropel. Nie mogę oderwać od niej wzroku. Od niego... całego zresztą.

— Nazwał mnie pan tchórzem — mówię jedynie, próbując jakoś wziąć się w garść. Staram się, żeby mój głos brzmiał normalnie, co jest niezwykle trudne, bo czuję suchość w ustach.

Nie odpowiada, tylko zmierza w moim kierunku. Odruchowo wstaję, nie chodzi o to, że się boję, tylko jakoś nie mogę usiedzieć w miejscu, bo obicie krzesła zdaje się mnie parzyć żywym ogniem. A może rzeczywiście w tym jednym momencie obleciał mnie strach? Niestety nie umiem tego jednoznacznie stwierdzić.

— Mam rozumieć, że zamierzasz mnie przekonać, że się mylę? — pyta nagle, patrząc mi prosto w oczy i podchodząc tak blisko, że cofam się o krok. Niestety napotykam biurko, które

uniemożliwia mi wykonanie kolejnego ruchu. Wstrzymuję oddech, kiedy dociera do mnie, że na własne życzenie znalazłam się w potrzasku. Powinnam to jednak jakoś wytrzymać. Muszę.

— Nie boję się — szepczę zdławionym głosem, usilnie próbując patrzeć mu prosto w oczy. Wiem, że tylko tak zdołam mu udowodnić, jak bardzo się myli.

Ale moje zachowanie nie robi na nim większego wrażenia. Uśmiecha się cynicznie, czego bardzo nie lubię. Zwłaszcza w jego wydaniu. Ten facet tym uśmieszkiem wkurza mnie, i to BARDZO. Muszę jednak zachować zimną krew. Gra jest warta poświęcenia, którym być może przyjdzie mi się wykazać. Przynajmniej taką mam nadzieję.

— Czyżby? — Iwański unosi jedną brew. Nie wierzy mi.

— Nie boję się — powtarzam uparcie, siląc się na odwagę, której tak naprawdę zaczyna mi brakować. — I chcę dla pana pracować.

— Mówisz serio? — Patrzy na mnie z góry, a z jego rozchylnych warg nie znika ten paskudny i zarazem cholernie pociągający uśmiech.

Nagle stwierdzam, że prawdopodobnie mi odbiło, skoro pomyślałam o tym w takiej chwili. Sytuacja bowiem nie wydaje się sprzyjająca takim przemyśleniom.

— Tak. — Kiwam głową, odpychając od siebie natrętne myśli. — Proszę dać mi szansę. Chcę spróbować...

— Dobrze więc — słyszę w odpowiedzi, a potem patrzę, jak odchodzi.

Wypuszczam nagromadzone w płucach powietrze i podążam za nim wzrokiem. Podchodzi do biurka od swojej strony i podnosi słuchawkę telefonu.

— Przynieś próbki, Roksano — wydaje polecenie. — I bądź tak miła i zorganizuj mi coś do ubrania.

Zerka na mnie, a ja czuję, że znów się rumienię. Naprawdę mi wstyd. Niezdara ze mnie.

— Mielіśmy tu mały wypadek przy pracy — dorzuca, mrugając do mnie, na co zaczynam płonąć gorącym rumieńcem. Nie jestem pewna, czy jest mi wstyd, czy zwyczajnie reaguję tak na jego dwuznaczne zachowanie. — Nie kłopotz się, może być dres — dodaje po chwili, a potem odkłada słuchawkę.

Mija trochę czasu, który próbuję wypełnić czymkolwiek, zwłaszcza podziwianiem podłogi, byleby tylko nie patrzeć na półnagięgo mężczyznę, gdy wreszcie w drzwiach gabinetu staje sekretarka. Pcha piętrowy wózek, na którym poustawiane są butelki z winem oraz kieliszki. Pod spodem zauważam sportową torbę, którą po sekundzie dziewczyna podaje swojemu szefowi.

— Mogę jeszcze skoczyć na dół — proponuje. — Tuż za rogiem jest fajny butik...

— Nie trzeba — Iwański przerywa jej w pół zdania. — Dres wystarczy — oznajmia, na co jego sekretarka kiwa jedynie głową, a potem odchodzi.

— Jeszcze raz bardzo pana przepraszam — odzywam się, kiedy tylko zostajemy sami. — Na ogół nie przytrafiają mi się takie... sytuacje — wyjaśniam zakłopotana. — Dziś od rana prześladowuje mnie wyjątkowy pech.

— Naprawdę? — Zanim znika w łazience, przystaje na moment i przygląda mi się uważnie. Chyba nie wierzy w ani jedno moje słowo.

— Od dziecka chodziłam po drzewach i robiłam rzeczy, jakie raczej nie przystają dziewczynkom — wyjaśniam, choć szybko gryzę się w język. Zauważam bowiem jego minę, która w moim odczuciu jest mieszaniną niedowierzania i zniesmaczenia. — Mam starsze rodzeństwo. Sam pan rozumie. — Jeszcze próbuję zyskać w jego oczach.

— Staram się — odpowiada zdawkowo, a potem już znika mi z pola widzenia.

Uff.

* * *

Iwański nie każe na siebie zbyt długo czekać. Wraca dosłownie po kilku minutach. Przyglądam mu się w milczeniu. „W tym wydaniu wygląda... inaczej” — stwierdzam w myślach. Ładnemu we wszystkim dobrze.

Nachodzi mnie jeszcze jedna myśl. Im dłużej mu się przyglądam, z tym większym przekonaniem stwierdzam, że ten facet, zamiast siedzieć za biurkiem, mógłby śmiało śmigać po wybiegach dla modeli. Naprawdę jest na czym zawiesić oko. Wysoki, dobrze zbudowany. I cholernie przystojny. Widać, że bardzo o siebie dba.

Powstrzymuję westchnienie. Dotąd naprawdę starannie doбираłam sobie towarzystwo, a facetów pokroju Iwańskiego omijałam szerokim łukiem. Dla zasady. Dla własnego bezpieczeństwa. Pozostaje mi zatem mieć nadzieję, że nie pożałuję swojej decyzji o tym, że postanowiłam zawalczyć o tę posadę.

Maksymilian

Kiedy wracam, ona nadal siedzi na krześle na wprost mojego biurka. Już na pierwszy rzut oka widać, że jest zestresowana. I słusznie, bo po tych bredniach, jakie nawypisywała w swoim CV, powinna się bać.

— Gotowa? — pytam. Podchodzę do wózka i sięgam po pierwszą butelkę.

W odpowiedzi kiwa jedynie głową, więc napełniam kieliszek winem, który jej od razu podsuwam. Znow lekko kiwa głową, tym razem w podzięcie, a następnie bierze z moich rąk szkło.

Przyglądam się jej z rozmysłem. Obserwuję, jak zatacza kieliszkiem małe kręgi i przypatruje się jego ściankom, po których ścieka czerwona ciecz. Patrzę, jak podsuwa kieliszek pod nos i zaciąga się aromatem wina. Uśmiecha się, przez co i mnie udziela się jej nastrój, a na moich ustach wykwita nieznaczny uśmiech.

— Łatwizna — stwierdza nagle, a potem upija mały łyżeczek i po raz kolejny z uznaniem kiwa głową. — To bardzo popularny, zwłaszcza wśród płci damskiej — mówiąc to, unosi palec, żeby to podkreślić — szczep. My, kobiety, przepadamy za jego smakiem — dodaje z rozbrajającym uśmiechem. — Pinot.

— Brawo — chwale ją, choć bez przesadnego entuzjazmu, jednocześnie przyznając w duchu, że rzeczywiście nie trzeba być wybitnym znawcą, żeby rozpoznać pinot noir.

— Musi się pan bardziej postarać, żeby mnie czymś zaskoczyć — dorzuca zaczepnie dziewczyna, ale gdy zauważa moje zaskoczenie, płoszy się i szybko ucieka wzrokiem.

— Wobec tego spróbuj zgadnąć teraz.

Do kolejnego kieliszka nalewam sauvignon blanc. Ten szczep łatwo pomylić z innymi, które produkuje się na jego bazie. Sauvignon blanc bowiem naprawdę często łączy się z innymi odmianami, na przykład z popularną wśród winiarzy sémillon. W ten właśnie sposób powstaje klasyczne bordeaux, które dla kogoś niewprawionego może być niemal identyczne w smaku jak sauvignon blanc.

Podaję jej kieliszek i przyglądam się, jak znow obraca go w palcach. Jasne, słomkowe wino ścieka po ściankach cieniutkiego szkła. Z zainteresowaniem obserwuję, jak po raz kolejny dziewczyna zaciąga się aromatem złocistego trunku.

— Hm — mruczy, co wywołuje we mnie mieszane odczucia.

Ponownie bowiem przyznaję, że nie gustuję w laskach tego pokroju. Nie żeby jej czegoś brakowało. Po prostu nie jest w moim typie. Niemniej, kiedy tak uroczo pomrukuje, robię się twardy.

— Ten gatunek łatwo pomylić z bordeaux — pada nagle z jej ust. — Ale to wcale nie jest

bordeaux, prawda? — pyta, pociągając mały łyżek.

Unoszę znacząco brew. Zaskoczyła mnie, nie przeczę. Byłem pewien, że na tym etapie się wyłoży. Czuję już nawet pewnego rodzaju satysfakcję, a tu tymczasem tak miłe... rozczarowanie.

— Sauvignon blanc? — Upija odrobinę i wyraźnie oczekuje odpowiedzi.

— Muszę przyznać, że coś tam wiesz na temat win.

— „Coś tam?” — powtarza po mnie z niedowierzaniem, do tego udając oburzenie. Wiem, że wcale nie jest zła. Śmieją się jej oczy.

Nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Oczywiście tylko się z nią drocę, ale jednocześnie uważam, że na miano enologa trzeba zasłużyć. Nie wystarczy dorastać w winnicy produkującej jakieś tanie, lokalne wino.

— Muszę przyznać, że rzeczywiście miałaś rację — odpowiadam tajemniczo.

— Mógłby pan trochę jaśniej?

— Jesteś odważna — oznajmiam, na co siedząca na krześle dziewczyna wzrusza nonszalancko ramionami. — Niemniej pamiętaj, że odwagi nie należy mylić z brawurą.

— Sugeruje pan, że jestem ryzykantką? — Tym razem patrzy na mnie w taki sposób, jakbym naprawdę ją uraził.

— Niczego takiego nie powiedziałem, ale niewątpliwie zaraz się o tym przekonamy.

Wiem, że nie gram uczciwie, podejmując taką, a nie inną decyzję, ale skoro sama się prosi...

Sięgam po kolejną butelkę i nalewam odrobinę wina do kolejnego kieliszka. Co prawda to chateau margaux nie zostało nabyte z kolekcji prezydenta Thomasa Jeffersona, nie pochodzi także z tysiąc siedemset osiemdziesiątego siódmego roku, nie jest ubezpieczone na dwieście dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, nie dzierży też tytułu najdroższej butelki świata, ale muszę przyznać, że smakuje podobnie i do najtańszych również się nie zalicza. Jest więc mało prawdopodobne, że dziewczyna, która tylko uważa się za specjalistkę w dziedzinie winiarstwa, będzie je znała.

— Ostatnia próba — mówię, wręczając jej kieliszek z winem.

Bierze go z moich rąk już odrobinę mniej pewnie, jakby przeczuwała, że mam wielką ochotę zagrać jej na nosie. Bo mam, a i ona zasłużyła, by pokazać, gdzie jej miejsce.

Ponownie się jej przyglądam. Patrzę, jak powtarza czynności, które wykonywała podczas degustacji poprzednich szczepów. Tym razem jednak nie zauważam na jej twarzy tej pewności siebie, która biła od niej wcześniej.

— To coś naprawdę wyjątkowego — mówi, zaciągając się aromatem tego unikatowego trunku. — Tak. — Kiwa głową, gdy tylko smakuje pierwszy łyk. — Bez wątplenia jest to bardzo drogie wino.

— Masz rację — mówię jedynie. — Ale poproszę o konkrety. W końcu ubiegasz się o stanowisko enologa.

Mija chwila, zanim odpowiada:

— Niestety nie umiem określić nazwy.

Bingo! Mam cię!

— Ten sam szczep, choć bardziej leciwy — pomijam liczby czy też daty — był uznany za najdroższy na świecie. Niestety butelczyna, która miała być sprzedana jakiemuś krezusowi, w trakcie prezentacji stłukła się. Ktoś miał naprawdę wyjątkowo paskudny dzień, że upuścił akurat chateau margaux. — Chwalę się wiedzą, dodatkowo dając dziewczynie wymownie do zrozumienia, że jej pech, o którym wspominała, jest niczym w porównaniu z tym, co musiał czuć biedak, który upuścił butelkę wina wartego miliony.

Mógłbym się tak przechwalać wiedzą na ten i jeszcze kilka innych tematów, ale nagle zauważam, że dziewczyna odstawia kieliszek na mobilny stolik. Jej mina niczego nie zdradza, ale wyraźnie widzę, jak podnosi się z krzesła.

— Miał pan rację — mówi dziwnie przygaszonym głosem. — Nie nadaję się do tego.

— Co robisz? — pytam, gdy dociera do mnie, że w tej chwili zamierza wyjść.

— Do widzenia, panie Iwański — rzuca cicho, a potem rusza w stronę drzwi.

— Zaczekaj!

Nie wiem, dlaczego to robię, ale nagle postanawiam ją zatrzymać. Może przemawia przeze mnie litość, a może zwyczajnie ten jeden raz poczułem się jak złamas. Niewielu stać na spróbowanie tak kosztownego trunku, dlatego jestem pewien, że ta dziewczyna z pewnością nigdy nie miała z nim do czynienia. Może więc nie powinienem od niej wymagać, że rozpozna to wino, ale w końcu prawdziwy enolog poradziłby sobie i z tym zadaniem. A może niepotrzebnie zacząłem pieprzyć o pechu? Już sam nie wiem, co o tym myśleć. Wiem tylko, że ostatnim, czego w tej chwili pragnę, jest to, żeby wyszła.

— Przecież powiedziałaś, że zależy ci na tej posadzie — mówię jedynie.

— Już nie — odpowiada tak cicho, że zastanawiam się, czy sobie tego nie uroiłem.

Omijam ją i zastępuję jej drogę. Wiem, że w zasadzie nie zrobiłem nic złego, ale na widok jej pełnej żalu miny czuję się jeszcze paskudniej. Ja pierdołę.

— Poddajesz się? — pytam, licząc, że tym pytaniem skłonię ją do walki. Jakoś nagle dziwnie mi na tym zależy.

— Moja mama latami powtarzała mi, że trzeba mierzyć siły na zamiary. A ja, jak widać — wzdycha — najwyraźniej przeliczyłam się z własnymi możliwościami.

— To było naprawdę trudne — stwierdzam, licząc, że postara się mnie zrozumieć. — Ale...

— Prawdziwy znawca poradziłby sobie z tym bez problemu — przerywa mi. — Popełniłam straszny błąd, wierząc, że podołam zadaniu. A teraz przepraszam. Powinnam już iść.

Wymija mnie i już chwyta klamkę, kiedy ponownie ją zatrzymuję.

— Skoro uważasz, że się do tego nie nadajesz, nie będę cię przekonywał, że jest inaczej. Mamy tu jednak jeszcze inne stanowiska. Może mogłabyś...

— Co? — znów wchodzi mi w słowo, czego bardzo nie lubię. Ale nie besztam jej za to. Po prostu jestem ciekaw, co chce mi jeszcze powiedzieć. — Chodzić na pocztę? Czy może parzyć kawę? — ironizuje. Zaskoczony jej sarkazmem nie odpowiadam. Za to ona ma coś jeszcze do dodania: — Sam pan widzi.

A potem wychodzi. I zostawia mnie samego z chaotycznymi myślami buzującymi w mojej głowie.

Rozdział 4.

Maja

Kiedy opuszczam budynek i staję na chodniku, uderza mnie rześkie powietrze. Nie wiem, czy tego właśnie potrzebuję; przydałby się raczej kubeł zimnej wody.

„Jakaż głupia byłam, przychodząc tutaj i narażając się na taką śmieszność” — wyrzucam sobie.

Tak, ośmieszyłam się w oczach tego zadufanego, zbyt pewnego siebie mężczyzny. Powinnam wiać, gdy tylko spytał mnie o kwalifikacje. Ale nie, mnie nagle zachciało się udowodniać samej sobie, że mogę przenosić góry albo jeszcze więcej. Głupia jestem. I tyle.

— Pieprzone chateau margaux — mruczę pod nosem, jednocześnie czując pieczenie pod powiekami.

Mrugam wielokrotnie, by zapanować nad łzami, które usilnie próbują wydostać się spod moich powiek, ale na nic się to zdaje, bo pierwsza ogromna kropla już toczy się po moim policzku. Ścieram ją niedbale wierzchem dłoni, ale w jej miejsce pojawia się kolejna i kolejna.

— Niech cię szlag, Iwański — mamroczę, wspominając to, jak mnie potraktował; potem ruszam chodnikiem, obierając trasę wiodącą do Łazienek Królewskich. Powinnam od razu wrócić do mieszkania Anity, spakować się i złapać pierwszy pociąg jadący w stronę Zielonej Góry, ale jakiś przekorny głos mówi mi, że mam się jeszcze wstrzymać z tą decyzją. Oczywiście nie opuszcza mnie świadomość, że przegrałam i że już nic mnie tu nie trzyma, ale nagle, choćby na moment, pragnę zatrzymać czas i zostać tu jeszcze przez krótką chwilę. Właściwie nie wiem, na co liczę, ale chyba wydaje mi się, że jeśli ochłonę i na spokojnie przemyślę sytuację, w jakiej się znalazłam, to wpadnie mi do głowy jakiś genialny plan, który pozwoli mi zostać w stolicy dłużej. W końcu przyjechałam tu w konkretnym celu.

— Genialny plan — fukam pod nosem, nie zwracając uwagi na przechodniów, którzy patrzą na mnie jak na wariatkę. — Dziś raczej mam już dość wszystkich tych rewelacyjnych pomysłów — burczę jeszcze, a przed moimi oczami znów pojawia się obraz faceta z cwaniackim uśmiechem przyklejonym do ust. — Idź do diabła, Iwański — dorzucam, a potem stawiam wysoko kołnierz płaszcza, bo nagle przeszył mnie nieprzyjemny chłód.

Mijam kolejne skrzyżowanie, kiedy w mojej torebce rozbrzmiewa dźwięk telefonu. Wyjmuję go niechętnie, bo nie mam ochoty na rozmowę. Właściwie wygrzebuję go, bo wreszcie zamierzam go wyciszyć, żeby mnie dłużej nie niepokoił, a wtedy na wyświetlaczu ukazuje mi się numer z warszawskim prefiksem. Domyślam się, kim może być dzwoniąca osoba, więc natychmiast odrzucam połączenie. Nie wiem, o co tym razem mogło chodzić temu mężczyźnie, ale nie zamierzam się o tym przekonywać po raz kolejny. Wystarczy, że już strasznie żałuję naszego pierwszego spotkania, na którym Iwański pokazał mi, gdzie jest moje miejsce. Czuję się przez to gorsza. A to naprawdę paskudne uczucie...

Mija raptem kilkanaście sekund, a telefon ponownie zaczyna wibrować w mojej ręce. Nie wytrzymuję, przeklinam, choć staram się to robić bardzo dyskretnie, a potem wyłączam komórkę. Mam naprawdę dość!

* * *

Przechadzam się alejkami, delektując się paletą barw, jakie ma do zaoferowania park o tej wyjątkowej porze roku. Polska jesień jest naprawdę zachwycająca. Zwłaszcza w dni takie jak ten i w miejscu takim jak to.

Po rześkim, lekko zamglonym poranku wreszcie zza chmur wyrzało słońce. Od razu zrobiło się przyjemniej, a otaczające mnie barwy jesieni stały się bardziej nasycone, cieplejsze. Uwielbiam te wszystkie kolory. Kocham żółcie, czerwienie, pomarańcze i przygaszoną zieleń. Pozytywnie mnie nastrajają. A w tej chwili naprawdę potrzebuję pogodnych myśli. Liczę bowiem, że ten długi, wyczerpujący spacer pozwoli mi się odrobinę wyciszyć i pogodzić ze świadomością, że poniosłam porażkę. Pociesza mnie jedynie myśl, że życie byłoby zbyt nudne, gdyby składały się na nie same pasma sukcesów. Porażki i upadki są jego integralną, równie ważną częścią, która dodaje mu smaku i pikanterii. Pozostaje tylko zadać samej sobie pytanie, w jakim stopniu lubię je smakować na ostro.

Uśmiecham się ponuro do własnych myśli, a potem jeszcze raz zerkam na staw, którego tafla lekko połyskuje w promieniach jesiennego słońca, i kieruję się w stronę wyjścia.

Czas na mnie. Czas wracać do domu...

* * *

Jestem obolała, gdy wreszcie docieram na Ursynów. Niezrażona bólem mięśni ani otartymi od butów stopami przechodzę już przez ostatnią ulicę, za którą znajduje się osiedle i ten konkretny blok, a w nim mieszkanie Anity. Spoglądam w jedno z jego okien. Pali się w nim światło, co oznacza, że właścicielka jest w domu.

Dobrze. Spakuję swoje rzeczy, pożegnani się i będę to miała wreszcie za sobą. Swoją drogą nie spodziewałam się, że dziewczyna, którą od lat uważam za przyjaciółkę, wytnie mi taki numer.

Kiedy dochodzę do klatki, kątem oka zauważam zaparkowany na chodniku samochód. Do złudzenia przypomina auto tego cwaniaka Iwańskiego: wypasione audi quattro concept w wersji sportowej, którym to mnie omal nie przejechał. Nie jestem blacharą czy inną *fanką* motoryzacji. Po prostu bracia nauczyli mnie zwracać uwagę na takie detale jak marka, rodzaj czy typ pojazdu. Dawniej było mi to obojętne, zupełnie jak inne motoryzacyjne nazwy. Aż do dnia, w którym Piotrek, mój najstarszy brat, poprosił mnie, żebym skoczyła do sklepu rolniczego i kupiła mu część do jego ulubionej sześćdziesiątki. O ile dobrze pamiętam, miałam mu kupić cewkę. I oczywiście o tę właśnie część poprosiłam tego *milego* pana z za lady, który niewątpliwie patrzył na mnie, jakby mi się pomyliły sklepy. Cóż, za rogiem był chiński market, którego witryny kuśiły okazjami na każdą kieszeń. Mógł więc pomyśleć, że coś mi się pomieszało. Wracając jednak do samej nieszczęsnej cewki zapłonowej... O ile poprosiłam sprzedawcę właśnie o nią, o tyle pomyliły mi się modele traktora. I zamiast do ursusa C-360 kupiłam część do johna deere'a, który również był w wyposażeniu naszego gospodarstwa. To właśnie od tamtej pory motoryzacja zaczęła mnie jakoś bardziej pociągać, zwłaszcza że facet ze sklepu z częściami do maszyn rolniczych następnego dnia nie chciał przyjąć zwrotu. Ależ byłam wtedy zła. Nie wiem na kogo bardziej: na nieuczciwego sprzedawcę czy na siebie.

Kręcę głową na to wspomnienie, a potem po wpisaniu kodu na domofonie otwieram drzwi i wchodzę na klatkę schodową. Na szczęście mieszkanie Anity znajduje się na parterze, więc zaoszczędzę sobie dodatkowej wspinaczki po schodach. Jestem zmęczona całym dniem, zwłaszcza tym zbyt długim spacerem, więc naprawdę na nic już nie mam ochoty.

— Gdzieś ty się podziewała? — słyszę od progu pytanie zadane tonem pełnym pretensji.

Nie zdążyłam nawet wyjąć klucza, a przede mną otwierają się drzwi. Nie mam ochoty na rozmowę, a już tym bardziej nie zamierzam się przed nikim tłumaczyć, zwłaszcza przed nią.

— Masz gościa. To ten facet, z którym się dziś spotkałaś w sprawie pracy. Mówi, że... — docierają do mnie jej kolejne słowa.

Nie słucham jej już, tylko rozglądam się w popłochu, rozważając jeszcze możliwość

ucieczki. Z nim również nie mam ochoty gadać. Zwłaszcza z nim! Nie po tym, jak mnie potraktował. Przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji w tej sprawie, zauważam go przez uchylone drzwi *mojego* pokoju. Czeka na mnie. Niech to szlag!

— Nie przypominam sobie, żebyśmy byli umówieni — wypowiadam te słowa nieuprzejmym tonem, który brzmi jak burczenie, jednak na tyle głośno, żeby mnie usłyszał.

— Oszalałaś? — Anita szturcha mnie pod bok, za co piorunuję ją wzrokiem.

Nie ma prawa robić mi wyrzutów o cokolwiek, a już zwłaszcza o pracę, na którą mnie namawiała, a o którą nie powinnam się starać, nie będąc odpowiednio wykształcona w tym kierunku.

— Możemy porozmawiać? — odzywa się mój nieproszony gość i podnosi się z kanapy, na której dotąd siedział.

— Jasne! — odpowiada za mnie moja *przyjaciółka* i niemal siłą wypcha mnie do pokoju, po czym zamyka drzwi za moimi plecami.

Kręcę z niedowierzaniem głową, ledwie powstrzymując się przed przekleństwem, które mam na końcu języka, a potem zerkam na stojącego nieopodal mężczyznę. Szybko zauważam, że znów ubrany jest w markowy garnitur, w którym wygląda na naprawdę przyzwoitego i szacownego obywatela tego kraju.

Szkoda, że to nieprawda, bo zdążyłam już sobie o nim wyrobić własną opinię. Niezły z niego dupek.

— Po co pan przyszedł?

— Już mówiłem...

— Ale my nie mamy o czym rozmawiać! — przerywam mu ze złością, której nie zamierzam mu szczędzić.

— Czyżby? — słyszę w odpowiedzi i znów dostrzegam ten cynizm bijący z jego wzroku.

Chryste, jak on mnie wkurza!

— Chodzi panu o ten poplamiony garnitur, tak? — Nagle doznaję olśnienia. Tylko to przychodzi mi teraz do głowy.

— Tak — odpowiada jakby bez przekonania.

Naprawdę nie wiem, o co innego mogłoby mu chodzić.

— Już mówiłam, zwróć panu wszelkie koszty. Proszę mi tylko wysłać rachunek...

— Zaczekaj! — teraz to on przerywa mnie.

Obserwuję, jak z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjmuje portfel, a potem czegoś w nim szuka. Po chwili chyba znajduje to *coś*, a następnie mi to wręcza. Jak się szybko przekonuję, jest to paragon z markowego sklepu z odzieżą męską, opiewający niestety na kwotę, która zwala z nóg.

— To jakiś żart? — pytam, głośno przełykając ślinę i ponownie wlepiając wzrok w wydrukowaną na rachunku pięciocyfrową kwotę.

— Nie.

— Szlag — burczę, a potem czerwienię się ze złości. Wiem, powinnam bardziej panować nad własnymi reakcjami, ale w tej chwili jakoś nie potrafię. — A nie da się tego uprać, wyczyścić? — pytam jeszcze z nadzieją.

— Nie jestem pewien, ale jak już zdążyłem się zorientować w przeszłości, raczej nie będzie to proste. Te markowe garnitury mają to do siebie, że wygląda się w nich naprawdę dobrze, ale niezwykle trudno się je czyścić.

— Więc co teraz? — mówię jakby do siebie.

Naprawdę czuję się jak w potrzasku. Nie dysponuję taką gotówką. No dobra, nie oszukujmy się: jestem bez grosza!

— Odpracujesz mi to.

Patrzę na niego szeroko otwartymi oczami. Bredzi. To pewne. Przecież dopiero co uświadomił mi, gdzie jest moje miejsce, a tymczasem mówi mi coś takiego. A może znów mnie wkręca? Tak, to całkiem możliwe. To wydaje się do niego podobne.

— Nie będę dla pana pracowała — odpowiadam, wykazując się uporem, choć nadal nie mam dobrego pomysłu na wyjście z tej niekomfortowej dla nas obojga sytuacji.

— Więc jak zamierzasz mi oddać pieniądze? — Przygląda mi się wnikliwie.

— Wezmę kredyt — mówię bez przekonania. Obawiam się bowiem, że mogę nie dostać zgody z banku. Ale on nie musi o tym wiedzieć. Koniecznie muszę jedynie zyskać na czasie, a potem coś się wymyśli.

— Dlaczego jesteś taka uparta?

— Dobre pytanie — sarkam, kiwając głową. — Nie mogę dla pana pracować — wyjaśniam jednak, kiedy widzę, że nie odpuści tak łatwo. — Nie jestem enolożką, kawę parzę średnią, a bieganie z korespondencją na pocztę może się dla mnie źle skończyć. Sam mnie pan omal nie rozjechał — siłę się na beznadziejny żart.

Iwański uśmiecha się lekko w odpowiedzi, a ja muszę przyznać, że gdy robi to bez kpiny, w której według mnie wcale nie jest mu do twarzy, wygląda o niebo lepiej.

— A jeśli zaproponuję ci coś innego? — odzywa się nagle.

— A co takiego jeszcze mogłabym robić, oczywiście poza tymi wszystkimi *wymagającymi* — mówiąc to, robię palcami cudzysłów — sprawami, do których zwyczajnie się nie nadaję?

— Pójdiesz ze mną na kilka kolacji biznesowych — wypala nagle.

— Co takiego?

Nie mam problemów ze słuchem, ale jego propozycja wydaje mi się co najmniej niedorzeczna. Poza tym jego oferta zabrzmiała tak, jakby już wszystko było ustalone, a przecież to do mnie powinno należeć ostatnie słowo, czyż nie?

— Ludziom z branży przedstawię cię jako moją przyjaciółkę — kontynuuje.

— Oszalałeś?! — bardziej stwierdzam, niż pytam, w dodatku po raz pierwszy zwracając się do niego w mniej oficjalny sposób.

— Nie, nie oszalałem. Po prostu składam ci propozycję nie do odrzucenia.

— Nie do odrzucenia, powiadasz... — Kiwam głową i wydymam usta. Wiem, to niegrzeczne, ale nie potrafię się powstrzymać. — Muszę pana rozczarować, panie Iwański — dorzucam po chwili. — Nawet gdybym chciała na poważnie rozważyć tę pana ofertę życia — kładę wyraźnie nacisk na dwa ostatnie słowa — to jest mały problem.

Nie odpowiada, ale jego mina zdradza, że go zaintrygowałam. Kontynuuje więc:

— Wyjeżdżam. Wracam do domu, bo tak się niefortunnie zdarzyło, że nie mam gdzie się podziać.

— A więc o to chodzi — mówi, a z jego twarzy znika chwilowe napięcie, którego zwyczajnie nie dało się nie zauważyć.

— Uważa pan, że to nie problem? — Po prostu nie dowierzam.

Cóż, człowieka takiego jak on stać na wszystko. Czym więc miałby być dla niego taki problem jak chwilowy brak lokum?

— Nie, a właściwie tak — zaczyna się motać, co zupełnie do niego nie pasuje. Przyglądam mu się z coraz większą uwagą. — Ale i na to znajdzie się sensowne rozwiązanie — dodaje po chwili, a ja nadal nic nie rozumiem.

Unoszę brew i przygotowuję się na kolejnego *newsa*. Długo nie muszę czekać.

— Tak się dobrze składa, że wiem, gdzie można znaleźć całkiem fajne mieszkanie do

wynajęcia.

— Całkiem fajne? — powtarzam po nim jak ostatnia kretyńska, marszcząc nos. Oczywiście zdaję sobie sprawę, co oznacza to określenie, tylko nie mam pojęcia, skąd miałabym wziąć na to pieniądze, skoro skończyły mi się nawet oszczędności. — Przykro mi, proszę pana, ale mnie nie stać.

— O koszty się nie martw — mówi pospiesznie. — Zajmę się tym...

— Nie ma mowy — przerywam mu ten zbyteczny wywód. — Proszę mi wybaczyć — dodaję po chwili. — Nie chcę być niegrzeczna, ale nie mogę — dorzucam jeszcze z westchnieniem. Nie wiem dlaczego, ale nagle, mimo że wciąż uważam jego propozycję za co najmniej śmieszną, nie chcę w jego oczach uchodzić za niewdzięczną.

— Obawiam się, że nie masz wyjścia — słyszę w odpowiedzi.

Maksymilian

Gdy rozżalona wyszła z mojego biura, nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Dotąd nie miałem tego typu problemów. Oczywiście ludzka krzywda nigdy nie była mi obojętna, ale lata pracy na stanowisku prezesa nauczyły mnie, że do pewnych spraw należy podchodzić na chłodno, a wręcz z dystansem. Zwłaszcza do tych służbowych, bo w nich z reguły nie ma miejsca na żadne sentymenty. Nie wiem, może rzeczywiście byłem skamieniałym gnojkiem, co usłyszałem kilka razy z ust kobiet, które chciały ode mnie więcej, niż mogłem im dać, ale na szczęście w mojej głowie jak na zawołanie echem odbijały się wówczas słowa mojej babki. A ta miała w zwyczaju mawiać, że kto ma miękkie serce, powinien mieć twardą dupę. Czułem się więc usprawiedliwiony.

Babcia była kobietą z krwi i kości. I twardo stąpała po ziemi. Pomimo przeciwności losu, mimo kłód, które życie wielokrotnie rzucało jej pod nogi, nigdy się nie poddawała. Była naprawdę mądrą kobietą. I wzorem do naśladowania. Wiele się od niej nauczyłem. Dążyłem do celu, nie oglądając się za siebie. Robiłem wszystko, na co miałem ochotę, i czerpałem z życia ile wlezie.

I stałem się bezwzględny w swoich postanowieniach. Aż do dziś.

Dzisiejszego poranka coś się we mnie zmieniło. Nie jestem pewien, czy na lepsze, czy wręcz przeciwnie, i czy tego wkrótce nie pożałuję, ale z całą pewnością była to zasługa tej dziewczyny, sposobu, w jaki na mnie patrzyła. Kiedy zachowywała się przy mnie tak naturalnie, racząc mnie bezwzględną szczerością, na którą mało kto był w stanie zdobyć się w moim towarzystwie, nagle zapragnąłem okazać komuś odrobinę serca. I tym kimś była właśnie ona.

To dziwne, bo jak dotąd uważałem, że wcale nie mam serca, a nawet jeśli, to wierzyłem, że jest tak skamieniałe, że nie ma w nim miejsca na podobne odczucia. Cóż, jak widać, pomyliłem się w ocenie samego siebie.

A może jednak kierowały mną inne, bardziej... przyziemne pobudki? Tak, to była bardziej prawdopodobna hipoteza. Szkoda czasu na dopatrywanie się czegoś, co nie istniało. Znałem siebie bowiem lepiej od innych i wiedziałem, jaki był prawdziwy powód, dla którego postanowiłem zająć się tą dziewczyną.

Na samą myśl o tym robię się twardy.

Co z tego, że Maja Sokołowska nie jest w moim typie? Lubię eksperymentować. W łóżku szczególnie, a ta dziewczyna wydawała mi się miłą odmianą w codziennej rutynie.

Pozostało mi jeszcze tylko przekonać ją, że przemawia przeze mnie jedynie zwyczajna ludzka dobroć. Ale skoro i to zawiodło...

— To zwykły szantaż — odzywa się nagle i niczym naburmuszona panienka z dobrego

domu wydyma wargi.

— Nazywaj to sobie, jak chcesz — kwituję. — Ale odpracujesz straty, na jakie mnie naraziłaś.

— Nie będę nikogo udawała. Ani dla pana, ani dla kogokolwiek innego! — odpowiada podniesionym głosem, zaciskając dłonie w pięści.

Muszę przyznać, że zabawna jest, kiedy się tak ciska. I kurewsko kusząca. A ja uwielbiam takie zestawienia.

— Będziesz. W dodatku moją dziewczynę.

Na te słowa z potulnej panienci znów przemienia się w złoźnicę. Gniewnie mruży oczy, a jej postawa zdradza, że gdyby tylko wiedziała, że da mi radę, z gołymi rękami rzuciłaby mi się do gardła. Jednak nie ma na to najmniejszych szans. Jest zbyt drobna. Poza tym ja jestem roslym, dobrze zbudowanym, wysportowanym, a do tego silnym facetem. Jak więc miałyby sobie dać ze mną radę?

— Wiesz, kim jesteś? — warczy, a ja wzruszam jedynie ramionami. Naprawdę wyśmienicie się bawię. I mam nadzieję, że z każdą chwilą będzie jeszcze ciekawiej. Z jej temperamentem to niemal pewne. — Gdybyś nie był moim szefem...

— A więc jednak się zgadzasz? — Aż klaszczę w dłonie, a ona znów groźnie mruży oczy. Zaiste słodkie z niej dziewczątko.

— Goń się — mówi jedynie, a potem sięga po swoją walizkę.

Naprawdę zamierzała wyjechać. Miałem więc szczęście, że nie minąłem się z nią po drodze. Szkoda by było stracić okazję do takiej rozrywki.

— No co się tak patrzysz? — warczy, kiedy zaczyna nerwowo skubać brzeg swojego mało eleganckiego płaszczyka. — Rusz się. I miejmy to wreszcie za sobą.

— Oczywiście — odpowiadam, nie mogąc powstrzymać chytrego uśmiešku, którego ona zdaje się nie widzieć, a potem odbieram z jej rąk bagaż. — Myślałaś, że pozwolę *swojej dziewczynie* — pochylam się lekko i mrużę wprost do jej ucha, przez co ona wstrzymuje oddech; przyznaję, fantastycznie na mnie reaguje, a to naprawdę dobrze wróży — dźwigać ciężary?

— Nie jestem twoją dziewczyną, ty d...

— Chciałaś nazwać mnie dupkiem? — przerywam jej, szczerząc się jak jakiś młokos. Dotąd nikomu, a zwłaszcza kobietom z mojego otoczenia, nie pozwalałem na takie swobodne zachowanie. Ale jej stosunek do mnie wyjątkowo mnie bawi, więc nie zamierzam nic z tym robić.

— Nie — odpyskowuje mimo wszystko. — Ale draniem owszem! — dodaje, krzyżując ręce na piersiach.

Kręcę już tylko głową i przepuszczam ją przodem, a potem oboje wychodzimy na korytarz, gdzie czeka na nas jej koleżanka. Zdaje się, że podsłuchiwała pod drzwiami, bo minę ma taką, że lepiej nie mówić. To zaskoczenie pomieszane prawdopodobnie z lekką obawą.

— Wszystko w porządku, Majka? — pyta, na co *moja dziewczyna* kiwa raptem głową. — Na pewno? Bo jeśli...

— Na pewno — przyłączam się do rozmowy, a właściwie ucinam ją, zanim się rozpoczyna.

Zaczynam łączyć pewne fakty. Wiem, że Anita wywaliła Maję z mieszkania. Kazała się jej wyprowadzić, nie dając jej odpowiedniego czasu, by mogła sobie coś zorganizować. Doskonale słyszałem tę rozmowę. Każde słowo, które podczas niej padło. Głośnik telefonu Mai był bowiem ustawiony na najwyższy poziom, więc siłą rzeczy nie dało się tego nie usłyszeć.

— Nic mi nie będzie — dorzuca jeszcze idąca o krok przede mną dziewczyna, a potem

kieruje się do wyjścia. — Zadzwoń do ciebie później.

— Będę czekała na wieści — słyszymy jeszcze oboje, gdy wreszcie opuszczamy mieszkanie i wychodzimy na korytarz.

— Jasne — mruczy niezadowolona Maja, a potem zmierza schodami w dół.

Muszę przyznać, że dosłownie gna w tych szpilkach i że chyba jej odrobinę nie doceniałem. Uważałem ją za wyjątkową niezdarę, a przecież gdyby takową była, to nie radziłaby sobie tak świetnie w takim obuwiu. Cóż, pozory jednak mylą.

— Pędzisz tak, jakby cię ktoś gonił — mówię do niej, kiedy wreszcie zrównuję się z nią na chodniku. — W twoich butach to raczej trochę niebezpieczne, nie sądzisz?

— Chcesz się przekonać? — Zatrzymuje się zniecierpliwiona, przez co o mały włos na nią nie wpadam.

— Proponujesz, żebym pohasał w twoich szpilkach?

Staram się tylko być zabawny, choć jej, jak widać, moje żarty nie bawią ani trochę. W odpowiedzi rzuca mi jedynie przelotne spojrzenie, ale minę ma taką, że lepiej nie mówić.

— Po pierwsze, nie są w moim stylu — odpowiadam na jej wcześniejszą zaczepkę. — A po drugie...

Nagle znów zatrzymuje się w pół kroku, więc po raz kolejny omal się nie zderzamy.

— Możesz przestać pajacować? — warczy. Jest naprawdę zła.

Mam ochotę ją upomnieć, bo jeszcze żaden z moich pracowników nie pozwolił sobie na taką zuchwałość, ale powstrzymuję się. Po prostu nie mam ochoty się kłócić. Zwłaszcza na środku chodnika. Poza tym od teraz udajemy parę, więc wypada, abyśmy właśnie od tej chwili odpowiednio się zachowywali. Oboje.

— Długo będziesz się tak zachowywała? — pytam.

Nie odpowiada, ale jej mina wskazuje, że nie do końca zrozumiała moje pytanie. Doprecyzowuję więc:

— Mam nadzieję, że niedługo się znudzisz i przestaniesz się zachowywać jak typowa złośnica.

— Nie znasz mnie i nic o mnie nie wiesz — odpowiada nagle.

— To może czas to zmienić? — proponuję, a potem wystawiam do niej rękę. W zasadzie od tego powinienem rozpocząć naszą znajomość, ale że mieliśmy dość trudny początek, to jakoś się nie złożyło. — Maks — przedstawiam się, nadal czekając, aż wymieni ze mną uścisk dłoni.

Patrzy na mnie podejrzliwie, ale po chwili namysłu podaje mi rękę i nieśmiało wymawia swoje imię. Nie ufa mi, mam tego pełną świadomość. Cóż, zasłużyłem sobie.

Rozdział 5.

Maja

Naprawdę zachodzę w głowę, co kombinuje ten facet, ale nie przychodzi mi na myśl nic, co mogłoby mi pomóc zrozumieć jego postępowanie. Najpierw był cyniczny, wręcz chamski, choć niewątpliwie zachowywał pozory, a teraz? Nagle postanowił zmienić front? Jakoś nie mogę w to uwierzyć.

Iwański to cwaniak, a tacy jak on działają w białych rękawiczkach. Przejrzałam go, choć teraz naprawdę nie wiem, co mam myśleć o jego irracjonalnej propozycji. Mam udawać jego dziewczynę, choć aplikowałam tylko albo aż na stanowisko enologa. Jak dla mnie te dwie tak zupełnie różne od siebie *posady* ani trochę ze sobą nie współgrają. Ale on miał mnie w garści i zmusił, żebym przyjęła jego propozycję *nie do odrzucenia*. A ja? Cóż, chyba nie miałam wyjścia, bo nie stać mnie było na dodatkowe, i to tak wysokie koszty, jakie musiałabym ponieść, by odejść z honorem. Zgodziłam się więc, ale nie zamierzałam dopuścić, aby Maks przekroczył wytyczone przeze mnie granice. Musiałam z nim to jeszcze przegadać i ustalić pewne sztywne reguły, których zamierzałam się trzymać. Tego samego oczekiwałam od niego. Nic więcej.

— Zapraszam.

Otwiera przede mną drzwi swojej wypasionej bryki, a ja znów przyglądam mu się bardziej wnikliwie. Nadal nie wzbudza mojego zaufania. Nie wierzę ani w to, że jego intencje są szczerze, ani w to, że jest dżentelmenem, za którego właśnie próbuje przede mną uchodzić. Niepotrzebnie się wysila. Rano, przed wieżowcem, a potem jeszcze w windzie, pokazał, jaki z niego *porządny gość*.

Mimo obaw zajmuję miejsce na siedzeniu pasażera i zapinam pas. Czekam w lekkim napięciu, aż dołączy do mnie *mój szef*. Dyskretnie obserwuję, co robi. Zaraz po tym, jak umieszcza moją walizkę w bagażniku, zasiada za kierownicą. Spogląda na mnie i uśmiecha się głupkowato. Ależ mnie wkurza.

— Musimy coś ustalić — odzywam się pierwsza, kiedy ruszamy z parkingu.

Nie odpowiada, ale wydaje się wyraźnie zaintrygowany moimi słowami. Nie pojmuję, co go tak dziwi. Sądził, że w ciemno zgodzę się na wszystko, co sobie zaplanował? Nie ma mowy.

— Musimy ustalić granice — wyjaśniam.

— Granice? — powtarza po mnie i próbuje ukryć przede mną zadowolenie malujące się na jego twarzy. Naprawdę mnie drażni takim zachowaniem, ale zachowuję zimną krew.

— Skoro mam udawać twoją dziewczynę, to musisz wiedzieć, że nie pozwolę ci na zbyt wiele — wyjaśniam, a on z uznaniem kiwa głową. Nie jestem pewna, czy czasem ze mnie nie drwi, ale postanawiam się tym nie przejmować. Zwłaszcza teraz, kiedy siedzimy tak blisko siebie. Rozprasza mnie to. — Trzymanie się za ręce: tak. Niewinny dotyk również. Ale na nic innego nie wyrażam zgody, jasne?

— Co konkretnie masz na myśli? — dopytuje i spogląda na mnie raz po raz, jednocześnie skupiając się na prowadzeniu samochodu. Gdy nie odpowiadam, powtarza z naciskiem: — Co według ciebie oznacza „nic innego”?

— Pocałunki, seks — odpowiadam. Widząc, że się szczerzy, czuję, jak na moich policzkach wykwitają rumieńce.

— Gdyby właśnie na tym mi zależało, wynająłbym profesjonalistkę, nie sądzisz?

Nie jestem pewna, jak mam odebrać te słowa. Powinnam chyba poczuć ulgę. To dlaczego zamiast tego odnoszę wrażenie, że Iwański z góry przesądza, że nie byłabym w stanie go

zadowolili? Sprawia mi przykrość tym osądem, ale oczywiście nie zamierzam mu niczego udowodniać. Niedoczekanie!

— Wolałam postawić sprawę jasno, żeby nie było żadnych niedomówień — burczę i odwracam głowę, udając, że podziwiam widoki za oknem.

— Oczywiście — słyszę jeszcze w odpowiedzi.

Jestem pewna, że znów się głupkowato uśmiecha, ale brakuje mi odwagi, by się o tym przekonać na własne oczy. Spoglądam na niego dopiero w chwili, kiedy przejeżdżamy obok budynku, w którym znajduje się jego biuro. Początkowo myślę, że właśnie tam mnie teraz zabiera, ale wówczas on kieruje samochód w stronę innego szklanego wieżowca, a następnie wjeżdża na podziemny parking i gasi silnik pojazdu.

— Coś nie tak? — pyta, wpatrując się we mnie.

— Wynajęcie mieszkania w takim obiekcie musi kosztować majątek — mówię wprost.

Nie zamierzam ukrywać, że mnie to martwi. Nie chcę bowiem, aby mój dług, zamiast maleć, stale rósł. To byłoby jakieś błędne koło.

— Już mówiłem, o koszty się nie martw.

— Nie rozumiem cię — odpowiadam wówczas, a on tylko się uśmiecha. Tym razem nie widzę w tym krzty cynizmu, który mnie tak drażni. I kolejny raz muszę przyznać, że to dla mnie miła odmiana.

— Tak właśnie ma być — odpowiada jeszcze, a potem wypina nas z pasów i wysiada.

Nim zdążam złapać za klamkę, otwiera przede mną drzwi. Nie komentuję tego, ale nadal uważam, że takie miłe gesty to za mało, by zatrzeć pierwsze, niezbyt pozytywne wrażenie, jakie na mnie wywarł. W podziękę uśmiecham się jednak, choć odrobinę sztucznie, i leciutko kiwam głową, obserwując, jak Iwański wyjmuje z bagażnika moją walizkę.

— To wszystko, co masz? — pyta nagle, stawiając ją na betonowej posadzce.

— Nie rozumiem.

— Kobiety na ogół nie są minimalistkami — wyjaśnia.

— Przykro mi, że tylko takie stanęły na twojej drodze — odpowiadam zadziornie, na co on jedynie kręci głową i ściąga usta, których kąciki drgają mu teraz nieznacznie.

Resztę drogi z podziemnego parkingu na parter budynku pokonujemy w niepokojącym milczeniu. Jednak najbardziej stresująca okazuje się sama jazda windą. Ta ciasna przestrzeń i facet, który zajmuje jej większą część, trochę mnie przerastają. Wkładam więc wiele wysiłku, żeby tego nie zauważył. Ostatnie, czego teraz chcę, to dodatkowe, zbyt osobiste pytania, które mogłyby paść z jego strony.

Gdy dojeżdżamy na górę, Maks oczywiście przepuszcza mnie w drzwiach. Odsuwam się od niego możliwie jak najdalej i wreszcie opuszczam to przytłaczające pomieszczenie. Widok, jaki zastaję w korytarzu, powala mnie. Właściwie trudno to miejsce nazwać zwykłym korytarzem. To hol. Przestronny, a nawet olbrzymi — jest wielkości kawalerki — i taki... luksusowy. Na samą myśl, jak może wyglądać i ile może kosztować mieszkanie, do którego mój szef postanowił mnie zabrać, ogarnia mnie lekka panika.

— Coś nie tak? — Tym pytaniem wyrywa mnie z chwilowego odrętwienia.

— Nie wiem — odpowiadam szczerze.

— Nie podoba ci się tutaj? — Spogląda na mnie, wyraźnie oczekując szczerzej odpowiedzi.

— Czy mnie się tu nie podoba? — powtarzam po nim, co zdarza mi się nieczęsto. — Ten hol, to miejsce... — Zataczam krąg głową. — Bardzo tu elegancko. Aż boję się pomyśleć, co będzie za którymiś z tych drzwi. — Wskazuję na pierwsze z brzegu. — Nie sądzisz, że tutaj nie pasuję?

— Jesteś aż tak skromna? — pada nagle pytanie, na które nie znam odpowiedzi.

A może znam, tylko nie chcę z nim o tym rozmawiać. Nie jestem skromna. Jestem po prostu dziewczyną pochodzącą z małego miasteczka. Stąd moja uwaga, że nie widzę siebie w takim miejscu.

— Naprawdę mnie na to nie stać — odpowiadam po chwili i zerkam w stronę windy, która pewnie zdążyła już odjechać.

— Już mówiłem...

— A ja mówiłam, że nie chcę mieć żadnych dodatkowych długów.

„Zwłaszcza wobec ciebie” — dodaję w myślach.

— Nie obawiaj się. Twój dług nie wzrośnie.

Nie ufam mu. Nie daję wiary w jego zapewnienia. Jego propozycja kłóci się bowiem z faktem, że wcześniej zażądał ode mnie zwrotu pieniędzy za zniszczony garnitur, a tymczasem proponuje mi życie w luksusie, na który zwyczajnie mnie nie stać.

— Dlaczego ci nie wierzę — mruczę pod nosem i znów zaczynam się rozglądać.

Jestem pewna, że zrozumiał każde moje słowo, ale na szczęście żadnego nie skomentował. I dobrze, bo na dziś mam dość emocji, zwłaszcza przepychanek słownych. Za mną ciężki dzień, pełen nieoczekiwanych wrażeń. Jestem zmęczona. Potrzebuję odpoczynku. Marzę tylko o relaksującej kąpeli i porządnej dawce snu. A potem się zobaczy.

— Prowadź zatem — odzywam się ponownie i spoglądam na faceta, który wskazuje na jedne z dwojga znajdujących się tutaj drzwi.

Wymijam go i zmierzam w wyznaczonym kierunku. Moje obcasy odbijają się echem po marmurowej, lśniącej posadzce. Udaję jednak, że tego nie słyszę, choć kątem oka widzę, że mój szef się uśmiecha. Nie wiem, co go tak bawi. Buty jak buty. Zatrzymuję się dopiero pod drzwiami mieszkania, które dla mnie wybrał. Czekam, aż je przede mną otworzy. Oczywiście nie liczę na żadne dodatkowe dowody jego męskości czy szarmanckości. Po prostu spodziewam się, że ma klucze.

Nie myślę się. Obserwuję, jak wyjmuje je z kieszeni, a następnie wkłada do zamka. Potem otwiera przede mną drzwi i znów przepuszcza mnie przodem. Udaję, że nie dostrzegam jego starań. W moich oczach już na zawsze będzie uchodził za dupka. Tak, przejrzał mnie wtedy, kiedy ledwie się powstrzymałam, żeby go tak nie nazwać, ale z obawy, że się na mnie zbyt mocno rozzłości, nie przyznałam się do tego.

Kiedy zapala światło, moim oczom ukazuje się niezbyt duże, ale z całą pewnością świetnie urządzone, luksusowe wnętrze.

Mrugam zaskoczona, a potem robię kilka niepewnych kroków.

— I jak? — słyszę za plecami. W tym samym czasie dochodzi mnie również dźwięk domykanych drzwi.

Odwracam się do stojącego za mną mężczyzny i spoglądam na ewentualną drogę ucieczki. Wydaje się, że Iwański mnie przejrzał, bo kręci z niedowierzaniem głową i raczy mnie rozbajającym uśmiechem.

— Podoba ci się tutaj? — pyta zwyczajnie.

— Tak. — Kiwam głową, starając się nie panikować. W końcu ten facet to tylko cynik, nie gwałciiciel. Przynajmniej taką mam nadzieję.

— Rozgość się zatem. Ja będę za ścianą.

— Co?! — Mój głos zamienia się w skrzek.

— Mieszkam obok — wyjaśnia. — To jakiś problem?

— Nie! Nie wiem... Ale mówiłeś, że...

— I nie kłamałem. To mieszkanie od miesiący stoi puste — wyjaśnia. — A jest tak,

ponieważ od dłuższego czasu płacę za jego wynajem.

— Nie rozumiem. — Przetykam głośno ślinę.

Nachodzą mnie dziwne myśli. Zastanawiam się, kim tak naprawdę jest stojący na wprost mnie mężczyzna. A może to jakiś zbok, prześladowca, który zaplanował sobie jakieś straszne rzeczy? No bo na co komu puste mieszkanie? To zupełnie bez sensu.

— Poprzedni właściciel mieszkania... — odzywa się nagle. — Jak by ci to powiedzieć... Nie polubiliśmy się. Facet miał w zwyczaju imprezować. Ostro. W dodatku było mu nie po drodze z przedstawicielami prawa. Policja nachodziła go co jakiś czas, właściwie regularnie. Strasznie to było uciążliwe, bo zjawiali się nagle, w środku nocy, często o szóstej nad ranem.

Pomimo powagi tego wyznania bawi mnie jego ostatnie stwierdzenie.

„Środek nocy, szósta nad ranem”. Ech...

— Odetchnąłem z ulgą, kiedy wreszcie postanowił się wynieść. Wtedy dogadałem się z najemcą i płacę czynsz, żeby tylko nie trafił mi się ktoś znacznie gorszy od tamtego upiornego dilerka.

— Rozumiem.

— A ty?

— Co „ja”?

— Co pomyślałaś?

— Nic takiego — odpowiadam nazbyt pospiesznie, co niewątpliwie budzi w nim kolejne podejrzenia.

— Nie wierzę ci. — Uśmiecha się szelmowsko.

— To jest nas dwoje, bo ja tobie też nie ufam.

Maksymilian

Ta dziewczyna jest niemożliwa, ale też zabawna, więc jakoś przesadnie nie drażni mnie jej dziwaczne zachowanie. Nie pojmuję jednak, za kogo mnie uważa. Nie musi mówić tego na głos, ale doskonale wiem, co pomyślała, kiedy odkryła, że zabrałem ją do mieszkania, które sąsiaduje z moim apartamentem. Wzięła mnie za jakiegoś zboczeńca, może nawet maniaka, który stalkuje swoje ofiary.

Nic z tych rzeczy. Lubię kobiety, ale nigdy nie byłem psychopatą. Laski spędzają ze mną czas z własnej woli i do niczego nigdy ich nie zmuszam. Jej też nie zamierzam. Sama do mnie przyjdzie. Kiedy nadejdzie właściwy czas. Jestem tego pewien.

Wracam do swojego mieszkania. Zdejmuję marynarkę, odwieszam ją na wieszak i zmierzam w kierunku łazienki. Po drodze rozluźniam krawat i rozpinam mankiety koszuli. Rozglądam się, choć doskonale znam to miejsce. Sam je zaprojektowałem, choć, nie przeczę, pomagała mi w tym pewna *zdolna* architektka. Ależ ta kobieta miała pomysły! I nie wszystkie były ściśle związane z jej zawodem. Swoją drogą szkoda, że nam nie wyszło, bo niezwykle miło wspominam ten okres swojego życia. Jednak ten związek nie miał najmniejszych szans na przetrwanie, bo Lidia oczekiwała więcej, niż mógłbym jej dać. A ja dawno temu poprzysiągłem sobie, że nigdy nie stanę na ślubnym kobiercu. I słowa zamierzałem dotrzymać.

Zatrzymuję się w połowie drogi do łazienki. Jeszcze raz rzucam okiem na elegancki wystrój. Mój apartament jest olbrzymi. Przeważa w nim otwarta przestrzeń, co optycznie czyni go jeszcze większym. Kuchnia jest połączona z jadalnią i salonem, na końcu którego znajduje się strefa wypoczynkowa. Jeszcze dalej mieści się *kącik relaksacyjny*, gdzie stoi fortepian. Nie znoszę go, bo kojarzy mi się z latami nauki, do których zmuszała mnie siostra. Wiem, że Mari chciała dobrze, między innymi dlatego tutaj pozostał. Poza tym nie byłem zapatrzonym w siebie

gnojkiem i zdawałem sobie sprawę z jej poświęcenia. Moja siostra wydała na ten instrument sporą sumkę, choć wówczas raczej nie było jej stać na aż tak duże wydatki. Uparcie jednak wierzyła, że mam talent i powinienem go rozwijać. Może i coś w tym było, bo do przeciętniaków nie należałem, a Mari wciąż mnie naciskała. Szczerze jej za to nienawidziłem, podobnie zresztą jak tego cholernego fortepianu.

Wkrótce zresztą dowiodłem, że muzykowanie nie jest moim wymarzonym zajęciem. Udowodniłem nie tylko siostrze, ale też samemu sobie, że jestem typem przywódcy i lubię zarządzać ludźmi. Dlatego gdy stałem się pełnoletni, zacząłem podążać w tym kierunku. Pragnąłem się rozwijać i spełniać własne marzenia. Robię to aż do dziś. I niczego nie żałuję, zwłaszcza *niedoszłej* kariery muzycznej.

Wchodzę do łazienki, zapalam światło i rzucam spojrzenie w stronę olbrzymiego, zajmującego całą ścianę lustra. Wyglądam dobrze, choć mam zmęczone oczy. Cóż, ten dzień nie należał do najłatwiejszych. Od rana sporo się działo, a i wieczór okazał się dość emocjonujący.

Nadal nie mogę uwierzyć, że to zrobiłem. W zasadzie wciąż się zastanawiam, co mnie podkusiło, żeby zatrudnić tę dziewczynę. Wokół mnie było całe mnóstwo kobiet, które mogły odgrywać rolę pani do towarzystwa, ale ja wybrałem właśnie ją. A przecież nawet niespecjalnie mi się podobała. W sumie nic jej nie brakuje, jest zgrabna, niebrzydka, jednak zupełnie nie w moim typie. W dodatku ten jej niewyparzony język... Dlaczego więc wybrałem właśnie ją?

— Już ty dobrze wiesz dlaczego — gadam do własnego odbicia, zdejmując resztę ubrań.

Od dziecka lubiłem wyzwania i sięgałem po coś, co zwykle było niedostępne. Przynajmniej dla mnie. Od najmłodszych lat kręciła mnie adrenalina. Im bardziej nie mogłem czegoś mieć i im większe wiązało się z tym ryzyko, tym bardziej tego pragnąłem. Chciałem rower górski, na który nie wyrażała zgody Mari, to samodzielnie na niego zarobiłem, roznosząc po osiedlach ulotki i sklepowe gazetki. Spodobała mi się dziewczyna, którą poznałem na szkolnej zabawie, to czarowałem ją tak długo, aż była moja.

Ale czy pragnąłem akurat tej dziewczyny, która właśnie zamieszkała obok?

Odpowiedź nasuwała się sama. Wystarczyło zerknąć w dół, a konkretnie na podbrzusze. Byłem pobudzony i gotowy.

— Będziesz musiał uzbroić się w cierpliwość. — Wiem, że to irracjonalne, że gadam do własnego fiuta, ale który facet choć raz w życiu tego nie robił? Przecież nie od dziś wiadomo, że penis jest najlepszym przyjacielem każdego ceniącego się mężczyzny. — Ale myślę, że obaj tego nie pożałujemy — dodaję dziwnie zadowolonym głosem, a potem wchodzę pod prysznic.

Dziś wyjątkowo puszczam nieco chłodniejszy strumień. Chcę ochłonać. Dosłownie i w przenośni. Nie jestem dzieciakiem, żeby się masturbować. Znam lepsze sposoby. Jeden z nich znajduje się... za ścianą. Zachodzę w głowę, co teraz robi. Pewnie podobnie jak ja, właśnie bierze kąpiel. Ciekawe, jak by się zachowała, gdybym teraz tam poszedł, otworzył drzwi własnym, dodatkowym kluczem i do niej dołączył? Jestem niemal pewien, że uległaby mojemu czarowi. Dotąd jeszcze żadna mi nie odmówiła.

Jednak tłamszę w sobie tę ochotę. Zamierzam sztywno trzymać się planu i działać powoli, z rozmysłem, by dostać tę dziewczynę na srebrnej tacy, niczym najwykwintniejsze danie. Bo tylko takie, pieczołowicie dopracowane, przygotowane z dbałością o każdy najdrobniejszy szczegół, smakuje najlepiej.

* * *

Nie mogę sobie znaleźć miejsca. Próbuję nawet zmusić się do snu, ale szybko się okazuje, że na to jest jeszcze zdecydowanie za wcześnie. Nie jest lekko. Jestem nabuzowany jak nigdy dotąd. To zasługa dziewczyny, która być może już śpi w mieszkanku obok. Mam ochotę tam

pójść i przekonać się na własne oczy, czy moje przypuszczenia są rzeczywiście trafione, ale naraz zaczynam zastanawiać się, co miałbym jej powiedzieć, gdy stanę w jej drzwiach. Porzucam więc ten niepoważny pomysł, a zamiast tego zwlekam się z łóżka i idę najpierw do kuchni, żeby napić się wody, a potem do salonu. Siadam przy stole, na którym czeka na mnie mój laptop. Otwieram go i przez chwilę gapię się w ekran, zupełnie nie wiedząc, co chcę robić. Po sekundzie doznaję olśnienia. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem?

CHOMIKO - WARNIA

Rozdział 6.

Maja

Budzę się wcześniej rano. Za oknem wciąż panują egipskie ciemności, a ja naraz odkrywam, że zasnęłam w ubraniu na kanapie w niewielkim, ale naprawdę przytulnym salonie.

Zrywam się na równe nogi. Wiem, że jestem tu sama, ale nagle zaczynam myśleć o nim, moim szefie, który mieszka za ścianą. Co by o mnie pomyślał, gdyby nakrył mnie w takiej sytuacji? Jeszcze by mnie niesłusznie osądził, uznając, że nie dbam o higienę. Albo gorzej! Widząc mnie w ubraniu na kanapie, z otwartą butelką wina na stoliku, jeszcze mógłby pomyśleć, że upiłam się tym kieliszkiem wina, które wieczorem nalałam sobie dla rozluźnienia.

Natychmiast podchodzę do niewielkiego stolika kawowego, zgarniam szkło, a potem niezwłocznie odnoszę je do kuchni. Butelkę z winem chowam w szafce, a kieliszek myję pod bieżącą wodą.

„Uff” — myślę, wzdychając — ślady *zbrodni zatarte*”.

Zerkam jeszcze raz w stronę otwartego salonu. Teraz już wszystko wygląda okej. Więc nawet gdyby Iwański wpadł z niezapowiedzianą wizytą, raczej nie miałby powodu, żeby pomyśleć o mnie źle. Zależało mi na reputacji, choć akurat jego dobre zdanie na mój temat obchodziło mnie trochę mniej. Sam nie świecił przykładem, więc nie powinien osądzać innych. Niemniej tymczasowo był moim szefem i uznałam, że należy mu się szacunek.

Już w wąskim korytarzu pozbywam się przepoconego ubrania, które rzucam na podłogę, i idę do łazienki. Muszę się wykąpać i być gotowa na wypadek, gdyby mnie potrzebował. Wydaje mi się, że nie nastąpi to zbyt prędko — mam przecież udawać jego dziewczynę, a na randki na ogół chadza się wieczorami — ale jak to mawia mój tato: strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Nalewam wody do wanny, a potem zanurzam się aż po szyję. Zamykam oczy, a błogość rozlewa się po moim ciele. Dopiero w takiej chwili przyznaję, że spanie w salonie, na wąskiej kanapie nie było najlepszym pomysłem. Boli mnie każdy skrawek ciała, każdy mięsień, zwłaszcza na karku. Liczę więc, że gorąca kąpiel będzie zbawienna i za chwilę poczuję ulgę.

* * *

Najwyraźniej musiałam przysnąć, bo nagle budzę się w wannie. Mamrocę pod nosem ciche przekleństwo, ale już po sekundzie z moich ust wydobywa się cienki pisk. Widok Iwańskiego w łazience jest ostatnim, czego się spodziewałam.

— Co tutaj robisz, do cholery?! — Naskakuję na niego, zasłaniając rękoma nagie piersi i zaciskając uda. — I jak wszedłeś do MOJEGO mieszkania?

Celowo kładę nacisk na to jedno słowo. Niech wie, że przekroczył swoje kompetencje, a także naruszył moją prywatność i przestrzeń, której nie powinien nigdy zaburzać.

— Martwiłem się. Dzwoniłem do ciebie wielokrotnie, ale nie odbierałaś, więc postanowiłem osobiście sprawdzić, czy wszystko w porządku.

— Jak widzisz, nic mi nie jest — warczę zażenowana całą tą dość niezręczną sytuacją.

— Widzę — odpowiada, ślizgając się wzrokiem po moich obnażonych ramionach i dekolcie, którego nijak nie umiem zasłonić dłońmi.

— Wyjdź — mówię, siląc się na spokój, choć do tego akurat mi daleko. Ten zuchwały facet naprawdę przesadził. Nie miał prawa tu przychodzić, a już tym bardziej włączyć za mną do łazienki. — Głuchy jesteś?

Nie widzę własnej twarzy, ale jestem pewna, że z moich oczu sypią się złowrogie iskry.

Oczywiście na nim nie robią one żadnego wrażenia, wręcz przeciwnie, wygląda na rozbawionego. Ale na szczęście słucha i wychodzi, a ja ciskam w ślad za nim ociekającą wodą gąbką, która odbija się od drzwi i upada na podłogę.

— Wiem, co zrobiłaś — słyszę zza domykanych właśnie drzwi. — Ale ten jeden raz ci daruję.

— Też mi coś! — fukam pod nosem, a następnie odczekuję jeszcze chwilę, jakby z obawy, że Iwański zawróci. Potem w pośpiechu wychodzę z wanny i owijam się szczelnie ręcznikiem. Drugi umieszczam na mokrych włosach, tworząc na nich turban. Teraz jestem gotowa, by się zmierzyć z tym nieznośnym facetem. Mam zamiar mu nawtykać.

Ledwie wychodzę na korytarz, a słyszę jego drwiący głos:

— Jesteś bałaganiarą?

Moja złość natychmiast ustępuje miejsca konsternacji, bo początkowo naprawdę nie mam pojęcia, o czym do mnie mówi. Przecież wszystko posprzątałam, choć właściwie nawet nie zdążyłam jakoś specjalnie nabałaganić. Dopiero po chwili odkrywam, co miał na myśli. Widzę, jak się pochyla i zbiera z podłogi moje ubranie.

Cholera! Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby rozbierać się właśnie tutaj.

— Oddawaj — warczę, kiedy zauważam, jak podnosi moje majtki, po czym dosłownie wrywam mu je z rąk.

Jest szczerze ubawiony moją reakcją, choć mnie wcale nie jest do śmiechu. Posyłam mu mordercze spojrzenie.

— Ubierz się — mówi jak gdyby nigdy nic. — Za kwadrans wychodzimy.

— Dokąd? — wrywa mi się i właśnie w tym samym czasie zauważam jakieś pakunki porozstawiane na kanapie i stoliku. Nietrudno się domyślić, co się w nich znajduje. Nadrukowane na papierowych torbach logo najpopularniejszych sieciówek związanych z modą damską dają mi jasny przekaz. — Kupiłeś mi ubrania?

— Skoro mamy się pokazywać razem, musisz dobrze wyglądać.

Że co?! Sugeruje, że dotąd nie wyglądałam najlepiej?! Za kogo on się uważa?!

— Nic ci do mojego stylu — odpowiadam, siląc się na obojętność, choć po chwilowym napadzie złości robi mi się przykro. — Poza tym nie przypominam sobie, żebyś wspominał o tym wcześniej, gdy negocjowaliśmy — podkreślam z ironią — naszą umowę.

— Zawsze taka jesteś? — pyta nagle.

— Jaka?

Mam ochotę ułożyć dłonie na biodrach, żeby pokazać mu, że nie dam sobą rządzić, ale obawiam się, że mogłabym poruszyć ręcznik, co było ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam.

— Tylko szukasz okazji, żeby się ze mną pokłócić — pada rzeczowe wyjaśnienie.

— Nieprawda!

W zasadzie ma rację. Nie znoszę go i wkurza mnie do tego stopnia, że sam jego widok sprawia, że mam ochotę zagrać mu na nosie. Ale przecież on nie musi o tym wiedzieć.

— Jedziemy do biura, a twoje ubrania, jak mniemam — mówiąc to, rzuca spojrzenie w stronę nierozpakowanej wciąż walizki — nie bardzo pasują do wizerunku mojej firmy. Są zbyt... — przerywa, drapie się po brodzie, a następnie ściąga brwi i dorzuca: — Przepraszam za wyrażenie, oczojebne.— Uprzedza mnie, kiedy już otwieram usta, żeby mu coś odpyskować. — Będę po ciebie za piętnaście minut — dodaje, a następnie odwraca się i zmierza do drzwi.

— Chryste... — wzdycham, a kiedy wychodzi i zostawia mnie wreszcie samą, postanawiam przycupnąć na moment na kanapie. — W co ja się wplątałam?

Maksymilian

Nadal nie jestem pewien, czy postępuję właściwie, ciągnąc ten niezbyt skomplikowany układ z tą naprawdę pyską dziewczuchą, ale jakoś nie potrafię tego zakończyć. Ta laska ma w sobie coś, co nie pozwala mi podjąć decyzji, którą prawdopodobnie podjąłbym w przypadku każdej innej dziewczyny przekraczającej granice. Tak, Maja notorycznie łamała zasady. A jej niewyparzony język... Lepiej nie mówić.

Naprawdę nie wiem, dlaczego wciąż jej na to pozwalam, ale myśląc o jej języku, natychmiast robię się twardy. Nie mam pojęcia, jak to w ogóle możliwe, bo przecież ona nawet mi się nie podoba, ale muszę przyznać, że dawno nie czułem takiego pociągu do kobiety.

A może to właśnie zasługa jej nieposkromionej natury? Czyżbym chciał ją ujarzmić?

Nie od dziś wiadomo, że w każdym z nas drzemie pewnego rodzaju przekora skłaniająca nas do sięgania po rzeczy, które są albo zabronione, albo które zwyczajnie nie są dla nas. Tak, to prawdopodobnie dlatego zainteresowałem się tą dziewczyną. Różni się bowiem od kobiet, z którymi zwykle obcuje. I chyba właśnie to mnie w niej tak bardzo pociąga. Po prostu jestem jej ciekaw, bo nigdy nie byłem z dziewczyną taką jak ona — zupełnie nie dla mnie.

Wkładam marynarkę, ostatni raz zerkam w lustro, a potem wychodzę na korytarz i... omal na nią nie wpadam. Cudem unikamy zderzenia.

— Miałś na mnie czekać — przypominam jej, jednocześnie lustrując ją od stóp do głów.

Muszę przyznać, że wyglądałaby znacznie lepiej, gdyby do zestawu, który wybrała, włożyła spódniczkę zamiast spodni. Maja ma piękne, długie nogi i powinna się nimi chwalić. Tymczasem do białej koszuli z żabotem i grafitowego żakietu założyła beżowe, niezbyt eleganckie, a już z całą pewnością niemodne rurki, których bez wątplenia nie kupowałem. Musiały zatem należeć do tej jej dziwacznej kolekcji. Aż dziw, że nie były wściekle czerwone, jak te tandetne kujonki, które znów ma na nosie. A propos okularów. Gdyby z nich zrezygnowała, też zyskałaby na wyglądzie. Nie zamierzam jednak jej ich wytykać, zwłaszcza że jedziemy do biura, do którego z pewnością pasują.

— A ty miałś po mnie przyjść za kwadrans — odcina mi się złośliwie i spogląda wymownie na mój zegarek.

— Ja tu jestem szefem, więc i ja będę decydował o...

— Możemy już iść?

Nie dowierzam. Ona nie ma zamiaru mnie słuchać i znów z premedytacją weszła mi w słowo. Policzę się z nią. Wszystko w swoim czasie.

Nabieram więc wody w usta i przywołuję windę. Zanim ta nadjedzie, ponownie zerkam na stojącą obok mnie dziewczynę. Wygląda na lekko zaniepokojoną. Nie jestem pewien, ale chyba stresuje ją pierwszy dzień w pracy. I słusznie, bo nie zamierzam jej oszczędzać.

— Dlaczego nie założyłaś jednej ze spódnic, które ci kupiłem? — pytam, kiedy drzwi się rozsuwają i oboje wchodzimy do windy.

— Ponieważ jej długość wydaje się niestosowna — odpowiada zwyczajnie.

— Ja uważam inaczej.

— Proponuję więc, żebyś sam spróbował się ubrać w którąś z nich.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu, który jest wynikiem niedowierzania i zwykłego rozbawienia. Ona jest naprawdę niemożliwa. Zauważam, że i dziewczyna zaczyna się uśmiechać, więc kręcę tylko głową.

Cóż, wszystko wskazuje na to, że zapowiada się kolejny emocjonujący dzień.

* * *

— Właściwie po co mnie z sobą zabrałeś? — słyszę nagle, choć dotąd wymownie milczała.

Ostatni raz odezwała się na parkingu. Zapytała wprost: dlaczego do pracy jeżdżę autem, skoro do biura mam rzut beretem? W zasadzie chyba nie oczekiwała ode mnie odpowiedzi, a jedynie dała mi jasno do zrozumienia, że jestem bufonem, ponieważ korzystam z samochodu, choć moje biuro znajduje się na następnym skrzyżowaniu. A ja nie skomentowałem tego ani słowem. Zwyczajnie nie zamierzałem się przed nią tłumaczyć.

— Myślałam, że... — kontynuuje.

— Myślenie zostaw innym, jasne?

Wiem, że ani trochę nie było to miłe, ale musiałem ją nieco utemperować, bo powoli zaczynała mi wchodzić na głowę. A jej zadaniem było jedynie udawanie mojej dziewczyny, a nie robienie ze mnie jebanego pantofla i idioty na oczach moich znajomych czy współpracowników. Niedoczekanie!

Na szczęście już nic nie odpowiada, więc uznaję, że moja cięta riposta poskutkowała. Przynajmniej taką mam nadzieję.

— I udawaj miłą — mówię jeszcze, kiedy wjeżdżamy na trzydzieste piąte piętro.

— Ja jestem miła — słyszę w odpowiedzi, a w jej głosie czai się dobrze mi już znana przekora.

— Taa, jasne — odpowiadam i uśmiecham się kwaśno pod nosem. — Zwłaszcza dla mnie — kpię.

— Na pewne rzeczy trzeba sobie zasłużyć, panie Iwański.

Zaskakuje mnie.

— Zapamiętam — odpowiadam jedynie, a potem biorę ją za rękę, czym niewątpliwie wprawiam ją w zdziwienie, i wyprowadzam z windy.

Moi pracownicy, głównie ich żeńska część, patrzą na nas w osłupieniu. Niektórzy z nich pracują dla mnie od bardzo dawna, pewnie stąd ich niedowierzanie. Trudno się im dziwić, skoro nigdy dotąd nie zjawilem się w biurze z kobietą. Znają mnie i wiedzą, że mam słabość do płci przeciwnej, zwłaszcza młodej, pięknej i chętnej, ale wiedzą też, że TE sprawy załatwiam w swoich czterech ścianach albo w hotelu, nigdy tutaj. A mnie właśnie na tym zależy, żeby uwierzyli, że wpadłem w sidła miłości. Liczę też, że potem szybko rozpuszczą te *wici* na mieście. Mam nadzieję, że ta informacja niezwłocznie dotrze do odpowiednich uszu, bo to daje mi szansę na zawarcie kontraktu, o który zabiegałem od dawna, a którego jak dotąd nie podpisałem. W Warszawie od lat pomieszkiwała pewna para Norwegów. Lars i Anne Lise Johanssonowie byli małżeństwem i wspólnie prowadzili swój biznes. Podobnie jak ja, wiele znaczyli w branży alkoholowej. Dlatego zabiegałem o tę współpracę i starałem się ich namówić do zjednoczenia sił. Wydawali się bardzo zainteresowani moją propozycją. Był tylko jeden mały szkopuł. Warunek, którego nie byłem w stanie zaakceptować, a który postawili mi po tym, jak pewnego dnia odkryli, jaki mam stosunek do instytucji małżeństwa. Wyrazili się jasno: mam się ożenić. Też mi coś! Gdy odmówiłem, oboje zgodnie stwierdzili, że nie będą robić interesów z kimś, kto nie odnosi się z szacunkiem do sakramentu małżeństwa. W dodatku nie pomagał fakt, że zarówno Lars, jak i jego urocza małżonka byli zagorzałymi katolikami, a ja, mimo że wychowywałem się w tej wierze, raczej obnosiłem się z poglądami ateistycznymi.

Cóż, taki już jestem i nic tego nie zmieni. A teraz pozostaje mi wierzyć, że właśnie z pomocą Mai po miesiącach starań wreszcie uda mi się jakoś przeciągnąć Norwegów na swoją stronę.

— Dzień dobry, panie prezesie. — Z końca pomieszczenia, gdzie znajduje się biurko mojej sekretarki, dochodzi nas damski głos.

Roksana na widok Mai, którą trzymam za rękę, aż otwiera ze zdziwienia usta. Ona także zna mnie na tyle, by wiedzieć, że musiało wydarzyć się coś nadzwyczajnego, skoro nagle postanowiłem złamać tę sztywną zasadę, której się dotąd trzymałem. W dodatku wyraźnie dziwi ją widok TEJ dziewczyny.

— Witaj, Roksi.

Zerkam ukradkiem, jak kobiety wymieniają się spojrzeniami. Roksana po raz pierwszy sprawia wrażenie, jakby nie wiedziała, jak ma się zachować. Natomiast Maja ma niewzruszony wyraz twarzy i moim zdaniem wygląda bardzo przekonująco, niczym prawdziwa szefowa, to znaczy dziewczyna szefa. Dobrze zaczęła. Brawo!

— Dwie kawy dla... państwa? — pyta sekretarka.

— Nie. Moja dziewczyna zajmie się tym osobiście. Prawda, kochanie?

Zaskoczona Maja najpierw niepewnie potakuje głową, a dopiero potem odpowiada:

— Oczywiście, misiaczku.

Kurwa, tym razem przesadziła. To, że nazwałem ją „kochaniem”, nie oznaczało, że miała prawo zwracać się do mnie w tak idiotyczny sposób. „Misiaczek”? Nie byłem żadnym jebanym misiem, kotkiem czy innym pluszakiem słodziakiem. Zamierzam jej o tym powiedzieć, na osobności, bo rzeczywiście zapomniałem to z nią wcześniej ustalić.

Kiedy tylko znikamy za drzwiami mojego gabinetu, warczę:

— Nigdy więcej mnie tak nie nazywaj.

Spogląda mi zadziornie w oczy, mrużąc odrobinę własne.

— A tobie wolno mnie nazywać, jak ci się żywnie podoba?

— Jestem twoim szefem — przypominam, nie szczędząc jej groźby w głosie. — Nie zapominaj o tym.

Nie odpowiada, ale spogląda na mnie w taki sposób, że od razu przeczuwam nadciągające kłopoty. Zaczynam więc po raz kolejny zadawać sobie pytanie, czy postąpiłem właściwie, zawracając sobie nią głowę. Na jej miejsce mogłem przecież wziąć każdą inną, która przekonałaby Norwegów i z pewnością sprawiałaby znacznie mniej kłopotów.

— Mam ci zrobić tę cholerną kawę? — pyta nagle, sprowadzając mnie na ziemię.

— Nie mnie, a nam, skarbie — poprawiam ją i uśmiecham się złośliwie, gdy widzę narastający w jej oczach gniew. Swoją drogą muszę przyznać, że jest słodka, kiedy się tak uroczo wścieka.

— Już się robi — odpowiada jedynie, a następnie odwraca się do mnie tyłem i zmierza w stronę drzwi.

Zerkam na jej kształtny tyłeczek. Muszę przyznać, że jej pośladki świetnie wyglądają w tych spodniach, choć nadal uważam, że nie powinna mi się sprzeciwiać, zwłaszcza podczas wyboru ubrania, które sam dla niej kupiłem.

Kiedy mnie na chwilę opuszcza, włączam laptopa i sprawdzam pocztę. Z nadzieją otwieram wiadomość od Johanssonów. Oczywiście, tak jak przypuszczałem, połknęli haczyk i potwierdzają nasze spotkanie. Mamy się spotkać za dwa tygodnie, gdy ponownie zawitają do Polski. Być może to jeszcze nie jest powód do radości, ale jestem dobrej myśli i wierzę, że ta kolacja będzie przełomem w naszych relacjach. Liczę, że dzięki autentyczności *mojej dziewczyny* uwierzą mi i zmienią o mnie zdanie. W zasadzie nie zależy mi aż tak bardzo na tej opinii, a na samym kontrakcie. Zaliczam się bowiem do osób, które nie składają broni przed zakończeniem bitwy, a tej z pewnością jeszcze nie skończyłem. Po prostu honor nie pozwala mi odpuścić. Nigdy się nie poddaję. Zarówno w biznesie, jak i w życiu prywatnym walczę do końca. Teraz też nie zamierzam się poddać.

Zerkam w stronę drzwi. Maja coś długo nie wraca.

„Pewnie ma problem z obsługą kawiarki” — myślę z przekąsem. „Nie ona jedna” — dodaję jeszcze bezgłośnie. Ten model nie dość, że zdecydowanie za długo myśli, to jeszcze czasem się zacina. Ale przecież ona nie musi tego wiedzieć.

Podnoszę słuchawkę i łączę się z sekretariatem. Roksi odbiera po trzecim sygnale. Dziwne, zawsze działa błyskawicznie. Domyślam się więc, że za jej opieszałością kryją się *kłopoty* z parzeniem kawy.

— Jakież problemy z kawiarką? — pytam wprost.

— Nie tylko z kawiarką, szefie.

— Co masz na myśli? — Poprawiam się w fotelu, bo zaczyna się robić coraz ciekawiej. Dokładnie tak jak tego chciałem.

— Pańska...

— Co z moją dziewczyną? — mówię, kiedy słyszę wahanie w jej głosie.

— Oblała się kawą. Właściwie tylko...

— Ale nic jej nie jest? — wchodzę jej w słowo i odruchowo prostuję plecy. Nie chciałbym, aby przez moją złośliwość i chęć postawienia na swoim Maja się poparzyła.

— Nie. Spokojnie. Ma tylko zmoczone ubranie. Właśnie próbuje poradzić sobie z problemem w toalecie. Ale obawiam się...

— Przyjdź do mnie natychmiast.

Rozdział 7.

Maja

Próbuję stłumić w sobie narastającą złość, ale okazuje się to trudniejsze, niż przypuszczałam. Brunatna plama na białej koszuli wygląda koszmarnie, a moje ulubione beżowe spodnie też nie prezentują się lepiej. Kawa za nic nie chce z nich zejść, przez co ogarnia mnie furia. A wszystko przez jakąś pieprzoną nowinkę techniczną, kawiarkę, która nagle zaczęła wydawać z siebie bulgocące dźwięki, a następnie pluć jak lama.

— Wszystko w porządku? — Podskakuję, słysząc nagle za plecami męski, dobrze mi już znany głos.

— Nikt nie nauczył cię pukać? — warczę, usilnie próbując pozbyć się plamy ręcznikiem. Nie słysząc odpowiedzi, szybko dodaję: — Poza tym to damska toaleta. A może się mylę?

— Przyniosłem ci ubranie na zmianę.

— Obejdzie się.

— Nie sędzę — mówi z satysfakcją, omijając mnie i przyglądając się brudnym wykwitom szpecącym moje ubranie. — Załóż to.

Zerkam wściekle na materiał, który trzyma w dłoniach, ale nadal zawzięcie rozprawiam się z plamą.

— Dlaczego jesteś taka uparta?

— A ty... — Ważę słowa, a jednak nie umiem się powstrzymać. — Upierdliwy?

— Bo jestem twoim szefem? — Uśmiecha się, choć tym razem, zdaje się, bez grama kpiny. No, może ze szczyptą satysfakcji. — Przebierz się. Czekam na ciebie w gabinecie. Musimy porozmawiać.

Z niechęcią, ale biorę od niego sukienkę oraz pudełko z rajstopami. Zamiast podziękować, krzywię się na ich widok, bo nie znoszę rajstop. Krępują mi ruchy i w ogóle są niewygodne. Z dwojga złego wolę pończochy.

— Coś nie tak? — pyta na odchodne, widząc moją kwaśną minę.

— Wszystko w porządku — kłamię naprędce. Nie zamierzam bowiem opowiadać mu o swoich preferencjach, zwłaszcza w tak intymnych sprawach jak bielizna.

— Nie ma za co — słyszę jeszcze, a potem zostaję sama.

Przez moment spoglądam na zamknięte drzwi. Dlaczego odnoszę wrażenie, że Iwański znów postawił na swoim? Wyraźnie nie był zadowolony z wyboru mojego stroju. Czyżby więc...? Nie, przecież Maks nie mógł być aż tak wpływowy czy przewidujący, żeby wiedzieć, że przytrafi mi się coś takiego. A może...?

A to gnojek!

Zamierzam się bardziej przyjrzeć sprawie, tyle że trochę później. Teraz muszę się przebrać i ponownie stawić na *dywaniku szefa*. Iwański bowiem brzmiał nad wyraz poważnie, kiedy zapowiedział rozmowę.

Gdy kończę, spoglądam w lustro. Sukienka, którą ledwie na siebie wcisnęłam, jest zdecydowanie nie w moim guście. Szarobura tuba z dekoltem w łódeczkę jest na mnie zbyt ciasna, zbyt krótka, a w dodatku to rozcięcie na udzie sięga zdecydowanie za wysoko.

„Dobrze, że w starciu z kawą nie ucierpiała marynarka, bo w życiu bym się w tym nie pokazała” — myślę, zarzucając na ramiona żakiet i opuszczając łazienkę.

Zaraz po wyjściu czuję na sobie spojrzenia pracujących tu osób. Krępuje mnie to, ale dumnie unoszę głowę i zmierzam do JEGO gabinetu. Być może tylko się przesłyszałam, ale

wydaje mi się, że do moich uszu dochodzi cichy szept jednego z pracowników: „prezesówna”. Ledwie się powstrzymuję, żeby się nie zatrzymać i nie poprawić tego głąba, ale uznaję, że nie warto sobie strześcić języka. Przyspieszam tylko, a po sekundzie docieram pod właściwe drzwi. Oczywiście nie pukam, bo niby dlaczego miałabym to robić. W końcu udaję jego dziewczynę. Na mój widok unosi głowę znad laptopa. Uśmiecha się, ślizgając się wzrokiem po całym moim ciele, na co zaczynam płonąć lekkim — przynajmniej taką mam nadzieję — rumieńcem.

Zerkam na biurko, na którym zauważam dwie filiżanki z kawą. Nie komentuję tego, a nawet oddycham z ulgą, nie mam bowiem ochoty na kolejne starcie z tą nieszczęsną machiną.

— Usiądź — odzywa się pierwszy, a gdy już mam zająć fotel na wprost niego, pokazuje miejsce obok siebie. — Skoro mają nam uwierzyć, to lepiej nie dawać im powodów do spekulacji — wyjaśnia.

Nie polemizuję. Ma rację. I choć nie jestem zadowolona z takiego obrotu sytuacji, zajmuję fotel stojący po jego prawej stronie.

— To o czym chciałeś ze mną rozmawiać? — pytam niepewnie, choć staram się, aby nie wyczuł lekkiego zawahania w moim głosie. Nie chcę, żeby pomyślał, że się go boję czy coś. Bo się nie boję. Ani trochę. Przynajmniej tak mi się wydaje. Po prostu czuję się trochę skrępowana zarówno jego bliskością, jak i samą sytuacją. Nic więcej.

— Przed kolacją z Johanssonami musimy omówić pewne kwestie.

Nie mam pojęcia, o jakiej kolacji mówi ani nawet kim są niejacy Johanssonowie, jednak zamierzam się tego dowiedzieć.

— Nie wiem, kim są Johanssonowie, ale zabrzmiałeś bardzo poważnie. Powinam się obawiać?

— To zależy — odpowiada i podsuwa mi jedną z filiżanek macchiato, którego mnie niestety nie udało się zrobić.

Dziękuję mu cicho i upijam łyk pysznej kawy. Jest naprawdę dobra, a z moich ust wydobywa się nieznaczny pomruk zadowolenia, nad którym niestety nie potrafię zapanować. Taka już moja natura. Zawsze jestem sobą. I zupełnie nie przejmuję się tym, co pomyślą o mnie inni.

— Przepraszam — bąkam lekko zawstydzona, widząc przesadne zaciekawienie w jego spojrzeniu. — Ta kawa jest przepyszna — wyjaśniam pospiesznie. — A ja jestem cholernie głodna — wyrывa mi się głupio.

Niemniej to prawda. Od wczoraj nie miałam nic w ustach. Poza lampką wina, rzecz jasna, na którą pozwoliłam sobie dla relaksu.

— Chodźmy więc — słyszę naraz.

Zaskakuje mnie, kiedy odsuwa swój fotel i wstaje, a następnie wystawia do mnie rękę.

— Ale przecież jesteś w pracy. No i mieliśmy porozmawiać.

— I porozmawiamy. W restauracji. Mówiłaś, że jesteś głodna. Zabieram cię na późne śniadanie.

— Naprawdę nie trzeba — odpowiadam zażenowana.

— Nalegam.

Coś mi się wydaje, że nie odpuści tak łatwo, więc niepewnie podaję mu rękę, a potem pozwalam się poprowadzić. Nadal dziwnie się czuję, gdy idę z nim ramię w ramię, trzymając go za rękę i czując na sobie spojrzenia pracujących tu ludzi — w ich oczach niewątpliwie uchodzę za karierowiczkę. Przy nim, przy swoim szefie, pewnie nie odważą się nazwać mnie prezėsówną, co przecież to by oznaczało, że nie jestem dziewczyną, a córką Maksa. Prawdopodobnie to było zwykle nieporozumienie, przejęzyczenie, ale gdy o tym myślę, wkurza mnie to, bardzo. No bo w końcu Iwański nie jest aż tak wiekowy, żeby brano mnie za jego córkę.

— Szefie? — słyszymy nagle głos jego sekretarki. Ma słuchawkę przy uchu, co oznacza, że właśnie rozmawia z kimś przez telefon. — Dzwoni pan Michalak i mówi, że się spóźni. Utknął w...

— Odwołaj spotkanie — Iwański przerywa jej nagle.

— Serio? — Roksana patrzy na swojego szefa z niedowierzaniem.

— Jeśli chodzi o mnie — zdobywam się na odwagę i mówię niepewnie — możemy to przełożyć.

Przecież nic się nie stanie, jak nie pójdziemy do restauracji. Nie umrę z głodu.

Siedząca za kontuarem dziewczyna spogląda na nas z wyczekiwaniem i konsternacją.

— Wiesz, co robić — odpowiada jej wówczas Maks, a potem ciągnie mnie w stronę windy.

— Nie musiałeś tak postąpić — szepczę, kiedy znajdujemy się na tyle daleko, że nikt nas nie usłyszy.

— Wiem — mówi, a potem, gdy drzwi windy się rozsuwają, puszcza mnie przodem. — Mam nadzieję, że jesteś w stanie to docenić.

Po raz pierwszy w życiu nie wiem, co powiedzieć.

Maksymilian

Jest zdenerwowana i zdecydowanie brakuje jej pewności siebie. I dobrze, bo im bardziej będzie uległa, tym większe mam szanse, że mój plan przebiegnie w miarę bezproblemowo.

— Na co masz ochotę? — pytam, gdy od dłuższego czasu zerka w kartę, ale nic nie mówi.

— Strasznie tu drogo — odpowiada jedynie.

Nie przeczę, zabrałem ją do jednej z najlepszych knajp w mieście. Oczywiście nie byłbym sobą, gdybym nie chciał jej odrobinę zaimponować, ale w zasadzie wybór restauracji był nieprzypadkowy, a nawet bardzo świadomy, bo właśnie tutaj mogłem się z nią pokazać i rozpuścić na mieście plotkę o naszym związku.

— Masz z tym jakiś problem? — zadaję proste pytanie, pomijając detal, że przecież nie ona płaci, a ja. To byłoby słabe.

— A według ciebie nie powinnam go mieć? — Jak zwykle nie zamierza hamować swego zbyt swawolnego języka.

— Możesz jaśniej? — dociekam.

— Odnoszę wrażenie, że mój dług wobec ciebie, zamiast maleć, stale rośnie.

— Posłuchaj. — Pochylam się w jej stronę, na co wyraźnie reaguje. Spina się, choć udaje, że moja bliskość jej nie rusza. — Koszty zostaw mnie. Jeśli za dwa tygodnie na kolacji uda ci się przekonać Larsa i Anne Lise, że tworzymy szczęśliwą, zgodną parę, nie będziesz mi już niczego winna.

— To znaczy, że jeśli ten jeden wieczór przebiegnie tak, jak byś sobie tego życzył, będę wolna?

Zaskakuje mnie zarówno tym pytaniem, jak i samą jego formą. Nie sądziłem, że nasz układ jest dla niej aż tak wielkim wyrzeczeniem, a nawet wydawało mi się, że powoli zaczyna się dobrze bawić, zupełnie jak ja. Widać jednak, że pomyliłem się bądź przeceniłem samego siebie.

— Tego nie powiedziałem — odpowiadam powściągliwie, a po chwili, widząc, że mi się uważnie przygląda, puszczam do niej oko. Oczywiście reaguje tak, jak się spodziewałem: jej policzki pokrywa rumieniec. — Przegadamy to wieczorem, po powrocie do domu — wyjaśniam jeszcze, kiedy nastaje niezręczna cisza. — Tymczasem złóż zamówienie, bo w brzuchu burczy ci

tak bardzo, że...

— Nieprawda! — Maja obejmuje się obiema rękami, jakby chciała nad tym zapanować.

Kręcę jedynie głową i posyłam jej kolejny uśmiech, a potem podsuwam jej bliżej menu.

— Kolejna reguła. Nie klóć się ze mną. I zapamiętaj jedną, złotą zasadę: ja zawsze mam rację.

— Serio? — wyrywa się jej naiwnie.

Przewracam oczami, a ona znów się czerwieni. Jest naprawdę urocza. Gdyby tylko jeszcze umiała czasem zapanować nad tym swoim nieposkromionym językiem, byłaby wręcz idealna. Ale wierzę, że Johanssonowie będą nią zachwyceni.

— Więc? — Zmieniam temat i wymownie spoglądam na kartę dań, którą Maja nadal trzyma w dłoniach. — Wybrałaś już coś czy może zdasz się na mnie?

— Poproszę chi... czy... chi... — Płacze się jej język. Opanowuję rozbawienie i cierpliwie czekam, aż dokończy: — Prościej mówiąc, mięsne pierożki z rosółem — oznajmia, patrząc mi odważnie w oczy, więc szczerzę się jak małolat. — Oraz chaczapuri — dorzuca, zanim zdołam ją zapytać o wybór drugiego dania, tym razem świetnie dając sobie radę z wymówieniem nazwy tego gruzińskiego pieczywa.

Unoszę brew. Jestem zdziwiony, bo siedząca na wprost mnie dziewczyna nie wygląda na taką, która nie liczy kalorii, a obie zamówione przez nią potrawy są dość... sycące. Maja jest zgrabna, a jak wiadomo, szczupłe dziewczęta dbają o siebie szczególnie i jedzą jak wróbelki. I najlepiej tylko samą sałatę. Naprawdę mnie zaskakuje.

— Coś nie tak? — Jej głos wyrywa mnie nagle z zamyślenia.

— Nie. Świetny wybór — chwalebę ją, po czym kiwam na kelnera i składam zamówienie.

Pracownicy restauracji uwijają się z nim dość szybko, a na nasz stół już po chwili wjeżdża góra pyszności.

— O Chryste... — wyrywa się Mai, a ja zaczynam się śmiać.

— Coś nie tak?

— Te porcje są... — Spogląda na nie szeroko otwartymi oczyma. — Ogromne.

— W rzeczy samej. — Zgadzam się z nią w stu procentach. — Ale bez obaw, nie musimy wszystkiego zjeść.

— Nie nauczono cię, że nie wolno marnować jedzenia? — rzuca oskarżycielskim tonem.

— Smacznego — kwituję raptem, bo nie chcę się z nią sprzeczać.

Te czasy, gdy musiałem liczyć każdy grosz, już dawno minęły. Teraz nie zamierzałem sobie niczego odmawiać ani przeliczać kosztów. Po prostu korzystałem z życia. Jak się da i ile wlezie.

— Smacznego — burczy, ale potem na szczęście zabiera się już do jedzenia.

A ja muszę przyznać, że miło się na nią patrzy, kiedy z apetytem zajada zamówione przez siebie potrawy. Naprawdę *miło*. Podczas gdy rozkosznie przymyka oczy, gdy kęs po kęsie znika w jej ustach, a kropelki rosółu ściekają jej na wargi, czuję ciasnotę w spodniach. Dobrze, że mój *problem* skrywa się właśnie pod serwetą, która spoczywa na moich kolanach.

Podobnie dzieje się w momencie, w którym Maja bierze kęs pierwszego pierożka. Na jej kuszące usta wypływa odrobina rosółu, który szybko oblizuje językiem, mrużąc przy tym jak zadowolony kot, albo raczej kotka — w rui, rzecz jasna.

— Smakuje ci? — pytam zauroczony tym widokiem. Liczę, że dzięki rozmowie zdołam jakoś przerwać TĘ udrękę.

— Bardzo. — Uśmiecha się i zatapia zęby w kolejnym chinkali.

Jestem zadowolony, choć muszę przyznać, że albo mój wybór nie przypadł mi do gustu tak jak jej, albo zwyczajnie nie potrafię się skupić na jedzeniu. Całkiem możliwe, bo ten widok

naprawdę mnie rozprasza.

— A co na deser? — zagaduję.

— Deser? — powtarza po mnie i zerka na menu, które nadal spoczywa na brzegu naszego stolika.

Potakuję jedynie głową, ciekaw jej odpowiedzi.

— Obawiam się, że o ile zdołam wcisnąć w siebie oba dania, to na deser nie znajdzie się już miejsca — odpowiada.

— Już mówiłem, że wcale nie musisz się do niczego zmuszać.

— A ja mówiłam, że nie marnuję jedzenia.

— Zawsze możemy wziąć resztę na wynos. — Wpadam na genialny pomysł. Naprawdę nie chcę się z nią już kłócić, a jednocześnie jestem pewien, że aby do tego nie doszło, muszę znaleźć kompromis. — Podobnie zresztą jak deser — podpowiadam, na co Maja kiwa z uznaniem głową. — Mają tu świetny medok.

Już zamierzam jej wytłumaczyć, że medok to nic innego jak miodownik, ale uprzedza mnie:

— Ty tu jesteś szefem, więc zrobisz, co uznasz za stosowne.

Zaskakuje mnie. Oczywiście jak najbardziej pozytywnie. Jeszcze chwilę temu miała wyraźną ochotę na słowne przepychanki, a tymczasem składa broń. Cieszę się, bo dzięki temu z każdą upływającą sekundą zwiększa się szansa na udany wieczór i finał, na który czekałem zdecydowanie za długo. Nie mam tu bowiem na myśli samego kontraktu...

Rozdział 8.

Dwa tygodnie później...

Maja

Nie wiem, co tym razem kombinuje Iwański, ale nie zamierzam się z nim dłużej kłócić ani tym bardziej dać się sprowokować. Po prostu jestem już tym wszystkim zmęczona. To udawanie, uśmiechanie się na pokaz i ciągle kontrolowanie naprawdę mnie wykończyło. Przez ostatnie dwa tygodnie nie robiłam nic innego, tylko grałam w grę, na której warunki zresztą sama przystałam. Mieszkałam drzwiami w drzwi ze swoim szefem, „pracowałam” z nim, narażając się na śmieszność w oczach jego współpracowników. Chadzałam z nim na *pokazowe* randki, można było nas zobaczyć razem na mieście. Stale czułam jego oddech na karku. Robiłam, co chciał, spełniałam niemal każdą jego zachciankę. Ubierałam się tak, jak sobie życzył, choć nie znosiłam tych sztywniackich ciuchów, zachowywałam się tak, jak tego ode mnie oczekiwał, chociaż nie leżało to w mojej naturze. Po prostu spełniałam wszystkie jego widzimisię, by spłacić dług. To było czyste szaleństwo. Niemniej gdy myślę o kontroli, nie chodzi mi jedynie o to, że przez cały ten czas, przez równiutkie dwa tygodnie, czułam się obserwowana czy nawet sterowana. Sprawowanie kontroli nad samą sobą okazało się równie trudnym zadaniem. Nie sądziłam, że się do tego przyznam, zwłaszcza że nie przewidziałam takiego rozwoju sprawy, ale faktem jest, że Iwański bardzo mi się spodobał. Nie wiem, może gdybym widziała w nim jedynie dupka, za którego początkowo uchodził w moich oczach, w ogóle by do tego nie doszło. Ale w ciągu tych dwóch tygodni spędzonych razem zaczęłam dostrzegać w nim cechy, które on ewidentnie starał się przede mną ukryć. Może i nadal był zadufany, wciąż decydując o wszystkim i za wszystkich, no i stale mnie wkurzał, gdy narzucał mi swoją wolę, ale dostrzegłam w nim coś, co sprawiało, że jawił się jako dobry człowiek. Troszczył się o mnie, a to czyniło go lepszym, niż byłam w stanie to przyznać. Poza tym — chyba najwyższy czas powiedzieć to sobie szczerze — Maks jest cholernie przystojny i trudno mu się oprzeć. I to od samego początku dawało mu nade mną przewagę. Cóż, w końcu jestem tylko kobietą. A jak wiadomo, my, kobiety, kochamy wszystko, co piękne...

Wzdycham. I wracam na ziemię. Iwański to nie facet dla mnie. Poza tym jego nawet nie da się lubić. Stale tylko próbuje mnie sprowokować, choć oczywiście przyłapany na gorącym uczynku wszystkiemu zaprzecza. A ja nie zamierzam się kłócić. Przed nami być może raptem ostatnie kilka godzin, które przyjdzie nam spędzić we własnym towarzystwie, więc po co tracić czas na waśnię. Dlatego szybko dochodzę do wniosku, że te chwile, które nam pozostały, warto spędzić w spokoju, bez większych emocji, których nam ostatnio nie brakowało. Przez ostatnie dni skrzętnie przygotowaliśmy się do swoich ról. Regularnie zjawialiśmy się w biurze, odgrywając parę zakochanych gołąbków. Częściej niż na samym początku chadzaliśmy na kolacje, a nawet kilka razy przespacerowaliśmy się ulicami miasta, co w zasadzie nie mieściło mi się w głowie. Znałam bowiem podejście Iwańskiego do tego tematu i zdawałam sobie sprawę, że nie do końca mógł być zadowolony z takiego obrotu sprawy. Ale w końcu udawaliśmy zakochanych, więc wypadało się poświęcić. Doceniałam to.

Dlatego zwłaszcza dziś, kiedy Maks wkurza mnie tak bardzo, że mam ochotę go udusić gołymi rękami, wiem, że muszę się opanować. Przecież za chwilę skończy się ta cała maskarada. Uznaję zatem, że skakanie sobie do gardeł nie jest dobrym pomysłem. Chociaż w zasadzie

powiadają, że kto się czubi, ten się lubi, więc trochę pikanterii w tym związku pewnie by nie zaszkodziło.

Nie, zdecydowanie nie w tym przypadku. Maks to przystojny, nie zaprzeczam, chwilami nawet odrobinę czarujący mężczyzna, ale zupełnie nie w moim typie. Podoba mi się, jak większości kobiet, które patrzą na niego z zachwytem, ale zdecydowanie za bardzo różni się od mojego ojca, w którym od smarkuli widzę ideał męskości. Mój tata jest facetem z krwi i kości. Nie siedzi za biurkiem, jak mój domniemany narzeczony, tylko własnymi rękami pracuje na chleb. Oczywiście nie mam nic przeciwko biznesmenom, których potocznie nazywam biurokratami, ale w moich oczach nie uchodzą oni za zbyt męskich. W mężczyznach doceniam siłę, a także szeroko pojętą pomysłowość i płynącą z niej mądrość. Weźmy na przykład moich braci, Piotra i Pawła. Są jeszcze młodzi, Piotrkowi niebawem stuknie dwadzieścia siedem lat, a Paweł dopiero co, we wrześniu, skończył dwadzieścia sześć, a obaj mają fach w rękę; nie są im obce takie profesje jak mechanik, elektryk czy nawet hydraulik. Krótko mówiąc, każdy z nich jest złotą rączką i do każdego z nich można się udać z niemal każdym problemem. Z kolei mój tata, Wojciech Sokołowski, poza tym, że umie naprawić wszystko w obejściu — tak, tata reperuje dosłownie wszystko: od dziurawego płotu po ciekący dach — jest też specjalistą w uprawie winorośli. Przez lata zdobywał wiedzę na temat różnych szczepów. Uczył się, jak je pielęgnować. Eliminował odmiany, którym nie odpowiadały warunki klimatyczne w naszym rejonie, a dopieszczał te, które zaczęły rodzić owoce. Jako plantator winogron jest naprawdę wielkim specjalistą.

A specem od czego mógłby być taki Maksymilian Iwański? Jego wiedza z całą pewnością nie wykraczała poza tę dotyczącą funkcji prezesa, co wiązało się z kierowaniem firmą, czy poza wyuczone formułki dotyczące branży winiarskiej. Przecież gdyby było inaczej, to raczej nie szukałby etatowego enologa, a sam zakasałby rękawy i wziął się do roboty. Ale nie on. Jemu trudno jest nawet przejść się kawałek, co pozwoliłoby mu zaoszczędzić pieniądze i przy okazji ochronić środowisko.

— Milczysz, odkąd wyszliśmy z restauracji — słyszę nagle. Podnoszę głowę znad biuletynu, w który rzeczywiście gapiłam się niewidzącym wzrokiem. — Stało się coś?

— Nie — zaprzeczam nazbyt prędko.

Właściwie nawet go nie okłamuję, ale nie zamierzam też opowiadać mu o swoich przemyśleniach. Jeszcze by się na mnie obraził, gdyby odkrył, że w moich oczach nie uchodzi za prawdziwego mężczyznę. No, może trochę przesadziłam z tym osądem — Maks z pewnością był facetem z krwi i kości. Ale bynajmniej nie był moim ideałem mężczyzny.

— Denerwujesz się przed spotkaniem? — przepytuje mnie.

W zasadzie spotkanie nie stresuje mnie aż tak bardzo. To ma być przecież zwykła kolacja, podczas której moim zadaniem jest przekonać niejakich Johanssonów, że jestem dziewczyną samego prezesa Iwańskiego. Tak przynajmniej ustaliliśmy. Dla mnie to nic wielkiego. Przecież nic mi nie ubędzie, jeśli potrzymamy się za ręce, popatrzymy sobie głęboko w oczy czy poszepeczemy czule słówka. Uważam, że nie ma w tym nic zdrożnego. No chyba że Maks nagle postanowi coś zmienić lub zrobi mi *małą niespodziankę*. Liczę jednak, że będzie działał według wcześniejszych sztywnych ustaleń i będzie trzymał ręce przy sobie. Wierzę także, że jest człowiekiem honoru, bo ja nie znoszę niespodzianek. Odkąd moi bracia zagrali mi na nosie — to były moje dziesiąte urodziny, a oni zamiast wymarzonej świnki morskiej kupili mi szczura, w dodatku albinosa z krwistoczerwonymi oczami, a ja nie znoszę szczurów, bo kojarzą mi się z zarazkami i brudem — raczej nie przepadam za niespodziankami.

— A powinnam? — odpowiadam pytaniem.

Jakoś nie zdołałam się powstrzymać. Wiem, obiecałam więcej go nie prowokować, ale to

okazało się silniejsze ode mnie.

— Nie, jeśli będziesz mnie słuchała — mówi łagodnie, choć przygląda mi się jakoś bardziej wnikliwie.

— A niby co innego robię przez całe popołudnie?

Lepiej gdybym wreszcie zamilkła, a jednak z moich ust wciąż ulatują słowa, które powinny pozostać niewypowiedziane.

— Wiesz? — Nagle wstaje i zawisa nade mną, przez co wydaje się jeszcze większy niż w rzeczywistości. Nie jestem pewna, czy chce mnie przestraszyć tą postawą, ale wiem, że jeśli nie przestanie, tylko pogorszy już i tak napiętą atmosferę. Staram się, naprawdę, nic innego ostatnio nie robię, ale nie ulegnę mu we wszystkim. — Zastanawiam się, kto ci to zrobił.

— Co masz na myśli? — Zadzieram głowę i spoglądam mu odważnie w oczy.

— To matka czy ojciec pozwalali ci na zbyt wiele, wychowując cię na rozpuszczonego bachora?

— A kto ci daje prawo do takich osądów? — cedzę wściekła przez zęby.

Ja również się podnoszę i teraz nasze twarze niemal się stykają. Ale nawet pomimo takiej bliskości Iwański ani nie drgnie. Zupełnie nie rusza go moje oburzenie. A ja, głupia, zaczynałam powoli dostrzegać w nim kogoś lepszego...

— Nie znasz ani moich rodziców — dodaję, siląc się na spokój, który mi właśnie skutecznie odebrano — ani mnie, więc nie masz prawa...

— Więc może zamiast cały czas mi się stawiać, dasz się lepiej poznać? — Zaskakuje mnie, a potem nawet nie czekając, aż coś odpowiem, dodaje: — Myślę, że obojgu nam nie zaszkodzi, jeśli poznamy się bliżej.

Nie jestem pewna, co miał na myśli, ale nagle uznaję, że nasze twarze znajdują się zbyt blisko, więc odskakuję jak oparzona. Widząc drgające kąciki jego ust czy spojrzenie typowe dla zwycięzcy, wyraźnie czuję kolejną przegraną. Udamę jednak, że mnie to zupełnie nie obeszło, i bąkam szybko:

— Pytaj zatem, o co chcesz.

— Zawsze się tak zachowujesz czy tylko wobec mnie jesteś taka oschła i nieprzyjemna?

Oczywiście z olbrzymią przyjemnością wygarnęłabym mu, że gdyby nie zachowywał się jak pan i władca, którym w istocie był w swoim małym, zamkniętym świecie, nie miałabym powodów, żeby ciągle się go o coś czepiać. Wkurzał mnie tak bardzo, że zwyczajnie nie dawałam rady. Ale naraz pomyślałam, że muszę wziąć się w garść. W końcu to jeszcze tylko jeden wieczór, a potem *see you later alligator*. To świetne powiedzonko usłyszałam w pewnym babskim filmie na Netfliksie. W moim odczuciu był kiepski, jednak nie mnie go oceniać. Choć muszę przyznać, że aktorka, która wypowiedziała to jakże popularne ostatnio zdanie, była naprawdę genialna i przezabawna. Można by stwierdzić, że to właśnie ona ocaliła ten film. Ale mniejsza o niego.

— Jeśli cię uraziłam, to przepraszam — mówię jedyne. — Nie przywykłam do ludzi takich jak ty...

— Co masz na myśli? — przerywa mi.

— A nawet to, że stale wchodzisz mi w słowo. Wytykasz mi, że jestem rozpuszczonym bachorem, nie widząc własnych błędów, które stale popełniasz. Matka cię nie nauczyła, że to niegrzeczne tak stale komuś przerywać?

— Moja matka odeszła, gdy miałem pięć lat.

— Przepraszam, nie wiedziałam. I... Nie chciałam — dodaję z powagą.

Jest mi naprawdę przykro. Sama stosunkowo niedawno straciłam matkę, więc staram się sobie wyobrazić, co czuło dziecko w jego wieku, gdy musiało się zmierzyć z taką stratą. To

naprawdę smutne.

Nie odpowiada, tylko uśmiecha się smętnie. Gra. Przywdziewa maskę i udaje obojętnego, choć pomimo upływu lat wcale nie jest mu wszystko jedno. Widzę to. Aż nazbyt wyraźnie.

— Wychowywała nas babcia — mówi nagle.

— Was?

Wiem, że dopiero co palnęłam mu umoralniającą gadkę na temat tego, jak to nieładnie jest komuś przerywać, a tymczasem sama nie zdołałam się powstrzymać.

Marszczę nos, kiedy spogląda na mnie, unosząc jedną brew.

— Przepraszam. Kontynuuj.

Odzywa się po chwili:

— Mam starszą siostrę, Mariettę. Po odejściu matki babcia zajęła się nami najlepiej, jak potrafiła. To był trudny czas — wzdycha. — Dla nas wszystkich.

Mam ochotę go pocieszyć, ale szybko uznaję, że to zły pomysł. Jeszcze mógłby to niewłaściwie zinterpretować. Nie chciałam niczego komplikować, zwłaszcza na sam koniec.

— Ale jak widzisz, co nas nie zabije, jedynie nas wzmocni — dorzuca nagle i ucina temat. — A teraz opowiedz mi coś o sobie. Skąd właściwie pochodzisz? Gdzie się wychowałeś? Czym zajmują się twoi rodzice?

— Zadaje pan bardzo dużo pytań, panie Iwański — odpowiadam bez złośliwości. — Poza tym w moim CV napisałam, skąd pochodzę, więc nie rozumiem pytania. — Mrugam do niego z lekką przekorą.

— W twoim podaniu o pracę było także napisane, że jesteś enolożką — zauważa słusznie, odpowiadając mi tym samym i przedrzeźniając mnie.

— Masz rację — wzdycham. — Wciąż nie mogę odżałować, że dałam się na to namówić Anicie. Wiesz, przyjaźnię się z nią od lat, stąd moje absolutne zaufanie. Ale to błąd, za który jeszcze raz cię przepraszam.

Nie komentuje tego, ale mówi coś, co powinno mi dać do myślenia:

— Musisz staranniej dobrać przyjaciół.

— A ty czasem powinienes ugryźć się w język — odcinam mu się, uznając, że to nie jego sprawa, z kim się zadaje.

— Całkiem możliwe. — Śmieje się. — Mów dalej — ponagla mnie, pomagając sobie ręką.

— Jakbyś mi nie przerywał, już dawno doszłabym do sedna sprawy.

— A ty, oczywiście, jakbyś była moją prawdziwą dziewczyną, pożałowałabyś tego ciętego języka.

Zaskakuje mnie dwuznacznością kryjącą się w tym nagłym wyznaniu. Nie komentuję tego jednak. Po prostu nie chcę go dłużej prowokować.

— Anitę poznałam wiele lat temu, kiedy przyjechałam do Warszawy na wycieczkę szkolną wraz z mamą i jej wychowankami.

— Twoja mama jest nauczycielką?

Już nie zamierzam mu wytykać, że nadal mi przerywa, bo wspomnienie nieżyjącej mamy powoduje we mnie ten sam, wciąż niegasnący ból.

— Raczej była — odpowiadam jedynie. — Umarła dwa lata temu.

— Bardzo mi przykro.

Maks wydaje się szczerzy. W dodatku natychmiast poważnieje, co w jego przypadku jest pewnego rodzaju nowością. Odkąd go poznałam, stwarzał wrażenie lekkoducha, człowieka, który nikogo ani niczego nie traktuje poważnie. A jednak teraz mnie zaskakuje. W dodatku pozytywnie.

— A mogę wiedzieć, jakiego przedmiotu uczyła?

Do tego wydaje się naprawdę zainteresowany moimi prywatnymi sprawami. Dziwne, bo sądziłam, że obchodzi go jedynie czubek własnego nosa.

— Muzyki — odpowiadam. — Moja mama uczyła muzyki. W dodatku była prawdziwą artystką — dodaję z dumą, a zarazem lekkim rozrzewnieniem.

— Śpiewała czy może grała na jakimś instrumencie?

— Grała. Na fortepianie.

— To znaleźlibyśmy wspólny język — odpowiada tajemniczo.

— Nie rozumiem — oznajmiam, licząc, że zaraz mi to jakoś sensownie wyjaśni.

— Moja siostra, gdy po śmierci babci objęła nade mną opiekę, kupiła mi fortepian i katowała mnie nauką gry na tym piekielnym instrumencie. — Mruga do mnie porozumiewawczo. — Nie wiem, co sobie myślała: że robi ze mnie pianistę? To tak, jakby ze sprzątaczkę zrobić baletnicę.

Karcę go wzrokiem. Trochę przesadził. Ja wcale nie uważam, że jedno wyklucza drugie. Szkoda, że na nim moje spojrzenie nie wywiera większego wrażenia. Ech...

— A więc grałeś na fortepianie? — właściwie bardziej stwierdzam, niż pytam, bo nie mam ochoty na kolejne sprzeczki. W dodatku dochodzę do wniosku, że mimo iż przez ostatnie dwa tygodnie spędziłam z nim mnóstwo czasu, nic o nim nie wiem.

W odpowiedzi kiwa głową i wyjaśnia:

— Czasem wciąż mi się to zdarza.

— Masz fortepian? — Zaskakuje mnie, zwłaszcza że sam przed chwilą powiedział, że nie znosił grać.

— Tak. Z sentymentu nie umiałem się go pozbyć. W zasadzie, gdy byłem smarkaczem, naprawdę go nie cierpiałem. Ale teraz, po latach, zdałem sobie sprawę z tego, że Marietta chciała dla mnie jak najlepiej, a zakup tego instrumentu był wówczas dla niej wielkim wyrzeczeniem. Jak więc miałbym go wyrzucić?

Nie odpowiadam, bo mam mieszane odczucia. Jeszcze sekundę temu palnął głupotę, która bardzo mi się nie spodobała, a teraz znów zachowuje się normalnie. Chwilami odnoszę wrażenie, że w tym facecie pomieszkują dwie różne osoby.

— A ty? — Wrywa mnie z zamyślenia.

— Co ja? — Natychmiast przytomnieję.

— Grasz?

Aaa, o to mu chodzi...

— Niestety nie — odpowiadam szczerze. — Mój tata uważa, że słoń nadepnął mi na ucho — żartuję.

— Auć. — Maks krzywi się na pokaz. — Naprawdę tak powiedział?

Posyłam mu uśmiech i tylko kiwam głową.

— Bardzo cenię sobie szczerść. A ty nie? — pytam.

— To zależy.

— Od czego? — dociekam.

— Mówienie pewnych rzeczy wprost czasem bywa niewygodne, a nawet krzywdzące, nie sądzisz?

— To prawda — odpowiadam z przekonaniem. — Ale chciałbyś być oszukiwany?

— W moim przypadku pewnie to norma.

— Nie rozumiem.

— Jestem szefem — wyjaśnia i bezradnie rozkłada ramiona. — Więc pewnie wszyscy wokół coś przede mną ukrywają. Choćby przez wzgląd na to, że mam nad nimi władzę.

— To dlatego wolisz, żeby nie mówiono ci prawdy? Nie wiem, z obawy przed tym, że...

— Że kogoś wyleję? — kończy za mnie.

Kiwam głową. Jestem bardzo ciekawa jego odpowiedzi.

— Cóż, bycie na szczycie wymaga pewnych wyrzeczeń.

— Naprawdę mi przykro — mówię szczerze i odruchowo nakrywam dłonią jego rękę.

Wygląda na zaskoczonego, ale nic nie odpowiada. Cofam więc rękę, a potem szybko zmieniam ten jakże niewygodny temat. Przed nami ważny wieczór, więc lepiej skupić się wyłącznie na nim. A ja mam jeszcze tyle pytań, tyle kwestii do uzgodnienia. Czas skoncentrować się tylko na nich.

Maksymilian

Maja przez całe popołudnie zachowywała się... dziwnie. Drażniła mnie odrobinę, bo chwilami odnosiłem wrażenie, jakby spoglądała na mnie ze współczuciem. Nie potrzebuję go. Od nikogo, zwłaszcza od niej. Dlatego kiedy wreszcie oboje wracamy do naszych mieszkań, oddycham z ulgą. Wolę zająć głowę przygotowaniami do kolacji, niż czuć to COŚ, czego nie potrafię właściwie zinterpretować, a co omal nie zepsuło mi całego popołudnia.

Zanim zaszywam się u siebie, daję jasne wytyczne *swojej dziewczynie*. Mówię, w co ma się ubrać, jakie ma założyć buty. Tym razem jednak nie przemawia przeze mnie wrodzona złośliwość. Zwyczajnie wolę dmuchać na zimne, bo wiem, że jest uparta jak mało która, a ta kolacja jest dla mnie bardzo ważna. Wszystko więc musi być idealne. Jej wygląd również. Maja powinna do mnie pasować, w innym przypadku nikt nie uwierzy w tę farsę.

Oczywiście byłbym ślepcem, gdybym nie zauważył, jak bardzo nie w smak jest jej moje narzucanie woli. Ale mam to gdzieś. Płacę jej za to, więc wymagam.

Sam także wybieram z garderoby najlepszy garnitur oraz śnieżnobiałą koszulę. W takim zestawieniu prezentuję się najlepiej. I tak też się czuję. Lubię wyglądać jak rasowy biznesmen, a nawet jak szef szefów, którego szanują, choćby ze strachu.

„I żadne czcze gadanie tej dziewczyny tego nie zmieni” — myślę, spoglądając z uznaniem w lustro.

Poprawiam jeszcze krawat, który będzie pasował do jej sukienki, a następnie zmierzam do drzwi. Mam nadzieję, że mnie posłucha, bo z nią, jak już zdążyłem się przekonać, nic nie jest oczywiste. Jeszcze zamiast tej beżowej sukienki, którą dla niej wybrałem, założy *coś* ze swojej garderoby. Już ją sobie wyobrażam w musztardowej tubie albo innym dziwacznym projekcie w *zaskakującym* kolorze.

Wpadam na nią w holu. Robi na mnie wrażenie. Pozytywne. Nie tylko z powodu punktualności. Ma na sobie kreację, którą kazałem jej włożyć. Założyła też pasujące do sukienki szpilki. Tylko te okulary...

— To raczej nie będzie ci potrzebne — mówię i nie pytając jej o zgodę, zdejmuję jej z nosa zbyt mocno rzucające się w oczy kufonki, które odkładam na niewielki stolik znajdujący się w przestrzeni pomiędzy drzwiami do naszych mieszkań.

Jest zaskoczona, a nawet wygląda na lekko oburzoną moją zuchwałością, ale na szczęście tego nie komentuje. I dobrze, bo tym razem nie zamierzam ustąpić. Do pracy, do biura może je zakładać, ale na kolację, zwłaszcza do takiej kreacji — spoglądam na nią z uznaniem — ani trochę nie pasują.

— Od razu lepiej. — Uśmiecham się do niej, na co krzywi się ironicznie, ale nadal milczy. — Zapraszam — dodaję, a potem naciskam przycisk rozsuwający drzwi windy i przepuszczam ją przodem.

Nie mogę się powstrzymać i zerkam na jej pupę, którą opina materiał sukienki. Wygląda naprawdę zachęcająco...

* * *

— To opowiadajcie, gołąbeczki, jak się poznaliście — mówi Anne Lise, spoglądając raz na mnie, raz na Maję, którą chyba odrobinę pokonuje stres, choć wyraźnie bardzo się stara, żeby do tego nie dopuścić. Ja także mam nadzieję, że da radę, bo nie chciałbym wyjść na idiotę przed Johanssonami.

Zerkam na swoją udawaną dziewczynę. Coś wyraźnie jest nie tak. Tak bardzo skupia się na trzymanym w dłoniach menu, jakby pochłaniała ją jakaś ciekawa lektura, a nie zwyczajna karta dań.

Trącam ją nogą pod stołem. Wzdryga się lekko, ale szybko podnosi głowę.

— Poznaliśmy się na jednej z imprez firmowych, prawda, kochanie? — odpowiadam, patrząc jej usilnie w oczy. Liczę, że dzięki temu wreszcie zaczniesz postępować według naszych wcześniejszych ustaleń. Ale ona wydaje się jeszcze bardziej zdezorientowana. Jeśli natychmiast nie weźmie się w garść, nasz plan nie wypali albo nawet gorzej: okaże się totalną katastrofą. Muszę działać.

— Maju?

— T...ak — odzywa się niepewnie. — To było...

Cholera, co ona wyczynia? Mści się na mnie czy co? Przecież wszystko mieliśmy dogadane w najmniejszym szczególe.

— Dwa tygodnie temu. — Mimo wszystko kontynuuję to źle rokujące przedstawienie. — Maja przyszła w charakterze osoby towarzyszącej jednego z moich pracowników, ale wyszła ze mną — dorzucam z udawaną dumą. Na mieście krążą o mnie legendy, więc korzystam z okazji i staram się być jak najbardziej wiarygodny. — I zostanie całe życie, prawda, słoneczko? — pytam, biorąc jej spoconą dłoń w swoją rękę. Podnoszę ją do ust i składam na niej pocałunek, a na policzki Mai wypływają delikatne rumieńce.

Uff, załapała. Wreszcie. Lepiej późno niż wcale. Swoją drogą cieszę się, że tak świetnie gra. Te rumieńce są naprawdę urocze i bardzo przekonujące. Pozostaje mi zatem wierzyć, że nasi towarzysze też się na nie nabiorą.

— Oczywiście, skarbie — odpowiada przesłodka w chwili, gdy zjawia się kelner z butelką zamówionego wcześniej wina.

Kiwam z uznaniem głową, dając znać młodemu mężczyźnie, że zamówienie się zgadza i że może odkorkować butelkę.

— Dokonali już państwo wyboru? — pyta jeszcze, wyjmując z tylnej kieszeni spodni notes.

— Dla mnie roladki z indyka — mówi Anne Lise. — I sałatka z cukinii z sosem czosnkowym.

— Dla mnie to samo — wtrąca szybko Lars. — Moja żona ma dobry gust — chwali kobietę, która patrzy na niego z uczuciem. — A ja zgadzam się z nią w stu procentach — dodaje, przenosząc wzrok na nas.

„Pantofel” — myślę, ale oczywiście uśmiecham się i tylko lekko kiwam głową.

— A jak jest z wami, gołąbeczki? — zadaje nam pytanie.

— Pracujemy nad tym — odpowiadam, licząc, że Maja nie skomentuje tego po swoim. Nie ufam jej zbyt, zwłaszcza teraz, bo odkąd wyszliśmy z domu, zachowuje się co najmniej dziwnie. Nie tak się umawialiśmy.

— Docieramy się — odzywa się nagle, a ja na moment wstrzymuję oddech. Byleby tylko

na tym poprzestała.

— Może dokończmy wreszcie zamówienie? — proponuję, licząc, że moje prośby zostaną wysłuchane i ten wieczór nie skończy się przed czasem. — Jestem głodny jak wilk. — Uśmiecham się, a potem proszę o stek, średnio wysmażony, z sałatką z pomidorków, rukoli i pestek dyni. — Wybrałaś już coś, kochanie? — zwracam się do Mai.

— Poproszę to samo.

Zaskakuje mnie. Pozytywnie, rzecz jasna. Zresztą, jak widać, nie tylko mnie. Johanssonowie jednocześnie kiwają z uznaniem głowami i wymieniają się porozumiewawczymi spojrzeniami.

— Oczywiście — odpowiada kelner, wszystko sobie notując, i na moment oddala się od stolika.

— Napijmy się — proponuje Lars.

— Z przyjemnością. — Uśmiecham się zadowolony. Zaczynam odzyskiwać wiarę, że jeszcze wszystko będzie dobrze.

Nalewam wino do kieliszków, a następnie wznoszę toast:

— Za spotkanie!

— Za spotkanie! — wszyscy powtarzają zgodnie.

Wszyscy oprócz niej. Maja nadal zachowuje się co najmniej dziwnie, choć jeszcze sekundę temu sytuacja wydawała się w miarę opanowana.

— Co się dzieje? — szepczę do jej ucha, kiedy nasi towarzysze na moment zajmują się sobą.

— Nic.

Kłamie. Widać to gołym okiem. Marszczę więc brwi. Chcę, żeby zrozumiała, że balansuje na niebezpiecznej krawędzi.

— Mój telefon dzwoni — wyjaśnia wówczas.

— To go wyłącz — syczę, jednocześnie posyłając przesłodki uśmiech siedzącej po drugiej stronie stołu kobiecie, która nagle przenosi na nas wzrok.

— Ale jeśli to coś ważnego?

— To go odbierz — warczę z uśmiechem przyklejonym do ust, jednocześnie ściskając jej udo pod stołem.

— Przepraszam — odpowiada zażenowana.

Oczywiście jej nieszczerze przeprosiny nie są skierowane do mnie, a do towarzyszącej nam pary Norwegów, którzy znów zaczęli się nam przyglądać z przesadnym zainteresowaniem.

Maja wyjmuje z torebki telefon i wstaje, po czym się oddala. W ostatniej chwili zauważam imię, które wyświetla się na ekranie jej smartfona.

Piotruś.

Już ja jej dam Piotrusia!

Rozdział 9.

Maja

Sytuacja naprawdę mnie przerasta. Ale nie dlatego, że nie potrafię zastosować się do wskazówek, których udzielił mi Maks. Po prostu tak bardzo mnie absorbuje brak okularów, bez których prawie nic nie widzę, że nie umiem zapanować nad nerwami. To naprawdę wkurzające, kiedy patrzysz tępo w kartę dań i nie widzisz nic poza bohomazami, jedną wielką plątaniną rozmytych liter. I jakby mało mi było stresu, to jeszcze mój telefon zaczął wibrować w mojej torebce. Oczywiście przez brak okularów nawet nie mogę sprawdzić, komu tak bardzo zależy na rozmowie ze mną. Może to nic ważnego, ale mam złe przeczucia. A co, jeśli to tata? Może coś się stało jemu albo któremuś z moich braci? Do wypadków rolniczych dochodzi dość często, choć mało się o tym mówi.

Chryste...

Jestem kłębkim nerwów. W dodatku Maks żąda wyjaśnień i wygląda na megawściekłego.

— Przepraszam — rzucam pospiesznie, kiedy z telefonem w garści oddalam się od stolika.

Uchodzę raptem kilka kroków i od razu odbieram.

— No nareszcie, Majka!

To Piotrek. I na szczęście nie brzmi, jakby coś się wydarzyło, a już na pewno nie coś złego.

— Stało się coś, że się tak dobijasz? — pytam ściszone głosem.

Właściwie powinnam mu od razu powiedzieć, że dzwoni w niewłaściwym momencie, a nawet mu nawtykać, że jest taki nachalny, ale obawiam się, że mógłby zacząć mnie przepytывать, a tego z pewnością wolałam uniknąć. Nie chciałam go okłamywać. Wolałam ukryć prawdę, zwyczajnie ją przemilczeć. Już sobie bowiem wyobrażam minę ojca, któremu mój brat na mnie donosi. Jestem pewna, że tata nie pochwaliłby mojej *pracy*. Nie zrozumiałby, że nie miałam innego wyjścia i musiałam zgodzić się na ten absurd.

— A co miało się stać? To już nie można zadzwonić do siostry?

Wzdycham. Cały Piotrek. Robi szum, jakby się paliło, a zwyczajnie wzięło go na pogaduchy.

— Pewnie, że można. Tylko że chwilowo jestem zajęta, braciszku.

— O tej porze? — Nie kryje zdziwienia. — W tej Warszawie to już nawet po nocach się haruje?

Mam ochotę sprowadzić go na ziemię i wyjaśnić mu, że dwudziesta to jeszcze żadna noc, ale powstrzymuje mnie widok mojego szefa zbliżającego się do mnie zamaszystym krokiem. Maks minę ma taką, że lepiej nie mówić, więc szybko zbywam brata.

— Zadzwonię później i wszystko ci wyjaśnię. — A kiedy słyszę, że Piotrek próbuje jeszcze do mnie zagadać, dodaję szybko: „Bużka, pa”, a potem się rozłączam.

Spoglądam na Iwańskiego. Muszę przyznać, że wygląda dziś bardzo elegancko, ale jego postawa, proste jak kołek plecy, długie nogi w lekkim rozkroku czy włożone w kieszenie ręce świadczą o jego walecznym nastawieniu. A to nie wróży nic dobrego, bo nie zamierzam mu dłużej pozwalać wchodzić sobie na głowę. Nie po tym, jak odebrał mi okulary, przyczyniając się do mojego tymczasowego dyskomfortu.

— Jesteś żalosna — słyszę.

Czuję, że moje oczy podwajają swoją wielkość, ale nim zdołam otrząsnąć się z tymczasowego szoku i coś mu na to odpowiedzieć, on kontynuuje:

— „Buźka, pa”? Naprawdę?

Chwilowo nie wiem, do czego pije, ale po sekundzie przychodzi mi na myśl niezwykle popularna ostatnio tiktokerka Kabanosik. To rzeczywiście jej słynny już na całą Polskę tekst, choć ja wcale się nim nie inspirowałam, żegnając się w ten sposób z bratem. Byłam najmłodsza z rodzeństwa, w dodatku jestem dziewczyną, więc często używałam takich słodkich zwrotów wobec chłopaków. Nieraz po to, żeby zrobić im przyjemność, a czasem — zwłaszcza kiedy robiłam to w obecności ich kolegów — zwyczajnie po to, żeby ich wkurzyć. Cóż, już taka ze mnie przekorna istota.

— Czego chcesz? — burczę.

— Lojalności — słyszę w odpowiedzi, a następnie patrzę, jak podchodzi jeszcze bliżej, a potem mnie obejmuje. Mam pewność, że mu odbiło, i mam też przemożną ochotę zdzielić go za to po pysku, ale wówczas złowrogo szepcze mi do ucha: — Patrzą na nas, więc się zachowuj.

— Co?

— Johanssonowie nam się przyglądają. Widzą, że coś jest nie tak. Nie rozglądaj się — upomina mnie, gdy próbuję zerknąć w ich stronę.

— To co mam teraz robić? — pytam więc, a on odsuwa się odrobinę i spogląda na moją twarz. Ani trochę nie podoba mi się ten wzrok.

— Nic wielkiego. Po prostu udawaj razem ze mną — mówi, a potem pochyla głowę i swoimi rozchyłonymi wargami muska moje usta.

— Co robisz? — piszczę niemal bezgłośnie, choć nie drgam nawet o milimetr.

— Całuję cię — odpowiada zwyczajnie. — Tobie też radziłbym się postarać.

— Ale tego nie było w umowie — wytykam mu, choć strasznie to trudne, bo jego miękkie wargi znów suną po moich ustach.

— Aneksujemy ją zatem — słyszę w odpowiedzi. — A teraz postaraj się bardziej. Zamknij oczy. Pomyśl może o tym swoim Piotrusiu Panu, a jest szansa, że wszystko wypadnie wiarygodnie.

Na te słowa jeszcze szerzej otwieram oczy. Mam ochotę publicznie, na oczach wszystkich, nawet samych Johanssonów, którzy są dla niego tacy ważni, wygarnąć mu, jakim jest idiotą. Ale zanim zdołam otworzyć usta, a właściwie gdy tylko to robię, on napiera na mnie mocniej, wpychając mi język niemal do gardła. Czy mnie zaskakuje? Mało powiedziane. Jestem tak skołowana, że od razu zaczyna mi wirować w głowie, więc żeby nie runąć na podłogę jak długa, obejmuję go za szyję.

Iwański odbiera to po swojemu. Przyciska mnie do filara, za którym częściowo się skrywamy przed wszelaką publicznością, i przez cały czas mnie całuje. W dodatku napiera na mnie tak bardzo, że czuję jego wzwód na swoim brzuchu.

Wstrzymuję oddech.

— Postaraj się bardziej — odzywa się ponownie, prosto w moje usta.

Mam ochotę go za to ukarać — nie wiem, może nawet go ugryźć w wargę — ale dochodzę do wniosku, że to głupi pomysł. Pewnie ktoś mógłby to zauważyć albo, co gorsza, on mógłby na mnie nakrzyczeć. Uznaję także, że robienie scen jednak nie do końca jest w moim stylu. Kapituluję więc, a nawet idąc za jego radą, staram się bardziej. Oddaję mu pocałunek, wkładając w niego *serce*, i obejmuję go jedną wolną ręką za szyję. Druga jednak wędruje niżej. Sunie pomiędzy jego piersiami, na krótko owija się wokół jego ciasno zawiązanego krawatu. Ale przecież nie zamierzam go udusić. Moja dłoń zjeżdża niżej, a następnie, kiedy Iwański się tego zupełnie nie spodziewa, łąduje na jego klejnotach. Chwytam go mocno za krocze, a on nagle

odrywa się od moich ust i zdezorientowany patrzy mi prosto w oczy.

— Zrób to jeszcze raz — syczę, uśmiechając się na pokaz — a urwę ci je i zawieszę sobie nad łóżkiem jako trofeum.

— Oszalałaś?

— Myśl, co chcesz, ale przysięgam, że jeśli jeszcze raz spróbujesz pocałować mnie w ten sposób — podkreślam, bo na niewinne muśnięcia warg mogłam się jeszcze zgodzić, ale na taki pocałunek zdecydowanie nie — to urwę ci jaja — mówię, a potem wspinam się na palce, bo pomimo dwunastocentymetrowych szpilek wciąż jestem przy nim bardzo niska. Całuję go lekko i ruszam w kierunku stolika.

Nie odwracam głowy, ale wiem, że Maks podąża za mną. Słyszę jego miarowe kroki i przyspieszony oddech.

Czyżby skoczyło mu ciśnienie?

— Wszystko w porządku, gołąbeczki? — pyta Anne Lise, gdy tylko zjawiamy się na powrót przy stoliku.

— Oczywiście — potwierdzam, racząc państwa Johanssonów słodkim uśmiechem, i spoglądam przelotnie na Maksa. — Prawda, misiaczku? — Nie omieszka również i jemu posłać *czarującego* uśmiechu. *Zasłużył*.

Wiem, że zabronił mi tak się do siebie zwracać, ale mam to gdzieś. On również właśnie złamał zasady. Zdecydowanie za daleko się posunął!

Maksymilian

Ta laska jest naprawdę popieprzona! Zwyczajnie mam jej dość. Gdybym mógł, to udusiłbym ją teraz, choćby gołymi rękami. Ale muszę się powstrzymać i robić dobrą minę do złej gry, ponieważ moi, mam nadzieję, kontrahenci, właśnie z uwagą się nam przyglądają. Wiem, że oceniają sytuację. Znam ich od lat, więc nietrudno się zorientować, co myślą. Dlatego z każdą upływającą chwilą, z każdą sekundą tracę wiarę w pomyślność tego *przedsięwzięcia*. A wszystko przez nią, dziewczynę, która zwyczajnie nie nadaje się do tej roli.

Zerkam na nią raz po raz. Uśmiecha się przesłodko, wymieniając się uprzejmościami z Anne Lise. Nie przysłuchuję się rozmowie obu pań, bo wydaje mi się mało znacząca — typowo babska paplanina o wszystkim i o niczym. Zagaduję więc Larsa, poruszam oczywiście tematy służbowe. Opowiadam mu o nowej marce wina, którą ostatnio pozyskałem do swojej dystrybucji. Wygląda na szczerze zainteresowanego, a nawet zaczyna zadawać dociekliwe pytania.

„A więc może jeszcze nie wszystko stracone?” — myślę, karmiąc się resztkami gasnącej powoli nadziei.

Milknę na moment, kiedy przychodzi kelner z naszymi zamówieniami, a gdy dania lądują już na naszym stoliku, skinieniem głowy dziękuję mężczyźnie w uniformie, dając mu tym samym znak, że może odejść. Życzę wszystkim smacznego, a następnie wracam do wcześniej rozpoczętego tematu. Powoli zaczynam odczuwać spokój, a i tocząca się z Larsem pogawędka wyraźnie sprawia mi przyjemność. Nam obydwu zresztą. Lars również wygląda na zadowolonego.

Zerkam na Maję, która akurat skubie widelcem sałatkę. Nie jestem pewien, czy jej nie smakuje, czy może nadal jest tak bardzo zestresowana całą tą sytuacją, że nie ma apetytu. A może nadal boczy się na mnie za ten pocałunek? Nie ona powinna czuć żal. To, jak mnie potraktowała, zasługiwało na karę.

To do mnie niepodobne, ale mimo że jeszcze chwilę temu miałem ochotę skrócić jej kark, teraz nabieram chęci, żeby ją jakoś pocieszyć, a nawet przeprosić, że tak bardzo się uniosłem. To

zaskakujące, ale z każdą chwilą mija mi złość, którą wcześniej do niej czułem.

— A powiedz, jak interesy z Włochami — zagaduje nagle Johansson.

Nie trzymam w tajemnicy faktu, że ostatnio podpisałem kontrakt z pewną włoską winnicą od lat wytwarzającą tanią, aczkolwiek naprawdę świetną markę wina, które we Włoszech podaje się do obiadu.

— Dziękuję, świetnie.

— Dobrze się czujesz, kochanie? — słyszę naraz pytanie padające z ust siedzącej na wprost mnie kobiety. Anne Lise wydaje się zaniepokojona i uważnie przygląda się mojej partnerce.

— Duszno mi — odpowiada Maja, na którą i ja natychmiast przenoszę wzrok. Mimo że jest czerwona na twarzy, wygląda, jakby miała zemdleć.

— Co się dzieje? — pytam.

— Nie wiem — mówi zdławionym głosem i sięga po szklankę z wodą, która wylatuje jej z rąk i roztrzaskuje się na podłodze, przez co stajemy się obiektem zainteresowania już nie tylko samego personelu, ale także gości zasiadających przy sąsiadujących stolikach. — Przepraszam — duka, a ja zaczynam się coraz bardziej niepokoić.

— Źle się czujesz? — Chwytam ją za rękę. Zauważam, że dłoń dziewczyny, podobnie zresztą jak twarz i reszta odsłoniętego ciała, jak dekolt czy ramiona, pokryta jest czerwonymi wybroczynami. — Jesteś na coś uczulona? — dociekam, nie rozumiejąc, jak mogła być tak nieodpowiedzialna.

Pamiętam, że za czasów szkolnych miałem kolegę, który był uczulony na laktozę. Wystarczyło, że wypił choćby mały łyk zwykłego krowiego mleka, a robił się czerwony jak burak. Pomyślałem więc, że może i ona jest uczulona na któryś ze składników jedzenia. Tylko to przychodziło mi do głowy.

— Mam alergię na orzeszki ziemne — wydusza z siebie zachrypniętym głosem. W dodatku z sekundy na sekundę wygląda coraz gorzej.

— Czy w jedzeniu były orzeszki? — pytam kelnera, który zjawił się, żeby posprzątać stłuczone szkło.

— Już sprawdzam — mówi, a potem uważnie przegląda kartę. — Nie bezpośrednio, ale do dressingu, który znajduje się w sałatce, użyto masła orzechowego. Wszystko jest tu napisane — dodaje przejęty, podsuwając mi pod nos menu.

Nie zwracam no to uwagi. Teraz mam większy problem. Muszę jakoś pomóc tej nieodpowiedzialnej dziewczynie.

— Co robisz? — pyta, ledwie łapiąc oddech.

— Dzwonię po pogotowie — odpowiadam z nieskrywaną złością.

— Potrzebuję adrenaliny — wydusza z siebie, dysząc płytko.

— Masz ją przy sobie?

Odpowiada, kręcąc głową.

Boże, mam ochotę nawtykać jej przy tych wszystkich ludziach, którzy się nam w tej chwili przyglądają, ale obawiam się reakcji Johanssonów. Wciąż mam szansę jakoś się z nimi dogadać.

— Pójdę sprawdzić w apteczce — wtrąca się kelner, a potem rusza w stronę kuchni.

Tymczasem w mojej słuchawce rozlega się głos dyspozytorki.

— Numer alarmowy sto dwanaście. W czym mogę pomóc?

— Moja... — wahałem się przez moment, ale szybko przytomnieję — dziewczyna jest uczulona na orzeszki ziemne, które były w jedzeniu.

— Gdzie się teraz państwo znajdują?

— W restauracji.
— A czy w pobliżu jest jakaś apteka?
— Nie mam pojęcia.
— Potrzebna jest adrenalina. Wysłałam do państwa pomoc, ale proponuję jak najszybciej podać poszkodowanej adrenalinę.
— Jest! — słyszymy naraz, a po chwili naszym oczom ukazuje się kelner. Towarzyszą mu inni pracownicy restauracji, z szefem kuchni włącznie. — Mam!
— Mamy adrenalinę — mówię do dyspozytorki.
— Więc proszę ją jak najszybciej podać poszkodowanej. I proszę się nie rozłączać.
— Spróbuję — rzucam jeszcze do słuchawki, zanim przełączę się na głośnomówiący i odłożę telefon na stolik.
Gdy kelner przynosi nam lek, ma wypisaną na twarzy ulgę. Wręcza mi go szybko, choć, prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co mam z nim teraz zrobić. Działam jednak instynktownie. Rozrywam opakowanie i drżącymi palcami wyjmuję strzykawkę.
— Gdzie się to podaje? — pytam Maję, która ma coraz większy problem ze złapaniem oddechu.
— Najlepiej w udo — dochodzi mnie głos z aparatu.
Oczywiście nie mówię głośno, o czym pomyślałem, ale prawdą jest, że nawet w tak ekstremalnej sytuacji wyobraziłem sobie wypięte, gładkie kobiece pośladki.
— Pewnie trochę zaboli — zwracam się ponownie do dziewczyny, a następnie unoszę odrobinę wyżej jej sukienkę, wbijam igłę i wtłaczam roztwór.
— Udało się? — słyszę pytanie dochodzące mnie z telefonu.
— Tak.
— Proszę więc teraz masować miejsce wkłucia przez dziesięć sekund — pada rzeczowa informacja.
— Jasne — odpowiadam, pomijając oczywisty fakt, że zrobię to z przyjemnością. Potem się z nią policzę. Wszystko w swoim czasie.
Zaczynam masaż — delikatny, subtelny — patrząc jej w oczy. Nie jestem pewien, może oceniam sytuację na wyrost, ale wydaje mi się, że z każdą upływającą sekundą Maja wygląda coraz lepiej.
— Czy widać już poprawę? — słyszę naraz głos dyspozytorki.
— Nie znam się na tym, ale wydaje mi się, że tak.
— Proszę pani, może się pani odezwać?
— Tak — odpowiada ochrypniętym głosem *moja dziewczyna*. Gdyby rzeczywiście była moja... Oj, pokazałbym jej, że zasłużyła na karę. Jej lekkomyślność naprawdę zasługiwała na reprimendę.
— Lepiej się pani czuje?
— Tak, zdecydowanie — wciąż mówi bardzo cicho, niewyraźnie, dlatego dodatkowo kiwa głową.
— Wysłałam pomoc. Proszę podać adres.
— Nie trzeba — odpowiadam zdecydowanie, wywołując tym samym konsternację na twarzy zebranych wokół nas osób. — Sam ją zawiozę do szpitala — tłumaczę naprędce.
— Jest pan tego pewien? — mówi głos w słuchawce.
— Oczywiście. Tak będzie szybciej i prościej — tłumaczę.
Nie do końca jestem szczery. Rzecz jasna los mojej przyszywanej dziewczyny nie jest mi obojętny, ale mam w tym swój interes. Po pierwsze pragnę zakończyć tę nieszczęsną kolację, a po drugie mam do tej nieodpowiedzialnej dziewczyny kilka pytań, z których zadaniem nie

zamierzam zwlekać.

— Wobec tego się rozłączam. I mam nadzieję, że pomogłam.

— Tak. Dziękujemy bardzo — rzuca jeszcze do słuchawki, a potem połączenie się urywa. — Wybaczcie — zwracam się do Johanssonów, którzy przyglądają mi się w milczeniu i osłupieniu. Widać, że ta sytuacja mocno ich zestresowała. — Chyba rozumiecie?

— Oczywiście. Nie trap się tym, chłopcze — odpowiada Anne Lise.

Zaskakuje mnie zarówno ciepło w jej głosie, jak i samo określenie, którego używa. Dawno nikt się tak do mnie nie zwracał. Kiedyś właśnie tak pieszczotliwie nazywała mnie babcia. Niezwykle miło wspominam ten czas. Tym bardziej czuję się pozytywnie zaskoczony, gdy słyszę te słowa z ust tej kobiety.

Podaję rękę Mai, ale zanim wyjdziemy, spoglądam jeszcze na Larsa. Milczy, lecz z uznaniem kiwa głową. A zatem wciąż mam nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone.

CHOMIKO - WARMIA

Rozdział 10.

Maja

Iwański już w samochodzie rozpoczął przesłuchanie. W zasadzie zaczął od pretensji, których już nawet nie próbował przede mną ukryć. Nawrzeszczał na mnie okrutnie, zwymyślał mnie, oskarżył o nieodpowiedzialność, a dopiero na końcu zażądał wyjaśnień.

A ja? Niczego nie zamierzam mu tłumaczyć! To wszystko jego wina! To on zdjął mi z nosa okulary, bez których kiepsko widzę, zwłaszcza tak drobny druk, jakim wypisane były składniki sosu, którym polano sałatkę.

— Tylko mi nie mów, że teraz będziesz tak sobie milczeć — słyszę kpinę i niedowierzanie w jego głosie.

Fukam pod nosem, ale nawet nie odwracam głowy w jego stronę. Właśnie dojeżdżamy pod szpital, dlatego nie zamierzam się z nim dłużej kłócić. Poza tym nadal uparcie twierdzę, że nie jestem mu niczego winna, zwłaszcza wyjaśnień. Dlatego kiedy tylko parkuje auto, natychmiast z niego wysiadam. I nawet nie oglądając się za siebie, zmierzam w stronę SOR-u.

— Zaczekaj, do cholery! — dochodzi mnie jego głos, a potem czuję uścisk jego palców na moim ramieniu.

— Puszczaj — warczę. Ani trochę nie podoba mi się sposób, w jaki mnie traktuje. — Poza tym nie czuj się zobowiązany — dodaję, licząc, że da mi wreszcie święty spokój. — Wracaj do znajomych. Dokończ kolację i interes. A mną się nie przejmuj. Jestem już dużą dziewczynką i poradzę sobie. Sama.

— Czyżby?!

Maks jest wściekły i nagle zatrzymuje mnie w miejscu. Wpadam na niego, bo w tej samej chwili zachodzi mi drogę. Mrużę gniewnie oczy, ale robię to także po to, by choć odrobinę wyostrzyć sobie lekko rozmyty obraz. Nie znoszę tego uczucia, które właśnie mi towarzyszy, bo czuję się tak, jakbym miała coś przeoczyć, czegoś nie dopatrzeć. To strasznie frustrujące.

— W restauracji pokazałaś, jaka jesteś dorosła — kpi, patrząc mi prosto w oczy. — Normalnie nic, tylko pozazdrościć ci życiowej mądrości.

Nie wytrzymuję. Nie znoszę przemocy, ale ten jeden raz nie potrafię się powstrzymać i go policzkuję.

Jest zaskoczony. I wściekły. Jak cholera!

Guzik mnie to obchodzi. Ja również jestem zła. Na niego. Bo to jego wina!

— Jeśli jeszcze raz podniesiesz na mnie rękę... — cedzi przez zęby, zaciskając dłonie w pięści.

— To co? — pytam i odważnie zadzieram głowę. — Zwolnisz mnie? — Tym razem to ja ironizuję, czym niewątpliwie drażnię go jeszcze bardziej. Ale nie umiem nad tym zapanować. — Bardzo proszę. Zrób mi tę przysługę — dorzucam i krzyżuję ramiona na piersiach.

Chyba go zaskakuję, bo nie odpowiada, tylko przez chwilę mi się przygląda. A potem łapie mnie za rękę i ciągnie w stronę wejścia.

— W co ja się wpakowałem — burczy pod nosem.

Nie odpowiadam. Próbuję jedynie wyszarpnąć dłoń z jego żelaznego uścisku, ale że trzyma tak mocno, nie mam na to żadnych szans. Kapituluję więc, ale tylko na moment. Nie zamierzam składać broni, nie teraz, gdy sprawy zabrnęły stanowczo za daleko. Przecież ja naprawdę mogłam się udusić. A wszystko tylko dlatego, że temu chuchanemu gogusiowi w szytym na miarę garniturze nie spodobały się moje okulary. Zapłaci mi za to!

* * *

Na SOR-ze panuje chaos. Kolejka jest taka, że lepiej nie mówić. Ja jednak zostaję przyjęta poza nią, ponieważ jeszcze niedawno groził mi wstrząs anafilaktyczny. Oczywiście Maks, który z jakiegoś niewyjaśnionego i zupełnie niezrozumiałego dla mnie powodu nawet przed lekarzami udaje mojego chłopaka, towarzyszy mi podczas badania. W zasadzie to rutynowa wizyta. Tylko dlatego mu na to pozwalam.

— Wypiszę pani receptę — mówi lekarz. — Przez kilka dni proszę łykać te tabletki, a reszta plam znajdujących się na skórze powinna wkrótce zniknąć.

— Dziękuję, panie doktorze.

Młody mężczyzna uśmiecha się do mnie serdecznie, a chwilę potem coś notuje.

Zerkam na Maksa, który ma naburmuszony wyraz twarzy. Boże, jak on mnie denerwuje.

— Swoją drogą — odzywa się ponownie lekarz — nie wiedziała pani o alergii czy doszło do jakiejś feralnej pomyłki?

— O tym, że jestem uczulona na orzechy ziemne, wiem od dawna — mówię szczerze.

— Zatem obsługa nawaliła?

— To nie wina restauratorów, panie doktorze — zapewniam, zerkając na Iwańskiego, który żeby mi pokazać po raz kolejny swoje niezadowolenie, nieznacznie kręci głową i drapie się lekko w brodę. — Po prostu nie zauważyłam informacji w karcie dań.

— Jak mam to rozumieć?

— Mam wadę wzroku — wyjaśniam, po raz kolejny zerkając na swojego zadufanego w sobie szefuńcia. — Ale tak niefortunnie się złożyło, że nie miałam przy sobie okularów.

— Musi pani bardziej uważać. Dobrze, że na miejscu podano pani adrenalinę, bo mogłoby się to skończyć dla pani znacznie gorzej.

— Będę. Obiecuję. I dziękuję — dorzucam, a potem spoglądam już prosto w twarz Iwańskiemu, który nie spuszcza ze mnie oka.

Zaskoczenie? Nie, to szok maluje się na jego twarzy. I poczucie winy. Wiem, że nie powinnam go żałować ani tym bardziej mu współczuć, ale nic nie poradzę, bo to silniejsze ode mnie.

* * *

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? — pyta zaraz po tym, jak opuszczamy budynek szpitala.

Nie odpowiadam natychmiast, tylko stawiam poły płaszcza, bo uderza mnie chłodny wiatr.

— Odpowiedz.

— Ponieważ nie dopuściłeś mnie do głosu i wyrobiłeś sobie na ten temat własną opinię.

— Ale przecież mogłaś mi uświadomić, że...

— Że co? — przerywam mu, choć bez złości, którą czułam aż do tej chwili. — Że potrzebuję tych okularów, bo bez nich jestem ślepa jak kret? Uwierzyłybyś? — pytam, ale nawet nie dopuszczam go do głosu, bo w tej chwili przypomniła mi się pewna historia. — Wiesz, kiedyś... gdy miałam chyba z piętnaście lat... — Zamyślam się na moment, wracając wspomnieniami do tamtego okresu w moim życiu — na przystanku autobusowym podeszła do mnie pewna staruszka. Zapytała o rozkład jazdy jednego z autobusów. A ja? — Wzdycham i na moment milknę, by jakoś ubrać w słowa to, co właśnie chcę mu powiedzieć. — Wiesz, piętnaście lat to strasznie głupiutki wiek — silę się na żart i nieco zbaczam z tematu. — Codziennie rano, wychodząc z domu do szkoły, obowiązkowo miałam na nosie okulary. Rodzice by mi nie

darowali, gdyby się dowiedzieli, co wtedy wyczyniałam — dorzucam, uśmiechając się na wspomnienie czasu, który nigdy nie wróci. — Nie znosiłam ich. Okularów, rzecz jasna — wyjaśniam naprędce. — Bo koleżanki i koledzy śmiali się ze mnie, że wyglądałam w nich jak jakaś profesorka. Inni, bardziej złośliwi, nazywali mnie ciotką Klotką, a jeszcze inni okularnicą. Nie cierpiałam, kiedy się tak nade mną pastwili. Dlatego, jak już wspomniałam, wychodziłam z domu w okularach, ale w drodze na przystanek zdejmowałam je i chowałam do plecaka. Zwyczajnie chciałam sobie oszczędzić przytyków i przezwisk, które tak bardzo mnie irytowały. Co z tego, że niedowidziałam, nawet siedząc w pierwszej ławce? To nic, że łąpałam przez to gorsze oceny. Ważne, że moi rówieśnicy dali mi wreszcie święty spokój.

Milknę na moment i spoglądam na Maksa. Wydaje się przejęty i chyba jest mu wstyd jeszcze bardziej niż na samym początku, gdy odkrył, co nawyczyniał.

— Wracając do tej staruszki... — kontynuuję mimo wszystko. — Kiedy powiedziałam jej, że nie widzę, zaczęła na mnie krzyżeć. Wrzeszczała, że jestem niewychowana, a nawet wygrażała mi laską. „Taka młoda”, nie kryła oburzenia, „a starej babie chce wmówić, że ślepa”. Narobiła mi obciachu na oczach młodzieży, która, podobnie jak ja, podróżowała do szkoły autobusem. Poza tym do tej jej nieszczęsnej paplaniny przyłączyło się jeszcze kilku niezadowolonych przechodniów, którzy ją w stu procentach popierali, krzyżąc i wyklinając *dzisiejszą młodzież*.

— Bardzo mi przykro — mówi nagle i zatrzymuje mnie w miejscu. Jednak nie robi tego tak agresywnie jak za poprzednim razem. Jest zdecydowany, ale delikatny. — I szczerze cię przepraszam.

Zaskakuje mnie. Nie sądziłam, że facet jego pokroju jest zdolny przyznać się do błędu. Nie przypuszczałam nawet, że w jego słowniku istnieje to stare jak świat słowo.

— Chodź — mówi, a potem bierze mnie pod ramię i prowadzi do zaparkowanego nieopodal samochodu. — Zaraz wszystkiemu zaradzimy — dorzuca, co nie do końca rozumiem. — W ramach przeprosin i rekompensaty — dodaje jeszcze, czego nadal zupełnie nie pojmuję.

A jednak nie pytam, o co tak właściwie mu chodzi, bo jestem pewna, że zaraz się tego dowiem. I tak też się staje, choć muszę na to chwilę poczekać.

Pierwsza lampka zapaliła mi się w głowie, gdy zaraz po wejściu do auta Maks do kogoś zadzwonił. Nie wiem, z kim rozmawiał, ale zdawał się dobrze znać tę osobę. W dodatku prosił ją o przysługę. Trudno było wywnioskować jednoznacznie, czego ma dotyczyć owa przysługa, ale między wierszami wyczytałam, że chodzi o jakąś konsultację lekarską. Niemniej dopiero gdy zajechaliśmy na miejsce, a moim oczom ukazał się świetlny neon z nazwą kliniki okulistycznej, dotarło do mnie, co sobie zaplanował.

— Powiedz, że żartujesz.

Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, czym zajmuje się ta sławna na całą Polskę klinika. Weszłam kiedyś na jej stronę i zapoznałam się z cennikiem usług. Za kilka, a nawet kilkanaście tysięcy złotych można skorygować nawet głęboką wadę wzroku. Problem w tym, że ja nie dysponowałam taką gotówką.

— A widzisz, żebym się śmiał? — odpowiada jedynie, a potem wychodzi z auta, otwiera przede mną drzwi i znów podaje mi ramię, zupełnie jakbym nie potrafiła się obejść bez jego pomocy. Muszę przyznać, że go wzięło, nie na żarty.

— Nie musisz tego robić — zapewniam, kiedy stoję na chodniku.

— Ale chcę.

— Tylko że ja nie chcę jeszcze bardziej powiększać swojego długu. Nie rozumiesz tego? — upieram się, a nawet próbuję zatrzymać go w miejscu, ale jest silniejszy ode mnie i już ciągnie mnie do wejścia.

— Obiecuję, że nie będziesz mi niczego dłużna.
— Co ty pieprzysz? — Jakimś cudem udaje mi się zatrzymać w połowie drogi. — Masz mnie za aż tak głupią, że myślisz, że nie wiem, ile to kosztuje?
— Nie powiedziałem, że jesteś głupia.
— Ale tak uważasz!
— Wcale nie. I nie kłóć się ze mną dłużej, bo i tak przegrasz tę nierówną walkę — kwituję nagle z dobrze mi już znanym uporem, a potem znów ciągnie mnie w stronę przeszkłonych drzwi.
— Jesteś... jesteś... — Szukam właściwego epitetu, który, mam nadzieję, do niego dotrze. Ale zanim go znajduję, Maks zatrzymuje się nagle i mnie całuje.
Znów mnie zaskakuje, zupełnie jak moja własna reakcja. Mięknę pod wpływem tego pocałunku i staję się zupełnie bezbronna, choć sekundę wcześniej miałam przemożną ochotę na kolejną bitwę. Nie tylko słowną, co wprawia mnie w zdziwienie.
— Chodźmy już. — Przerywa nagle i uśmiecha się łagodnie. — Czekają na nas.
Nie mam siły dłużej się bronić czy spierać. Właściwie nie mam nawet ochoty, by to robić. A wszystko przez jeden głupi pocałunek, którym mnie tak zaskoczył. Nie po raz pierwszy zresztą tego wieczora. Muszę jednak przyznać, że ten pocałunek znacząco różnił się od poprzedniego.

Maksymilian

— Kim jest osoba, dla której wzywasz mnie po nocy? — pyta Andrzej, kiedy wreszcie wchodzimy do jego gabinetu.

Andrzej Kwiatkowski, nazywany przeze mnie Kwiatkiem, a przez moją siostrę Andrew, jest byłym mężem Marietty. Była z nim ponad pięć lat. Nie do końca wiem, o co im poszło, ale pewnego dnia oboje zgodnie stwierdzili, że to koniec. Rozstali się w zgodzie, choć łączące ich relacje trudno nazwać przyjaźnią. Szanują się wzajemnie, ale się unikają, a wręcz od siebie stronią. Szkoda, bo nadal uparcie wierzę, że są dla siebie stworzeni.

— To moja dziewczyna, Maja.

Widzę zaskoczenie malujące się na jej twarzy, ale mam nadzieję, że właśnie teraz nie zechce wyprowadzać nikogo z błędu. Zwłaszcza Andrzeja, który nie musi znać prawdy. Mam w tym swój interes. Uważam, że dla mojej dziewczyny postara się bardziej, choć w zasadzie nie mogę mu nic zarzucić. Mój szwagier ma naprawdę świetną opinię jako specjalista, a lista pacjentów oczekujących na konsultację właśnie u niego stale rośnie. Jak więc miałbym mu nie ufać?

— Witaj, Maju — mówi i podaje jej dłoń. — Co cię do mnie sprowadza?

— Właściwie...

— Chciałbym, żebyś zajął się jej oczami. W trybie natychmiastowym — wyjaśniam za nią i mrugam porozumiewawczo.

— Zmieniłeś się, Maks — odpowiada Andrzej. — Zmężniałeś, może nawet wydorostałeś — dorzuca, puszczając do mnie oko. — Ale jedno pozostało bez zmian. Zawsze byłeś niecierpliwy i nie potrafiłeś usiedzieć na miejscu. A wszystko, co robiłeś, chciałeś mieć na już, na zaraz, na teraz.

To akurat prawda i wcale nie uważam tego za wadę. Niemniej zdaję sobie sprawę, że bycie niecierpliwym ma zarówno plusy, jak i minusy. W opinii niektórych osób ludzie, którzy są w gorącej wodzie kąpani, popełniają w tym swoim pośpiechu błędy. Mnóstwo błędów. Oczywiście zgadzam się z tym. Kto ich nie popełnia? Ale jest coś, co moim zdaniem to rekompensuje. W mojej ocenie raptusy — tak niejednokrotnie nazywali mnie siostra ze

szwagrem, gdy znajdowałem się pod ich opieką — są ludźmi bardzo ambitnymi i dążącymi bezwzględnie do celu, przy okazji osiągającymi większe sukcesy niż inni. Wynika to także z ich nierzadko większego zaangażowania i poświęcenia. Sam jestem na to żywym dowodem.

— Jeśli mi na czymś bardzo zależy, po prostu do tego dążę — odpowiadam jedynie.

„I to osiągam” — dodaję w myślach.

— Na czymś? — Andrzej uśmiecha się i unosi znacząco brew.

Wiem, co insynuuje. I w zasadzie trudno mu się dziwić. Ściągam go do kliniki późnym wieczorem, przywożę dziewczynę, którą przedstawiam mu jako swoją laskę. Jak więc miałby pomyśleć inaczej?

Nie odpowiadam na jego wymowną zaczepkę. Spoglądam jedynie na Maję, która wydaje się zakłopotana całą rozmową.

— No dobra, zakochańce — mówi naraz Kwiatek. Muszę przyznać, że dość dużo tych słodkich określeń jak na jeden wieczór: jak nie „gołąbeczki”, to teraz jeszcze to, ale dla dobra sprawy przeboleję. Żeby naprawić błąd, jaki popełniłem, jestem gotowy nawet na takie poświęcenie. — Zaczynajmy, bo chyba żadne z nas nie ma ochoty siedzieć tu do rana.

* * *

Maja po serii badań — muszę przyznać, że to wszystko trwało naprawdę długo, bo przeszło dwie godziny — wygląda na wykończoną.

— Nie ma przeciwwskazań do wykonania zabiegu — oznajmia Andrzej, zapisując coś w karcie, którą wcześniej założył swojej nowej pacjentce. — Metoda, której użyjemy, jest jedną z najmniej inwazyjnych, jakie stosuje się w tego typu schorzeniach.

— To znaczy, że nie ma żadnego ryzyka? — odzywa się niepewnie Maja.

— Ryzyko zawsze jest.

Spoglądam na Andrzeja, jakbym mu chciał powiedzieć, żeby puknął się w czoło. Ale wiem, że to i tak niczego by nie zmieniło. Jest lekarzem i ma obowiązek mówić prawdę. Niemniej uważam, że mógłby to zrobić jakoś bardziej subtelnie. Przecież gołym okiem widać, że dziewczyna się boi. A z tego, co już wcześniej się zorientowałem, te laserowe metody są naprawdę niezawodne i w pełni bezpieczne.

— Czy to oznacza, że mogę oślepnąć? — pyta Maja, głośno przełykając ślinę.

Andrzej tylko uśmiecha się szeroko i zaraz wyjaśnia:

— Powiem tak: w mojej karierze zawodowej nigdy nie było takiego przypadku. Czasem zdarzają się problemy innej natury...

— Co na przykład?

— A chociażby to, że pacjent tak bardzo stresuje się zabiegiem, że w jego trakcie skoczy mu ciśnienie. Wówczas pojawiają się problemy, które, tak czy siak, zawsze zostają opanowane.

Widać, że Maja odetchnęła z ulgą. I dobrze, bo nie chciałbym, żeby wycofała się na tym etapie. To cud, że tak charakterna osóbką jak ona w ogóle dała mi się namówić na coś takiego. Może to zasługa tego niespodziewanego pocałunku, którym skutecznie ją uciszyłem, gdy próbowała oponować? A może zwyczajnie postanowiła skorzystać z mojej nagłej słabości i nadarzającej się okazji? Całkiem możliwe, bo koszt metody, którą wybrał dla niej Andrzej, wynosi kilkanaście tysięcy złotych, a jej nie stać na jego pokrycie. Mnie — owszem. Jednak nie mam jej tego za złe.

— A nie możemy najpierw spróbować na jednym oku? — pyta dziewczyna.

W zasadzie ma rację. Przyznaję, to bezpieczniejsza opcja, choć przecież Andrzej zapewniał, że w jego rękach nie grozi jej ślepotą, a i ja nie miałem powodów, żeby mu nie ufać. Niemniej gdyby to miało ją uspokoić, to jestem za.

— Chcesz przechodzić przez to dwa razy? — pyta ją wówczas mój szwagier. — Podwójny stres, podwójna rekonwalescencja?

— Rekonwalescencja? — Maja po nim powtarza. Wydaje się taka zagubiona.

— Tak. Po zabiegu należy szczególnie dbać o oczy, zwłaszcza przez pierwsze dwa tygodnie. Całkowite zagojenie następuje po wielu miesiącach, a to z kolei wymaga od pacjenta poświęcenia i odpowiedniej pielęgnacji — wyjaśnia, a potem wymienia krok po kroku, co będzie jej wolno robić, a czego nie, z czego będzie musiała zrezygnować na początku, a co pozostanie bez zmian, jak przed zabiegiem.

Muszę przyznać, że sporo tych rad i zaleceń.

Słucham wywodu Andrzeja, ale też przyglądam się siedzącej obok mnie dziewczynie. Stresuje się, co mnie zupełnie nie dziwi. Niemniej jestem pewien, że za jakiś czas zapomni o strachu i wreszcie będzie mogła w pełni cieszyć się życiem. A ja, mimo że nawet jeszcze nie ustaliliśmy daty zabiegu, czuję się dziwnie zadowolony, że mogę jej pomóc.

Moja babcia nie miała takiego szczęścia. Niedomagał jej wzrok, ze słuchem też nie było najlepiej. I o ile, według opinii lekarzy, słabnący z latami wzrok był normą, o tyle niedosłuch niekoniecznie. Babcia potrzebowała aparatu. Niestety nie było jej na niego stać. Udawała, że się tym nie przejmuje, ale prawda była taka, że mocno ją ta sytuacja dotykała, a chwilami bywało naprawdę niebezpiecznie. Kiedyś omal nie potracił jej rowerzysta. Nie usłyszała, jak nadjeżdża, i mało brakowało, a wpadłaby wprost pod koła rozpędzonego roweru. Poruszający się nim facet krzyknął na nią w ostatniej chwili, na szczęście na tyle głośno, że zdołała odskoczyć. Właściwie wpadła na przydrożny słup i poobijała się lekko, co dla osoby w podeszłym wieku było dość ryzykowne. Ale siniaki zeszły w miarę szybko, a najważniejsze, że babcia oprócz stłuczeń nie doznała poważniejszych obrażeń. Fizycznie jakoś do siebie doszła, ale psychicznie od tego feralnego zdarzenia nie było z nią dobrze. Miała lęki, bała się sama wychodzić z domu. Aż serce się krajało, gdy patrzyło się na bezradność, która ją dopadła. Mnie także było jej żal. Wtedy bowiem byłem jeszcze biednym jak mysz kościelna zasmarkanym dzieciakiem. I nijak nie mogłem jej pomóc.

Dziś mogłem za to pomóc, choć nie babci, ale Mai.

— To jak będzie? — Z zamyślenia wyrывa mnie pytanie Andrzeja.

— Nie wiem — odpowiada Maja, a potem spogląda na mnie.

— Jeśli chodzi o koszt, to tym się nie zajmuj — zapewniam ją po raz kolejny. — Twoim zadaniem jest jedynie wyrazić zgodę na przeprowadzenie zabiegu.

— A mogę to jeszcze przemyśleć?

Trudno mi uwierzyć, że nadal ma jakieś obiekcje, ale nie naciskam. Nie znam jej zbyt dobrze, choć poznałem ją już na tyle, by wiedzieć, że nie należy jej do niczego zmuszać. Postawiona pod ścianą potrafi pokazać, jak bardzo jest uparta. Lubi też udowodniać, że nie można nią rządzić, choć mnie dotąd jakoś się to udawało. Może i tym razem mi się poszczęści?

— Oczywiście — odpowiada Andrzej, uśmiechając się do mnie nieznacznie.

— Dziękuję, panie doktorze. — Maja nagle wstaje i podaje Andrzejowi rękę, a ten ją ściska.

Ja również żegnam się ze szwagrem, po czym oboje z dziewczyną wychodzimy z gabinetu.

— Nie dręcz mnie, proszę — mówi, gdy sięga po swój płaszcz. Zupełnie jakby przeczuwała, że będę na nią naciskał.

— Nie zamierzam — odpowiadam, po czym pomagam jej go włożyć. — Ale mam nadzieję, że nie przekreśliłaś tej sprawy na starcie.

Nie odpowiada. Wygląda na strapioną.

Postanawiam dać jej czas. Tylko tak będę w stanie ją nakłonić do zrobienia kroku, który niewątpliwie na zawsze odmieni jej życie.

CHOMIKO - WARNIA

Rozdział 11.

Maja

Mam mętlik w głowie. Wiem, że taka okazja może się nie powtórzyć, ale męczy mnie myśl, że dzięki pomocy, jaką oferuje mi Maks, mój dług wobec niego powiększy się o kolejne kilkanaście tysięcy. Obawiam się, że nigdy nie będzie mnie stać na jego spłatę, zwłaszcza że forma odpracowywania go nie wydaje mi się adekwatna do jego wysokości. Mam przecież udawać jego dziewczynę, co zresztą czynię od dwóch tygodni. Myślę, że za taką usługę nie dostaje się aż tak wysokiego honorarium.

Szkoda, że w internecie nie można znaleźć o tym żadnych informacji...

— Wyglądasz na zmęczoną — oznajmia Maksymilian, gdy pokonujemy windą już ostatnią prostą dzielącą nas od naszych mieszkań.

— Jestem zmęczona — poprawiam go. — To był dzień pełen wrażeń — dodaję, próbując ukryć przed nim przeciągłe ziewnięcie.

— To prawda. — Maks kiwa głową i uśmiecha się do mnie, na co marszczę nos.

Kiedy wreszcie wjeżdżamy na górę i stajemy pod drzwiami naszych mieszkań, kątem oka, przez uchylone drzwi, które wiodą do mieszkania Maksa, zauważam kobietę. Jest dystyngowana i piękna — zdążam to dostrzec, zanim cofam się o krok, pragnąc pozostać niezauważoną. Siedzi w salonie, na jednej z dwóch kanap ustawionych pod ścianą. Wycofuję się zatem jeszcze głębiej, do tyłu. Nie zamierzam się ujawniać. Uznaję, że nie wypada.

— No nareszcie — odzywa się nieznajoma, a w jej głosie wyczuwa się nutę pretensji. Żadnego „cześć” czy zwykłego „dzień dobry”. — Kazałeś na siebie tyle czekać, że, zdaje się, przyrosłam już do tej sofy.

— Nie przypominam sobie, żebyśmy byli umówieni — odpowiada Iwański. Nie wydaje się zachwycony widokiem niespodziewanego gościa. — A może o czymś zapomniałem?

„Całkiem możliwe” — myślę. „W końcu ostatnio zarówno w moim życiu, jak i jego tak wiele się dzieje”.

— To już nie można ci zrobić niespodzianki?

Hm, robi się coraz ciekawiej...

Widzę, jak Iwański zerka na zegarek. Też rzucam okiem na tarczę zegara wiszącego na jednej ze ścian. Dochodzi trzecia nad ranem, a to budzi moją ciekawość. Kim jest kobieta, którą stać na takie poświęcenie, by czekać na faceta do rana? Czyżby...

— Mogłaś zadzwonić — upomina ją Iwański.

— Wtedy nie byłoby niespodzianki. Poza tym telefon mi padł, a zapomniałam spakować ładowarkę.

Podobnie jak Maks, zerkam na jej bagaż.

To chyba coś poważnego, a kobieta, która zdaje się od niego sporo starsza, prawdopodobnie jest jego kochanką. Wszystko na to wskazuje i nie wiem dlaczego, ale drażni mnie ta myśl. Mieliśmy przecież umowę. Dopóki Maks nie podpisze kontraktu z Johanssonami, oboje musimy grać zakochanych i nie możemy się spotykać z nikim innym. Tak, Maks bardzo na to nalegał. Tymczasem taka sytuacja.

— O Chryste... — odzywa się nagle. Jego kochanka właśnie mnie zauważa.

Że też musiałam się za bardzo wychylić.

Maks robi krok do przodu i staje z boku, przez co zupełnie tracę kryjówkę.

— Czyli że zjawiam się nie w porę? — pyta, a właściwie stwierdza nieznajoma, przez

cały czas przyglądając mi się wnikliwie.

— To Maja. Moja... — W głosie Iwańskiego słychać wahanie, więc przejmuję inicjatywę. Przyznaję, robię to trochę z przekory. Nie znoszę bowiem, gdy ktoś stawia mnie w tak niezręcznej sytuacji. Nigdy nie byłam i nie zamierzam być tą drugą, nawet tylko na papierze, jakkolwiek trywialnie to właśnie zabrzmiało.

— Jestem jego dziewczyną — mówię pewnym siebie głosem.

Niewątpliwie go zaskakuję. Nie tylko jego zresztą. Kobieta wygląda, jakby połknęła żabę. Zresztą mnie również, po czasie, którego niestety nie da się już cofnąć, zaskakuje własne wyznanie. W zasadzie nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Z przekory czy raczej po to, żeby im obojgu utrzyć nosa? Bo przecież, do diaska, nie jestem o niego zazdrosna!

No nic, skoro mleko się już rozlało...

— O Chryste... — powtarza ta, muszę przyznać, pełna elegancji, wytworna kobieta.

— Płyta ci się zacięła, siostrzyczko?

Siostrzyczko? Przełykam głośno ślinę, a pewność siebie wnet mnie opuszcza.

„Co ja narobiłam?” — myślę gorączkowo.

— Normalnie nie wierzę. — Tym razem kobieta zwraca się bezpośrednio do mnie. — Maks tyle razy zapierał się, że z nikim się nie zwiąże na poważnie. A tu tymczasem taka niespodzianka.

— Marietta!

W głosie MOJEGO SZEFA pobrzmiwa ostrzegawcza nuta, a to nie wróży nic dobrego. Wiem, jaki bywa złośliwy, kiedy doprowadza się go do ostateczności. Pokazał mi to wielokrotnie, i to w tak krótkim czasie.

— Jak słusznie zauważył mój młodszy brat, mam na imię Marietta. — Jego siostra nagle podchodzi do mnie bliżej i uśmiechając się serdecznie, podaje mi dłoń. — Nawet nie wiesz, jak miło cię poznać, Maju.

— Wzajemnie — odpowiadam, bojąc się nawet spojrzeć na Maksa, który nagle nabrał wody w usta.

Jest gorzej, niż przypuszczałam.

* * *

„Sama tego chciałaś, głupia!” — besztam się w myślach, jednocześnie pakując swoje ubrania do walizki.

Naprawdę znalazłam się w tarapatkach. I to przez własną głupotę. Gdybym tylko zdołała się powstrzymać i zaczekała, aż Maks sam przedstawi mnie... siostrze. Tak, Marietta, którą początkowo wzięłam za kochankę Iwańskiego, okazała się jego rodzoną siostrą.

Ależ się wygłupiłam...

Wrzucam do torby ostatnie rzeczy i bezsilnie kłapię na łóżko. Nie mam ochoty na tę „podmianę”, ale ona się uparła. Marietta powiedziała, że nie wypada, żeby to właśnie ona mieszkała z bratem i korzystała ze wszystkich wygód, jakie ma do zaoferowania jego wypasiony apartament, podczas gdy jego dziewczyna zajmuje raptem kawalerkę. Próbowałam ją przekonać, że tak jest dobrze, że niczego mi tutaj nie brakuje, ale w ogóle nie chciała słuchać. W dodatku zbesztala brata, niczym nieopierzonego dzieciaka, wytykając mu brak rozumu i takie tam.

Oj, coś czuję, że mi się za to oberwie. W końcu sama nas w to wpakowałam.

Maksymilian

Nie znoszę, kiedy Marietta mi matkuje, co właśnie robi. A jeszcze bardziej nie lubię, jak

wywleka moje prywatne sprawy, zwłaszcza gdy przy okazji nazywa mnie baranem. Tak, kiedy dowiedziała się, że Maja mieszka obok, a nie razem ze mną, wyzwala mnie od baranów, osłów, dzięki Bogu pomijając inne kopytne samce. Z całej tej zgrai zwierząt, których nazwy znalazły się w słownictwie określającym ludzkie wady, chyba nie zniósłbym jelenia. Tak, jeleni kojarzył mi się najgorzej.

— Jak długo zamierzasz zostać? — pytam wprost, kiedy zostajemy sami i nadarza się okazja do swobodniejszej rozmowy.

— Uprzejmy jak zawsze — odpowiada, gmerając coś w swoim iPhone, który już zdążyła podłączyć do mojej ładowarki. — Nie wiem... Kilka dni, może tydzień.

A więc przyjechała na dłużej. To trochę komplikuje sprawę, zwłaszcza w sytuacji, w której się we troje obecnie znaleźliśmy. Na wyraźne życzenie mojej siostry Maja miała przeprowadzić się do mnie, a Marietta zająć jej mieszkanie. Aż boję się pomyśleć, co na to *moja dziewczyna*. Ale w zasadzie to jej wina, więc liczę, że nie będzie się o to awanturować, gdy tylko zostaniemy sami. Swoją drogą wciąż się zastanawiam, co ją podkusiło, żeby wyskoczyć do Marietty z czymś takim.

— Dlaczego mi o niej nie powiedziałeś? — docieka Mari, nadal buszując w swoim telefonie. Jest od niego uzależniona bardziej niż ja, a pamiętam, że gdy byłem nastolatkiem, stale się mnie o to czepiała. Andrzej zresztą także, mówiąc, jak na lekarza okulistę przystało, że popsuję sobie wzrok.

— Bo wiem, jaka jesteś.

— No wiesz?! — obrusza się. — Powiedziałeś o Mai Andrzejowi, a przed własną siostrą zamierzałeś ją ukrywać?

Teraz już wszystko jasne, z kim tak czatuje. Nadal nie rozumiem, dlaczego tych dwoje się rozstało. Wciąż ich do siebie ciągnie, choćby z przekory, która w ich związku była niegdyś szczyptą pikanterii. Oboje tylko udają, że nic ich nie łączy. Widać, jak bardzo im siebie brakuje, chociaż żadne nie powie tego wprost. Ale ja tam swoje wiem.

— Nie zamierzałem ci nic mówić, dopóki sam nie będę pewien, czy to na tyle poważne, by się tym chwalić — silę się na tandetne kłamstwo.

Marietta, odkąd przed laty popełniła straszny błąd, oszukując swojego męża, zaczęła sama brzydzić się kłamstwem równie mocno jak samymi kłamcami. Uznaję więc, że nie powinienem mówić jej prawdy, mimo że wie, iż od lat ubiegam się o kontrakt z Johanssonami. Myślę, że nie zrozumiałaby.

— Żartujesz? — właściwie to bardziej stwierdza, niż pyta. — Kwiatek pisze, że przyprowadziłeś do niego tę dziewczynę na konsultację. Mam więc uwierzyć, że nie jesteś jej pewien?

Ja pierniczę. Czy przed nią nic nie da się ukryć?

Pogadam sobie o tym z Andrzejem, zwłaszcza że chyba naruszył właśnie jedną z najważniejszych lekarskich zasad. Wydaje mi się, że złamał tajemnicę lekarską, opowiadając o Mai mojej siostrze.

— A widzisz coś złego w pomaganiu innym?

Nie odpowiada, ale minę ma taką, że lepiej nie mówić. Nie wierzy mi, czym coraz bardziej mnie wkurza.

— Dobra, dość strzępienia języka po próznicy — oświadczam. — Idę po swoją dziewczynę — podkreślam wymownie, a potem znikam w korytarzu.

Tak naprawdę mam ochotę zostać sam, ale obawiam się, że chwilowo jest to niemożliwe. Uznaję więc, że towarzystwo Mai będzie mniej absorbujące niż spędzanie czasu z siostrą. Zwłaszcza sam na sam. Wtedy Marietta bywa naprawdę nieznośna i upierdliwa. Zupełnie jak

teraz, gdy zasypuje mnie raz po raz swoimi nieuzasadnionymi pretensjami.

Zatrzymuję się na moment pod drzwiami mieszkania, w którym tymczasowo mieszka moja przyszywana dziewczyna. Mam nadzieję, że jest już gotowa na przeprowadzkę. Podobnie jak ja nie wyglądała na zachwyconą, kiedy moja siostra z tym wyskoczyła. Wierzę, że nie oświadczy mi naraz, że rezygnuje i odchodzi, zwłaszcza że pomimo niezbyt udanego wieczoru Johanssonowie chyba połknęli haczyk. Lars napisał do mnie wiadomość, w której wypytywał o stan zdrowia mojej narzeczonej, życzył jej szybkiego powrotu do zdrowia i podpytywał o kolejne rychłe spotkanie. We czworo, rzecz jasna. Nie mogła więc właśnie teraz mnie zostawić samego w tym naszym przedstawieniu, zwłaszcza że byłem bliski osiągnięcia celu.

Pukam wreszcie do drzwi i czekam, aż mi otworzy. Mógłbym zrobić to sam, ale nie chcę jej drażnić. Po chwili słyszę jej kroki, a następnie staje w progu. Patrzy na mnie nieodgadniętym wzrokiem. Tak jak przypuszczałem, jest na mnie zła, co w dalszym ciągu wydaje mi się nieuzasadnione. Przecież sama się w to wpakowała. A może wciąż boczy się na mnie o cały wieczór, który okazał się jednym wielkim pasmem porażek?

— Mogę wejść? — pytam, na co Maja otwiera szerzej drzwi i wpuszcza mnie do środka. — Jesteś na mnie zła?

— Raczej na siebie — wyznaje cicho.

Czuję ulgę, że już przeszła jej wcześniejsza złość. W zasadzie z perspektywy czasu muszę przyznać, że miała kilka powodów, by się na mnie wkurzyć. Najpierw zabrałem jej okulary, bez których niewiele widziała, potem ją pocałowałem wbrew jej woli, a następnie zjadła posiłek, na który była uczulona, co po części także było moją winą. Co prawda nadal twierdzę, że nie do końca ponoszę odpowiedzialność za tę sytuację, ale próbuję być obiektywny, a nawet staram się ją zrozumieć. Podczas tej naszej krótkiej, choć niezwykle burzliwej znajomości wyrobiłem już sobie o niej opinię i wiem, że jest bardzo honorowa, czym niewątpliwie zyskuje w moich oczach. Wiem też, że przemilczała pewne kwestie, co doceniam, oraz że się nie skarżyła, a nawet z godnością przyjęła moją *propozycję nie do odrzucenia* — właściwie postawiłem ją pod ścianą, więc nie miała innego wyjścia — co naprawdę czyni ją w moich oczach wyjątkową.

Chyba właśnie dlatego, że tak bardzo zmieniłem o niej zdanie, liczę, że nasze relacje nieco się ocieplą i że odrobinę się do siebie zbliżymy. W tej chwili jednak już aż tak bardzo mi nie zależy, żeby zaciągnąć ją do łóżka. Oczywiście, że nie miałbym nic przeciwko, ale zdecydowanie bym wolał, żeby sama tego chciała. Zupełnie jak tego drugiego pocałunku, którym to zamknąłem jej usta. Tak, ten z pewnością różnił się od pierwszego. Był bardziej namiętny. I jej także sprawił przyjemność. To było naprawdę niezwykle doznanie.

„Chyba się starzejesz, chłopie” — myślę, odpychając od siebie te idiotyczne rozważania. Przecież nigdy nie byłem ani romantyczny, ani tym bardziej sentymentalny, skąd więc we mnie nagle takie przemyślenia?

— Przepraszam, że tak głupio wypaliłam z tą... — Maja robi palcami cudzysłów, po czym dodaje: — dziewczyną.

Nie odpowiadam, tylko w oczekiwaniu na więcej unoszę jedną brew.

— Narobiłam nam kłopotów. Myślałam, że twoja siostra... — wzdycha. — Wzięłam ją za kogoś innego — dorzuca zakłopotana.

— Pomyślałaś, że Marietta jest moją kochanką?

Wprost nie mogę w to uwierzyć. A już tym bardziej w pobudki, jakie kierowały tą dziewczyną, gdy zdecydowała się na odgrywanie tego przedstawienia przed nieznaną, która w rzeczywistości była moją rodzoną siostrą. Wszystko bowiem wskazywało na to, że zrobiła to celowo.

Przeglądałam się jej uważnie. Nic nie mówi, choć odpowiedź ma wypisaną na twarzy. A ta

z pewnością mi się nie spodoba. I nadal trapi mnie jedna myśl: skoro Maja wzięła Mari za moją kochankę, dlaczego postanowiła jej powiedzieć o *nas*? Przecież to niedorzeczne.

— Jesteś zazdrosna? — pytam wprost, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy.

— Nie schlebiaj sobie — odpowiada, uciekając wzrokiem. — Mam za sobą ciężki dzień — zaczyna kręcić. — A kiedy jestem zmęczona, nie myślę racjonalnie i czasem zdarza mi się zrobić coś głupiego. Nie ma w tym nic więcej.

To, co mówi, jest nawet logiczne. Dlaczego więc nie wierzę w ani jedno jej słowo? Ściemnia, jestem tego niemal pewien. A robi to, żeby jakoś wyjść z twarzą z tego, co nawyczyniała. Nie zamierzam jednak dłużej drażnić tematu.

— No dobra! — Klaszczę w dłonie. — Gotowa? — Zdaje się, że nie rozumie, co mam na myśli, bo patrzy na mnie wyczekująco, więc doprecyzowuję: — Pytałem, czy wzięłaś wszystko. — Spoglądam na jej wypchany bagaż. — Bo chyba już czas na tymczasową przeprowadzkę.

— Ach tak. Raczej nie mam wyjścia.

Pomagam jej z walizką i po chwili oboje wracamy do mojego apartamentu. Marietta już od progu przygląda się nam z zaciekawieniem. Znam ten wzrok i nie podoba mi się ani trochę. Kiedy w przeszłości tak na mnie patrzyła, zawsze były z tego kłopoty. Wtedy na ogół próbowała mnie swatać.

A teraz jeszcze w taki sam sposób patrzy na Maję, zapewne jak zwykle rojąc sobie w głowie Bóg wie co. Problem w tym, że Marietta nie ma pojęcia, że to wszystko jest zwykłą ułudą, kontraktem wiązany, niczym więcej. Że nasz związek jest po prostu udawany.

— Napijcie się ze mną wina? — zagaduje nas, obracając w dłoniach napełniony do połowy kieliszek.

— Nie sądzisz, że to niewłaściwy moment? — odpowiadam pytaniem, pokazując na zegar, który wskazuje kwadrans do czwartej. — Mamy za sobą ciężki dzień. W dodatku Maja bierze leki...

— Jesteś chora? To coś poważnego? — Moja siostra naraz zasypuje ją gradem pytań. Cała ona.

— To nic takiego — odpowiada skromnie Maja i zerka na mnie, jakby nie była pewna, czy powinna o tym mówić. Kiwam więc nieznacznie głową, a ona kontynuuje: — Mam uczulenie na pewne produkty i przypadkiem zjadłam jeden z nich.

— O Jezu... Słyszałam o przypadkach, że ludzie umierali po zjedzeniu czegoś, co zawierało alergen. — Marietta lustruje ją od stóp do głów. — Mam nadzieję, że już nic ci nie jest — dorzuca jeszcze i przygląda się jej z coraz większym, wręcz matczynym przejęciem.

Jak ona mnie denerwuje takim zachowaniem. Oboje z Mają nie jesteśmy już dziećmi. A i Mari nie jest naszą matką.

— Maja jest w dobrych rękach — zapewniam, obejmując lekko zdeorientowaną dziewczynę.

— Oczywiście, braciszku. W najlepszych. No cóż. — Marietta wreszcie odstawia kieliszek z winem na blat stołu. — Pójdę zatem. Do siebie — dodaje wymownie, podnosi się i mruga do mnie porozumiewawczo.

A ja? Cóż, nie mogę uwierzyć, że pomimo upływu lat nadal się tak zachowuje.

Ale rodziny się nie wybiera.

Rozdział 12.

Maja

— Powiedz, że żartujesz! — skrzeczę.

Szczerze na to liczę, bo to, co mi właśnie oznajmił, nie mieści mi się w głowie. Nie zamierzam spać z nim w jednym łóżku tylko dlatego, że jego siostra ma klucze do apartamentu i może tu przyjść w każdej chwili.

— Niestety nie — mówi to tak spokojnie, że nie mieści mi się to w głowie. — Chyba nie muszę ci przypominać, że to ty nas wpakowałaś w te kłopoty?

— Masz absolutną rację — sarkam, bo nie umiem się powstrzymać. — Ale teraz uważam, że mogę to naprawić.

Co prawda mam już na sobie piżamę, ale nawet ona nie powstrzyma mnie przed pójściem do mieszkania obok i odkręceniem wszystkiego.

— Hej! — Maks łapie mnie za łokieć i zatrzymuje w miejscu, gdy staram się go wyminąć. — Nie bój się. Obiecuję, że nic ci nie zrobię. No, chyba że sama mnie o to poprosisz — dodaje z szelmowskim uśmiechem i spogląda na moje bose stopy, a potem ślizga się wzrokiem po moich łydkach i udach, odzianych w bawełniane szorty. I wciąż nie przestaje się do mnie szczyrzyć.

— Śnij dalej — warczę. — Puszczaj. Idę porozmawiać z twoją siostrą.

— Polubiła cię — stwierdza Maks, nadal uparcie przytrzymując mnie w miejscu.

Nie chcę być niemila i mówić, że w zasadzie wcale mi na tym nie zależy, ale to prawda. Przecież ja nawet nie znam jej brata, z którym tylko udajemy parę, więc nie rozumiem, dlaczego miałyby mi zależeć na sympatii Marietty.

— Ale niestety ma również alergię na kłamców.

— Słuchaj... — mówię z westchnieniem. Nie chcę być grubiańska, ale uznaję, że przynajmniej powinnam być z nim szczerą. — Na ogół zależy mi bardziej i naprawdę cenię sobie opinie innych ludzi, ale dziś jest mi już wszystko jedno.

— Nie rób tego, proszę — dorzuca, kiedy wyswabdam rękę i ruszam w stronę wyjścia. — Jeśli Marietta powie o wszystkim Kwiatkowi...

— Komu? — Zatrzymuję się w połowie drogi. — Mówisz o tym okuliście? — podłapuję. W odpowiedzi kiwa głową.

— A co ma piernik do wiatraka? — Naprawdę już nic z tego nie rozumiem.

— Andrzej to były mąż mojej siostry.

— Do brzegu, Iwański — mówię zniecierpliwiona.

Zaskakuję go, gdy zwracam się do niego w ten sposób, ale nic mnie to nie obchodzi. Chcę wiedzieć, do czego zmierza. Tyle.

— Obawiam się, że jeśli oboje dowiedzą się, że ich oszukaliśmy, Andrzej pokaże nam drzwi.

— Słucham? — Normalnie nie wierzę. — To szantaż?!

— Nie. A już na pewno nie z mojej strony. Ale znam byłego szwagra. To zagorzały katolik. I konserwatysta. No i skoro przedstawiłem mu ciebie jako swoją dziewczynę, a do tego Marietta mu naopowiadała...

— Wiesz, gdzie mam ten... zabieg? — Czuję, jak wrę od środka. Nie znoszę, kiedy stawia się mnie pod ścianą. Oczywiście powoli oswajam się z myślą, że wreszcie będę dobrze widziała, ale nic na siłę.

— Przemawia przez ciebie złość i nie myślisz racjonalnie.

Fukam na niego, ale powoli tracę również pewność siebie. Krzyżuję ramiona na piersiach i przestępuję z nogi na nogę.

— Pomyśl o tym jeszcze raz, na spokojnie — dodaje, podchodząc do mnie bliżej. — Przegadajmy to w łóżku, okej?

Przełykam głośno ślinę. Jak tylko pomyślę, że za chwilę miałabym leżeć z nim w jednym łóżku, być może pod jedną kołdrą... To chyba nawet dla mnie zbyt wiele.

— Przyrzekam, że cię nie dotknę. Będziemy tylko rozmawiać — przekonuje mnie Maks.

— Przyrzekasz? — Chcę się tylko upewnić, a gdy kiwa głową, dodaje: — Bo jeśli nie, to, to...

— To co? — przerywa mi, jednocześnie chwytając mnie w pasie i przyciągając do siebie.

Wzrok mu płonie. I nie dzieje się tak z powodu gorączki czy innej przypadłości. Jest podniecony.

— Pożałujesz — chrypię. — Przyrzekam — dodaje ledwie słyszalnym, niepewnym głosem.

Chyba sama w to nie wierzę...

Maksymilian

— Idź do sypialni — mówię, kiedy ją puszczam. Już teraz wiem, że gdybym tylko pstryknął palcami, byłaby moja. — Ja muszę wziąć prysznic. Najlepiej zimny. — Mrugam do niej, po czym odchodzę.

Zanim się oddalę, zerkam ukradkiem przez ramię. Maja stoi w tym samym miejscu. Nie wydaje się przekonana.

Cóż, pozostaje mi wierzyć, że jednak jest inaczej.

Wchodzę do łazienki, zapalam światło i spoglądam w szklaną taflę. Moja twarz, to spojrzenie... Nie podoba mi się, ani trochę. Zwiastuje kłopoty.

— Nie zakocham się — mówię do własnego odbicia,

Bo o ile prawdziwa miłość istnieje, ja nie chcę jej doświadczyć. Nigdy. Bo nie zamierzam cierpieć. Dlatego uczucia staram się dzielić na łóżko i płynące z niego przyjemności. Tak, to jest moja prywatna definicja miłości.

Pozbywam się ubrań i wchodzę pod prysznic. Odkręcam kurek i reguluję temperaturę. Naprawdę potrzebuję ochłonać, więc tak jak zapowiedziałem, studzę ciało letnią wodą. Obawiam się jednak, że na nic zdadzą się moje zabiegi, bo mój fiut nie chce opaść. Napaliłem się na tę dziewczynę i naprawdę mam na nią ochotę. Pozostaje mi zatem mieć nadzieję, że i ona mnie zapragnie, bo nie wyobrażam sobie leżeć z nią w jednym łóżku, w dodatku w takim stanie.

Opuszczam kabinę, wycieram ciało ręcznikiem, który owijam sobie wokół bioder, po czym ruszam do sypialni. Już po drodze zauważam, że Mai nie ma w przestrzeni dziennej, więc istnieje szansa, że mnie posłuchała. Uśmiecham się pod nosem, gdy tylko przekraczam próg sypialni. Leży na brzegu łóżka, zwinięta w kłębek, nakryta kołdrą aż po samą szyję.

To słodkie, że myśli, iż w ten sposób mogłaby się przede mną uchronić. Gdybym tylko zapragnął zdobyć tę dziewczynę...

— Śpisz? — zagaduję, widząc, jak usilnie mruży oczy.

Nie odpowiada, na co jedynie kręcę z niedowierzaniem głową.

Zrzucam ręcznik, który ląduje pod moimi stopami, a następnie unoszę róg kołdry. To właśnie wtedy Maja otwiera oczy, które nagle z tych szczelinek robią się wielkości spodków.

— Oszalałeś?! — piszczy i... ląduje na podłodze.

Z szerokim uśmiechem obchodzę łóżko i pochylam się nad nią, żeby pomóc jej się jakoś pozbiierać.

— Zostaw mnie! — Odręca wystawioną do niej dłoń i odwraca głowę.

Jest taka dziecinna. I po raz kolejny muszę stwierdzić, że także przezabawna.

— Chciałem tylko pomóc.

— To lepiej załóż gacie — rzuca, niezdarnie gramoląc się na śliskiej podłodze.

Nie wytrzymuję. Wyszczierzam się jak idiota.

— Nie przywykłem do spania w ubraniu, ale jeśli tak bardzo ci to przeszkadza, zrobię wyjątek — tłumaczę, a potem podchodzę do komody i z górnej szuflady wydaję czyste bokserki.

Czuję na sobie, a właściwie na moich pośladkach, spojrzenie Mai. Dlatego nie umiem przestać się uśmiechać.

Kiedy „gacie”, jak to zmyślnie ujęła, lądują na moim tyłku, obracam się w stronę łóżka, po czym ruszam w jego stronę. Zatrzymuję się obok, na wprost stojącej po drugiej stronie dziewczyny. Maja wahanie ma wypisane na twarzy i wygląda, jakby w ogóle nie zamierzała się kłaść. Ma też ręce skrzyżowane na piersiach i wydęte wargi, na których widok... Nieważne. Powinienem się położyć, żeby ukryć palący problem.

— Wolisz z prawej czy lewej? — pytam, zanim znikam pod kołdrą.

— Nie rozumiem — odpowiada z wahaniem.

— Pytam o stronę łóżka — wyjaśniam, powstrzymując chytry uśmiech. Przecież nie odważyłbym się zapytać, czy woli być na górze, czy raczej na dole. Na taki ruch było zdecydowanie za wcześnie.

— Z prawej — słyszę i zanim sam zdążę zająć miejsce, Maja wślizguje się pod przykrycie.

— Doświadczenie czy przyzwyczajenie? — dociekam.

— Słucham? — Znów przygląda mi się podejrzliwie, a po chwili, gdy, jak mniemam, dociera do niej sens moich słów, robi wściekłą minę. — Jeśli nie przestaniesz...

— To co? — drocę się z nią i przysuwam do niej bliżej. Obejmuję ją lekko, ale na tyle stanowczo, żeby ponownie nie spadła z łóżka.

Szkoda tak ślicznej pupci.

— Nie pozwalaj sobie — mamrocze, przetykając głośno ślinę. Tylko udaje nieustraszoną. Jest przerażona.

— Nie odpowiedziałś na moje pytanie.

Ucieka wzrokiem i próbuje się ode mnie odsunąć. Na próżno. Gdybym tylko chciał, za chwilę byłaby moja.

— Maju? — nalegam, oczekując, że wreszcie mi wytłumaczy, co jej chodzi po tej ślicznej główce.

— To pożałujesz — odpowiada jedynie.

Zaczynam się śmiać, co wyraźnie ją wkurza. Nie przejmuję się tym jakoś specjalnie. Kiedy się złości, jeszcze bardziej mnie kręci.

— Nie o to pytałem wcześniej — wyjaśniam, a kiedy widzę, że jej policzki pąsowieją, dorzucam: — Dlaczego wybrałaś tę stronę łóżka?

— Bo moi rodzice tak sypiali — pada nagle odpowiedź, której zupełnie się nie spodziewałem.

Mija jakiś czas, zanim wracam do tematu. Najpierw poprawiam poduszkę, wsuwam jedno ramię pod głowę i moszczę się wygodnie.

— Bierzesz z nich przykład? — pytam, usilnie patrząc w jej oczy. Przynajmniej się

staram, bo widok jej kuszących warg lekko mnie rozprasza.

— Czy ja wiem? — Wzrusza ramionami. — Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

— Opowiesz mi o nich?

— O rodzicach? — Patrzy na mnie jak na wariata.

Kiwam głową.

Nie odzywa się przez jakiś czas, tylko bacznie mi się przygląda, zupełnie jakby sprawdzała, czy mówię poważnie.

— Nigdy nie widziałam tak zgodnej pary — odzywa się ponownie. Głos ma cichy, subtelny, chyba nawet odrobinę wzruszony. — Ci dwoje... — wzdycha. — Świata poza sobą nie widzieli. Gdyby tylko mama nie odeszła przedwcześnie...

— Brakuje ci jej?

— Bardzo — odpowiada natychmiast. — Nie ma dnia, żebym za nią nie tęskniła. Jest jeszcze tyle rzeczy, o które nie zdążyłam jej zapytać, a które bardzo by mi pomogły w dorosłym życiu i decyzjach, jakie muszę w nim podejmować.

Zaskakuje mnie tym wyznaniem. Może dlatego, że ja właściwie już nie pamiętam więzi z własną matką. A jedyne wspomnienia, które mi po niej zostały, są dość... bolesne.

— A może ja...?

— Co ty? — Jak zwykle mi przerywa, ale nie wytykam jej tego. Powoli zaczynam przywykać.

— Może mógłbym ci jakoś pomóc w twoich problemach — oferuję, a ona patrzy na mnie z niedowierzaniem. — Mam większe doświadczenie. Jestem od ciebie starszy — tłumaczę.

— Właściwie ile ma pan lat, panie Iwański?

Zaczynam lubić, kiedy się tak do mnie zwraca, choć początkowo mnie to drażniło.

— Za miesiąc stuknie mi trzydziestka.

— O Chryste! — Leżąca ze mną w łóżku dziewczyna robi zdziwioną, lekko przerażoną minę. Gra. Jestem tego pewien. I droczy się ze mną. — Ale z ciebie dziadek.

— Nie przeginaj. — Uśmiecham się. — I nie zmuszaj mnie, żebym ci pokazał, co potrafi „dziadek” w moim wieku.

Ukryta w tej dwuznaczej odpowiedzi groźba zadziałała, bo policzki Mai pokrywają się różem.

— Mówiłem poważnie. — Udaję, że tego nie zauważam, choć mój penis natychmiast robi się twardy, i wracam do wcześniejszego tematu: — Jeśli potrzebujesz rady, wsparcia...

— Jak ty to sobie wyobrażasz? — wypala nagle poważnym jak nigdy dotąd głosem. — Że będę do ciebie biegła, kiedy dostanę kosza od chłopaka?

Na myśl o „Piotrusiu Panu” nieco posępnieję. Wkurza mnie fakt, że ta dziewczyna należy do innego. Zgodnie z obowiązującą umową Maja należy wyłącznie do mnie, ale wolałbym, żeby w rzeczywistości też nie była z nikim związana. Chociażby do momentu jej wygaśnięcia.

— Proponuję, żebyś na pewien czas zrezygnowała z randek — odpowiadam poważnie, na co Maja aż otwiera usta ze zdziwienia. — Przynajmniej teraz, gdy udajemy zakochanych.

— A więc o to ci chodzi? — Nie potrafi ukryć zaskoczenia.

— A myślałaś, że o co?

— O nic — mówi nazbyt prędko, przez co ani trochę jej nie wierzę. — Uspokoję cię, jak ci powiem, że nie mam chłopaka?

— Rzuciłaś „Piotrusia Pana”? — Nie mogę uwierzyć w szczęście, które mnie spotyka.

— Kogo? — Patrzy na mnie niczym na jakiegoś kretyna, jak nic domagając się wyjaśnień.

— No tego chłopaka, z którym rozmawiałaś przez telefon w restauracji.

— Ależ ty jesteś głupi. — Maja zaczyna się śmiać.

— Nie przeginasz?

Nigdy nie pozwalałem żadnej lasce na tak wiele jak jej, co nie zmieniało faktu, że co za dużo, to niezdrowo. We wszystkim trzeba zachować umiar. W wyrażaniu emocji także, by przypadkiem kogoś nie urazić.

— Ja? — Patrzy na mnie jak na kretyna. Coraz mniej mi się to podoba. — Piotrek nie jest moim chłopakiem!

Nie wiem, czy powinienem jej wierzyć, ale nawet nie jest mi dane się nad tym zastanowić, bo nagle pyta:

— Jesteś zazdrosny?

WCALE NIE JESTEM O NIĄ ZAZDROSNY!

— No popatrz — kontynuuje drwiącym tonem. — A to mnie próbowałeś wmówić zazdrość, kiedy wystrzeliłam z tą głupotą do twojej siostry. — Zdaje się, że się ze mnie nabija, o czym może świadczyć jej szyderczy ton, czym mnie coraz bardziej wkurza.

— Zapamiętaj sobie, że nie jestem zazdrosny o NIKOGO — cedzę przez zęby, a gdy nie reaguje, chwytam ją za ramiona i nią potrząsam.

Natychmiast poważnieje i patrzy mi w oczy. W jej własnych nie ma strachu, który spodziewałem się ujrzyć. Dostrzegam jednak coś innego, coś, co powinno mnie popchnąć do działania, a jednak to COŚ wciąż trzyma mnie w miejscu.

— Nie pogrywaj ze mną w ten sposób — upominam ją.

— Nie będę — szepcze tak cholernie zmysłowym głosem, że ledwie się opanowuję, by nie przyciągnąć jej jeszcze bliżej i nie zatopić swoich warg w jej rozchylonych ustach. A potem...

— Śpij już — rozkazuję, odsuwając się od niej w jednej chwili i nakrywając ją szczelniej kołdrą. — Do rana zostało już niewiele czasu, a czeka nas jeszcze rozmowa dotycząca twojego zabiegu.

— Ale...

— Powiedziałem: śpij — powtarzam, a potem odwracam się do niej plecami i gaszę nocną lampkę.

Na szczęście Maja już się nie odzywa, choć jestem pewien, że nadal nawet nie zamknęła oczu. Nie jest łatwo, bo niestety nie należy do osób, które chętnie spełniają moje prośby. Cóż, pozostaje mi uzbroić się w cierpliwość.

Rozdział 13.

Maja

Jak wielkim zaskoczeniem jest obudzić się na męskim ramieniu?!

Początkowo omal nie pisnęłam, sądząc, że miałam jakiś zły sen, ale po chwili, gdy przypominam sobie wszystko, cały poprzedni wieczór i wszystkie minione dni, nieco się uspokajam.

— Dzień dobry — mruczy zaspanym głosem Iwański.

Próbuję się ześliznąć z jego szerokiej piersi, ale oczywiście okazuje się ode mnie sprytniejszy i mi na to nie pozwala. Nie podoba mi się to ani trochę, zwłaszcza gdy zauważam wyrzucenie pod kołdrą, dokładnie w miejscu, gdzie znajduje się jego... Nieważne.

— Raczej „Witaj, południe” — odpowiadam, licząc, że moje stwierdzenie skutecznie go obudzi i zmusi do działania. Przecież o tej porze powinien być w biurze.

— No faktycznie — stwierdza jak gdyby nigdy nic i się przeciąga. — Wypałaś się już? — pyta nagle i przygląda mi się uważniej, z przesadnym zainteresowaniem.

— Coś nie tak? — pytam wprost. — Nigdy nie widziałeś dziewczyny bez makijażu?

Nie jestem idiotką. Wiem, że właśnie o to mu chodzi.

— Szczerze mówiąc, nie. — Wyszczersza się do mnie. — I wiesz co, zdaje się, że wiele straciłem.

— A weź — burczę jedynie, przekonana, że się ze mnie nabija.

— No co? — Spogląda na mnie i odrobinę poważnieje. — Mówię serio. Pięknie wyglądasz.

— Tak, oczywiście. A świstak siedzi i zawija je w te sreberka.

— Co?

Chyba nie zrozumiał żartu, ale nie mam ochoty mu tego tłumaczyć. Zwłaszcza teraz, kiedy znajduje się tak niebezpiecznie blisko.

— Jesteś naprawdę zabawna — słyszę naraz.

— A ty szczery aż do bólu.

— To prawda. Moja propozycja też była szczerą.

— Nie wiem, o czym mówisz. — Serio, nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

— Mówię, że chciałbym, żebyś widziała we mnie przyjaciela.

— Przyjaciela? — powtarzam po nim, na co początkowo tylko kiwa głową.

— Udajemy parę, więc moglibyśmy się zaprzyjaźnić.

— Chcesz się ze mną zaprzyjaźnić? — pytam z niedowierzaniem. — Śpimy w jednym łóżku, więc mi jeszcze powiedz, że możemy się pieprzyć.

O kurwa! Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale przesadziłam. Świadczy o tym pociemniałe spojrzenie wpatrującego się we mnie mężczyzny.

— Czemu nie? — odpowiada po chwili. — Musiałabyś mi tylko powiedzieć, co lubisz robić w łóżku, a na co nigdy się nie zgodzisz. Taki jasny i czysty układ. Co ty na to?

Odbiera mi mowę. Z reguły zawsze mam tak dużo do powiedzenia, a dziś, właśnie teraz, słowa grzęzną mi w gardle.

— Powiedz coś — odzywa się ponownie, poważny jak nigdy dotąd.

— Nie wiem, co mam ci powiedzieć — wreszcie zdobywam się na odwagę i tłumaczę, ale gdy widzę, że Iwański już otwiera usta, żeby coś wtrącić, szybko dodaję: — Może tylko tyle, że nie spałam jeszcze z facetem.

— Co?! — Maks patrzy na mnie jak na przybysza z obcej planety. — Żartujesz, prawda? A może... Czekaj! Wolisz dziewczyny? Jesteś bi? — spekuluje.

— Nie, nie jestem. Za to ty jesteś głupszy, niż sądziłam — odpowiadam rozszłoszczona. Zamierzam wstać, ale Iwański, kolejny raz ubiega mnie i zamyka w żelaznym uścisku. Przewraca mnie na plecy i zawisa nade mną. Jego twarz dzieli centymetry od mojej.

— Naprawdę jesteś dziewicą? Twój Piotruś się nie spisał?

— A ty jesteś naprawdę aż tak głupi! Mówiłam już...

Wtedy zamyka mi usta pocałunkiem. Wkurza mnie, bo znów mi udowadnia, że może ze mną zrobić, co mu się tylko podoba. Czuję się bezradna i bezbronna. Nie znoszę tego uczucia.

— Jeśli tylko chcesz — odzywa się nagle, choć jego usta dzieli milimetry od moich — mogę pomóc ci pozbyć się tego *niewygodnego problemu*.

— Czego? — Odnoszę wrażenie, że się przesłyszałam.

— Nie próbuj mi wmówić, że bycie dziewicą w twoim wieku to... norma.

Wstrzymuję oddech. Jak śmie?!

— Puszczaj — warczę, choć jestem bliska płaczu. Upokorzył mnie. A najgorsze jest to, że nie widzi nic złego w tym, co zrobił, co powiedział. — Głuchy, kurwa, jesteś? — cedzę każde słowo, patrząc mu z nienawiścią w oczy.

— A więc jednak nie?

Wydaje się zaskoczony, ale na szczęście słucha i się ode mnie odsuwa. Korzystam więc z okazji i wyskakuję z łóżka, wybiegam z pokoju, a potem w pośpiechu odnajduję drogę do łazienki.

Maksymilian

— Mogę wiedzieć, co jej zrobiłeś? — Moja siostra naskakuje na mnie, kiedy w samych bokserkach wparowuję do kuchni.

Nie od razu ją zauważam, bo skryła się w przestrzeni wypoczynkowej, podczas gdy ja podszedłem do rzędu szafek kuchennych, bo postanowiłem się napić. Muszę ochłonąć.

„Trzeba było tak od razu” — ganię się w myślach, sięgając po szklankę, do której nalewam wodę z dzbanka. „Ostudzić zapal zwykłą wodą, zanim mnie naszła ochota na tę... dziewczuchę”.

— Maks? — naciska Mari.

Nie odpowiadam, tylko powoli popijam wodę. Za to Marietta kontynuuje, co mnie wcale nie dziwi. Zawsze musi mieć ostatnie słowo, nawet gdy nie mówi nikt poza nią.

— Powiesz mi wreszcie, co między wami zaszło? Bo Maja, kiedy szła do łazienki, wyglądała jak siedem nieszczęść.

Z brzdękiem odstawiam szklankę na blat i spoglądam na siostrę, która podnosi się z kanapy i staje po drugiej stronie kuchennej wyspy. Zadaje mnóstwo pytań i oczekuje, że będę się przed nią tłumaczył, jakbym nadal był tym samym smarkaczem, nad którym niegdyś sprawowała opiekę i od którego wiele wymagała, szczególnie wyjaśnień. Dziś nie miała prawa niczego żądać. Zwłaszcza tego.

— Myślę, że to nie twoja sprawa — odcinam się złośliwie.

— Może i tak. — Kiwa głową, choć minę ma taką, że lepiej nie mówić. Jest na mnie zła, wydyma usta. — Ale to nie oznacza, że nie wygarnę ci, jakim bywasz kretynem, braciszku.

Posyłam jej ostrzegawcze spojrzenie, choć wiem, że to nie powstrzyma jej przed wypowiedzeniem się na rozpoczęty temat.

— Nie znam Mai, ale musiałabym być ślepa, żeby nie zauważyć, że ta dziewczyna jest

dla ciebie stworzona.

Omam nie parskam śmiechem, kiedy to słyszę z jej ust. Mam ochotę jej wytknąć, że zawsze tak mówi. Niestety nie dopuszcza mnie do głosu. Cała ona.

— Ta dziewczyna jest w ciebie zapatrzona jak w obrazek. Tobie też nie wydaje się obojętna. Widziałam, jak na nią patrzysz.

— Czy ty słyszysz samą siebie? — pryham. — Nie znasz jej ani nie wiesz nic o moich uczuciach. Więc bądź tak miła i się nie wtrącaj.

— Jasne — mruży i podnosi ręce w geście kapitulacji. — Bo chcę dla ciebie źle.

— A czy ja mówię, że tak właśnie jest? — rzucam poirytowany. — Po prostu uważam, że to moje życie i nie pozwolę nikomu się do niego wtrącać. Czy ja dociekałem, dlaczego rozstałaś się z Andrzejem? Nie, a do dziś uważam, że jest spoko gościem, i nie rozumiem, dlaczego wzięliście rozwód.

Marietta spogląda na mnie spođe łba. Jest zła i chyba dotknęły ją moje słowa. Wiem, że Andrzej nigdy nie przestanie jej być obojętny ani ona jemu, choć oficjalnie oboje się do tego nie przyznają. Ale żadne z nich nie chce rozmawiać na ten temat. Każde z osobna, ilekroć próbowałem podjąć dyskusję, zbywa mnie. Tym bardziej oczekuję od siostry, że teraz i ona da mi święty spokój i przestanie mi wiercić dziurę w brzuchu.

Nagle pojawienie się Mai przerywa wymowne milczenie, które między nami zapanowało. Oboje spoglądamy na dziewczynę, która zbliża się w naszym kierunku. Jest ubrana jak na wyjście: oprócz musztardowej sukienki, która natychmiast rzuca się w oczy, ma na sobie również płaszcz i берет. Moją uwagę przykuwają także okulary w czerwonych oprawkach i walizka, której wysuwana część teraz ścisza w rękach.

Już chcę ją zapytać, czy się dokądś wybiera, ale ubiega mnie pytaniem:

— Możemy porozmawiać? Na osobności?

— Już mnie nie ma — mówi Marietta, a następnie, patrząc mi prosto w oczy, bezgłośnie dodaje: — Nie schrzań tego.

Wkurza mnie, ale w tej chwili nie zamierzam się z nią o to kłócić. Teraz mam do pogadania z pewną nieznośną i zbyt pewną siebie istotą, która zachowuje się jak obrażona księżniczka.

Jeszcze przez moment oboje patrzymy w ślad za oddalającą się Mariettą, a gdy zamykają się za nią drzwi, znów spoglądamy na siebie. Mija jakiś czas, zanim którekolwiek z nas otworzy usta. Po prostu na siebie patrzymy.

— To nie ma sensu. — Odzywa się pierwsza. — Postaram się jak najprędzej skombinować kasę i się z tobą rozliczyć. Potrzebuję tylko...

— Przepraszam.

To dla mnie strasznie trudne, bo po raz pierwszy decyduję się na takie rozwiązanie, ale naprawdę nie chcę, żeby odchodziła. Jeszcze nie teraz, nie w taki sposób. A tylko tak mogę ją zatrzymać. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Muszę się przed nią ukorzyć.

— Proszę... nie utrudniaj — wzdycha. — To nie ma sensu. Nie widzisz tego?

— Naprawdę przepraszam — powtarzam uparcie. — I przyrzekam, że to się więcej nie powtórzy. Tylko nie odchodź. Potrzebuję cię.

Chwytam ją za rękę, na której składam przelotny pocałunek. Zaskakuję ją tym niewinnym gestem, nie mniej niż samego siebie. Nigdy się tak nie zachowuję wobec kobiet, zwłaszcza że dotąd wobec żadnej nie miałem poważnych planów. A jednak przy niej nie umiem się powstrzymać. Naprawdę nie chcę, żeby odchodziła właśnie w tym momencie. Nie jestem już nawet pewien, czy chodzi mi o sam seks, na który, trochę wbrew sobie i wypracowanym przez lata zasadom, w rzeczy samej mam ochotę. Po prostu pragnę, żeby przy mnie była. W końcu

mamy niedokończoną sprawę.

— Z pewnością tego pożałuję — odpowiada, a ja teatralnie, dla rozluźnienia atmosfery, wachluję się dłonią, oddycham z ulgą i uśmiecham się szeroko.

— Zapewniam cię, że nie. I dziękuję — dodaje, a potem ponownie całuję jej dłoń, która wciąż spoczywa w mojej ręce.

CHOMIKO - WARNIA

Rozdział 14.

Maja

Nadal mam poważne obawy, czy postępuję właściwie, ale gdy Maks poprosił mnie, żebym została, nie potrafiłam mu odmówić. Nie wiem, dlaczego miałam z tym aż taki problem. Zazwyczaj asertywność jest moją mocną stroną. Ale w tej jednej chwili coś mi mówiło, że nie powinnam odchodzić. Jeszcze nie teraz.

— W klinice zwolnił się termin — słyszę, kiedy wchodzę do salonu. Na moment zaszyłam się w jego sypialni, która tymczasowo stała się i moją. Dzwonił tata, więc uznałam, że Maks nie musi być świadkiem tej rozmowy. Czułabym się mało komfortowo, wiedząc, że przysłuchuje się temu, o czym dyskutuję z ojcem.

— Nadal nie jestem przekonana, czy to dobry pomysł — odpowiadam jedynie.

Oczywiście, że marzę o tym, by lepiej widzieć, ale wciąż z tyłu głowy słyszę niepokorną myśl, że nie powinnam powiększać swojego już i tak gigantycznego długu wobec Maksymiliana.

— Chodzi ci o pieniądze, tak?

A on jak zwykle mnie przejrzał. Muszę przyznać, że jest nad wyraz błyskotliwy. Jak dotąd nie poznałam wielu takich mężczyzn.

— Mówiłem już...

— Wiem, co mówiłeś, ale postaw się na moim miejscu. Czy chciałbyś mieć poczucie, że jesteś komuś coś winny?

Nie odpowiada od razu, więc nabieram przekonania, że trafiłam w czuły punkt.

— Sam widzisz. — Rozkładałam bezradnie ramiona.

— Potraktuj to zatem jako rekompensatę za straty moralne. — Myślałam, że wreszcie mamy to ustalone, a tymczasem on mówi mi coś takiego.

— Za straty moralne? — powtarzam po nim, próbując powściągnąć malujący się na moich ustach uśmiech.

Muszę przyznać, że jego pomysłowość, a także upór i ciągłe dążenie do upragnionego celu są godne podziwu.

— No to jak będzie? — Nie odpuszcza.

— Dobrze. Zgoda. Ale... — Unoszę palec, kiedy widzę, że już otwiera usta, żeby coś powiedzieć. — Pod jednym warunkiem.

— Tak? — Iwański przygląda mi się z rozmysłem.

— Gdy tylko stanę na nogi, oddam ci wszystko co do grosza, jasne? Nie chcę być niczyją dłużniczką. Zwłaszcza twoją.

— Auć.

Tylko udaje dotkniętego. Uśmiecha się, choć sili się na absolutną powagę.

* * *

— No bez jaj! — wyrywa mi się.

Teraz już jestem pewna, że w klinice wcale nie zwolniło się miejsce, tylko Maks zapłacił podwójnie, żeby osiągnąć swój cel. Mogłam to wywnioskować chociażby po tym, że w poczekalni nie było już żywej duszy: ani kręcącego się pewnie za dnia personelu, ani oczekujących na swoją kolej pacjentów.

— Coś nie tak? — pyta, uśmiechając się przeuroczo, na co przewracam oczami.

— Zaaranżowałaś to, prawda?

— Nie wiem, o czym mówisz.

Udaje. Jestem tego pewna.

— Jasne, panie Iwański — mruczę pod nosem, na co on wyszczerza się coraz bardziej. —
No co?

— Nic. — Wzrusza ramionami. — Po prostu lubię, kiedy się tak do mnie zwracasz.

— Bo lubisz rządzić i czuć władzę.

Nie sprzecza się ze mną, więc trafiłam w sedno. Kręcę z niedowierzaniem głową, ale już z nim nie polemizuję, bo naraz zjawia się doktor Kwiatkowski.

— Gotowa? — pyta, a ja jeszcze raz zerkam na Maksymiliana, a następnie kiwam głową. — Wobec tego zapraszam. Ty, Maks — mówi, widząc, że mój przyszywany chłopak staje „w bloku startowym” — zostajesz tutaj. — Wskazuje rząd obitych czerwona skórą krzesel, ustawionych pod ścianą.

— Dasz mi chociaż pożegnać się z dziewczyną?

Profesor chrząka wymownie, a potem odsuwa się od nas na kilka metrów.

— Niczego się nie bój. — Maks spogląda na mnie z niepokojem, przez co i ja zaczynam się coraz bardziej stresować. W końcu do tej pory zapewniał mnie, że jestem w dobrych rękach, że nic mi nie grozi. Tymczasem wygląda na bardziej zestresowanego ode mnie. — Będę tu na ciebie czekał.

— Wiem — odpowiadam, nie chcąc dłużej przeciągać tej chwili. Podjęłam już decyzję i nie zamierzam zmieniać zdania, a obawiam się, że zachowanie Iwańskiego może mnie do tego popchnąć. — I dziękuję ci — szepczę, a potem wspinam się na palce i całuję go w policzek. — Za wszystko.

Sprawia wrażenie zdezorientowanego i mocno zaskoczonego. Nie jestem pewna, czy to moje słowa wywarły na nim takie wrażenie, czy ten niewinny całus, który jak na razie był jedyną namacalną formą podziękowania za wszystko, co dla mnie robił.

— Zmykaj już — mówi naraz zmienionym, zupełnie nienaturalnym dla niego głosem.

Gdybym go znała, pomyślałabym, że się wzruszył. Ale przecież nic o nim nie wiem, więc dochodzę do wniosku, że ponosi mnie fantazja.

— Wszystko będzie dobrze — zapewniam nas oboje na odchodne, a potem, nie oglądając się dłużej za siebie, idę za profesorem, który otwiera przede mną drzwi. Nie mam pewności, dokąd prowadzą, choć się tego domyślam. Tak, powoli zmierzamy w stronę sali operacyjnej.

Chryste, kiedy staje się to już tak namacalne, przechodzą mnie dreszcze.

— Najpierw zapraszam tutaj. — Doktor Kwiatkowski wskazuje drzwi, które, jak się szybko okazuje, prowadzą do gabinetu zabiegowego. Tam czeka już na mnie pielęgniarka.

— Dobry wieczór, pani Maju. Proszę do mnie — mówi kobieta w średnim wieku i wskazuje na jeden z foteli, obok którego znajduje się aparat do badania oczu.

Nie wiem, o co tyle zachodu, bo przecież raptem wczoraj zostałam przebadana tak kompleksowo jak nigdy dotąd, ale nie zamierzam wdawać się w dyskusję. Zresztą chyba zżera mnie stres, więc uznaję, że daruję sobie pytania, które mogłyby tylko zasiać jeszcze większy niepokój w mojej głowie.

Zerkam na profesora, który posyła mi pokrzepiający uśmiech, a zaraz potem nas opuszcza. Przed wyjściem tłumaczy jedynie, że musi się przygotować do zabiegu.

Zabieg, operacja, oczy... Chryste, co ja sobie robię?

— Proszę się nie stresować, pani Maju — słyszę z ust pielęgniarki, która w pierwszej kolejności mierzy mi ciśnienie.

Chcę zaprzeczyć i powiedzieć, że trzymam nerwy na wodzy, choć to nieprawda. Stresuję się coraz bardziej. Ale nawet nie zdążam otworzyć ust, bo kobieta dodaje:

— Ma pani za wysoki puls, a to oznacza, że się pani denerwuje.
— To prawda — przyznaję wreszcie. — Boję się, że coś pójdzie nie tak, że zupełnie oślepnę.
— Żadne takie! Doktor pomaga ludziom, a nie szkodzi — zapewnia. — I proszę mi wierzyć, że jak już będzie po wszystkim, podziękuje mu pani za to.
— Z całą pewnością — odpowiadam jedynie.

Maksymilian

Nie mogę znaleźć sobie miejsca. Chodzę wzdłuż korytarza, w tę i z powrotem. Stresuję się przeogromnie. Chyba nigdy dotąd aż tak się nie bałem. To dziwne, zwłaszcza że ta dziewczyna w zasadzie jest dla mnie obca i nie powinienem się o nią tak martwić. Niemniej faktem jest, że jej los nie jest mi w tej chwili obojętny, a mną targają obawy, czy postąpiłem słusznie, namawiając ją na ten — muszę przyznać — dość ekstremalny krok.

„A co, jeśli... — roi mi się w głowie — coś pójdzie nie tak, jak powinno? Nie, na pewno nie”.

W tym jakże trudnym momencie przekonuję się, że Maja jest naprawdę odważna, a nawet stwierdzam, że jest odważniejsza ode mnie. Nie udawała, że się nie boi, ale z pewnością nie panikowała tak jak ja. Tak, panikowałem, a nawet dalej to robię. Zwłaszcza teraz, kiedy od niemal godziny drepczę bez końca korytarzem kliniki, w której pracuje Andrzej.

Po raz kolejny zerkam na zegarek. Jeszcze trochę, a minie równa godzina od momentu, gdy Maja weszła tamtymi drzwiami i nie daje znaku życia. Wiem, że znów ponosi mnie wyobraźnia, ale nic nie mogę na to poradzić. Po prostu wykańcza mnie to oczekiwanie.

Siadam na moment na jednym z krzeseł i wyjmuję z kieszeni komórkę. Sprawdzam pocztę, choć nie umiem się skupić na żadnej z wiadomości, które w rzeczy samej są dla mnie bardzo ważne. I nagle słyszę damski głos. Wzdrygam się, bo nie zarejestrowałem, że ktoś do mnie dołączył.

— Pańska dziewczyna jest już po zabiegu — mówi kobieta w uniformie pielęgniarki. — Jest w pokoju pozabiegowym i odpoczywa.

— Mogę do niej iść? — pytam, zrywając się z miejsca.

— Właśnie chciałam to zaproponować — odpowiada, uśmiechając się do mnie serdecznie.

Serce bije mi jak oszalałe, kiedy przemierzam kolejny korytarz, a potem na moment zwalnia, gdy pielęgniarka wpuszcza mnie do pokoju, w którym zauważam Maję siedzącą na jednym z foteli. Ma zamknięte oczy, a fotel jest lekko przechylony ku tyłowi.

Towarzysząca mi kobieta najpierw podchodzi do Mai, pyta ją o samopoczucie, a potem zostawia nas samych.

— Miałaś rację — słyszę nagle. Zamierzam zapytać, skąd wie, że tu jestem, ale mnie ubiega: — Nie było aż tak źle, Iwański.

— Jak mnie rozpoznałaś? — pytam zaintrygowany.

— Gdybyś nie spryskał się połową flakonu perfum, to może bym cię nie wyczuła — rzuca, uśmiechając się od ucha do ucha. Wydaje się zadowolona, co pozwala mi odetchnąć z ulgą.

— Jak się czujesz? — pytam, siadając obok niej i przysuwając swój fotel bliżej jej fotela.

— Chyba dobrze.

— Chyba?

— Wciąż działają leki przeciwbólowe, więc na razie nic nie czuję. No, może poza tym, że

lekką kręci mi się w głowie. Ale Andrzej mówi...

— Andrzej? — podchwytnę szybko.

— Twój były szwagier uznał, że jesteście „prawie” rodziną — wyjaśnia, nieudolnie próbując zrobić palcami cudzysłów. — Powinam go wprowadzić z błędu?

— No... raczej nie — odpowiadam jedynie.

— Która godzina? — pyta mnie nagle.

— Dochodzi dwudziesta pierwsza.

— A więc to już — mówi podekscytowana.

— Nie... rozumiem.

Wtedy patrzę, jak otwiera oczy i zaczyna nimi mrugać. Rozgląda się niepewnie, a potem spogląda na mnie.

Chryste, ma tak czerwone i przekrwione gałki, że od samego patrzenia na nią zaczynają boleć mnie własne oczy. Oczywiście nie mówię jej tego. Nie chcę jej straszyć.

— Widzę — mówi, jakby nadal w to nie wierzyła.

— A wcześniej nie widziałaś? — Nie wiem, jak mam to rozumieć.

— Widziałam! — odpowiada pospiesznie. — Ale podczas zabiegu był taki moment, że... Och, lepiej do tego nie wracać.

— Czyli że było aż tak źle? — Martwię się.

— Tego nie powiedziałam. Było w porządku, choć, jak by to rzec: mało komfortowo?

— Rozumiem. — Kiwam głową.

Wtedy w kieszeni moich spodni rozlega się dźwięk telefonu. Wyjmuję go, żeby sprawdzić, kto dobija się do mnie o tej porze.

— Tutaj nie wolno używać telefonów! — oznajmia siedząca obok mnie dziewczyna, karcąc mnie wzrokiem.

— Serio?

Naprawdę nie zamierzałem naginać żadnych zasad. Po prostu nie wiedziałem, że jest to zabronione.

Wtedy Maja wskazuje dłonią na przyklejoną do odległej o jakieś dwa i pół metra ściany kartkę, na której widnieje informacja: **ZAKAZ UŻYWANIA TELEFONÓW! MOGĄ ONE POWODOWAĆ ZAKŁÓCENIA URZĄDZEŃ NA BLOKU OPERACYJNYM.**

— Maks? — odzywa się jeszcze, zasłaniając dłonią usta. — Czy widzisz to, co ja?

Kiwam głową. Widzę wyraźnie każde słowo.

— Problem w tym, że ja jeszcze niedawno nie byłabym w stanie tego przeczytać — mówi wzruszonym, drgającym z emocji głosem.

Widzę, jak z biurka stojącego w zasięgu jej ręki chwyta jakąś ulotkę. Patrzy na nią, uśmiecha się, choć wygląda, jakby miała się zaraz rozplakać, a potem odkłada ją na blat i przypatruje mi się oczami po brzegi wypełnionymi łzami.

— Ja widzę, Maksymilianie Iwański. Dzięki tobie normalnie widzę — stwierdza i całkowicie się rozkleja.

Nie pozostaje mi nic innego, jak przytulić ją mocno, pokrzepiająco. Pokazać jej, że może na mnie liczyć. I cieszyć się razem z nią, mimo że ledwo panuję nad własnymi łzami, które czają się w kącikach moich oczu.

Muszę przyznać, że nie sądziłem, że pomaganie może być takie... fajne.

Rozdział 15.

Maja

Maks ociera mi łzy z policzków w chwili, gdy dołącza do nas Andrzej. Odsuwa się wówczas ode mnie, choć tylko nieznacznie. Zdaje się, że nagle się zreflektował, co potwierdza jego mina. Pewnie stwierdził, że mogło to wyglądać co najmniej dziwnie. W końcu w oczach jego byłego szwagra jesteśmy parą.

— I jak się czuje moja pacjentka? — słyszymy. — Mam nadzieję, że to tylko łzy szczęścia — dodaje Andrzej, pochodząc bliżej i przyglądając mi się uważnie.

Nadal szczerze wzruszona kiwam jedynie głową.

— Jutro widzimy się na pierwszej wizycie kontrolnej — oznajmia profesor. — Tymczasem wypiszę wam receptę. Wykupcie ją w drodze do domu i stosujcie się do zaleceń. — Wyjmuje z szuflady biurka kartkę, którą podsuwa w naszą stronę, a następnie zasiada przed komputerem i zaczyna stukać w klawiaturę. — Przez najbliższy tydzień musisz o nią szczególnie dbać, Maks — mówi, jednocześnie skupiając się na wykonywanej czynności. — Pacjentka ma czuć się komfortowo. O tym, że nie może pracować, dźwigać czy jakkolwiek inaczej się przemęczać, mam nadzieję, nie muszę mówić? — Wreszcie na nas spogląda. Właściwie patrzy uparcie na Maksymiliana, wyraźnie oczekując od niego deklaracji.

Dziwnie się z tym czuję, zwłaszcza że Maks już i tak zbyt wiele dla mnie zrobił. Ale postanawiam przemilczeć słowa profesora. Nie zamierzam bowiem przysparzać kłopotów mojemu przyszywanemu chłopakowi.

— Oczywiście oczywiście — odpowiada Iwański, a potem obaj mężczyźni wymieniają uściski dłoni.

Uznaję więc, że także i mnie nie pozostaje nic innego, jak jeszcze raz podziękować profesorowi. Oczywiście zrobiłam to już wcześniej, zaraz po zabiegu, ale to efekt „wow”, który czułam właśnie w tej chwili, skłania mnie do tego, żebym kolejny raz wyraziła swoją wdzięczność. I choć nadal lekko kręci mi się w głowie, a oczy z każdą upływającą minutą zaczynają coraz bardziej piec i łzawić — jest tak, jak zapowiedział Andrzej — wstaję i podchodzę do wcale niewyglądającego na zaskoczonego mężczyzny. On na mój widok również podnosi się z krzesła i najpierw ściska lekko moją rękę, a potem mnie przytula.

* * *

— O Chryste, Iwański — zachwycam się po raz kolejny, gdy właśnie mijamy następny już neon świetlny, których po drodze do domu okazuje się być całkiem sporo.

— Do Chrystusa mi daleko, ale nazywaj mnie, jak ci się żywnie podoba — odpowiada Maks z szerokim uśmiechem przyklejonym do ust.

Prowadzi, ale zerka na mnie raz po raz i nie przestaje się uśmiechać.

— Wiesz, co jest najdziwniejsze? — pytam. Nie odpowiada, ale spogląda na mnie, więc kontynuuję: — Że dotąd nie miałam żadnego porównania. Wiedziałam, że mam wadę wzroku, ale nie sądziłam, że zdrowi ludzie widzą aż tak wyraźnie. Światła nigdy nie wydawały mi się tak jasne jak teraz — oznajmiam, mimo że na nosie mam ciemne okulary przeciwsłoneczne, które przez pewien czas zalecił mi nosić profesor. — A barwy? One też wydają się takie... kolorowe, nasycone.

Wzdycham. Jestem naprawdę szczerze przejęta. Andrzej zalecał mi odpoczynek, najlepiej długi, niczym niezmacony sen, ale byłam niemal pewna, że trzymające mnie emocje na

najwyższym poziomie nie pozwolą mi dziś długo zasnąć.

— Cieszę się razem z tobą — mówi nagle Maks, a potem nakrywa dłonią moją rękę spoczywającą na udzie.

Zaskakuje mnie. Ponownie. I pozytywnie, rzecz jasna. Nie sądziłam bowiem, że ktoś taki jak on jest zdolny do takich ludzkich odruchów. Jak dotąd, w moim odczuciu, Maksymilian Iwański był dupkiem. A może coś przeoczyłam, a on tylko chciał za takiego uchodzić i skrywał się w nim zwyczajny, wrażliwy facet?

Zamierzam się tego dowiedzieć. Potem. Bo teraz postanowiłam cieszyć się chwilą, każdą sekundą mojego nowego, jakże luksusowego życia.

Maksymilian

Nie mogę się napatrzeć na szczęście, które wyziera z każdego skrawka ciała tej niemogącej przestać się uśmiechać dziewczyny. Szczerzy się i gada, gestykulując przy tym. I tak na zmianę. Dotąd nie znosiłem osób, które się tak zachowywały. Zwłaszcza kobiet. Dla mnie były zbyt męczące. Ale z nieznanego mi powodu radość Mai zupełnie mi nie przeszkadza. Przyznam nawet, że jej szczęście jest zaraźliwe, bo odkąd opuściliśmy klinikę, uśmiech nie schodzi mi z twarzy.

— Kiedy powiem o tym tacie...

— Jeszcze mu nie powiedziałaś? — dziwię się.

— A niby jak miałabym to zrobić? Mam zadzwonić i powiedzieć: „Tato, mój przyszywany narzeczony, czyli mój szef, zafundował mi zabieg korygujący wzrok”? Jak sądzisz, co sobie pomyśli mój ojciec?

— Szczerze? — pytam, a ona kiwa głową, przez co moje lustrzanki, które jej pożyczyłem, zsuwają się jej odrobinę z nosa.

Uśmiecham się po raz kolejny, bo nagle przelatuje mi przez głowę myśl, że Maja w każdym okularach, nawet przeciwsłonecznych czy męskich, jak ten model, wygląda jak typowa kujonka albo profesorka. Nic dziwnego: ma drobną, lekko pociągłą twarz i wszystkie wydają się na nią za duże.

— Nie wiem — dodaję po chwili. — Nie znam twojego ojca.

— Czy tylko mi się wydaje, czy jesteś go ciekaw bardziej, niż powinienes?

— Nie rozumiem.

Naprawdę nie mam pojęcia, do czego zmierza, ale nie spodobała mi się insynuacja w jej głosie.

— No wiesz, może za bardzo wczułeś się w rolę?

Domyślam się, że właśnie do mnie mrugnęła, czego niestety nie mogę zauważyć pod ciemnymi szklami.

— Bardzo zabawne — mruczę, a potem w milczeniu pokonuję ostatnią prostą dzielącą nas od budynku, w którym mieszkamy.

* * *

Mój zły nastrój szybko mija. Porzucam urazę całkowicie, kiedy wracamy do mieszkania, a Maja zdejmuje okulary. Jej oczy zdają się płonąć, a ona krzywi się, gdy zapalam światło. Andrzej uprzedzał mnie, że te pierwsze kilka godzin po zabiegu będzie najtrudniejsze, ale gdy widzę grymas bólu na jej twarzy, ogarnia mnie niepokój.

— Bardzo cię boli? — pytam, jednocześnie pomagając jej zdjąć płaszcz, który odwieszam w korytarzu.

— Przeżyję — odpowiada, a nawet sili się na uśmiech, choć wiem, że robi to tylko po to, żeby mnie uspokoić.

— Zadzwoń do Andrzeja.

Nie udaje mi się jednak nawet wyjąć komórki z kieszeni spodni, bo Maja łapie mnie za obie ręce.

— Nic mi nie będzie — przekonuje opanowanym głosem. — I przestań stale wydzwaniać do szwagra.

„Jakie stale?” — myślę urażony jej przytykiem. Przecież odkąd wyszliśmy z kliniki, zadzwoniłem raptem dwa razy. Raz po to, żeby się upewnić, w jaki sposób zakłada się te „dziurawe okularki”, w których zaleca się spanie po zabiegu, a drugi, żeby spytać o zamiennik kropli nawilżających, bo akurat w żadnej z mijanych po drodze aptek nie było tych, które zapisał na receptę mój szwagier.

— O co ci chodzi? — pytam, siląc się na zwyczajny ton.

— O nic. — Maja wzrusza ramionami. — Proszę cię tylko, żebyś nie przesadzał. Profesor jest teraz pewnie bardzo zmęczony. Zwłaszcza po dzisiejszym dniu, kiedy to pracował po godzinach.

— Skąd wiesz? Powiedział ci? — A jednak mnie przejrzała.

— No jakże. Nie sprzedałby cię. Domyśliłam się.

Nie odpowiadam, bo właściwie nie wiem, co miałbym powiedzieć. To prawda. Cała ta historyjka z wolnym okienkiem była wymyślona na poczekaniu. Uprosiłem Andrzeja, by został po godzinach. Oczywiście nie był zachwycony, zwłaszcza że znany jest z tego, że do jego gabinetu zawsze są kolejki, a to wiąże się z nadmiarem pracy, ale na szczęście się zgodził.

— I wiesz co?

Czekam, aż dokończy.

— Jestem ci za to wdzięczna. Wam obu — dodaje, a potem wspina się na palce i znów cmoka mnie w policzek.

I tym razem mnie zaskakuje. Udaję jednak, że nie obeszło mnie to jakoś przesadnie, choć to nieprawda. Znów przez tak niewinny, a zarazem czuły i szczery gest poczułem się wyjątkowo.

— A teraz pozwól, że się położę. Padam z nóg.

— Oczywiście.

Przepuszczam ją w progu, za którym znajduje się moja sypialnia. Wchodzę za nią, włączam tylko jedną lampkę, którą dodatkowo zasłaniam poduszką, by padające z niej światło zbytnio nie raziło Mai, po czym podchodzę do łóżka. Ubiegam ją i rozchylam kołdrę, a ona tylko się uśmiecha, a do tego kręci głową.

— No co? — pytam, nie wiedząc, o co tym razem jej chodzi.

— W ubraniu może być mi trochę niewygodnie — stwierdza, puszczając do mnie oko.

Musiała ją zboleć, bo po raz kolejny się krzywi, choć oczywiście stara się to przede mną ukryć.

— Jasne — mruczę lekko zakłopotany. Zrozumiałem jej wymowną sugestię. Ma rację, przesadzam. Wynika to jednak z tego, że nigdy nie byłem w takiej sytuacji. Nigdy o nikogo aż tak się nie martwiłem. Nie w ten sposób. Ona jest pierwsza. — Już mnie nie ma. Ale jeśli będziesz czegoś potrzebowała...

— Nie kładziesz się ze mną? — pyta zdziwiona.

— Dziś chyba nie zasnę — wyrywa mi się. — Poza tym mam zaległą robotę — dorzucam naprędce.

Kłamię oczywiście. Po prostu się o nią martwię. I boję się nawet spać koło niej. Jeszcze mógłbym niechcący, przez sen, trącić ją, urazić. — Przyjdę za chwilę. Pomogę ci z tymi

dziurawcami.

— Dziurawcami — powtarza po mnie i szczyrzy się jak dzieciak. — Jeszcze będą z ciebie ludzie, Iwański — dodaje, kiedy wychodzę.

Przystaję na moment, ale się nie odwracam. Jej słowa... zaskakują mnie. I dziwnie się z tym czuję.

CHOMIKO - WARNIA

Rozdział 16.

Maja

Kiedy się budzę, z przyjemnością odkrywam, że Maks leży obok mnie. Sądziłam, że spędzi noc na kanapie w salonie. Przejrzałam go. Wiedziałam, że tylko wymawia się pracą. Prawda jednak była taka, że wołał nie spać ze mną w jednym łóżku, bo bał się, że mnie niechcący skrzywdzi. Jego szwagier tyle o tym mówił, że w zasadzie wcale się nie dziwię, że tak się nakreślił. Ale jak widać, nie wytrzymał, nie wytrwał w postanowieniu.

Ostrożnie odklejam te dziwne nakładki ochronne, w których z pewnością wyglądam jak mucha, w dodatku końska, z wielkimi, odstającymi gałami. Po cichu odkładam je na nocną szafkę, a potem znów odwracam się w stronę śpiącego po drugiej stronie łóżka mężczyzny. Przyglądam się mu w milczeniu. Muszę przyznać, że jest piękny. Tak, wiem, niektórzy uważają, że mężczyźni wcale nie są piękni, a przystojni. Ja uważam inaczej. Maks jest naprawdę urodziwy. Ciemne, idealnie przystrzyżone włosy — teraz w lekkim nieładzie — piękna, oliwkowa cera, prosty, szlachetny nos, kwadratowa szczęka z tycim dołeczkiem, którego wcześniej nie zauważałam, a który dodaje mu chłopięcego uroku, wydatne, naprawdę szalenie zmysłowe usta, których smak miałam już okazję poczuć.

Gdyby Iwański nie był takim dupkiem, mogłabym się w nim zakochać.

Uśmiecham się do własnych myśli i lekko kręcę głową. W zasadzie — muszę to przyznać po chwili namysłu — nie jest z niego aż taki dupek, za jakiego pragnie uchodzić. Tak, zaczynam nabierać pewności, że Maks czasem zachowuje się jak prostak i cham, bo chce, żeby postrzegano go w ten właśnie, a nie inny sposób. Nie rozumiem tego, ale coraz bardziej wydaje mi się, że tak właśnie jest, a jego *dość* drażniące zachowanie to jedynie pozory. A może się mylę? Może nawet próbuję go wybielić na siłę?

Po raz kolejny spoglądam na jego twarz. Wygląda tak błogo i słodko. Gdybym nie zdążyła go poznać, mogłabym się nabrać na tę śliczną, niewinną buźkę.

Sięgam dłonią i dotykam kosmyka włosów, który opadł mu na czoło. Chcę go jedynie poprawić, ale zamiast tego budzę śpiącego mężczyznę. Wygląda na zaskoczonego i jest zaspany, sprawia wrażenie zdezorientowanego.

— Przepraszam. Nie chciałam cię obudzić. Tak słodko spałeś.

— Słodko? — powtarza, a ja kiwam głową i uśmiecham się niepewnie. — Wcale nie jestem słodka. I lepiej, żebyś to zapamiętała — ostrzega mnie.

— Przed czym uciekasz, Maks? — pytam, choć zdrowy rozsądek mi podpowiada, że nie powinnam się w ogóle odzywać. Szczególnie teraz, po tym jego nieoczekiwanym wyznaniu, w którym czała się niewątpliwa groźba.

— Przed niczym ani przed nikim nie uciekam — zapewnia pospiesznie.

— Czyżby? — Unoszę znacząco brew i krzywię się, bo wciąż odczuwam lekki ból.

— Możesz przestać? — mówi ostrym głosem. — Wiem, co kombinujesz.

— Naprawdę?

— Dość! Ta rozmowa robi się bez sensu, więc ją kończę — dodaje tonem nieznoszącym sprzeciwu, a potem wstaje z łóżka.

Znów wychodzi z niego dupek. Trudno. Może następnym razem uda się wykrzesać z tego mężczyzny tę lepszą stronę, którą tak skrętnie ukrywa nie tylko przede mną, ale też przed całym światem.

— Będę czekał w kuchni — rzuca przez ramię.

— Ze śniadaniem?

Przeginam, mam tego świadomość, ale nie potrafię się oprzeć. Lubię się z nim droczyć.

— Widzę, że już całkiem dobrze się czujesz — odpowiada jedynie, przystając na moment. — Więc może sama mogłabyś się tym zająć? — dodaje, a potem znika za drzwiami.

Uśmiecham się szeroko, choć kiedy moje mięśnie twarzy się napinają, trochę boli mnie skóra wokół oczu. Ale to normalne, profesor uprzedzał, że tak będzie. A i śmiech to przecież zdrowie.

Wstaję z łóżka i podnoszę z fotela koszulę Maksymiliana, którą musiał wczoraj tu położyć. Przysuwam ją do twarzy i zaciągam się jej aromatem. Przypuszczam, że gdyby mnie na tym nakrył, miałabym kłopoty. Jednak nie umiem się powstrzymać. Zapach pozostawionych na materiale perfum w połączeniu z zapachem jego skóry jest wręcz odurzający. I kusi do tego stopnia, że postanawiam założyć na siebie koszulę *mojego chłopaka*. Wiem, że może być niezadowolony, kiedy mnie w niej zobaczy, ale uznaję, że zaryzykuję. Przecież zawsze mogę skłamać, że chłodno mi w samej piżamie. A skoro nie mam szlafroka...

Opuszczam sypialnię i idę do salonu. Mrużę powieki, bo razi mnie światło, które wpada przez niedociągnięte zasłony. Moje *nowe* oczy muszą przywyknąć i się zagoić, zanim znów będą mogły funkcjonować jak dawniej.

— Boli cię? — słyszę i dopiero teraz go zauważam.

Stoi za kuchenną wyspą. Gotuje, choć wcześniej sugerował, że oczekuje ode mnie, że sama się tym zajmę.

— Już nie tak bardzo. Ale jeszcze przez jakiś czas zasłony można by zaciągać odrobinę mocniej.

— Jasne — odpowiada, odkłada na deskę nóż, którym właśnie coś kroił, a potem od razu idzie w stronę okien.

Zaskakuje mnie. Wcale tego od niego nie oczekiwałam. Mogłam to przecież zrobić sama. Poza tym naprawdę nie wiem, co mam myśleć o tak nagłej i znaczącej zmianie. Przecież jeszcze w sypialni, dosłownie przed chwilą, był na mnie zły, a teraz znów zachowuje się... normalnie.

Przyglądam mu się uważnie. Wygląda bosko. Nawet w podkoszulku i spodniach od piżamy, które nadal ma na sobie. Czas przyznać, że Iwański w każdym wydaniu prezentuje się imponująco.

— O co chodzi tym razem?

Zaskakuje mnie tym pytaniem. Zauważam, że mi się przygląda. W dodatku podchodzi do mnie i staje odrobinę za blisko.

— O nic — odpowiadam szybko. Nie chcę po raz kolejny psuć tego, co jakimś cudem samo się naprawiło. Po prostu zamierzam cieszyć się chwilą. — Może ci pomogę? — Zerkam na blat, na którym Maks przygotowywał śniadanie. Zwyczajnie zmieniam temat.

— Andrzej powiedział, że masz się nie przemęczać, już nie pamiętasz?

— Czuję się dobrze, a pomagania ci w przygotowaniu śniadania nie uważam za ciężką pracę.

Uśmiecha się i kręci głową. Kapituluje, po raz kolejny, co mnie niezmiernie cieszy.

Podchodzę do blatu i zerkam na leżące na desce warzywa.

— Lubisz zieleninę? — pytam, biorąc w palce świeżego ogórka i odgryzając kawałek.

— Staram się zdrowo odżywiać — odpowiada jedynie, a potem znów podchodzi zdecydowanie za blisko i skubie zębami ogórek, który nadal spoczywa w mojej dłoni.

Wstrzymuję oddech i głośno przełykam ślinę. Mam nadzieję, że tego nie zauważył.

— A ty?

Tym pytaniem sprowadza mnie na ziemię.

— Co ja? — rzucam bezmyślnie, bo przecież oczywiste jest, o co pyta. — Czy odżywiam się zdrowo?

Kiwa głową.

— Raczej tak, choć nie przywiązuję do tego wagi. Po prostu jem to, na co mam ochotę, tylko z umiarem. Pewnie korzystny wpływ na moją dietę ma fakt, że do niedawna mieszkałam na wsi — odpowiadam z rozmysłem. — Tam wszystko, zwłaszcza lokalne produkty żywnościowe, które można nabyć na bazarach bądź bezpośrednio od rolników, jest znacznie zdrowsze od jedzenia, które kupuje się w wielkich miastach, w supermarketach.

— Coś w tym jest — mówi i zerka na moje odsłonięte do połowy ud nogi.

Czerwienię się lekko, gdy mi się tak przygląda. Postanawiam więc szybko zmienić temat.

— A czy jeśli zrobię racuchy, to nie popsuję ci koncepcji zdrowego śniadania?

— Racuchy? — Maks marszczy czoło.

— Nie wiesz, co to racuchy? — pytam, nie dowierając. — To placki — wyjaśniam najprościej, jak się da. — Najczęściej robi się je z kwaśnego mleka, jajek i mąki.

Teatralny grymas na jego twarzy dowodzi, że albo nie lubi racuchów, albo zwyczajnie mnie wkręca. Tak, to całkiem możliwe. On byłby do tego zdolny.

— Niestety muszę cię rozczarować, bo nie mam kwaśnego mleka — mówi, rozkładając bezradnie ręce.

— Nie lubisz kwaśnego mleka? — podchwytyję szybko.

— Szczerze?

Kiwam głową.

— Nawet go nie próbowałem.

— Serio? — Patrzę na niego jak na przybysza z obcej planety. — Nie piłeś nigdy zsiadłego mleka?

— Brzmi ohydnie — odpowiada i znów robi taką minę, że lepiej nie mówić.

— Ale jest pyszne. I zdrowe — dodaję z dumą.

To akurat najprawdziwsza prawda. Zsiadłe mleko ma bowiem wiele walorów. Przede wszystkim znajdują się w nim bakterie kwasu mlekowego, które pozytywnie działają na mikroflorę jelit. A jak wiadomo, zdrowie całego organizmu zaczyna się właśnie tam.

— Skoro tak mówisz — odpowiada bez przekonania.

— Musisz koniecznie spróbować. Może kiedyś zabiorę cię do moich sąsiadów, którzy...

Milknę, bo nagle dociera do mnie, że ponosi mnie wyobraźnia. Maks przecież nie jest moim prawdziwym chłopakiem, a zatem pewnie nigdy nie pojedzie ze mną w moje rodzinne strony i nie odwiedzi gospodarzy, którzy są producentami mleka. To u nich nasza rodzina od lat zaopatruje się w najwyższej jakości nabiał, w tym mleko.

Udaję, że nie widzę, jak mi się przygląda, kiedy przemykam obok niego i otwieram lodówkę.

— Takie też się nada — wyjaśniam, trochę jakby mówiąc do siebie, i sięgam po butelkę z pasteryzowanym mlekiem. — Placki nie będą takie puszyste, ale myślę, że będą smakowały podobnie. Podam je z konfiturą malinową domowej roboty.

— Muszę cię rozczarować, moja droga — odzywa się wreszcie, bo już myślałam, że zaniemówił na dobre. — Ale obawiam się, że w mojej spiżarni — robi palcami cudzysłów — nie ma czegoś takiego jak malinowa konfitura. W dodatku domowej roboty.

— No to cię zaskoczę — odpowiadam, a potem odstawiam na blat mleko, idę do sypialni i zaczynam grzebać w jednej z komód, do której na czas mojego pobytu w mieszkaniu Maksymiliana zapakowałam część swoich rzeczy.

Tata, po śmierci mamy, stał się nadopiekuńczy i przed moim wyjazdem próbował mi siłą

wcisnąć górę jedzenia. Głównie słoiki, popularnie zwane wekami. Oczywiście nie przygotowywał ich sam, bo nigdy nie był typem faceta, który lubi stać przy garach. Mnie także jakoś specjalnie nie ciągnęło do kuchni, głównie z braku czasu — studia i podróżowanie z domu na uczelnię i z powrotem wypełniały cały mój czas — ale akurat konfiturę malinową zrobiłam sama. Począwszy od zerwania owoców z krzaków, przez smażenie ich z cukrem, a skończywszy na pasteryzacji. Niemniej reszta naszych zimowych zapasów to już zasługa zaprzyjaźnionych gospodyń, które wspierały nas po śmierci mojej matki.

— Jest — mówię do siebie, bardzo zadowolona, że jednak dałam ojcu wcisnąć sobie to i owo, a następnie wracam do kuchni, gdzie czeka na mnie Iwański. — Bardzo proszę. — Podaję mu słoiczek i wymownym gestem pokazuję, żeby go odkręcił.

Maks bez cienia sprzeciwu odkręca słoik z konfiturą, a potem podsuwa go sobie pod nos.

— Pięknie pachnie — chwali.

— A smakuje jeszcze lepiej — odpowiadam nieskromnie. — Spróbuj.

Z szuflady wydaję łyżeczkę i wracam do przypatrującego mi się z zainteresowaniem Iwańskiego. Mam ochotę go zapytać, o co mu chodzi tym razem, ale zamiast tego zanurzam końcówkę łyżeczki w słoiku, który nadal trzyma w dłoniach, a potem podsuwam mu maliny do ust.

— Skosztuj — zachęcam go, patrząc na jego wargi. — No już, otwórz buzię.

Wiem, że w tej chwili przypominam własną matkę i mówię do niego jak do dziecka, ale nie obchodzi mnie to. Chcę sprawić mu przyjemność. Nic więcej. Zasłużył.

— No dalej — ponaglam, kiedy wciąż tylko mi się przygląda. — Nie pożałujesz, obiecuję.

Na szczęście daje się przekonać. Otwiera usta i zlizuje konfiturę, patrząc mi przy tym w oczy. Jego niebieskie tęczy zdają się ciemniejsze niż zazwyczaj, a to oznacza, że...

— Balansujesz na niebezpiecznej krawędzi — ostrzega mnie, a potem odstawia słoik i przypiera mnie do blatu.

Chryste...

— Przepraszam, nie taki był mój zamysł — bąkam zawstydzona.

— Wiesz, że cię pragnę — szepcze, a potem napiera na mnie jeszcze mocniej. Chcę, żebym poczuła, jaki jest podniecony. Nie musi tego robić, dowodzi tego żar w jego oczach.

— Maks...

Próbuję coś powiedzieć, ale nie dopuszcza mnie do głosu. Podnosi mnie i sadza na wypie, wciskając się pomiędzy moje uda.

— Oszaleję przez ciebie — mruczy tuż przy moich ustach. — Jeszcze żadnej kobiecie nie udało się doprowadzić mnie do takiego stanu — wyznaje ochrypniętym z pożądania głosem.

— Nie możemy, Iwański — mówię jedynie, choć mój niezdecydowany głos zdaje się nie ulatywać z moich ust.

Też go pragnę. Wiem, to szaleństwo, bo przecież nic o nim nie wiem, znam go raptem dwa tygodnie, ale tak właśnie jest. Pragnę go aż do bólu. Chcę się z nim kochać choćby tu, na stole, byleby już. Ale nie możemy tego zrobić...

— Ups, przepraszam — słyszymy nagle od strony drzwi wejściowych, a mnie, mimo że nagle poczułam się tak, jakby ktoś wylał mi kubel zimnej wody na głowę, zalewa fala gorąca.

Maksymilian

— Nikt nie nauczył cię pukać? — warczę na siostrę i natychmiast odsuwam się od wyraźnie zażenowanej całą sytuacją Mai.

Dotąd nie widziałem nic niestosownego w tym, że moja siostra ma klucze do mojego apartamentu. Ale jeszcze do niedawna nie mieszkała tu ze mną żadna dziewczyna. Oczywiście okazjonalnie przyprawdzałem tu chętne laski, jednak żadna z nich nigdy nie zagrzała tu miejsca na dłużej. Maja stanowiła wyjątek.

— Mogę pójść, jeśli zawadzam — odpowiada Marietta i uśmiecha się szeroko.

Mam ochotę dopiec jej jakoś, ale się powstrzymuję. Zamiast tego pomagam Mai zejść z blatu.

— Skoro już jesteś, to zostań — odpowiadam jedynie, a potem ruszam w stronę łazienki. Mam palący problem i obawiam się, że jeśli się z nim nie zmierzę, nie zdołam przetrwać najbliższej godziny.

Nie muszę odwracać głowy, by wiedzieć, że moja siostra wciąż ma na twarzy tę głupkowatą minę, a Maja z zażenowaniem gapi się w podłogę. Ale w tej chwili nie zaprzętałem już sobie tym głowy.

Gdy tylko wchodzę do łazienki, zamykam się od środka.

Zdejmuję spodnie i koszulkę, które pod wpływem jeszcze niedawno gwałtownie wzrastającej temperatury zdają się parzyć moją skórę, i rzucam je na podłogę. A potem wchodzę pod prysznic, puszczam wodę i robię, co muszę. Nie wytrzymałbym tego ciśnienia, więc czuję się usprawiedliwiony.

— Pieprzona Marietta — mruczę pod nosem, a moja dłoń przyspiesza. Dawno tego nie robiłem, bo w zasadzie nie było takiej potrzeby. To sytuacja... awaryjna.

* * *

— Spróbuj, jakie pyszności przygotowała nam twoja dziewczyna — zagaduje mnie już od progu moja siostra. — Muszę przyznać, braciszku, że Maja to idealny materiał na żonę. Nie zmarnuj tego.

Posyłam jej mordercze spojrzenie, a potem przenoszę wzrok na *moją dziewczynę*. Zauważam, że jest ubrana. Ma na sobie czarne spodnie i zielony sweter. Nie jest najgorzej, muszę przyznać, choć ewidentnie ubrania pochodzą z jej prywatnej kolekcji. Pociesza mnie myśl, że przynajmniej już nie paraduje w mojej koszuli, którą jeszcze chwilę temu miałem ochotę z niej zedrzeć. Przy okazji zastanawiam się, czy gdyby wcześniej przyszło jej do głowy, żeby się ubrać, to czy doszłoby między nami do tak niezręcznej sytuacji. Teraz, kiedy sobie ulżyłem, nabrałem pewności, że w ogóle nie powinno się to wydarzyć. Z wielu powodów. Pierwszy to taki, że Maja była dziewczicą i wcześniej dała mi jasno do zrozumienia, że nie odda mi swojego wianka, więc śmiem przypuszczać, że to, do czego omal nie doszło, było jedynie chwilą słabości. Najważniejszym jednak powodem był ten, że oboje dostaliśmy dość konkretne wytyczne od Andrzeja. Maja po zabiegu nie mogła się wysilać, a ja... Cóż, nigdy nie byłem zbyt delikatnym kochankiem. Nie miałem więc prawa jej tknąć, choćby nie wiem jak mnie prowokowała.

— Nie jestem głodny — burczę jedynie.

Maja zerka na mnie, choć udaje, że jest zajęta podziwianiem placków znajdujących się na jej talerzu. Nie chciałem jej urazić, ale najwyraźniej to zrobiłem. Musiałbym być ślepcem, żeby nie zauważyć, że wygląda na niepokieszoną. Znów nawaliłem. Wiem, że chciała mi zaimponować, gdy zdecydowała się zrobić te swoje racuchy, ale ta sytuacja... — przecież omal nie posiadałem jej na tym cholernym blacie — naprawdę wytrąciła mnie z równowagi.

— Samą miłością się nie nakarmisz — mamrocze pod nosem Mari.

Boże, nikt inny nie potrafi mnie wkurzyć tak jak ona.

— Dobrze, zjem kawałek — kapituluję i siadam obok Mai.

Ostentacyjnie biorę widelec, którym odkrawam mały kawałeczek placka z talerza

siedzącej obok mnie dziewczyny, i wkładam go do ust.

— Hm — mruczę z uznaniem i jestem naprawdę szczery. — To rzeczywiście jest pyszne.

Mówię poważnie. Jestem pod wielkim wrażeniem. To proste, ale naprawdę smaczne danie. A konfitura? Palce lizać.

— Kto robił te maliny? — dociekam, oblizując usta. — Bo mówiłaś, że są...

— Ja — przerywa mi, powściągając niepewny uśmiech.

— Serio? — Patrzę na nią, jakby wyrosły jej dwie głowy. Czy w dzisiejszych czasach są jeszcze osoby, które robią przetwory?

Mają w odpowiedzi kiwa głową i spogląda na mnie w oczekiwaniu na kolejny komentarz.

— Zaskoczyłaś mnie — kwituję i skubię kolejny kawałek placka.

— Mama mnie nauczyła — wyjaśnia.

— Miałaś bardzo zdolną mamę — chwale.

— Miałaś? — podłapuje szybko Marietta, która przez moment tylko przysłuchiwała się naszej luźnej rozmowie.

Ganię ją wzrokiem, ale ona najwyraźniej udaje, że tego nie widzi, bo już zasypuje *moją dziewczynę* gradem pytań. Mam zamiar przerwać jej to przesłuchanie, ale wówczas w kieszeni moich spodni rozbrzmiewa telefon. Wstaję więc od stołu i ruszam w kierunku sypialni, bo na wyświetlaczu pojawia się imię jednej z moich kochanek. No tak, byłem z nią umówiony od przeszło dwóch tygodni, o czym na śmierć zapomniałem.

— Przepraszam — już w korytarzu rzucam do słuchawki. — Nie możemy się spotkać — wyjaśniam natychmiast, kiedy tylko znikam za drzwiami pokoju.

— Żartujesz? — pada pytanie po drugiej stronie. Joanna wydaje się oburzona.

— Niestety nie — wzdycham. — Też nad tym ubolewam.

W zasadzie nawet jestem z nią szczery. Potrzebowałem normalności, którą niosła codzienność. Seks był jednym z nieodłącznych czynników mojego kawalerskiego życia, a przez układ z Mają od kilkunastu dni go nie uprawiałem. Nie wiem, jak długo zdołam jeszcze *pociągnąć na ręcznym*, bo ten jeden raz w zupełności mi wystarczył. To strasznie żenujące. Nie byłem już przecież jebanym młokosem, żeby onanizować się pod prysznicem. Dawno z tego wyrosłem. Tymczasem przez Maję, przez jej obecność, która mnie tak rozpraszała, byłem do tego zmuszony.

— Ale Maks... — dziewczyna jęczy mi do słuchawki.

„Gdybym jej nie wystawił, jęczałaby mi do ucha” — myślę, czując, że od razu twardnieję.

— Naprawdę mi przykro — przerywam jej. — I muszę już kończyć. Jestem bardzo zajęty.

— A więc to prawda? — rzuca naraz cierpko piskliwym głosem.

— Ale co? Oświeć mnie.

— Na mieście mówią, że przygruchałeś sobie jakąś małolatę.

A więc o to jej chodzi...

Dobrze, niech mówią. Im więcej osób w to uwierzy, tym większe szanse na powodzenie całej akcji.

— Skoro tak mówią — odpowiadam jedynie.

— Jesteś sukinsynem, Maks — słyszę wówczas, a potem nastaje cisza.

Cóż, Joanna okazuje się kolejną kobietą, która oczekiwała ode mnie zbyt wiele. Lepiej więc, że wyszło to teraz, zanim sprawy zabrnęły za daleko.

Chowam telefon do kieszeni spodni i wracam do kuchni. Dziewczyny nadal o czymś dyskutują. Nie chcę być niegrzeczny i im przerywać, ale jeśli się nie pospieszymy, Maja spóźni

się na umówioną wizytę u Andrzeja. Zagaduję więc mimochodem, a właściwie tylko wymownie chrząkam, przez co obie jednocześnie milkną i wreszcie mnie zauważają.

— Obawiam się, że zaraz będziemy spóźnieni — przypominam *swojej dziewczynie*.

— Ojej! — Maja zerka na zegarek. — Prawie o tym zapomniałam.

— Macie wychodne? — interesuje się Marietta.

— O ile można tak nazwać wizytę w gabinecie twojego eks, to tak, mamy wychodne — odcinam się.

— Pozdrów go — wrywa się jej. Chyba tego żałuje.

— A nie możesz tego zrobić sama?

— Nie zaczynaj, Maks — ostrzega mnie.

Mari wyraźnie nie chce o tym gadać.

Maja milczy, tylko się nam przygląda. I dobrze, bo to sprawa pomiędzy mną a moją siostrą.

— Przecież nic nie mówię — rzucam jakby od niechcenia.

— Jeśli Maks tego nie zrobi, to możesz liczyć na mnie — wtrąca się naraz *moja dziewczyna*.

A więc jednak nie zdołała się powstrzymać. Cóż, taki jej urok bądź wada. Jak zwał, tak zwał.

— Kochana jesteś.

Bo zwymiotuję. Baby są jednak niemożliwe. Wystarczy im dzień, góra dwa, a już udają, że znalazły w sobie „psiapsie”. Chryste...

— Możesz się pospieszyć, kochanie? — pytam słodkim, pełnym czułości głosem.

Jestem pewien, że Maja mnie przejrzała i rozumie, co zamierzam jej przez to powiedzieć. Przynajmniej taką mam nadzieję, bo nie chcę kolejnych scysji. Jakoś milej się zrobiło, gdy między nami zapanował pokój.

— Jasne, misiaczku — odpowiada złośliwie, czego nie komentuję, jeszcze nie. Zajmę się tym wkrótce.

— Jak stare dobre małżeństwo — wrywa się Marietcie.

Spoglądam na nią, ale nic nie mówię. Podaję Mai płaszcz, pomagam jej go założyć, a gdy rusza do drzwi, zatrzymuję ją.

— Nie zapomniałaś o czymś?

Patrzy na mnie z niezrozumieniem. Wtedy podaję jej okulary.

— Myślę, że ci się przydadzą.

— Ach tak. Masz rację. I myślisz o wszystkim. Dziękuję, skarbie — dorzuca, ciągnąc tę swoją szopkę, a potem składa mi na policzku pocałunek, któremu towarzyszy przeciągłe westchnienie mojej upierdliwej siostry.

W co ja się, kurwa, wpakowałem?

Rozdział 17.

Maksymilian

— Balansujesz na...

— Niebezpiecznej krawędzi? — kończy za mnie. — Tak, wiem. Dziś mi już to mówiłeś.

— Nie chcę się z tobą kłócić. Uszanuj to — upominam ją.

Zdaje się, że moje słowa nie robią na niej większego wrażenia, bo udaje niewzruszoną. W ogóle, odkąd wyszliśmy z mojego mieszkania, jest jakaś naburmuszona. Ciekawe, o co chodzi jej tym razem.

— Powiesz mi wreszcie, co się dzieje?

— Nic — burczy.

A więc jednak COŚ jest na rzeczy.

Kobiety są naprawdę dziwne. W dodatku są przeciwieństwem nas, facetów. Dla mężczyzn „nie” zawsze oznacza to samo. One, jak widać, mają z tym pewien problem.

— Przecież widzę.

— Tak? Więc co zobaczyłeś? — pyta, zadzierając buńczucznie głowę.

Właśnie w tej chwili żałuję, że ma na nosie ciemne okulary. Jej oczy powiedziałyby mi więcej niż buntownicza postawa.

— Jesteś na mnie zła.

— Brawo, geniuszu.

I jeszcze kpi ze mnie, co zaczyna mi się coraz mniej podobać.

— Masz prawo — odpowiadam. — Choć nadal nie pojmuję dlaczego.

Odwraca głowę w stronę szyby, czym mnie po raz kolejny zaskakuje. Naprawdę nie wiem, o co jej chodzi, i w ogóle coraz mniej podoba mi się charakter tej rozmowy.

— Kim jest Joanna? — pada naraz cierpkie pytanie.

— Słucham?! To jakiś żart?

— Nie. Nic z tych rzeczy. Myślisz, że jeśli mnie udało się dostrzec jej imię na wyświetlaczu, to twojej siostrze już nie?

— A co ma piernik do wiatraka?

Czuję coraz większą irytację. Jak śmie zaglądać mi w telefon? I jakim prawem jeszcze ma do mnie o to pretensje? Chyba *lekko* przesadza i wychodzi poza swoje kompetencje, o czym zamierzam jej przypomnieć.

— Myślisz, że jak się poczułam, kiedy zaraz po twoim wyjściu twoja siostra wzięła mnie w obroty? Zaczęła pytać, czy żyjemy w otwartym związku, które ty rzekomo preferujesz. Gdybać, że to może być całkiem fajne. A ja?

— Co „ty”?

— Jak ta głupia musiałam się uśmiechać i jej przytakiwać, udając kogoś, kim nie jestem i nigdy nie będę. Gdybyś należał do mnie, już bym ci pokazała otwarty związek — warczy.

Zaskakuje mnie. Nie po raz pierwszy zresztą. I mimo że rzeczywiście lubię takie rozwiązania w związkach, coraz bardziej podoba mi się jej tok myślenia.

„Gdybym należał do niej...”

Niestety ta zaskakująca rozmowa dobiega końca, bo właśnie dojechaliśmy pod klinikę, w której pracuje Andrzej. Oczywiście zamierzam wysiąść szybciej, żeby otworzyć Mai drzwi, ale ubiega mnie i pierwsza wyskakuje na chodnik.

— Długo będziesz się tak zachowywała? — pytam już lekko zniecierpliwiony jej

dziecinnym zachowaniem.

— Że niby jak się zachowuję?

Obserwuję, jak wkłada ręce do kieszeni płaszcza i znów zadziera głowę. Bawi mnie jej reakcja, ale nie komentuję tego. Niemniej odpowiadam na jej pytanie:

— Jak żonka na włościach.

— Co?!

— Tak, Maju, zachowujesz się jak prawowita żona, która zawsze ma rację i nieustannie stawia na swoim.

— Wiesz co, Iwański? — Z jej głosu przebija złość.

— No co?

— A weź ty się puknij w głowę — oznajmia, a potem rusza w stronę przeszklonych drzwi.

Nie pozostaje mi nic innego, jak pójść za nią. Uśmiecham się jednak pod nosem i kręcę z niedowierzaniem głową. Ona robi w tej chwili dokładnie to samo, tyle że pupą.

Ależ ma piękne kształty.

* * *

— Bardzo dobrze to wygląda — stwierdza Andrzej na koniec badania. — Postępujcie nadal według zaleceń, a nie powinno być żadnych niespodzianek po drodze.

— Oczywiście. Osobiście dopilnuję, żeby Maja pamiętała o zakrapianiu — odpowiadam, zerkając na dziewczynę, która nadal wydaje się na mnie obrażona. Odkąd posprzeczaaliśmy się na parkingu, nie odezwała się do mnie ani słowem.

Andrzej, który prawdopodobnie zauważa więcej, niż powinien, uśmiecha się porozumiewawczo i dodaje:

— Gdyby jednak działo się coś niepokojącego, na przykład ostry ból bądź zwiększone zaczerwienienie, to dzwońcie, o każdej porze.

— Jasne — potwierdzam, a potem wymieniamy uścisk dłoni. — Andrzej? — zagaduję w chwili, kiedy Maja otwiera usta, żeby się odezwać.

Domyślam się, co chciała powiedzieć albo raczej czyją prośbę spełnić. Mam jednak lepszy pomysł.

— Tak?

— A może wpadłbyś do nas na kolację? — proponuję, czym wyraźnie zaskakuję *moją dziewczynę*. Liczę, że mnie nie zdemaskuje, bo prawdopodobnie domyśla się, co kombinuję. Jej mina na to wskazuje. — W ramach wdzięczności za fachową opiekę nad moją dziewczyną sam coś ugotuję — dorzucam na zachętę.

— Mówisz poważnie? — Mój szwagier patrzy na mnie jak na wariata. Wiem, o co mu chodzi, ale źle mnie ocenia. — Przecież kiedy mieszkałeś ze mną i swoją siostrą, potrafiłeś przypalić nawet wodę — wytyka mi, choć nie mówi tego ze złością. Po prostu się ze mnie nabija.

Tak, to prawda. Kiedy byłem dzieciakiem, miałem dwie lewe ręce. Do wszystkiego. A już zwłaszcza do gotowania. Ale dorosłem i wziąłem się z życiem za bary. Przy okazji zrozumiałem, że każdy jest kowalem własnego losu. Zacząłem się więc bardziej starać. Nauczyłem się kilku ważnych rzeczy, dzięki którym zaszedłem tak wysoko. Wśród nich znalazło się gotowanie. W zasadzie zacząłem pichcić nie dlatego, że musiałem albo że skłaniały mnie do tego głębsze refleksje, ale dlatego, że po prostu odkryłem nową metodę podrywu. Zrozumiałem, że laski lecą na facetów, którzy potrafią gotować, i uwielbiają, gdy mężczyźni je rozpieszczą, zwłaszcza kulinarnie.

Na wspomnienie tego, co się wydarzyło w mojej kuchni z udziałem kilku bardzo

apetycznych dziewcząt, uśmiecham się mimowolnie.

— To prawda — odpowiadam, czując na sobie wzrok siedzącej obok mnie dziewczyny. Niezrozumiałe to uczucie, kiedy w jej obecności myślę o innych kobietach. Dziwne. To do mnie niepodobne. Nigdy nie miałem z tym problemu.

— Ale, jak widać, wydorostałem, zmieniłem się. — Chrząkam wymownie. — I nauczyłem kilku nowych rzeczy.

— To się chwali. Zwłaszcza że nic nie wskazywało na to, że zmądrzejesz — odpowiada szwagier z rozbrajającą szczerością, a potem przenosi wzrok na Maję. — Dziś trudno o ułożonych mężczyzn, więc trzymaj go mocno i nie puszczaj.

Gdyby to moja siostra mówiła takie rzeczy, zrugałbym ją. Szanowałem Mari, ale nie pozwalałem jej na takie zuchwałości. Na *wysoki* Andrzeja też przymykałem oko. Przez wiele lat był dla mnie autorytetem. W zasadzie nadal jest. Przemilczam zatem fakt, że właśnie potraktował mnie jak gówniarza.

— No to jak będzie? — pytam jedynie. — Dasz się zaprosić na kolację?

— To zależy kiedy. Mam dość napięty grafik.

— Możesz wpaść nawet dzisiaj, prawda, kochanie? — zachęcam Maję do uczestnictwa w rozmowie, bo znów uparcie milczy. W odpowiedzi kiwa jedynie głową.

— Dziś jest to absolutnie niemożliwe. Choćby przez wzgląd na twoją dziewczynę, która potrzebuje odpoczynku. Nie żartowałem, mówiąc, że Maja musi o siebie bardzo dbać. Nie może się forsować, wykonywać gwałtownych ruchów, pochylać się, dźwigać...

— Tak, wiem. Masz rację. — Podnoszę ręce w geście poddania. — To co proponujesz?

— Może wpadnę w weekend? — mówi, zerkając w kalendarz stojący na jego biurku.

— Byłoby super, prawda, kochanie? — zagaduję Maję, która kolejny raz potwierdza skinieniem głowy, na co Andrzej posyła jej serdeczny uśmiech. — Zatem widzimy się? — pytam jeszcze szwagra.

— Tak. Do zobaczenia w weekend — odpowiada, kiedy obejmuję Maję i zmierzamy do wyjścia. — Dbaj o nią — słyszymy jeszcze.

— Oczywiście.

— Puść — odzywa się już w korytarzu *moja dziewczyna*. — Przecież twój szwagier już nie patrzy.

Cholera, co z nią nie tak?

Maja

Nie zamierzam udawać, że wszystko jest w porządku. Nie jest. Wciąż jestem na niego zła o tę dziewczynę. Mamy układ. Już zapomniał? Nie pamięta zasad? Poza tym jeśli myśli, że jemu wolno więcej niż mnie, to jest w błędzie. Doskonale pamiętam, jak się zachował, kiedy podczas kolacji zadzwonił jeden z moich braci, którego wziął za mojego chłopaka. Dupek!

„Joanna...” — powtarzam w myślach jej imię. Zwykła Aśka, Achulec. W mojej klasie, jeszcze w podstawówce, nazywaliśmy tak jedną z koleżanek. Asia była miłą dziewczynką, ale sama kazała tak do siebie mówić. Uważała, że zdrobnienia do niej nie pasują, a „Joanna” brzmi zbyt dostojnie.

Ale oczywiście ON nazywał tę swoją lalunię Joanną.

Pieprzona Dżoana!

— Albo mi powiesz, co cię ugryzło...

— Albo co?!

Staję nagle na środku chodnika i krzyżuję ramiona na piersiach.

— O co ci chodzi? — pyta Iwański, przyglądając mi się uważnie. — Dlaczego od dobrej godziny się na mnie wyżywasz?

— Nie wyżywam się, tylko...

— Tylko co? To rozmowa z moją siostrą tak cię wytrąciła z równowagi? Naprawdę? — W jego głosie pobrzmiwa niedowierzanie z dobrze mi już znaną nutą ironii.

— Jesteś aż takim idiotą? — naskakuję na niego. Nie obchodzi mnie, że idący chodnikiem ludzie się na nas gapią. A niech się patrzają!

— Nie nazywaj mnie tak — ostrzega mnie poważnym głosem i zaciska dłonie w pięści, co nie uchodzi mojej uwadze.

Jeśli myśli, że się go przestraszę...

— Bo co mi zrobisz? — cedzę przez zęby, a wtedy chwyta mnie w talię i przyciąga do siebie. I nie zważając na przechodniów, całuje mnie.

Szlag! Robi to tak dobrze, że natychmiast mięknę, a właściwie się rozpływam.

— Od razu lepiej — mówi i nagle mnie puszcza. — Dokończymy tę rozmowę w aucie — dorzuca pewnym siebie, opanowanym głosem.

A do mnie właśnie dociera, że kolejny raz z nim przegrałam.

Wściekła, tym razem jednak już bardziej na siebie niż na niego, wracam do samochodu. Spoglądam na niego chłodno, kiedy uśmiecha się głupkowato i otwiera przede mną drzwi.

Pieprzony dżentelmen się znalazł!

Siadam w fotelu, zapinam pas. Udaję, że nie zwracam na niego uwagi, choć kątem oka obserwuję każdy jego ruch.

— A teraz mów, o co ci chodzi — odzywa się pierwszy.

— Twoja siostra uświadomiła mi, jaki jesteś naprawdę.

— To znaczy? — W dodatku patrzy na mnie, jakby niczego nie rozumiał.

Trzymajcie mnie, bo nie wytrzymam...

— Romansujesz na prawo i lewo. Spotykasz się z wieloma kobietami naraz. Nawet teraz, gdy udajesz zakochanego we mnie.

— Odkąd się do mnie wprowadziłaś, z nikim się nie spotykam.

— Ale odbierasz telefony od tych swoich Dżoan czy od Bóg wie jakich innych napalonych ciż.

— Mam ci przypomnieć, że ty też nie potrafiłaś się powstrzymać i na oczach Johanssonów szczebiotałaś z tym swoim Piotrusiem Panem?

— Ty naprawdę jesteś głupi — wyrzywa mi się, na co Iwański groźnie mruży oczy.

— Pozwalam ci na więcej niż jakiegokolwiek innej kobiecie, ale nie pozwolę się dłużej obrażać. Więc albo zaczniesz traktować mnie z szacunkiem — zniża głos do szeptu, co oznacza, że naprawdę się wkurzył — albo pakuj się i wynoś z mojego życia.

Nie spodziewałam się po nim aż takiego wybuchu złości. I nie jestem pewna, ale chyba nawet nie byłam gotowa na odejście. Zwłaszcza że wciąż miałam wobec niego spory dług. To jedyny powód? Nie czas, by to właśnie teraz roztrząsać. Musiałam się opanować i działać.

— Przepraszam — odzywam się po chwili. — Przesadziłam. Ale trudno mi zapanować nad emocjami, kiedy próbujesz mi wmówić, że romansuję z własnym bratem.

— Co?

— Piotruś Pan — wzdycham — jak go ładnie nazwałeś, jest moim starszym bratem.

— Masz brata?

— No popatrz — sarkam, choć sekundę temu przyrzekłam sobie w myślach, że zdołam nad tym zapanować. — Mnie jakoś przesadnie nie zdziwił fakt istnienia twojej siostry.

Maks milczy przez chwilę i spogląda w dal. Następnie przenosi na mnie wzrok. Jego

zmarszczone czoło jest dowodem na to, że wystawił się przede mną na śmieszność.

— Wygląpiłem się. Przepraszam.

— Z grzeczności nie zaprzeczę. — Z przekory pokazuję mu język.

— Ty naprawdę jesteś niemożliwa.

Iwański kręci głową, ale się uśmiecha, co znaczy, że sytuacja powoli wraca do normy. Przynajmniej w jego odczuciu. Mnie nadal ciąży na sercu ta jego... Joanna.

Czekam chwilę, aż odpali silnik i włączy się do ruchu. Dopiero wtedy drążę temat:

— To jak będzie?

— Z czym? — Zerka na mnie.

— Raczej z kim — poprawiam go. — Dasz radę uszanować to, że w oczach innych uchodzę za twoją dziewczynę, czy nadal będziesz obracał na boku te swoje... panienki?

— Masz moje słowo — mówi nagle i sięga po moją rękę. Składa na niej pocałunek, czym mnie zaskakuje. — Będę ci wierny jak pies, kochanie.

Nie jestem pewna, czy tylko sobie ze mnie żartuje, czy rzeczywiście mówi poważnie, ale za sprawą jego ciepłych warg muskających moją skórę rozpływam się. Dosłownie.

Rozdział 18.

Maja

Przez najbliższych kilka dni staram się unikać Iwańskiego. Niepokoi mnie bowiem to, co czuję, kiedy jest w pobliżu, jak na mnie działa. Za dnia całkiem dobrze mi to wychodzi — prawie w ogóle na siebie nie wpadamy, bo większość czasu Maks spędza poza domem, w biurze — ale wieczory, a zwłaszcza noce bywają trudne. Nadal śpimy w jednym łóżku, bo Marietta wciąż pomieszkuje w sąsiednim mieszkaniu, które miało być moim azylem. Poza tym stale wpada tu z niezapowiedzianymi wizytami. W zasadzie wcale mi to nie przeszkadza — bardzo się polubiłyśmy — ale na dłuższą metę jest to bardzo męczące, zwłaszcza mój układ z Maksem. Spanie w jednym łóżku z facetem, w dodatku tak przystojnym i hojnie wyposażonym przez naturę, jest wyczerpujące. Może nie tyle samo spanie, ile pilnowanie się, czuwanie, niedosypianie, co, obawiam się, może się kiedyś zakończyć katastrofą. Dziś rano bowiem obudziłam się wtulona ciasno w jego ramiona. Było mi naprawdę dobrze, ale też wstyd jak cholera. Widok jego uśmiechu, którym mnie uraczył zaraz po tym, jak otworzyłam oczy, nie pomagał. Podobnie zresztą jak świadomość, że znów miał wzwód.

Chryste, przecież jestem tylko człowiekiem, kobietą z krwi i kości, a stale jestem poddawana TAKIM próbom...

Gdy to odkryłam, szybko uciekłam z łóżka, wymawiając się głodem. Zaproponowałam, że dziś sama zajmę się śniadaniem. Przez cały ubiegły tydzień to głównie Maks dla nas gotował. Chciałam się zrewanżować, ale przede wszystkim pragnęłam od niego zwać jak najdalej, zanim mogłoby między nami do czegoś dojść. Nie zamierzałam bowiem przez chwilę słabości się zhańbić. Chociaż... Przecież gdyby nie Marietta, która przeszkodziła nam tamtego poranka, pewnie już dawno przestałabym być ostatnią dziewicą na Ziemi — tak ostatnimi czasy nazywała mnie Anita.

Telefonuję do niej. Chcę usłyszeć jej głos, zapytać, co słyhać. Nadal nie przeszła mi na nią złość po tym, jak wyrzuciła mnie z mieszkania, ale stęskniłam się za nią.

— Majka! Jak miło. Myślałam, że się na mnie pogniewałaś.

— I słusznie — odpowiadam. — Bo byłam na ciebie zła. Ale znasz mnie i wiesz, że nie potrafię długo chować urazy.

— Tak. Masz dobre serduszko. Dlatego bardziej od innych musisz uważać, żeby cię nie skrzywdzono — oznajmia. Chyba wiem, do czego pije. — A jak twoje relacje z tym przystojniaczkiem w garniturku? — Miałam rację... — Poradziłaś sobie z nim jakoś? Jak na moje oko ten facet to straszny zarozumialec. Wyprowadź mnie z błędu, jeśli się mylę.

— Zyskuje przy bliższym poznaniu — odpowiadam szczerze zniżonym do szeptu głosem i zerkam przez ramię, żeby się upewnić, czy właśnie przypadkiem do mnie nie dołączył. Nie chcę kłopotów, zwłaszcza że już wszystko sobie wyjaśniliśmy i przez ostatnich kilka dni nie wybuchła między nami żadna kłótnia. Liczę, że już tak zostanie. Do końca.

— Ale że co? Jest miły czy może tylko udaje? — Anita jak zwykle ma za dużo pytań. — Wiesz, poszperałam w sieci i poczytałam o nim trochę. Niezły z niego numer. Mówię ci.

Po co więc pyta, skoro wyrobiła już sobie o nim zdanie? Powoli zaczynam żałować, że w jednej z wcześniejszych rozmów opowiedziałam jej o szczegółach mojej umowy z Iwańskim. Oczywiście ufam jej i jestem pewna, że nikomu nie wypapla, że to tylko ustawka, ale kiedy mnie tak wypytuje, zaczynam nabierać dystansu. Po prostu nie mam ochoty o tym gadać.

— Wiesz, nie mogę teraz rozmawiać...

— Aaa, że pan i władca przyszedł, tak? — słyszę w odpowiedzi. — Dobra. Pogadamy innym razem. To pa, Majka, pa.

— Pa. — Wzdycham i odkładam telefon na blat.

Podchodzę do lodówki, otwieram ją i patrzę niewidzącym wzrokiem. Nie mam pomysłu na śniadanie, choć przyszedłam tu właśnie pod pretekstem jego zrobienia. Zamykam więc drzwi lodówki, a potem ruszam do łazienki.

„Może jak wezmę prysznic, to mnie jakoś natchnie” — przelatuje mi przez głowę.

Zastanawiam się, czy nie wrócić na chwilę do sypialni, by wziąć czyste ubranie, ale świadomość, że półnagi Maks nadal leży w łóżku, skutecznie mnie powstrzymuje. Idę więc prosto do łazienki. Otwieram drzwi, a to, co widzą moje oczy, przechodzi najśmielsze fantazje. Iwański stoi pod prysznicem. Woda spływa po jego głowie, ramionach, pośladkach. Chryste, wygląda jak Bóg, sam Adonis albo inny mityczny heros. Przetykam głośno ślinę, ale nadal się na niego gapię, nie mogę przestać, choć wiem, że powinnam, zwłaszcza widząc... TO. Może i brakuje mi doświadczenia i obycia w TYCH tematach, ale nie jestem aż tak tępą, by nie wiedzieć, co właśnie robi. W dodatku na moich oczach.

Zauważa mnie, ale nie przestaje. Góra, dół... Pociera członka, który jest naprawdę ogromny. Wiem, że powinnam uciekać, najlepiej gdzie pieprz rośnie albo jeszcze dalej, ale dzieje się ze mną coś dziwnego, bo nie mogę się ruszyć z miejsca.

— Chodź do mnie — odzywa się jedynie.

Nie odpowiadam, tylko uparcie tkwię w miejscu. Zupełnie jakby mnie sparaliżowało.

Mam jeszcze chwilę na ucieczkę, ale nadal stoję w bezruchu, choć widzę, że Iwański opuszcza kabinę. Mam taki mętlik w głowie, że nawet nie wiem, po co to robi. Jednak szybko odkrywam jego nieczne zamiary. Wciąga mnie do kabiny, w ubraniu. A ja? Cóż, muszę przyznać, że nie protestuję zbyt wiele.

Oszalałam, to pewne...

Spoglądam do góry, na jego twarz. Płonie. Podobnie jak moja, na której czuję palący ogień.

— Weź go — mówi, a potem kładzie obie moje ręce na swoim członku. — To proste — dodaje i jedną z moich dłoni przesuwając po całej długości penisa, a drugą zaciska lekko na jądrach. — Tak — mruczy, wciąż obejmując własnymi dłońmi moje. — Tak, dobrze — dodaje, po czym zamyka oczy i unosi twarz w kierunku deszczownicy.

— Maks? — dochodzi nas nagle znajomy głos. — Maja? Gdzie jesteście?

Szlag!

Maksymilian

Jeśli Bóg istnieje naprawdę, to chyba musi mnie bardzo nie lubić, skoro obdarował mnie TAKĄ siostrą!

— Wyjdź, do cholery! — wykrzykuję, wyskakując spod prysznica i zamykając jej drzwi przed nosem.

Odwracam się w stronę Mai. Kuli się, jakby jej było zimno albo jakby chciała ukryć swoją nagość, choć nadal ma na sobie ubranie. W dodatku w ogóle na mnie nie patrzy. Jest jej wstyd, to pewne. Wcale się nie dziwię. Ja też w tej sytuacji czuję się mało komfortowo. Nie przywykłem do widowni, zwłaszcza takiej.

— Przepraszam cię — odzywam się, gdy ponownie wchodzę pod prysznic. Zakręcam wodę. — Za nią. I za siebie. Mogłem to przewidzieć i zamknąć te cholerne drzwi na klucz. Maju? — mówię, a potem, gdy nie reaguje na moje słowa, dotykam jej ramienia. Odskakuje ode mnie.

Sprawia wrażenie, jakby się mnie bała, może nawet jakby się mnie brzydziła, choć kilka minut temu była gotowa nawet mi się oddać.

— Za nic nie musisz mnie przepraszać — odpowiada naraz. — A twojej siostrze powinnam raczej podziękować.

— Nie mówisz tego poważnie?

Wreszcie się odważa i spogląda na mnie, z pretensją. Nie pojmuję tego.

— Przecież sama tego chciałaś.

— W tym problem — przerywa mi ze złością. — Chyba do reszty mnie z rozumu obrało. — Wymija mnie i wychodzi.

Patrzę w ślad za nią, ale nadal stoję w kabinie. Jestem tak samo skołowany jak ona. Może nawet bardziej, bo zupełnie nie ogarniam jej zachowania. Jest taka dziecinna. Raz czegoś chce, a po chwili zmienia zdanie i ucieka. W dodatku obwinia mnie za wszystko. A przecież nie tylko ja ponoszę odpowiedzialność za zaistniałą sytuację. Ona również. Przecież mogła się wycofać, zanim ją dostrzegłem. Mogła mnie odtrącić, zanim ją zaprosiłem do wspólnej... zabawy.

Teraz patrzę, jak chwyta ręcznik, którym próbuje osuszyć przyklejone do ciała ubranie. Po raz kolejny zachowuje się co najmniej niedorzecznie.

— Nie prościej byłoby je zdjąć? — odzywam się, pytając czysto retorycznie.

Nie odpowiada, tylko rzuca mi pełne złości spojrzenie. Zupełnie jakbym jej coś zrobił, jakbym ją do czegoś zmuszał, choć oboje wiemy, że to nieprawda. Była na mnie tak samo napalona jak ja na nią. I gdyby nie kolejne spektakularne wejście Marietty, prawdopodobnie właśnie pieprzylibyśmy się jak jakieś jebane króliki.

— Jak chcesz — mówię jeszcze, a potem opuszczam kabinę, chwytam jeden z ręczników i owijam go sobie wokół bioder.

Nie obchodzi mnie, że nadal ociekam wodą. Muszę wyjść, bo w innym wypadku jak nie oszaleję. Poza tym mam do pogadania z siostrą. W cztery oczy.

* * *

Po tym porannym zajściu nie wiem, jak się zachować. Kilkakrotnie podnoszę słuchawkę, a nawet wybieram numer do Mai, ale po chwili uznaję, że to nie jest dobry pomysł. Nie muszę się przed nią z niczego tłumaczyć. Sama tego chciała, a potem udawała poszkodowaną. Przecież nie zrobiłbym niczego, na co by mi nie pozwoliła.

Więc dlaczego tak chujowo się czuję?

— Szefie? — słyszę naraz głos Roksany. Przyniosła mi jakieś dokumenty do podpisania, a ja chwilowo odpłynąłem.

— Już — odpowiadam jedynie, a potem składam na każdym z nich kilka parafek.

— Wszystko w porządku? — docieka i obserwuje mnie wnikliwie.

— Oczywiście — odpowiadam, choć w duchu sarkam na samego siebie, wymyślając się od skończonych durniów, idiotów do kwadratu i niezrównoważonych psychicznie kretynów.

— To co mam powiedzieć panu Johanssonowi?

No tak. Jeszcze on chce mi do reszty spieprzyć dzień. Ponoć od rana wydzwania do mojej sekretarki i nalega na rozmowę ze mną. Nie trudno się domyślić, czego ode mnie chce. Lars oczekuje kolejnego spotkania. A ja w tej jednej chwili niczego nie mogę mu obiecać, bo nawet nie wiem, co zastanę po powrocie do domu. Moja domniemana dziewczyna jest na mnie obrażona, a siostra — lepiej nie mówić. Nawrzeszczałem na nią tak, że prawdopodobnie spakowała manele i się wyprowadziła. A jeśli rzeczywiście tak się stało, Maja mi tego nie daruje. Już poznałem jej podejście do instytucji rodziny.

— Nic. Sam się tym zajmę — mówię jedynie, a potem pokazuję jej, że nie chcę

towarzystwa.

Kiedy wychodzi i zamyka za sobą drzwi do mojego gabinetu, rozsiadam się wygodniej w fotelu i poluźniam krawat. Ten dzień to jakiś jebany koszmar.

Ponownie sięgam po telefon i po raz któryś wybieram jej numer. Teraz jednak nie wycofuję się jak za każdym poprzednim razem i inicjuję połączenie. Odbiera po czwartym sygnale.

— Maja?

— Tak, to ja — słyszę. Od razu wyczuwam jej złość. W sumie ma rację, że się irtuje, bo któż niby miałby odebrać jej telefon?

— Dzwonię, żeby cię poinformować, że wieczorem wychodzimy.

— Dobrze — odpowiada znużonym głosem. Żadnego „dokąd”, „o której” czy „ale”, co byłoby bardzo w jej stylu.

Czy zatem powinienem się bać?

Okaze się. Niebawem.

CHOMIKO - WARNIA

Rozdział 19.

Maja

Kiedy emocje nieco opadły, zdecydowałam się zostać. Nie mogłam się tak po prostu spakować i wyjechać, choć przez chwilę rozważałam i taką ewentualność. Miałam jednak umowę z Iwańskim, która zobowiązywała mnie do lojalności. Poza tym nigdy nie byłam aż takim tchórzem, żeby uciekać z podkulonym ogonem. Fakt, poranne zajście mocno mną wstrząsnęło, zwłaszcza w momencie, gdy zostaliśmy nakryci przez siostrę Maksa, ale nie tylko z tego powodu. Po prostu wreszcie dotarło do mnie, że naprawdę stąпам po cienkim lodzie. Złoszczę się na Maksymiliana, obwiniam go za wszystko, a w rzeczywistości sama ponoszę połowę winy albo nawet więcej. W kółko się zarzekam, że nic nie czuję do tego faceta, ale prawda jest taka, że ciągnie mnie do niego jak do żadnego innego. To frustrujące, zwłaszcza że przez większą część naszej relacji uważałam go za gnojka. Niemniej nic nie mogę poradzić, że z każdą chwilą pragnę go coraz bardziej. Na usprawiedliwienie mam jedynie to, że Iwański jest naprawdę pociągającym mężczyzną. I nie mam tu jedynie na myśli samej jego urody, która jest niezaprzeczalna. Fakt, że jest cynicznym i samolubnym dupkiem, pociąga mnie równie mocno. Wiem, to popieprzone, zwłaszcza że dotąd stroniłam od takich facetów, ale to silniejsze ode mnie.

Wzdycham. Nie wiem, co dalej, co powinnam zrobić. Ustalić nowe zasady? Czy może zwyczajnie trzymać się starych?

Maks musi mieć jakiś szósty zmysł, bo właśnie dzwoni. Nie odbieram od razu, bo właściwie nie wiem, co mam mu powiedzieć, jak się zachować. W końcu wciągam powietrze w płuca i odbieram. Milczę jednak, bo nadal mam pustkę w głowie.

— Maja? — rozlega się w słuchawce.

Aż mnie korci, żeby powiedzieć mu coś złośliwego. W końcu kto miałby odebrać mój telefon, jak nie ja? Ale powstrzymuję się i zamiast tego odpowiadam tylko:

— Tak, to ja.

— Dzwonię, żeby cię poinformować, że wieczorem wychodzimy.

— Dobrze — odpowiadam jedynie, a potem, upewniwszy się, że Maks nie ma już nic więcej do powiedzenia, rozłączam się.

Do wieczora zostało jeszcze sporo czasu, a ja nie wiem, co z sobą począć. Gdybym była u siebie, na wsi, poszłabym na spacer albo wpadłabym do swojej ulubionej sąsiadki, pani Grabowskiej, na kawę lub herbatę. Ale tutaj, w centrum stolicy, nie mam na to większej ochoty. A i na kawę nie mam do kogo wpaść, bo w zasadzie oprócz Anity, z którą nie chcę się spotykać, nie znam tu nikogo. Chociaż...

Nie jestem pewna, czy pójście do Marietty, która mieszka za ścianą, jest dobrym pomysłem. Na samą myśl o tym, w jakiej sytuacji zastała mnie z jej bratem, dostaję wypieków na twarzy. Ale czy powinnam jej z tego powodu unikać?

Swoją drogą, ta kobieta ma niezwykłą cierpliwość do brata. I musi go bardzo kochać, skoro po tym, jak nawrzeszczał na nią tak, że pewnie słyszała go połowa Warszawy, jeszcze się nie wyniosła. Ja chyba nie byłabym taka wyrozumiała i nie zniosłabym takiego traktowania. Marietta może i była zbyt wścibska, ale najwyraźniej Maks dotąd jej na to pozwalał. Uważam więc, że jego wybuch złości był co najmniej nie na miejscu.

Postanawiam do niej zajrzeć. Najpierw jednak zjeżdżam windą na dół i udaję się do cukierni, która znajduje się u zbiegu dwóch pobliskich ulic. Kupuję bezy przełożone kremem kakaowym i porcję ptysi. Nie wiem, co lubi siostra Maksa, więc proszę jeszcze o pączki z

nadzieniem różanym. Fakt, nakupowałam, jakbym miała wykarmić pół armii, ale nie przejmuję się tym zbyt. Mam dziś wyjątkową ochotę na słodkości, więc pewnie sama zjem połowę. Niestety czasem tak mam i stres zajadam słodyczami. Dobrze chociaż, że cukier nie idzie mi w biodra. Przynajmniej na razie — co mnie pociesza — bo z tym to akurat nigdy nie wiadomo.

Z papierową torebką w rękach wracam na górę. Od razu kieruję się do mieszkania Marietty. Pukam do drzwi i nasłuchuję jej kroków. Otwiera mi po chwili i wydaje się co najmniej zaskoczona moim widokiem.

— Mogę? — pytam niepewnie.

— Proszę — odpowiada i przepuszcza mnie w przejściu. — Choć nie ukrywam, że jesteś ostatnią osobą, której się tu spodziewałam.

— Czyli że przychodzę nie w porę?

— Nie. Oczywiście, że nie. Po prostu sądziłam, że obraziłaś się na mnie za to poranne... najście — Sprawia wrażenie zakłopotanej, choć to mnie powinno być głupio. Tego, co zobaczyła, już nie da się odzobaczyć. — Mój brat tak na mnie nawrzeszczał, że lepiej nie mówić. Myślałam więc, że i ty nie chcesz mnie widzieć.

— Twój brat ma wybuchowy charakter.

— A ty? Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że jesteś szarą myszką? Kobieta Maksymiliana nie może nią być.

Nie jestem pewna, co ma na myśli, ale postanawiam zakończyć temat, zanim rozpoczął się na dobre. Gdybym bowiem zamierzała go ciągnąć, musiałabym albo kłamać jak najęta, albo wyznać Mariette całą prawdę. A tego nie mogłam zrobić. Na pewno nie bez konsultacji z Iwańskim.

— Nie jestem. Ale nie mówmy o tym, dobrze?

— Jasne. Zapraszam — dodaje i wskazuje mi miejsce na kanapie.

— Przyniosłam nam coś słodkiego. Do kawy — wyjaśniam, kładąc na stoliku torebkę wypełnioną wszystkimi tymi łakociami.

— Już się robi — słyszę w odpowiedzi, na co się uśmiecham.

— A powiedz, jak twoje oczy — zagaduje nagle Marietta, przygotowując filiżanki, które wraz z cukiernicą, mlekiem oraz talerzykami ustawia na tacy.

— Dziękuję, dobrze. Twój były mąż jest cudotwórcą.

Marietta nie odpowiada, tylko nieznacznie się uśmiecha. Chyba nie bardzo lubi o nim mówić. Ciekawe dlaczego.

— Powiesz mi, o co wam poszło, czy to jakaś wielka tajemnica?

— Właściwie to nie — odpowiada, kiedy wreszcie zjawia się ze świeżo zaparzoną kawą i zasiada obok mnie na kanapie. — Po prostu się pokłóciliśmy, bo oboje oczekiwaliśmy czegoś innego. A potem nie dało się tego już naprawić — dorzuca jakby od niechcienia, choć gołym okiem widać, że nadal boli ją ta sprawa. Zdaje się nawet, że coś kręci. Jednak nie mnie to oceniać. Po prostu zamierzam jej wysłuchać.

— Bardzo mi przykro.

— Mnie też. Było. Kiedyś — rzuca pojedyncze słowa. Robi to zbyt beztrzesko, co w moim odczuciu oznacza, że nie mówi mi całej prawdy i że wciąż ją to boli. Jednak w chwili, gdy próbuję pociągnąć ten temat, Marietta postanawia pomówić o czymś innym. — Jeszcze raz cię przepraszam, że tak wtargnęłam bez pukania do tej łazienki, ale... — Nie wiem, co jej chodzi po głowie, jednak gdy dostrzegam, jak się wachluje, od razu wszystko staje się jasne. — Muszę ci powiedzieć, że od samego patrzenia na was robi się gorąco. I bardzo się cieszę, bo gołym okiem widać, że Maks wpadł po uszy.

Nie odpowiadam, bo nie wiem, co miałabym jej na to powiedzieć. Jest mi wstyd. Poza

tym jej brat wcale nie żywi do mnie żadnych uczuć — no, może poza czystym, fizycznym pożądaniem. A ja nie chcę jej okłamywać.

— Wybacz, ale...

— Rozumiem. Nie chcesz o tym gadać. Nie ma sprawy. — Macha ręką, a następnie zerka na torebkę, którą przyniosłam z cukierni. — Lepiej zobaczmy, co tutaj mamy.

Uśmiecham się i obserwuję, jak Marietta wyjmuje po kolei pączki, ptysie i bezy, które lubię najbardziej.

— O Jezusie — pieje z zachwytu. — Byłaś w tej cukierni na rogu i nie mogłaś się zdecydować, mam rację? — pyta, a właściwie stwierdza, na co tylko kiwam głową. — Ten pączek wygląda obłądnie — dodaje, a potem chwytą go w palce i zatapia w nim zęby. — Hmm... a jak smakuje — mówi z pełną buzią.

Jest zabawna. I przeurocza. W dodatku jej sposób bycia bardzo odbiega od typowego dla kobiet w jej wieku. Wydaje się taka beztroska, dziewczęca. A może to tylko pozory? Może to tylko przykrywka?

Nie analizuję tego zbyt, bo uważam, że przyjdzie jeszcze odpowiedni moment i sama wyrobię sobie opinię na ten temat. Sięgam po bezę. Kruszę palcami kawałeczek, maczam w kremie i wkładam go do buzi.

— Beza też spoko — mówię z uznaniem. — Rozpływa się w ustach.

— Lubisz słodycze? — pada nagle rzeczowe pytanie, a sama zainteresowana wymownie spogląda na moją sylwetkę.

Tak, wiem. Nie wyglądam na taką, która zajada się cukrem. Jestem szczupła. Tata mówi na mnie „chudzinka”. Ale ja uważam, że wyglądam okej. I cieszę się, że, w przeciwieństwie do moich koleżanek, nie muszę wszystkiego sobie odmawiać.

— Nie jakoś szczególnie, ale czasem pozwalam sobie na trochę więcej niż inni.

— Zazdroszczę ci — wzdycha Marietta. — Ja po tym pączusiu — dodaje, oblizując usta i zerkając wymownie, a wręcz z miłością na swój obiekt westchnień — z pewnością nie zjem dziś kolacji. Coś za coś. Rozumiesz?

Kiwam głową.

— Ja, na szczęście, nie mam tego problemu. Ale chyba odziedziczyłam to po mamie, w genach. Ona też mogła jeść węglowodany, a zamiast w boczki szło jej w cycki, jak sama mawiała. — Siostra Iwańskiego wybucha gromkim śmiechem. Ja również się uśmiecham, choć nie tyle z powodu żartu, którym właśnie rzuciłam, a na samo wspomnienie matki. — Wiesz, moja mama uczyła muzyki — szybko zmieniam temat, bo ilekroć zbyt intensywnie przywołuję jej obraz w głowie, zwłaszcza radosnej i uśmiechniętej, dopada mnie podły nastrój. Brakuje mi jej.

— Serio? — Marietta patrzy na mnie z błyskiem w oku. — Grała na czymś, śpiewała?

— I jedno, i drugie, choć wołała grę na pianinie. Miała do tego dryg. To była jej największa życiowa pasja.

— No popatrz, a Maks, ten łobuz, nigdy nie chciał się przyłożyć do nauki. Wydałam majątek na fortepian, a on każdą lekcję traktował jak karę. Był zdolny, ale nie chciał grać. Może to i dobrze... — mówi jakby do siebie. — Bo chyba właśnie dzięki temu jest taki zdyscyplinowany i zaszedł tak wysoko?

Nie komentuję tego, bo właściwie nie znam Maksa, by wypowiadać się w tym temacie. Poza tym jakoś dotąd brakowało mi odwagi, by poprosić go, aby coś dla mnie zagrał. Mówił, że nie znosił tego *kurzącego się* fortepianu, który stoi w szarym kącie jego apartamentu. Wcale nie jest zakurzony. Lśni i jest naprawdę przepiękny. Od tej drugiej strony również nie znałam Maksa zbyt dobrze i nie wiem, jakim w istocie był szefem. Po zabiegu przestał mnie zabierać do biura, więc właściwie nie zdążyłam sobie wyrobić o nim opinii.

— A twoja mama? — Na szczęście Marietta już nie kontynuuje tego tematu.

— Co z nią? — pytam zaskoczona.

— Zanim... No wiesz...

— Umarła?

Marietta kiwa lekko głową.

— Czy miała jakiś ambitny plan związany właśnie ze swoją pasją?

— Właściwie tak — odpowiadam po namyśle. — Mama chciała otworzyć kawiarnię. Ale nie taką zwyczajną. Artystyczną.

— Co masz na myśli?

Znów się uśmiecham. Pamiętam, jak mama wieczorami roztaczała wizje o tym, że gdy skończę studia, obie rozkręcimy ten interes. Mama widziała mnie w roli menadżera, ona miała zajmować się gośćmi. Do mnie zatem miało należeć pozyskiwanie produktów, takich jak ciasta, które piekły panie z naszego wiejskiego koła gospodyń, cydr, z którego produkcji zasłynął jeden z naszych sąsiadów, czy wino, w które zamierzałam zaopatrywać się u ojca. Mama miała zajmować się gośćmi.

— Mama planowała organizować w naszej kawiarni minikoncerty, spotkania autorskie, wernisaże, wystawy — wyjaśniam. — Uważała, że polskim artystom potrzebne są takie miejsca, gdzie sztuka ściera się z normalnością.

— Ciekawy pomysł — stwierdza moja rozmówczyni. — A ty? — zadaje naraz pytanie, którego zupełnie nie rozumiem.

— Co ja?

— Nie chciałabyś spełnić marzenia matki? W końcu między wierszami — mówiąc to, mruga do mnie — użyłaś sformułowania „nasza kawiarnia”.

— Raczej nie — odpowiadam, wzdychając. — Bez niej nie ma to większego sensu.

— Dlaczego tak mówisz? — pyta bardzo poważnym, chyba nawet lekko przejętym głosem.

Uśmiecham się ponuro, choć oczy zachodzą mi mgłą. Wspomnienie matki jest we mnie wciąż żywe. I nadal tak bardzo mi jej brakuje.

— Mama obiecała mi, że każde nowe wydarzenie, które będzie się odbywać w naszej kawiarni — podkreślam, uśmiechając się i jednocześnie pociągając nieznacznie nosem — rozpocznie się grą na pianinie. Taki był jej zamiar. Kochała grać i chciała się tym dzielić z ludźmi. Więc, jak widzisz, bez niej to nie ma żadnego sensu.

— A może...

— Przepraszam cię — przerywam jej nagle, bo przychodzi wiadomość na moją komórkę. Zauważam, że to SMS od jej brata.

— Mój nieznośny brat?

— W rzeczy samej — potakuję. — Wybacz mi. Muszę już iść.

— Skoro tak mówisz...

— Było bardzo miło. Może to kiedyś powtórzymy? — proponuję, widząc jej ponurą minę.

— Koniecznie! — odpowiada z powracającym entuzjazmem.

Kiedy jestem już przy drzwiach, słyszę jeszcze:

— Nie pozwól mu, żeby ci wszedł na głowę, a wszystko będzie dobrze.

Zerkam przez ramię. Nie odpowiadam, tylko lekko się uśmiecham.

Maksymilian

Obiecałem sobie, że już nie będę jej niczego narzucał, ale targają mną pewne obawy. Boję się, że jeśli dokładnie nie sprecyzuję, co ma założyć na ten wieczór, to znów wystrzeli z jakimś niebanalnym, ale bardzo ocojobnym zestawem, na który się przecież zgodzić nie mogę. Od dzisiejszej kolacji z Johanssonami zależy bowiem wiele, jak nie wszystko. Jestem pełen wiary, że właśnie dziś, za sprawą tricku, jaki zamierzam zastosować, wreszcie podpiszę tę umowę.

Wysłałam więc wiadomość do *swojej dziewczyny*:

„Jak przygotowania do wieczornego wyjścia?”

Chwilę czekam na odpowiedź, a gdy nie nadchodzi w czasie, w jakim spodziewam się ją otrzymać, inicjuję połączenie.

— Ależ ty jesteś niecierpliwy — słyszę w słuchawce.

Żadnego „halo”, „cześć” czy zwykłego „tak?”. W normalnej sytuacji mógłbym się wkurzyć, ale nie dziś, nie na nią. Muszę przyznać, że po wcześniejszej złości czy obawach, które targają mną przez pół dnia, nie został ślad.

— Tylko mi nie mów, że ci w czymś przeszkodziłem — rzucam.

— Mówię.

Chrząkam mimowolnie i poprawiam się w fotelu. Nie wiem, co mnie naszło, ale właśnie zacząłem sobie wyobrażać, że Maja jest... z kimś.

— Gdzie ty, do cholery, jesteś? — zniżam głos do szeptu, jakbym się obawiał, że któryś z moich pracowników mnie usłyszy. Prawda jednak jest taka, że mam to w głębokim poważaniu. Po prostu znów dopada mnie wcześniejsza złość.

— Nie tym tonem, Iwański.

Jeszcze mnie upomina!

Już otwieram usta, żeby jej *kulturalnie* nawtykać, ale uprzedza mnie:

— Właśnie wchodzę do twojego mieszkania.

— Możesz mi zatem wyjaśnić, gdzie i z kim byłaś? — Nadal jakoś udaje mi się powstrzymać cisnące się na usta inwektywy. Nie jestem jednak pewien, jak długo zdołam nad sobą panować.

— Nie wiem, co ci chodzi po głowie, szefie — podkreśla złośliwie, nawet się z tym nie kryjąc — ale schlebia mi twój tok myślenia. Czyżbyś był o mnie zazdrosny?

— Nie przeginaj — warczę, choć jednocześnie zaczynam odczuwać ulgę.

— Byłam u twojej siostry, g... burze — dorzuca, choć jestem niemal pewien, że chciała mnie nazwać głąbem lub znacznie gorzej.

— U mojej siostry? — powtarzam po niej jak idiota.

— Tak, u Marietty. Chyba tyle mi wolno?

— Nie wiem, co tam robiłaś. I nie chcę wiedzieć! — podkreślam od razu, żeby nie zaczęła mi paplać o jakichś babskich pierdołach. — Dzwonię tylko, żeby ci przypomnieć o kolacji, na którą cię zabieram. Ubierz tę czerwoną suknię, którą ci kupiłem. Załóż też szpilki w tym samym kolorze. I nie dorzucaj żadnych udziwnień. Jasne?

— Jak słońce — pada odpowiedź, a potem w słuchawce nastaje cisza.

Rozłączyła się? Też mi coś.

Rozdział 20.

Maksymilian

Gdy wracam do domu, ona czeka już na mnie w salonie. Jest gotowa. I wygląda... jak milion dolców.

— Coś nie tak? — pyta, kiedy przyglądam jej się z zachwytem, nad którym nie umiem zapanować.

— Wszystko w porządku — mówię i taksuję ją wzrokiem.

Wygląda... zajebiście. Czerwona suknia wydaje się na nią odrobinę za długa, bo ledwie widać noski jej lakierowanych butów, ale jest w niej naprawdę świetnie. Maja jest zgrabna, więc pewnie we wszystkim wyglądałaby dobrze, ale w tej sukience naprawdę zrobi furorę dzisiejszego wieczoru. Suknia podkreśla jej wąską talię i lekko zaokrąglone biodra, uwidacznia też nagie, szczupłe ramiona. Dekolt, który sprawia wrażenie, jakby sięgał pępka, nie odsłania jednak zbyt wiele, a jednocześnie budzi najśmielsze fantazje.

— Naprawdę wyglądasz pięknie — powtarzam, a potem ruszam do łazienki, choć robię to z wielkim oporem, bo mógłbym tak na nią patrzeć znacznie dłużej.

Muszę się jednak odświeżyć, przebrać, żeby od niej nie odstawać. Przyznaję, że po raz pierwszy, odkąd poznałem tę dziewczynę, poczułem się w jej towarzystwie mniej atrakcyjny. To dziwne. Dotąd moja samoocena zawsze była wysoka.

* * *

— Brakuje ci jeszcze tego — mówię, gdy znów do niej dołączam.

Spogląda na mnie zaskoczona. Dopiero teraz zauważam jej delikatny makijaż. Wcześniej skupiałem się na czymś innym. Teraz jednak widzę go wyraźnie. Rzęsy, których nie tuszowała od zabiegu — to było jedno z zaleceń, których należało rygorystycznie przestrzegać — dziś ma idealnie umalowane, a usta... Chryste, nie wiem, co na nie nałożyła, ale są krwistoczerwone, w dodatku lśnią i kuszą tak bardzo, że mam ochotę się w nich zatopić.

— Odsłoń szyję — odzywam się, kiedy wreszcie udaje mi się zmusić do ponownego ruchu. — I odwróć się do mnie plecami.

Maja bez sprzeciwu wykonuje moje polecenia, a ja znów wstrzymuję oddech. Jestem oniemiały z wrażenia. Sam wybierałem dla niej tę suknię, ale teraz, gdy patrzę na jej idealnie gładką skórę na plecach, na linię pośladków, którą ledwie zasłania czerwony materiał sukienki, prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu zaczynam żałować własnego wyboru.

— Długo mam tak stać? — Jej głos przerywa moje dumanie.

Nie odpowiadam, tylko zakładam jej na szyję kolię. Kupiłem ją przy okazji, po drodze. Pomyślałem, że będzie w niej ładnie wyglądać.

— Obróć się — mówię nienaturalnym głosem, zniżonym niemal do szeptu. — Chcę cię zobaczyć — dodaję w chwili, kiedy jej włosy znów lądują na jej łabędziej szyi.

Maja ponownie bez cienia sprzeciwu wykonuje moje polecenie. Robi to jednak powoli, z namaszczeniem, a ja czuję cholerną ciasnotę w spodniach.

— I jak? — pyta, patrząc mi odważnie w oczy. — Może być?

— Musi — odpowiadam jedynie, a potem biorę ją pod rękę i opuszczamy mieszkanie.

I o ile wcześniej byłem przekonany, że ten wieczór będzie naprawdę udany, o tyle teraz mam jedynie pewność, że będzie bardzo... stresujący. Bowiem od samego patrzenia na nią mam nieustający wzwód.

Maja

Mam być miła, to jestem. Mam się nie odzywać, o ile nie zostanę o coś zapytana, to milczę. Po prostu chcę, żeby Iwański był zadowolony i żeby ten wieczór przebiegł tak, jak go sobie zaplanował.

Oczywiście przesadził z tą suknią. Jest na mnie odrobinę za duża, co od początku stanowiło nie lada problem. Mniejsza jednak o długość. Jeśli będę uważała, to może uda mi się nie zaplątać w nią nóg i nie upaść. Problemu nie stanowi nawet fakt, że nie mogłam do niej założyć stanika — trudno, obejdzie się. Na piersiach układa się w luźne fale, więc nie powinno być większego kłopotu i wynikającego z niego zażenowania spowodowanego odstającymi brodawkami. Tak naprawdę trafi mnie coś innego, i to bardzo. Wycięcie na plecach jest tak głębokie, że nie mogłam założyć majtek. Dla mnie to nowość, ale niestety wszystkie, jakie miałam, wystawały ponad linię czerwonego materiału. Próbowалам wielu sztuczek, chciałam je jakoś obniżyć na biodrach, ale zwyczajnie się nie dało, bo suknia przy każdym moim ruchu je odsłaniała. Dlatego postanowiłam je całkowicie zdjąć. A teraz? Czuję się... naga.

— Coś nie tak? — pyta Iwański, kładąc rękę na moim udzie.

Próbuję lekko cofnąć nogę, ale on trzyma ją w pewnym, choć nieprzysparzającym mi bólu uścisku, i nie zamierza puścić. Szkoda, bo ogromnie mnie to stresuje, zwłaszcza że duże rozcięcie na udzie sięga naprawdę za wysoko. Zatem kiedy siedzę, jego palce są niebezpiecznie blisko... tego.

— Wszystko w porządku — odpowiadam automatycznie, siląc się na obojętny, wręcz neutralny ton.

— Kochani, idziecie z nami na parkiet? — pyta Anne Lise, łapiąc męża pod ramię i prowadząc go w głąb lokalu.

— Zaraz do was dołączymy — odpowiada Maks, a potem spogląda mi w oczy. — O co chodzi?

— Naprawdę o nic. Nie musisz się martwić.

— Ostatnim razem, kiedy tak mówiłaś, omal nie skończyło się to katastrofą.

— Zapewniam cię, że tym razem nic się nie dzieje. — Próbuję być wiarygodna.

Nie odpowiada, tylko wyraźnie waży moje słowa. Następnie wstaje i podaje mi rękę.

— Nic nie wspomniałaś o tańcach — mówię z obawą, że w końcu ktoś odkryje mój mały *sekret*, który próbuję zachować w tajemnicy przez cały wieczór.

— Nie umiesz tańczyć?

— Nie o to chodzi — odpowiadam, a potem podaję mu rękę i wstaję. Przez cały czas uważam, żeby *wszystko* było pod kontrolą.

— A więc jednak coś jest na rzeczy? — podłapuje szybko. Cały Iwański. Błyskotliwość to jego drugie imię.

— Nie draż, proszę — mówię jedynie, a potem idę z nim na parkiet.

Nie wiem, czy powinnam się cieszyć, czy smucić, że właśnie zaczęli grać jakiś wolny kawałek. To bowiem oznacza, że Maks będzie mnie przytulał, że jego dłonie mogą zsunąć się niżej, za nisko. Ale też zyskuję pewność, że nie będę świecić tyłkiem, jeśli wykonam zbyt gwałtowny ruch. Z dwojga złego wybieram błakające się po moich odkrytych *plecach* dłonie Iwańskiego.

Zatrzymujemy się na moment pośrodku sali tanecznej, dokładnie w centralnym punkcie parkietu. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że Maksowi zależy na uwadze innych, ale wydaje mi się, że odrobinę przesadza. Przecież nie musimy aż tak bardzo rzucać się w oczy.

— Proszę państwa — odzywa się nagle, czym zaskakuje zarówno publiczność, jak i mnie.
— Maju — dodaje i uśmiecha się do mnie.

Nie wiem, co kombinuje, bo nie omawialiśmy całego wieczoru aż tak szczegółowo. Kiedy jednak spostrzegam, że z kieszeni marynarki wyjmuję zamszowe pudełeczko, zasłaniam usta dłonią. Wiem, że to tylko gra. Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że to wszystko dla nich, dla tych gapiów, zwłaszcza dla Johanssonów, bo Maksa dzieli krok od podpisania z nimi umowy, niemniej Iwański zaskakuje mnie tak bardzo, że nie umiem zapanować nad własnymi emocjami.

Gdy otwiera czerwone, pasujące do mojej sukni pudełeczko, w moich oczach pojawiają się łzy. Są prawdziwe — w przeciwieństwie do tych *pokazowych* oświadczeń.

— Czy wyjdiesz za mnie?

Kiwam głową, a moje policzki robią się mokre, choć nadal wiem, że to tylko durne przedstawienie.

Iwański wsuwa mi pierścionek na palec, całuje moją dłoń, a potem odnajduje moje usta. Oczywiście oddaję mu pocałunek, nie może być inaczej, i na chwilę się w tym zatracam, bez pamięci.

Wokół rozbrzmiewają brawa, ale to nie one sprowadzają mnie na ziemię. To wypowiedane w moje usta słowa:

— Jesteś świetna.

Odsuwam się odrobinę i nawet próbuję się uśmiechnąć, ale raczej słabo mi to wychodzi. Maks jednak nawet tego nie zauważa. Odgrywa tę swoją życiową rolę najlepiej, jak potrafi...

Przyciąga mnie do siebie, wtula się we mnie mocno i zaczyna mnie prowadzić w rytm płynącej z głośników słodkiej muzyki.

— Mówiłem ci już, że pięknie wyglądasz? — pyta beztrasko.

Jego usta dotykają płatka mojego ucha, a na mojej skórze natychmiast pojawia się gęsia skórka.

— Dziękuję — zdobywam się na cichą odpowiedź.

— I jesteś dziko seksowna, Maju — szepcze, skubiąc zębami koniuszek mojego ucha.

— Jeśli to miał być komplement, to również dziękuję.

— To akurat najszczęsza prawda. Tylko zobacz — mówi, a potem tuli mnie jeszcze mocniej i poprawia się: — Poczuj, jak na mnie działasz.

— Maks...

— Dziś będziesz moja — oświadcza pewnym głosem, całując delikatnie mój policzek. Sunie gładko rozchylonymi wargami do moich ust. Jego oddech miesza się z moim. — Jeśli tylko mnie zapragniesz — dodaje subtelniej.

Nie odpowiadam, bo moje myśli pracują na najwyższych obrotach. Być może to zasługa wypitego do posiłku kieliszka wina, ale mam chaos w głowie. Nie wiem, jak zareagować na jego propozycję. Nie jestem nawet pewna, czy Maks mówi poważnie. W końcu obserwują nas jego znajomi, a on nadal tylko improwizuje.

Milczę, starając się jedynie skupić na tańcu. To jednak nie jest proste. Ręce mojego partnera suną po moich nagich plecach. Ich dotyk jest delikatny, a jednocześnie mocny. Są ciepłe, wręcz gorące, a moja skóra zdaje się wrzeć.

Oddycham szybko, płytko, a serce galopuje mi w piersi. Nieruchomieję, kiedy jedna z jego dłoni zatrzymuje się na linii moich pośladków.

Maks się odchyła i pociemniałym z pożądania wzrokiem patrzy mi w oczy.

— Nie założyłaś bielizny? — pyta, a właściwie stwierdza niemal bezgłośnie.

Najpierw potakuję, a po sekundzie kręcę głową i spuszczam wzrok. Nie mogę znieść jego

spojrzenia. Właściwie nie wiem, czego mam się po nim spodziewać. Maks jest zdolny do wszystkiego. Może posunąć się jeszcze dalej, co w tej chwili byłoby absolutnie nie na miejscu, albo, co gorsza, wyśmiać mnie. Wiem, że i do tego jest zdolny. Chyba zapadłabym się pod ziemię, gdyby tak postąpił, bo przecież w tym, co zrobiłam, nie było żadnego podtekstu. Zwyczajnie nie miałam innego wyjścia i musiałam zrezygnować z jej założenia.

— Oszaleję przez ciebie — słyszę tylko tuż koło ucha.

Iwański znów przyciąga mnie do siebie mocno. Wyraźnie czuję, jaki jest podniecony. Jego penis wrzyna mi się w brzuch, a mnie natychmiast przechodzą dreszcze. Jestem rozplómoniona równie mocno jak on. I pragnę go, całą sobą, choć nie wiem, co z tym zrobić.

Sytuację opanowuje kelner, który nagle zjawia się obok nas. W rękach trzyma tacę, na której poustawiane są kieliszki z szampanem. Dopiero teraz zauważam, że wokół nas zebrało się kilka osób, w tym Johanssonowie. Wszyscy zaczynają bić nam brawo i krzyczeć „gorzko!”. Iwański ponownie zbliża usta do moich ust. I całuje mnie namiętnie, z pasją.

Rozdział 21.

Maksymilian

Sądziłem, że już gorzej być nie może, ale emocje narastają dopiero w taksówce. Przewidziałem to, więc szepnąłem kierowcy na ucho, żeby obrał najdłuższą trasę. Wiem, że z mojej strony to głupota, bo zdrowy rozsądek podpowiada mi, że powinno mi zależeć na jak najszybszym znalezieniu się we własnym mieszkaniu, ale nie zdołałem się powstrzymać. Chciałem się wcześniej odrobinę zabawić. Pragnąłem rozpalić w niej ogień, by potem móc ugasić płomienie.

Kiedy samochód rusza, a kierowca pogłośnia radio, natychmiast przechodzę do działania. Wsuwam rękę pod sukienkę Mai. Jest zaskoczona i wyraźnie się spina. Ale to nie powstrzymuje mnie przed tym, co planuję zrobić. Sunę ręką po wewnętrznej stronie jej ud. Zaciska je słodko, ale jestem pewien, że się temu nie oprze.

— Pozwól mi — szepczę wprost do jej ucha. — Nie broń się przede mną. Nie odpychaj tego, co nieuchronne — dodaję, przesuując dłoń wyżej.

— Maks...

— Ciii — szepczę i zaczynam całować jej szyję. — Musisz być bardzo cicho — mówię, a potem wsuwam w nią ostrożnie koniuszek palca.

Nie chcę zrobić jej krzywdy. Chcę tylko, żeby było jej dobrze, by zapowiedzieć to, co czeka ją dzisiejszej nocy.

Nie muszę jakoś specjalnie się wysilać, bo już czuję wilgoć. Rozsmarowuję ją, pieszcząc lechtaczkę Mai. Pod opuszkami palców wyczuwam przeszywające ją dreszcze, ale nie przestaję. Raz po raz zanurzam w niej palec, by potem napierać na jej najczulszy punkt.

— Tak, mała — szepczę. — Dojdz dla mnie — proszę, całując jej usta i tłumiąc jej cichy jęk rozkoszy.

* * *

Maja po wyjściu z taksówki chwieje się na nogach. To nie zasługa szampana — jestem tego pewien. Jest pijana z rozkoszy. A ja? Nie posiadam się ze szczęścia, bo wiem, że za chwilę będzie moja. Calutka.

Kiedy jedziemy na górę, przez głowę przelatuje mi myśl, że w zasadzie mógłbym zatrzymać windę i kochać się z nią nawet tu, pośród lustrzanych ścian, gdzie dane by mi było patrzeć na nią z każdej strony. Ale wiem, że to jej pierwszy raz, więc wszystko musi być idealne i przemyślane.

Niemniej gdy wreszcie oboje przekraczamy próg mojego mieszkania, dosłownie rzucam się na nią.

— Maks... — jęczy w moje usta.

Nie chcę słyszeć, że się rozmyśliła, bo oszaleję, to pewne.

— Maks, a jeśli... twoja siostra...

A więc o to chodzi.

Oddycham z ulgą.

— Marietta oddała mi klucze — wyjaśniam naprędce, przypierając ją do ściany i całując jak szalenię. — Pragnę cię, mała, jak jeszcze nie pragnąłem żadnej innej kobiety — mówię między pocałunkami. — Muszę cię mieć. W tej chwili.

— Ja też cię pragnę, Maks. — Te słowa są dla mnie jak melodia dla uszu, jak balsam dla

duszy.

Odsuwam się od niej o krok. Robię to tylko po to, by zedrzeć z niej ubrania. Chcę na nią patrzeć. Pragnę chłonąć ją wzrokiem, pieprzyć zachłannym spojrzeniem.

Najpierw szybko pozbywam się jej płaszcza, który ląduje na podłodze, potem powoli opuszczam jedno ramię jej sukni, a moim oczom natychmiast ukazuje się mała, jędrna pierś. Nie mogę nasycić się tym widokiem, więc szybko to samo robię z drugim ramięczkiem. Sukienka opada i zatrzymuje się na jej wąskiej talii. Chwytam obie piersi dziewczyny w swoje dłonie i lekko je ściskam. Z jej ust wydobywa się jęk, który jest dla mnie swoistą zachętą. Pochylam się i zaczynam je całować. Każdą z osobna, przygryzając twarde sutki zębami.

Maja jęczy i obłapia rękami moją głowę. Dyszy ciężko, jakby znów miała dojść, choć oboje wiemy, że najlepsze zacznie się dopiero za chwilę.

Uśmiecham się z triumfem, ale prawdziwa wygrana, wymarzona nagroda dopiero przede mną. Sunę wargami do góry. Znów całuję jej szyję, którą odchyła tylko dla mnie. Zasyłam jej gładką jak aksamit skórę. Dziewczyna znów jęczy, a mnie nie pozostaje nic innego, jak tylko się cieszyć. Za chwilę będzie moja, posiadam ją w pełni.

Po raz kolejny wycofuję się trochę, bo zamierzam zdjąć z niej do końca ubranie. Klękam przed nią, by lepiej ją widzieć. Wówczas chwytam obie moje dłonie i patrzy na mnie z góry. Wydaje się zagubiona i tak cholernie niepokorna.

— Nie skrzywdzę cię. Obiecuję — zapewniam ją.

Wtedy pozwala mi pozbyć się sukienki, która zaraz ląduje pod jej nogami.

— Jesteś piękna — mówię ochryplym z pożądania głosem.

Podnoszę ją i na rękach niosę do sypialni. Drży w moich ramionach, a jej serce wali jak oszalałe.

A może to moje bije tak głośno? Trudno to stwierdzić, bo moje emocje także sięgają zenitu.

Kładę Maję na łóżku i zapalam światło. Chcę na nią patrzeć, chcę mieć wszystko pod kontrolą.

— Bierzesz pigułki? — pytam, stając na wprost niej i powoli zdejmując własne ubrania.

Co prawda chciałbym ją wziąć już, natychmiast, ale rozkoszuję się tą chwilą. Patrzę na jej zaróżowione policzki, rozchylone usta, zamglony, rozmarzony wzrok. Cholernie jara mnie ten widok.

— Tak — odpowiada ochrypniętym z pożądania głosem.

— To bardzo dobrze — kwituję jedynie. — Lubię świadome kobiety.

Nie odpowiada, a nawet ucieka wzrokiem. Wszystko wskazuje na to, że być może lekko poniosło mnie z tą szczerością. Cóż, stało się.

Najpierw na podłodze ląduje moja marynarka, potem koszula. Wzrok leżącej na środku łóżka dziewczyny błąka się po moich nagich ramionach, torsie, brzuchu. Kiedy sięgam do paska od spodni, Maja dosłownie wstrzymuje oddech, a gdy moje spodnie wraz z bokserkami dzielają los reszty ubrania, ona znów ucieka wzrokiem. Wtedy zawisam nad nią i jedną dłonią chwytam i obracam jej twarz. Chcę, by na mnie patrzyła tak samo jak ja na nią.

— Zaboli cię — ostrzegam, ocierając się penisem o jej wilgotną szparkę. — Ale postaram się być delikatny — zapewniam i całuję ją lekko, choć ona wyraźnie chce pogłębić pocałunek. I na to przyjdzie pora. — Gotowa?

Kiwa głową, więc nacelowuję członka i wchodzę w nią jednym precyzyjnym ruchem. Jej paznokcie, które wbijają się w moje ramiona, i krótki, ale intensywny okrzyk są dowodem na to, że sprawiłem jej ból. Naprawdę nie chciałem, ale przecież nie było innego sposobu.

— Już — mruczę w jej usta. — Teraz z każdym pchnięciem będzie już tylko lepiej —

zapewniam, wsuwając się w nią powoli do końca, a potem wycofuję biodra. — Obiecuję — dorzucam, znów całując ją w przelocie. — Zaufaj mi i rozluźnij się, mała.

Maja

Ból powoli ustępuje, zamieniając się w słodko-gorzka przyjemność. Dlaczego akurat taką? Bo jest mi dobrze, naprawdę dobrze, ale już teraz wiem, że wkrótce tego pożałuję. Maks jest moim pierwszym facetem, a to znaczy, że powinien być też ostatnim, z którym poszłam do łóżka. Ale Maks to zdobywca, a tacy szybko się nudzą. A ja? Cóż, przez całe życie marzyłam, że zrobię to z mężczyzną, z którym spędzę resztę życia. Moim jedynym.

— I jak? — Maks nagle wyrывa mnie z zamyślenia. Leżę na jego nagiej piersi, wsłuchując się w rytmiczne bicie jego serca. — Podobało ci się?

Nie przywykłam do takich rozmów. Do sytuacji również, więc nie wiem, co powiedzieć.

— Maju?

Iwański kolejny raz chwyta moją brodę w dłoń i zmusza mnie, bym na niego spojrzała.

— Coś nie tak?

Patrzy mi w oczy. Jego spojrzenie jest łagodne, zatroskane, co zupełnie do niego nie pasuje. Jedyny raz patrzył tak na mnie zaraz po zabiegu.

— Nie, po prostu... — Nie wiem, jak mam z nim o tym rozmawiać.

— Żałujesz?

— Nie. — Uśmiecham się lekko, choć zdaje się nazbyt nerwowo. — Nie żałuję. Było dobrze. Nawet bardzo.

— To dlaczego masz taką minę, jakby coś poszło nie tak?

— To skomplikowane — odpowiadam, a potem próbuję się wysliznąć z łóżka, ale on mi na to nie pozwala. Obejmuje mnie stanowczo swoimi silnymi ramionami.

— Porozmawiaj ze mną o tym — nalega, a gdy nadal uparcie milczę i uciekam wzrokiem, dodaje: — Maju? — I znów zmusza mnie, abym na niego spojrzała.

— Myślę, że było lepiej niż dobrze.

— Myślisz?

Tylko udaje obruszonego. Cały Iwański. Skromność nie jest jego mocną stroną.

— Nie wiem, Maks. Nie spałam z nikim innym, więc nie mam porównania. Może kiedyś...

— Może nie kończ — przerywa mi, czym mnie zaskakuje. — Liczy się tu i teraz.

Przez chwilę patrzę na niego w osłupieniu.

— No co? — pyta.

— Czy mnie się zdaje, czy jest pan zazdrosny, panie Iwański?

— Ja? — Teraz patrzy na mnie jak na kosmitkę. — Zapamiętaj, że ja o nikogo nie jestem zazdrosny — mówi poważnym głosem, a potem mnie odsuwa i wychodzi z łóżka.

Czuję się odrobinę skołowana, a nawet rozczarowana. Wiem, że nie powinnam, bo zdawałam sobie sprawę, na co się piszę, ale to silniejsze ode mnie.

Chwytam róg kołdry i podciągam ją sobie pod samą brodę. Dostrzegam, że nie umknęło to uwadze stojącemu obok łóżka nagiemu Iwańskiemu. Wydaje mi się, że zażąda ode mnie wyjaśnień, ale on zamiast tego znów podchodzi bliżej i wystawia do mnie rękę.

— Chodź. Musimy się umyć.

Początkowo zamierzam odmówić, bo właśnie w tej chwili nie mam ochoty ani na kąpiel, ani nawet na jego towarzystwo — naprawdę chciałabym zostać sama — ale gdy dociera do mnie, dlaczego nalega, oblewam się rumieńcem i podaję mu swoją dłoń. Dopiero teraz zauważam

bowiem ślady krwi na jego podbrzuszu. Wiem, że to normalne, ale zarazem bardzo zawstydzające.

Prowadzi mnie do łazienki, w której dotąd nie byłam. Właściwie nie wiedziałam o jej istnieniu. Jest dużo większa niż ta, z której dotąd oboje korzystaliśmy. Lepiej wyposażona. Oprócz wielkiej wanny, wpuszczonej w podłogę, znajdują się w niej minisauna, bardzo stylowy, a zarazem nowoczesny prysznic, a nawet solarium.

To by wyjaśniało jego idealną barwę skóry.

— Coś nie tak? — pyta, choć zabrzmiało to raczej jak „co tym razem?”, kiedy stoję pośrodku i nic nie mówię.

— Zabierasz tu wszystkie swoje dziewczyny?

Ściąga brwi.

— Może zanim ci coś wyjaśnię, odpowiem na twoje pytanie. Nie, nie zabieram tu swoich kobiet. Jesteś pierwsza. A teraz mnie posłuchaj.

Brzmi bardzo poważnie i chyba trochę się obawiam usłyszeć odpowiedzi. Mimo wszystko patrzę mu odważnie w oczy.

— To — mówiąc, celuje we mnie palcem — jest zazdrość. Masz do mnie żal o moje byłe partnerki, a sama, leżąc w moich ramionach, wybiegasz w przyszłość i snujesz marzenia o innych facetach; w dodatku to mnie zarzucasz zazdrość. Jednak to nie jest zazdrość — podkreśla mocno, kiedy próbuję się jakoś wytłumaczyć — a jedynie męska duma. Mam nadzieję, że wiesz, co to takiego.

Spuszczam głowę i zagryzam dolną wargę. Ten facet robi mi papkę z mózgu, bo jeszcze niespełna minutę temu miałam ochotę przeciwstawić się mu, powiedzieć, co naprawdę czuję, a tymczasem wystarczył jego wywód na temat urażonej męskiej dumy, a ja od razu mam wrażenie, jakbym dostała reprimendę. W dodatku od samego szefa.

— Przepraszam — bąkam bliska łez, nad którymi znów nie panuję.

Nie wiem, co się ze mną dzieje, bo nigdy nie reagowałam aż tak emocjonalnie. Niemniej w tej jednej chwili czuję się jak bezradne dziecko, które właśnie dostało burę od rodzica.

— Hej? — Maks po raz kolejny zmusza mnie, żebym na niego spojrzała. Jeśli nie przestanę tego robić, za moment uwierzę, że stało się to jego ulubionym zajęciem. — Chyba nie zamierzasz mi tu teraz płakać?

Nie odpowiadam, nie muszę, bo z pewnością zdradzają mnie dygocąca broda i zaszklone oczy.

— Nie gniewam się już — mówi wówczas i obejmuje mnie w talii. — I obiecuję nie wracać do tego tematu. A ty obiecaj mi, że nie będziesz w mojej obecności gadała o innych fagasach.

Kiwam głową, a on mnie całuje. Nie wiem, jak on to robi, ale momentalnie się rozpliwam.

Rozdział 22.

Maksymilian

— No już, wskakuj — rozkazuję, kiedy wanna napełnia się wodą, a piana zaczyna sięgać jej rantu.

Na szczęście Maja od razu wypełnia moje polecenie, a po sekundzie zanurza się aż po szyję. Dołączam do niej i siadam na wprost. Chcę na nią patrzeć. Chcę rozkoszować się jej widokiem.

— Przyjemnie? — pytam, widząc, jak opiera wygodnie głowę i przymyka oczy.

— Bardzo — odpowiada i zerka na mnie przez szczelinki powstałe między powiekami.

— Ale chyba nie zamierzasz tylko tak siedzieć?

Jeszcze tego nie wie, ale prowokuję ją. Chcę się zabawić. Na własnych zasadach.

— Nie rozumiem? Myślałam, że...

— Pokaż mi, jak się myjesz.

— Co? — Jej oczy natychmiast robią się wielkości spodków.

— Mam ci to przesyłabizować? Chcę zobaczyć, jak się myjesz — powtarzam, szczerząc się jak małolat.

— Nie mówisz poważnie.

— Jestem śmiertelnie poważny — odpowiadam, robiąc grobową minę. — Umyj się.

Maja sięga po gąbkę, ale jestem szybszy, chwytam ją pierwszy i ciskam w ką.

— Czego... ty właściwie ode mnie oczekujesz? — pyta nagle, przełykając głośno ślinę.

— Czy...?

Wreszcie.

— Tak. Dobrze zrozumiałaś. Zrób sobie dobrze.

Widok rumieńców wypływających na jej policzki cholernie mnie podnieca. Mój fiut natychmiast pęcznieje, więc chwytam go w dłoń, co nie uchodzi uwadze dziewczyny.

— Ale ja nie potrafię — odpowiada i momentalnie prostuje plecy. Jej mały, ale proporcjonalny do jej budowy ciała biust unosi się lekko nad powierzchnią wody.

Na widok mojego wygłodniałego spojrzenia Maja próbuje się znów zanurzyć, ale nie zamierzam jej na to pozwolić.

— Zaczynaj od nich — mówię rzeczowo. — Weź je w dłonie i pomasuj.

— Ale Maks...

— Weź je.

Przez ułamek sekundy odnoszę wrażenie, że mnie pośle do diabła, ale zaraz potem okazuje się, że się pomyliłem. Maja kładzie dłonie na swoich pysznych krągłościach i zaczyna toczyć na nich kółka. Robi to z ostrożnością, z dużą obawą, ale już po chwili zauważam, że zaczyna czuć przyjemność. Na powrót przymyka oczy, rozchyła usta, lekko posapuje.

— Przyjemnie? — pytam, na co znów różowieją jej policzki. Kiwa jednak głową. — To teraz zrób to samo, ale tam. — Wskazuję na jej kobiecość, na co ona natychmiast szeroko otwiera oczy. Znów szokują ją moje fantazje, ale liczę, że i tym razem mnie nie zawiedzie. — No już. Wstań. Chcę cię widzieć. Całą.

Waha się, ale po chwili podnosi pupę. Na jej ciele osadza się piana, przez co wygląda jak mityczna bogini wychodząca wprost z morskich fal.

— No już, mała. Zrób sobie dobrze.

Patrzę, jak kładzie rękę na brzuchu, a potem sunie nią niżej. Zahacza o uda, jakby nadal

nie była do końca przekonana, że chce to zrobić, ale już po chwili wsuwa dłoń pomiędzy nie. Spoglądam na jej twarz. Ma nabrzmiałe, lekko rozchylone usta i zamknięte oczy. Maja płonie z pożądania i zaczyna cicho postękiwać, gdy jej szczupła dłoń spełnia moją zachciankę.

— Maks... Proszę, Maks...

Po chwili słodkich tortur, które sama sobie zadaje, dochodzi na moich oczach, a ja uśmiecham się, jakbym wygrał kilka baniek w totka.

— A teraz chodź do mnie — mówię, chwytam ją za rękę i pociągam w swoją stronę.

Otwiera oczy, choć te nadal wydają się nieprzytomne z podniecenia.

— Dosiądź mnie, mała — rozkazuję, a potem wciągam ją na siebie, przęcając się pod nią. — Poczuj go, całego — dorzucam i nakierowuję na nią penisa.

Pomału opuszczam ją coraz bardziej, dociskając jej naprężone pośladki. Jęczy mi prosto w usta, które na moment złączamy w namiętym pocałunku.

— Chryste, Iwański... — mruczy.

Śmieję się w głos, słysząc tak *wysublimowany komplement*.

— Daleko mi do Boga, ale niech ci będzie — odpowiadam i zaczynam ją pieprzyć jeszcze mocniej.

Maja

Ten facet... Nie mam słów, żeby go opisać. Brak mi doświadczenia, ale jestem pewna, że zna się na rzeczy. W dodatku jest taki pewny siebie. W łóżku to niewątpliwy atut, ale czy w normalnym życiu również? Mam mieszane odczucia w tej kwestii. Jednak w tej chwili szkoda mi czasu, żeby to analizować. Teraz myśli mam zajęte czymś innym. Nie tylko myśli...

Leżę na stole, w jadalni, a on... jest we mnie. Znów mnie pieprzy. Obłapia moje biodra, podtrzymuje dłońmi pośladki, które znajdują się na skraju blatu, i mnie posuwa. Tak, to właściwe określenie. Maks nie kocha się ze mną. On rżnie mnie na milion różnych sposobów. Jest nienasycony. Ja zresztą również, co mnie zaskakuje. Nie wiedziałam, że drzemie we mnie taka... Nieważne. Na ten czas liczy się tylko przyjemność. Już nie czuję początkowego dyskomfortu i podoba mi się. Bardzo. Chyba bardziej się nie da.

Kiedy Maks przyspiesza, kolejny raz szczytuję. Nie powstrzymuję się, choć w mojej głowie czai się obawa, że słyhać mnie... za bardzo. On również dochodzi. Ma zamknięte oczy, oddycha przez otwarte usta, a z jego piersi wydobywa się chrapliwy dźwięk.

— Co ty ze mną wyczyniasz, kobieto?

Uśmiecham się, bo nie uważam, że to moja zasługa. To on jest mistrzem w tej *sztuce*.

— Jeszcze się ze mnie śmiejesz — dorzuca jakby z pretensją, choć wiem, że żartuje.

— Jesteś niemożliwy, wiesz?

— Staram się — odpowiada, a potem wysuwa się ze mnie i pomaga mi złapać pion. — Ubierz się — rozkazuje.

Że też jeszcze mu się to nie znudziło.

Obserwuję, jak na goły tyłek wkłada spodnie. Gdy zauważa, że nadal stoję w bezruchu i mu się przyglądam, podnosi z podłogi swoją koszulę i nią we mnie ciska.

— Nie żartuję. Ubieraj się. Musimy coś zjeść, zanim pomrzemy z głodu.

Nie uważam, że do tego potrzebne są nam ubrania, ale nie sprzecam się z nim. Zakładam na ramiona jego koszulę. Pachnie nim, obłędnie. Nie sposób się powstrzymać, by jej nie powąchać. Chwytam więc za kołnierzyk, obracam ku niemu twarz, bezwiednie zamykam oczy i zaciągam się jej aromatem. Kiedy je znów otwieram, napotykam jego spojrzenie. Na szczęście Maks nic nie mówi, choć wygląda na zaskoczonego, może nawet odrobinę złego.

Nie obchodzi mnie to zbyt, więc i nie zamierzam się tym przejmować. Zapinam kilka guzików i podchodzę do wyspy, za którą już na mnie czeka.

Spoglądam z zainteresowaniem na składniki, które wyjmuję z lodówki: pomidory, cebulę, jajka i fasolę z puszki.

— Lubisz szakszukę? — pyta, sięgając po patelnię, która wraz z innymi garnkami i rondlami wisi ponad naszymi głowami.

— Nie mam pojęcia — odpowiadam szczerze, a on posyła mi uśmiech.

— To bardzo pożywna potrawa jednogarnkowa — wyjaśnia, stawiając patelnię na płycie, którą od razu włącza. — Do tego smaczna.

— Pomóc ci jakoś? — proponuję.

— Pokrój pomidory — Podsuwa mi deskę i nóż. Sam odkrawa odrobinę masła, które umieszcza na patelni.

— W plasterki?

— W kostkę. Kiedy ja z niezwykłą starannością kroję pomidory, Maks najpierw obiera, a potem sieka cebulę, którą po chwili wrzuca na rozgrzane masło.

Gdy dostrzegam łzy w jego oczach, wycieram ręce o jego koszulę, co zauważa, a następnie urywam listek ręcznika kuchennego i ścieram krople z jego policzków. Jest zaskoczony, ale nic nie mówi.

— Co teraz? — pytam zwyczajnie.

— Na razie tylko się przyglądaj.

Idę więc za jego radą i patrzę, jak drewnianą łyżką raz po raz miesza cebulę, aż ta się zeszkli. Wówczas prosi o pomidory, które od razu z nią łączy.

— Urwij mi kilka listków bazylii i gałązkę oregano — mówi i wskazuje na doniczki, które znajdują się na parapecie, tuż przy oknie.

Z olbrzymią przyjemnością wykonuję kolejne polecenie i wręczam mu zioła. Patrzę, jak sieka je na desce i wrzuca na patelnię.

— Teraz pomidory muszą odparować — wyjaśnia, a ja tylko kiwam z uznaniem głową. — No co?

— Nic — odpowiadam, wzruszając ramionami.

Nie przekonuję go jednak, bo nie umiem się pozbyć uśmiechu, który powoduje pewna natrętna myśl.

Odruchowo zerkam na pierścionek.

— Maju? — słyszę jego zniecierpliwiony głos.

— Byłbyś świetnym mężem — wreszcie odważam się powiedzieć to na głos.

Na moment zapanowuje cisza, którą po chwili przerywa jego nienaturalnie brzmiący głos:

— Ale nie będę.

— Dlaczego? — dociekam, choć po jego minie widzę, że nie powinnam tego robić. — Maks, czego się boisz?

— Niczego. Po prostu nie zamierzam popełnić tego błędu.

Chcę go zapytać, jaki jest tego powód, ale ubiega mnie, a właściwie zbywa, skutecznie ucinając niewygodny temat:

— Kiedy pomidory odparują, tak jak teraz — mówiąc to, wskazuje na bulgocące, obłędnie pachnące warzywa — dodajemy fasolę. — Zrywa wieczko z puszki, a potem wlewa na patelnię fasolkę wraz z pomidorowym sosem. — Teraz znów musimy chwilę poczekać, do momentu, aż całość się zagotuje. W tym czasie możemy dodać trochę przypraw — wyjaśnia i wykręca z młynka odrobinę świeżego pieprzu. Następnie dorzuca szczyptę soli i znowu wszystko razem miesza. — Na koniec robimy takie wgłębienie — mówi i drewnianą łyżką formuje na

patelni dwa dołki. — I wbijamy jajka.

Obserwuję, jak sprawnie radzi sobie z jajkami, a następnie zmniejsza temperaturę na płycie i nakrywa patelnię pokrywką. Milczę jednak, bo po jego wcześniejszym wyznaniu jakoś trudno mi ubrać myśli w słowa.

— Coś nie tak? — pyta nagle i przygląda mi się wnikliwie.

— Nie. — Otrząsam się. — Wszystko w porządku.

— Uff. — Iwański wachluje się teatralnie ręką. — Bo już myślałem, że nie lubisz fasoli.

Uśmiecham się. Również na pokaz.

Czar przysł. Cóż...

CHOMIKO - WARNIA

Rozdział 23.

Maksymilian

Tylko udaje, że nie jest zawiedziona. Wiem to. I widzę. Podobnie jak widziałem, kiedy spoglądała na pierścionek, który jej podarowałem na pokaz. Zaczyna mnie to niepokoić, bo uważam, że jest zdecydowanie za wcześnie na kończenie czegoś, co ledwie się rozpoczęło. Ale jeśli Maja nie przestanie wysyłać sygnałów, że liczy na coś więcej, będę zmuszony to, niestety, zakończyć, choć gdy o tym myślę, już nie mogę tego odżalować. Dziewczyna jest świetna, więc naprawdę ostatnim, czego w tej chwili chcę, jest rozstanie. Co z tego, że na początku nawet mi się nie podobała? Ważne, że podoba mi się teraz i że ma to coś. Coś, czego dotąd nie dostrzegłem u żadnej innej kobiety, choć miałem ich tak wiele. Tak, to niewątpliwie jej największy atut.

Spoglądam na nią ukradkiem. Jest zamyślona i sprawia wrażenie nieobecnej. Siedzi na barowym stołku, wspiera się na łokciu o blat wyspy, a palcem znaczy ścieżkę na dolnej wardze.

To cholernie zmysłowy i pociągający widok, muszę przyznać, choć zarazem taki niewinny.

— Zapomniałem o serze — odzywam się naraz, przerywając tym samym tę złowrogą ciszę, która znów na moment się pomiędzy nas wkradła.

— Co? — Maja patrzy na mnie i wydaje się coraz bardziej skołowana. To zła wróżba.

— Zawsze na koniec dorzucam porwaną mozzarellę — wyjaśniam, nie odrywając od niej wzroku. — Ale obawiam się, że na tym etapie jest już za późno na jej dodawanie. Nie zdąży się odpowiednio zagrzać. Może więc użyję parmezanu? Jest bardziej wyrazisty w smaku, ale...

— Rób, jak chcesz.

Jest gorzej, niż przypuszczałem. I nie wiem, co z tym począć.

Chwilowo nabieram wody w usta. Wyjmuję z lodówki opakowanie z tartym parmezanem i posypuję nim szakszuke, którą zdejmuję z palnika. Wiórki sera potrzebują raptem minuty, żeby się rozpuścić, a potem będą się przyjemnie ciągnąć w ustach. Teraz jednak nawet myślenie o tak przyjemnych doznaniach nie daje mi pełni satysfakcji. Moją głowę zaprzęta bowiem niepokojące podejrzenie.

— O co ci chodzi? — nie wytrzymuję i pytam wprost.

— Nie rozumiem — odpowiada i patrzy na mnie w taki sposób, że natychmiast mięknę. O swoich podejrzeniach zamierzałem powiedzieć jej wprost, nie bacząc na słowa, ale widząc jej minę, dobieram je starannie.

— Jeszcze nie tak dawno miałaś w sobie tyle energii i wigoru, a teraz...

— Jestem zmęczona, Maks — przerywa mi wówczas. — Po prostu chce mi się spać.

Zaskakuje mnie i jednocześnie sprawia, że ciężar na moich piersiach jakby maleje. Naprawdę nie chciałbym usłyszeć najgorszego i już się z nią rozstawać, zwłaszcza na takim etapie. I nie mam tu na myśli jedynie tego, że wciąż nie podpisałem umowy z Johanssonami — to już tylko formalność. Po prostu nie chcę jej stracić. Jeszcze nie teraz. Chcę się nią dłużej nacieszyć.

— Przepraszam. Nie pomyślałem o tym. Z czasem przywykniesz.

Maja spogląda na mnie, ale nic nie mówi. Niemniej wydaje się zaskoczona moimi słowami. W zasadzie ma do tego pełne prawo. Nie zna mnie ani moich zwyczajów, czy nawet drobnych przyzwyczajęń. I nie wie, na co mnie stać. A stać mnie na znacznie więcej. To, co jej do tej pory pokazałem, to jedynie przedsmak tego, co ją jeszcze czeka.

— Smacznego — mówię, podsuwając jej talerz z nałożoną już porcją szakszuki. — Mam

nadzieję, że będzie ci smakować.

— Jestem tego pewna — odpowiada markotnym głosem.

* * *

Maja śpi już kolejną godzinę. Ja w tym czasie zdążyłem wykonać kilka niezbędnych telefonów, odwołać bądź poprzestawiać spotkania, na których się dzisiaj nie zjawię. Nie zamierzam bowiem właśnie dziś pracować. Mam lepsze pomysły na spędzenie tego dnia, który ledwie się zaczął.

Uchylam kołdrę i ostrożnie się pod nią wsuwam. Nie chcę obudzić słodko śpiącej dziewczyny. Targają mną wyrzuty sumienia. To przeze mnie jest taka wykończona. Przytulam się do niej, wsuwam nos w jej rozrzucone na poduszce włosy i zaciągam się ich aromatem. Boże, jak pięknie pachnie.

Zamykam oczy i uśmiecham się jak szczeniak. W tej jednej chwili tak niewiele mi potrzeba do szczęścia.

* * *

Musiałem przysnąć, a raczej zasnąć kamiennym snem, bo naraz budzę się i stwierdzam, że za oknem zrobiło się już prawie ciemno.

Spoglądam na wtuloną do mnie plecami dziewczynę. Nie śpi już. Obraca na palcu pierścionelek.

— Nie podoba ci się? — pytam zaspanym głosem.

— Chryste, Iwański! — Aż wzdryga się na dźwięk mojego głosu.

Wyszczierzam się jak idiota. Podoba mi się, gdy się tak do mnie zwraca. Naprawdę mi się podoba.

— Przestraszyłem cię? — Całuję ją w kark, uprzednio rozgarniając jej włosy. — Masz coś na sumieniu?

— Raczej ty — rzuca przez ramię, ale na szczęście w jej głosie nie pobrzmiwa złość.

— To co z tym pierścionkiem? — dociekam.

— Musiał kosztować fortunę.

A więc jej się podoba. Uff.

— To nic. Wliczę go w koszty.

— Pomyślałam, że nie powinnam go nosić.

— Dlaczego?

Odwracam ją przodem do siebie. Chcę widzieć jej twarz.

— A co, jeśli go zgubię? — Nadal nie przestaje go obracać. Wydaje się niepewna.

— Dlaczego miałabyś go od razu zgubić?

Naprawdę nie pojmuję tej jej dziecinnej obawy.

— Bo jak wiesz, pech rzadko mnie opuszcza.

— Daj spokój. Nic takiego się nie wydarzy — zapewniam ją. Mam nadzieję, że to wystarczy i przestanie roztaczać czarne wizje.

— Wolę dmuchać na zimne i nie pogrążyć się jeszcze bardziej — upiera się, jak zwykle.

— Nie stać mnie na to — dorzuca jakby od niechcienia.

Przez chwilę patrzę, jak próbuje zdjąć pierścionelek, ale powstrzymuję ją.

— Pierścionelek jest twój.

— Ale jak to mój? Przecież...

— Dałem go tobie, więc jest twój.

— Ale jak ty to sobie wyobrażasz? — pyta lekko podniesionym głosem. Nie rozumiem, o

co się tak ciska. — Pomyślałeś, co powie mój ojciec, jak go zobaczy na moim palcu? Mniejsza o tatę. — Potrząsa głową, a potem wstaje i ubiera moją koszulę. — To człowiek starej daty. Uwierzy, jeśli mu powiem, że sama go sobie kupiłam. Nabierze się nawet, jak mu powiem, że to kicz kupiony na bazarze — dodaje, spoglądając ponownie na brylant.

Tak, kupiłem pierścionek z brylantem, za niebagatelną kwotę, ale go wkrótce odrobuję. Zdecydowałem się na ten ruch dla dobrej sprawy, dla kontraktu z Johanssonami. Oni bazarowy kicz z pewnością rozpoznaliby od razu. Dlatego dalej nie rozumiem, czemu Maja się tak ciska.

— O co ci właściwie chodzi? — pytam wprost, bo mam przeczucie, że nie jest ze mną do końca szczerą.

Przewraca oczami, kiedy zapina guziki, a potem przez chwilę mi się przygląda i mówi:

— Pomyślałeś, jak na pierścionek od innego faceta zareagowałby mój potencjalny chłopak?

Mrużę gniewnie oczy. Mieliśmy więcej o tym nie rozmawiać, a ona znów ucieka ku przyszłości. Na Mai nie robi to jednak większego wrażenia. Cholera, dlaczego jest taka nieznośna? I uparta!

— A nie przyszło ci do głowy, że jak już będzie po wszystkim — warczę, także opuszczając łóżko — to będziesz mogła go sprzedać, spieniężyć? — dodaję niezadowolonym tonem.

— A tobie przeleciało przez tę durną łepetynę — odpowiada i nie dość, że mnie obraża, to jeszcze sama puka się w czoło — że nie chcę twoich pieniędzy?

— Wkurzasz mnie tak bardzo... — mówię lodowatym głosem i zbliżam się do niej. Zatrzymuję się dosłownie o centymetry od niej, pokazując jej tym samym swoją siłę i niezadowolenie wynikające z jej postawy. Ale ona ani drgnie. Nie boi się mnie, czym drażni mnie jeszcze bardziej. — Że mam ochotę...

Nie kończę. Nie jestem w stanie. Kiedy zbliżam się do niej tak bardzo, że niemal czuję dotyk jej skóry, odbiera mi rozum.

Chwytam ją jedynie w tali, przyciągam do siebie i wpijam się w jej usta. Są takie miękkie, aksamitne i słodkie. I w tej jednej chwili tylko moje.

— Możesz go nawet wyrzucić — szepczę w jej rozchylone wargi dużo łagodniejszym niż parę sekund temu głosem. — Jeśli uznasz to za stosowne. Rozumiesz?

Kiwa głową. I chyba wreszcie już nie zamierza się ze mną o to kłócić.

Odczuwam satysfakcję. Nie, to nie to. To dzika rozkosz. I choć znam to uczucie doskonale, bo przecież zawsze biorę to, co chcę, i robię rzeczy, o których inni mogą tylko pomarzyć, muszę przyznać, że dziś czuję się z tym naprawdę wyjątkowo.

Maja

Jak tak dalej pójdzie, to ten facet zupełnie mnie ubezwłasnowolni. Iwański wkurza mnie, gdy narzuca mi swoją wolę, a ja nie potrafię mu się przeciwstawić. Oczywiście nieustannie próbuję, ale skutki, jak widać, są mizerne. Po prostu tracę przy nim rozum.

— Chodź tu.

W dodatku stale mi rozkazuje. I pociąga mnie za sobą na łóżko.

— I kochaj się ze mną — mruczy w moje usta.

— Nie robimy nic innego od wczorajszego wieczora — napominam go, choć już bez wcześniejszej złości. Kiedy jest tak blisko, nie umiem się na niego gniewać.

— I będziemy to robić, dopóki się mną nie znudzisz.

Zaskakują mnie jego słowa. Brzmiały zupełnie jak obietnica, na którą dotąd Maks nie umiał

się zdobyć. Nie zdążam jednak nawet głębiej się nad tym zastanowić, bo on już przechodzi do tego, co właśnie zapowiedział. Przewraca mnie na plecy, a sam zawisa nade mną. Patrzy mi w oczy, splata nasze dłonie i umieszcza je nad moją głową, a potem wchodzi we mnie i zaczyna się poruszać. Kilka jego płynnych ruchów wystarczy, bym poczuła dreszcze i błogość rozlewającą się po całym moim ciele, a z każdym kolejnym ruchem jest tylko lepiej.

— Patrz na mnie — mówi w chwili, gdy moje powieki stają się ciężkie, bezwładne. — Chcę widzieć twoje oczy, kiedy jest ci dobrze, gdy dla mnie dochodzisz.

Dość dziwaczne są te jego zachcianki — najpierw ta *prośba* w wannie, teraz to — ale staram się go nie rozczarować, więc spełniam również i tę. Otwieram oczy i szukam ich odbicia w jego zamglonym spojrzeniu. I nagle przez głowę przelatuje mi myśl, że gdyby Maks nie wyraził się jasno i nie jawił się przede mną jako facet, którego miłość sprowadza się jedynie do łóżka, chyba bym pomyślała, że się we mnie zakochał.

— Podoba ci się? — pyta, poruszając rytmicznie biodrami.

Chryste, czy on musi tyle gadać, zwłaszcza w takim momencie?

— Rób swoje i się zamknij, Iwański — odpowiadam zuchwale, na co wytrzeszcza oczy, a potem wybucha śmiechem.

— Jesteś niemożliwa — stwierdza i wbija się we mnie mocniej, wchodzi głębiej, czym doprowadza mnie do szaleństwa. — Tak? Dobrze? — Z jego ust nie znika ten szelmowski uśmieszek.

— Kurwa, Iwański! — krzyczę w tej samej chwili, w której dochodzę.

Jest mi tak zajebiście dobrze, że nie jestem w stanie zapanować nad powiekami, które opadają mi bezwiednie, i nie mogę zobaczyć tego cwaniackiego uśmieszku, który zapewne nawet w takim momencie nie schodzi z jego warg.

Rozdział 24.

Maja

— Ale jak to „zabierasz mnie z sobą do biura?” — domagam się wyjaśnień.

Myślałam, że mamy to już za sobą. Poza tym z *dwojga złego* wolałam grać jego dziewczynę, nie sekretarkę. A jednak nie to mnie tak poruszyło. Zwyczajnie nie jestem już ślepa i widziałam swoje odbicie w lustrze. Wyglądam jak... Lepiej nie mówić. Tylko głupiec nie byłby w stanie zauważyć, co robiliśmy od niemal dwóch dni. Jestem niewyspana, mam worki pod oczami i chodzę, jakbym... Wolę przemilczeć tę kwestię.

— No zwyczajnie. Jedziesz ze mną do pracy.

— Ale po co?

— Muszę się pochwalić swoją świeżo upieczoną narzeczoną. No nie patrz tak na mnie — dorzuca, widząc, że wymownie milczę. — Czas na kolejną dawkę wrażeń.

Nie rozumiem tego, ale nie kwestionuję. Nie zamierzam jednak ukrywać, że mi się to nie podoba. Nigdy nie byłam typem karierowiczki, a nietrudno się domyślić, że moje ponowne pojawienie się w biurze Iwańskiego wywoła kolejną falę spekulacji na mój temat. Jego pracownicy znów będą szeptać za moimi plecami. Jakoś nie mam ochoty przechodzić przez to po raz kolejny.

— Uważam, że to średni pomysł — odpowiadam z przekąsem. — Ale niech ci będzie.

— Uff.

Maks teatralnie wachluje się ręką. Oczywiście tylko udaje, że poczuł ulgę. Zawsze stawia na swoim i wie, że zgodzę się na wszystko. I nie mam tu na myśli tylko spraw związanych z naszą umową. W łóżku też wyczynia ze mną takie rzeczy, że lepiej nie mówić.

— Tylko ubierz się stosownie — mówi, kiedy nago opuszcza sypialnię, udając się do łazienki.

— To znaczy sztywniacko?! — wołam za nim i zauważam, że tylko kręci głową.

Wstaję z łóżka. Jestem obolała. Nie przywykłam do aż tak intensywnej *gimnastyki*. Z natury jestem „sportooporna”, ale nie sądziłam, że seks bywa tak wymagający. Boli mnie każdy mięsień, każdy skrawek ciała. Liczę więc, że jakoś to rozchodzę, choć jednocześnie nie wierzę, że to w ogóle będzie możliwe. Jak bowiem mam rozciągnąć pospinane mięśnie, skoro nawet tych kilkadziesiąt metrów, jakie dzielą ten wieżowiec, w którym mieszkamy, od wieżowca, w którym znajduje się biuro Iwańskiego, będziemy pokonywać samochodem? Jestem pewna, że nie uda mi się namówić Maksa na spacer. Kilka razy zrobił wyjątek, ale to było na początku naszej znajomości. Wtedy zależało mu, aby ludzie widzieli nas razem, żeby zaczęli o nas mówić, spekulować. Teraz już w zasadzie nie było o czym. Zwłaszcza po jego publicznych oświadczeniach, które pewnie stały się tematem numer jeden.

Wzdycham i zaglądam do szafy. Z utęsknieniem spoglądam na swoje kolorowe, pełne energii zestawy, ale wybieram bardziej stonowany, tak jak sobie zażyczył *mój szef*. Zakładam szarą ołówkową spódnicę — ta na szczęście sięga do kolan, więc nie będę świecić tyłkiem — i czarną koszulę. Uzupełniam wszystko czerwonym paskiem — nie umiem się powstrzymać. Do tego na stopy wsuwam lakierowane szpilki w tym samym kolorze i spoglądam z uznaniem w lustro. Całości dopełnia szminka w intensywnym, krwistym odcieniu. Do niedawna to okulary robiły tę część roboty, choć Maks był innego zdania. Dziś jednak zastąpiłam je pomadką.

— Mam nadzieję, że ci się spodoba — mówię do własnego odbicia. — Bo nie zamierzam ustępować ci we wszystkim.

— Podoba mi się — słyszę naraz za plecami, na co drgam nieznacznie.

Odwracam się do patrzącego na mnie z uznaniem Maks. Jest mokry, a z jego włosów dosłownie leje się woda. Ma na sobie jedynie ręcznik.

— Normalnie pendolino z ciebie — stwierdzam, a on obdarza mnie szerokim uśmiechem.

— A nie boeing 777?

— A bo ja wiem — odpowiadam, wzruszając ramionami.

Nie umiem się powstrzymać i zerkam na ręcznik, a właściwie na powstałą pod nim wypukłość. Wiem, że wspominając o samolocie, żelaznym ptaku, miał raczej na myśli własnego... orła.

— Jeśli nie przestaniesz się na niego gapić, to zaraz się o tym przekonasz.

„A więc jednak! Miałam rację!” — myślę, zachowuję to jednak dla siebie i odwracam wzrok.

— Pospiesz się, Iwański — rzucam przez ramię, gdy sięgam po torebkę. — Chyba nie chcesz zepsuć statystyk?

— Gdybym miał odrobinę więcej czasu — mówi, kiedy się prostuję, a moja twarz niemal styka się z jego twarzą. Muszę przyznać, że prawdziwy z niego boeing, bo nawet nie zauważyłam, jak podchodził. — Pokazałbym ci...

— Bez wątpienia — przyznaję, choć nie przeczę, że moja odpowiedź mogła zabrzmieć jak prowokacja. — Czekam na ciebie w salonie — dodaję na odchodne.

Uff.

Teraz to ja wachluję się ręką, gdy tylko znikam za drzwiami. Nie robię tego na pokaz, bo i brakuje mi publiczności. Po prostu zrobiło się naprawdę gorąco.

* * *

— No nie daj się prosić, Maks. — Ponownie wystawiam rękę po kluczyki, które wciąż spoczywają w jego dłoni. — To nic wielkiego. Krótka przejażdżka. Aż żałuję, że tak krótka — jęczę, mając nadzieję, że dzięki temu Iwański zmięknie.

Ale to prawda. Do jego biura jest rzut beretem, więc raczej sobie nie poszarżuję za kółkiem jego wypasionego wozu.

— Zgoda — mówi i wręcza mi kluczyki. — Ale jeśli choćby go zarysujesz...

— To do końca moich dni będę twoją niewolnicą?

Zdaje się, że nie od razu podchwytuje żart, więc szybko wyjaśniam:

— Ten samochód jest wart tyle, że nie byłabym w stanie ci tego odpracować. Dlatego przyrzekam, będę uważała.

— No ja myślę — słyszę, wskakując za kierownicę.

Czuję ekscytację. Nigdy nie jeździłam czymś takim. Stare rzęchy czy traktor taty to z pewnością nie to samo.

Ciekawe, ile wyciąga to cacko.

— Na pewno sobie poradzisz? — Maks chyba nadal ma wątpiwości.

— Na pewno. — Kiwam głową i uśmiecham się niczym dziecko do zasłużonego lizaka.

Zaciskam ręce na kierownicy. Czuję się trochę jak Kubica i Michèle Mouton jednocześnie. Oczywiście nasz rodak zasłynął w świecie motoryzacji na najwyższym poziomie i nie znam osoby, która by o nim nie słyszała, wszak pani Mouton też zapisała się w historii motoryzacji. Moim skromnym zdaniem Michèle to najbardziej wytrwała i uparta kobieta w dziejach wyścigów samochodowych. Startowała bowiem w rajdach w bardzo trudnym okresie, zwłaszcza dla płci pięknej. Jej kariera rajdowca rozpoczęła się już w latach siedemdziesiątych, choć szczyt jej popularności przypadł nieco później, gdy na światowy rynek weszły pierwsze

najszybsze i najbardziej wymagające pojazdy, jakie kiedykolwiek startowały w mistrzostwach świata. Te jednak były tak niebezpieczne, że wkrótce zakazano ich udziału w rajdach. Ale nim to nastąpiło, Michèle Mouton wielokrotnie świętowała triumfy, częstokroć stając na podium, sięgając po najwyższe wygrane i pokonując nawet mężczyzn, którzy w tamtych czasach wydawali się nie do pokonania. Według mojego brata Pawła, który jest wielkim fanem wyścigów rajdowych, pani Mouton do dziś jest najbardziej utytułowaną zawodniczką startującą w rajdach, a zarazem najlepszą, jaka kiedykolwiek pojawiła się w motorsporcie. Oczywiście go popieram.

Skoro więc ona dała sobie radę z czymś takim, to czemu ja nie miałabym sobie poradzić z takim cackiem?

Z bijącym sercem odpalam silnik. Przez chwilę wsłuchuję się w jego pracę, a potem powoli ruszam. Parking jest wąski i pełno w nim filarów, o które z pewnością można łatwo zahaczyć. Jestem więc nad wyraz ostrożna, a i nie zamierzam szarżować. Waham się, gdy podjeżdżam do stromeego wzniesienia, na którego szczycie znajduje się szlaban, a za nim opuszczana brama. Ze stresu pocą mi się dłonie.

— Może jednak cię zmienię? — Maks oferuje mi pomoc. Nic dziwnego. Wjazdy na parkingi podziemne w moim odczuciu nie należą do najbezpieczniejszych.

— Poradzę sobie — odpowiadam jednak. — Ale doceniam twoją troskę. I dziękuję.

Nie odpowiada, ale na mnie patrzy. Czuję to, choć jestem tak skupiona na tym budzącym grozę podjeździe, że nawet na moment nie odwracam głowy. Oddycham z ulgą, gdy szlaban wreszcie się unosi, a za nim brama.

Jeszcze tylko chwila, a wyjadę z tego betonowego mauzoleum.

Gdy samochód w końcu wyjeżdża na zewnątrz, oddycham z ulgą. Cóż, muszę przyznać, że to był mój kolejny pierwszy raz w tak krótkim czasie. Dotąd bowiem nigdy nie prowadziłam samochodu w tak ekstremalnych warunkach.

— Brawo — chwali mnie Iwański. — To zadanie dla twardzieli. Rzadko która kobieta ma w sobie dość odwagi, by się na to zdobyć. Robiłaś to już kiedyś?

— Nigdy — odpowiadam szczerze.

— Tym większe moje uznanie — mówi i się uśmiecha. — A teraz zawieź nas już prosto pod Rondo 1.

— Jasne, szefie.

Maksymilian

Naprawdę jestem pod wrażeniem. Dotąd nie spotkałem kobiety, która tak świetnie poradziłaby sobie z wyjazdem z tego parkingu. Mnie samego stresował on wielokrotnie. Zwłaszcza kiedy miałem auto o niższym zawieszeniu. Nieraz zastanawiałem się, czy nie zawisnę, czując lekkie tarcie o podłogę. Niemniej, jak widać, przywykłem, a i praktyka czyni mistrza.

— Prowadzenie auta sprawia ci niebywałą przyjemność — zauważam.

— O tak! — odpowiada z niegasnącym entuzjazmem.

W dodatku nawet nie stara się zaprzeczyć. Najwyraźniej nie obchodzi jej, co mógłbym o niej pomyśleć. Powszechnie bowiem uważa się, że dziewczyny, które przesadnie interesują się motoryzacją, to blachary. Ale ona najwyraźniej o to nie dba, co w moich oczach czyni ją jeszcze lepszą. Naprawdę cenię w niej tę absolutną szczerłość.

— To może wkrótce zabiorę cię na dłuższą przejażdżkę? — proponuję.

— Byłoby ekstra! Ten samochód to istna petarda — zachwala, co napawa mnie dumą. Też mam o nim takie zdanie. — A tutaj, jak sam widzisz — mówiąc to, zerka na mnie na moment i znów skupia się na prowadzeniu — nie mogę się nawet przekonać, na co go stać.

Nie odpowiadam, tylko uśmiecham się z uznaniem i patrzę na nią, zachwycając się zadowoleniem malującym się na jej twarzy. Kompletnie rozbraja mnie jej bezpośredniość.

Gdyby ktoś jeszcze niedawno powiedział mi, że kiedykolwiek będę w stanie dostrzec i docenić takie walory u kobiety, kazałbym mu popukać się w czoło. A jednak...

— Uważaj! — krzyczę nagle, gdy z jej lewej strony zauważam rozpędzone auto, którego marki w tej chwili nawet nie potrafię dostrzec.

Za późno. Ten typ ze srebrnej fury właśnie przyrznął w nasz lewy błotnik. Poduszki powietrzne wybuchają i na chwilę zalewa nas mleczna biel.

Jestem pewien, że nic nam nie będzie, ale odruchowo łapię Maię za rękę.

— Nic ci nie jest? — pytam, przedzierając się przez warstwy opadającego z wolna materiału.

— Maks, ja, ja...

Gdy po przedłużającej się w nieskończoność chwili z poduszek całkowicie schodzi powietrze, zauważam łzy w jej oczach. Nic dziwnego. Właśnie jakiś pajac rozbił mój samochód, wymuszając pierwszeństwo z podporządkowanej, i odjechał. Uciekł, idiota jeden, sądząc, że ujdzie mu to płazem. Ale teraz nie on mnie obchodził. W tym jednym momencie chciałem się tylko upewnić, że Mai nic się nie stało. Mam gdzieś samochód. Przecież jest ubezpieczony.

— Dobrze się czujesz? — pytam. Patrzę na nią, doszukując się niewidocznych obrażeń na jej rozdygotanym ciele, i jednocześnie wypinam nas z pasów.

Kiwa głową i zarazem pociąga nosem.

— Ale twój samochód...

— Nie martw się o to. To nie twoja wina — zapewniam ją. — Ważne, że nic ci, nam — poprawiam się szybko — się nie stało.

— Nic mi nie jest — zapewnia po chwili. — A tobie? — pyta, wreszcie zachowując się bardziej przytomnie.

— Będę żył. — Uśmiecham się, mimo że sytuacja wydaje się niesprzyjająca.

Wreszcie wychodzę z samochodu. Chcę na własne oczy zobaczyć, na jakie straty naraził mnie ten... pajac. Oczywiście nie jestem zadowolony, kiedy stwierdzam, że oprócz wgniecionego błotnika moje audi ma także naderwany zderzak i roztrzaskaną lampę.

— Kurwa — klnę pod nosem, wyjmując z kieszeni telefon, bo zamierzam zadzwonić pod numer alarmowy.

Właśnie wtedy ją zauważam. Maja musiała zaraz po mnie opuścić auto, a teraz stoi nieopodal i zasłania usta dłonią. Znowu jest bliska płaczu. Mam ochotę objąć ją i po raz kolejny zapewnić, że to niej jej wina, ale najpierw muszę załatwić tę sprawę, zwłaszcza że wokół zbiera się tłum gapiów.

Dzwonię na sto dwanaście, zgłaszam całe zajście, a kiedy pozostaje nam już tylko poczekać na służby i lawetę, obejmuję przygnębioną dziewczynę.

— To naprawdę nie twoja wina — zapewniam, obejmując ją ramieniem.

— Ale tamten samochód... — Wskazuje bezradnie ręką w stronę miasta. — Nawet go nie zauważyłam, a on już odjechał — dorzuca z rozdzierającym moje serce żalem.

— Nie przejmuj się tym. Policja zajmie się ustaleniem sprawcy kolizji. Oberwie podwójnie, za ucieczkę z miejsca zdarzenia także.

To tylko kwestia czasu, aż typ ze srebrnego wozu dostanie się w łapy policji. Przecież ten rejon miasta jest najbardziej strzeżonym miejscem w Warszawie. Bezapelacyjnie całe zdarzenie zostało zarejestrowane na tutejszym monitoringu.

— I co teraz? — pyta.

— Nie rozumiem.

— Co zrobimy?
— W tej chwili zaczekamy na policję, a potem pójdziemy tam, dokąd zmierzaliśmy.
— Chcesz iść piechotą do pracy? — Maja patrzy na mnie jak na dziwoląga. Cóż, w jej oczach chciałem uchodzić za kogoś niezwykłego, choć może nie od razu za dziwoląga.
— A widzisz sens, żeby na te kilkadziesiąt metrów zamawiać taksówkę?
Kręci głową, a potem rzuca mimochodem:
— Jeszcze będą z ciebie ludzie, Iwański.
Nabieram wody w usta, bo nie jestem pewien, jak odnieść się do tych słów. Nie wiem nawet, czy powinienem je potraktować jako komplement, czy raczej jako oblegę. Dotąd, oprócz niej, nikt nigdy nie ośmielił się w mojej obecności powiedzieć czegoś takiego na głos. Ona mówi to po raz kolejny. A ja? Dziwne, że nic z tym nie robię...

* * *

Powoli zaczynam żałować, że do biura wybraliśmy się piechotą. Przez całą bowiem drogę, która pozostała nam do Ronda, odnoszę wrażenie, że przechodzący obok nas ludzie bezczelnie się na nas gapią. Oczywiście staram się udawać, że tego nie dostrzegam, ale widzę doskonale ich przesadne zainteresowanie. Właśnie dlatego z reguły wszędzie poruszam się samochodem.

— Dzień dobry, panie prezesie — dochodzi mnie nagle znajomo brzmiący głos.

Odwracam głowę i dostrzegam Lenę, praktykantkę z mojego biura, która obecnie zajmuje się pocztą. Wygląda na mocno zaskoczoną takim widokiem. Oj, będzie miała o czym plotkować. Tego na ogół staram się unikać.

Kiwam do niej, a potem mocniej zaciskam palce na dłoni dziewczyny, która mi towarzyszy.

— No to będą mieli o czym gadać — szepczę jej do ucha.

Robię to niepotrzebnie, bo na twarzy Mai maluje się poczucie winy. Nie taki był mój zamiar. Nie chciałem, żeby znów sobie to wyrzucała. Ale stało się.

— Pospieszmy się, zanim jeszcze na kogoś wpadniemy — mówię, siląc się na beztroski ton, a potem ciągnę ją w stronę przeszklonego budynku, od którego dzieli nas już raptem kilka kroków.

Rozdział 25.

Maja

Mam mieszane odczucia, jeśli chodzi o zachowanie Maksymiliana. Po całym tym nieszczęsnym zajściu zdecydował, że resztę drogi pokonamy na piechotę, a jednak wkrótce zdawał się zachowywać tak, jakby tego żałował. Wyraźnie nie w smak mu było, kiedy wpadliśmy na tę dziewczynę z działu poczty. Zupełnie jakby się czegoś wstydził. Pytanie czego. Samego faktu, że on, prezes dobrze prosperującej firmy, chadza piechotą? A może zwyczajnie to ja byłam plamą na jego honorze? Już sama nie wiem, co myśleć na ten temat.

Gdy czekamy na windę, czuję wibrację w mojej torebce. Wyjmuję telefon i spoglądam na wyświetlacz.

Anita? W pierwszym odruchu pomyślałam, że to tata. Próbował się ze mną skontaktować dwukrotnie, a ja zapomniałam do niego oddzwonić. Wiem, że to marne usprawiedliwienie, ale ostatnio dzwonił w chwili, gdy byłam dość... *zajęta*. Ale przecież nie mogłam odebrać, gdy Maks i ja uprawiliśmy seks. A potem zwyczajnie wyleciało mi z głowy, żeby się do niego odezwać.

— Znów natrętna koleżanka nie daje ci spokoju? — pada pytanie.

Kiwam głową, pomijając fakt, że właśnie odkryłam, że próbowała już czwarty raz. Byłam tak zaabsorbowana stłuczka, że tego nie zauważyłam.

— Chyba powinnam odebrać.

— Potem — mówi Iwański, który zabiera mi z rąk telefon i na powrót umieszcza go w mojej torebce. — Teraz skupmy się na naszym zadaniu. Mamy wyglądać na zakochaną, świeżo zaręczoną parę, już zapomniałaś?

Jego głos jest szorstki, co potwierdza moje wcześniejsze przypuszczenie, że jest zły. Wciąż jednak nie mam pewności, czy na mnie, czy na wszystkie te feralne zdarzenia, które właśnie nastąpiły.

Gdy tylko drzwi windy rozsuwają się przed nami, Maks zwyczajowo przepuszcza mnie przodem.

Spoglądam w lustrzane odbicie. Nagle jakoś brakuje mi odwagi, żeby odwrócić się w jego stronę, ale zerkam ukradkiem na jego poważną twarz, na której maluje się napięcie. Obawiam się, że to moja wina. Bezwiednie przygryzam wargę.

— Do cholery, kobieto!

Wtedy mnie przyciąga i wpija się w moje usta. Nie oponuję, bo na szczęście są pokryte trwałą pomadką. Niemniej nie uważam, żeby winda była właściwym miejscem na *tego typu rozrywki*.

— Pragnę cię — mówi wprost w moje usta, w mig zasiewając w mojej głowie ziarno niepewności.

— Ale że tutaj? — pytam w przerwie między pocałunkami nienaturalnie ochrypniętym głosem. Ja również płonę z pożądania.

— Tutaj — odpowiada i naciska jakiś przycisk, zatrzymując tym samym windę. — Ukłęknij — rozkazuje łagodnie.

— Co?

Czuję się zażenowana zarówno samą jego prośbą, jak i tym, co się za nią niewątpliwie kryje. Z narastających emocji pieką mnie policzki. Głośno przełykam ślinę.

— Wynagrodzę ci to, obiecuję — mówi przekonującym głosem, a potem z niezwykłą

delikatnością, ale też z dobrze mi znaną stanowczością naciska na moje ramiona i doprowadza mnie do właściwej pozycji.

Chyba oszalałam, ale nie protestuję, kiedy rozpina spodnie, a po chwili jego penis łąduje tuż koło mojej twarzy.

— Weź go — mówi łagodnie, więc niepewnie spełniam jego prośbę, a jego olbrzymi członek szybko znajduje się w moich ustach.

Nie wiem, co robić, bo nigdy nie zbliżyłam się do czegoś takiego. Liczę więc, że Maks wie, co robi, i że powie mi wprost, co ja mam robić.

— Weź go — powtarza, czym mnie zaskakuje, zważywszy na okoliczności. — Tak głęboko, jak zdołasz — dorzuca i naraz wszystko staje się jasne. — A teraz ssij, liź, rób wszystko, na co masz tylko ochotę.

Zasysam go więc, czując, że jest już bardzo głęboko. W zasadzie już chyba głębiej być nie może, bo odnoszę wrażenie, że główka penisa sięga moich migdałków. Ale nie przeszkadza mi to, wręcz przeciwnie, cholernie mnie to podnieca.

Z ust Maksa wydobywa się jęk. Kładzie ręce na mojej głowie i nadaje jej rytm. Jestem zaskoczona samą jego reakcją, a także tym, że to takie proste, zwłaszcza że wyraźnie sprawiam mu tym przyjemność, o czym świadczą jego zamknięte oczy, rozchylone usta i chrapliwy oddech. Kiedy przyspiesza, a jego biodra zaczynają się poruszać rytmiczniej, otwiera na moment powieki.

— Za chwilę dojdę — mówi, jakby sylabizował, bym go lepiej zrozumiała. — Więc albo mnie odepchnij, albo pozwól mi skończyć.

Liczę, że tego nie pożałuję i zasysam go mocniej. A wtedy czuję, jak na mój język, a właściwie prosto w moje gardło wlewa się jego gorąca sperma. Nadal nie wiem, czego mam się po sobie spodziewać, czy zdołam TO przełknąć, ale szybko się okazuje, że to wcale nie jest takie złe. I że sprawia mi to przyjemność.

— Boże, Maju — chrypi, głaszcząc moje włosy. — Jesteś wspaniała.

Nie to chciałabym teraz usłyszeć, ale ten komplement sprawia mi radość.

Oblizuję usta i wstaję z kolan. Zadzieram głowę i spoglądam mu odważnie w oczy. Czuję się dziwnie, ale nad wyraz dobrze. Poza tym przez ułamek sekundy wydaje mi się, że się w nim...

„Nie, to niedorzeczne” — besztam się w myślach i odpycham tę nachalną myśl.

— Popraw ubranie, bo zaraz będziemy na miejscu. — Przejmuję inicjatywę i uruchamiam windę.

Po raz pierwszy Iwański mi się nie sprzeciwia. To do niego niepodobne.

Mija chwila i zajeżdżamy na trzydzieste piąte piętro. Wychodzimy oboje na korytarz i niemal od razu zderzamy się z sekretarką Maksa.

— Dzień dobry, panie prezesie — mówi, a mnie posyła uśmiech i lekko kiwa głową. — Lena zadzwoniła i powiedziała, że widziała pana na dole.

Zaczynam rozumieć, skąd to przywitanie. Faktycznie w tym miejscu plotki naprawdę szybko się roznoszą.

— Jak widać, już jestem tutaj — odpowiada rzeczowym głosem Maks.

— Jasne — rzuca niepewnie Roksana. — Dzwonił pan Johansson. Pomyślałam więc...

— Połącz mnie z nim — przerywa jej Maks i rusza do swojego gabinetu. Zupełnie nie zwraca na mnie uwagi, jakby o mnie zapomniał. Nie wiem, jak to odebrać.

— A pani ma gościa w konferencyjnym — dodaje dziewczyna, kiedy za Iwańskim zatrząskują się drzwi jego gabinetu.

— Gościa? — pytam, wytrzeszczając oczy.

Podejrzewam, kogo mogę tam zastać. W końcu Anita dzwoniła aż cztery razy.

— Śmiało — zachęca mnie Roksana. — Nikt nie będzie państwu przeszkadzał.

Państwu? Dziwne. Pewnie kolejne przejęzyczenie — zaczynam mieć tego dość, najpierw „prezesówna”, teraz jeszcze to — albo pobożne życzenie, bo w sali konferencyjnej czeka na mnie mój... ojciec.

— Tata? — Nawet nie jestem w stanie ukryć zdziwienia.

Nie odpowiada, tylko od samego mojego wejścia taksuje mnie wzrokiem. I nie wygląda na zadowolonego.

— Skąd się tutaj wzięłeś? — pytam, czując się wyjątkowo niezręcznie. W mojej głowie nagle bowiem pojawiają się pytania, całe mnóstwo pytań.

Skąd ojciec wiedział, gdzie mnie szukać?

Anita! Tak, wreszcie rozumiem, dlaczego do mnie dzwoniła aż cztery razy. Ale teraz nie to jest istotne. W tej chwili trapi mnie myśl, że Maks może zajrzeć tutaj w każdym momencie. Jak się zachowa, kiedy mnie zobaczy w towarzystwie innego mężczyzny? Jest taki wybuchowy. Poza tym tata wygląda tak, jakby zaraz miał zażądać ode mnie wyjaśnień, które w istocie mu się należą. Przecież ani słowem nie wspomniałam mu, w jakim charakterze pracuję dla Iwańskiego. A co się stanie, jeżeli zobaczy pierścionek, który nagle mam ochotę, a właściwie raczej powinienam zdjąć?

Za późno. Ojciec już spogląda z wyrzutem na moją rękę. Desperacko próbuję ją schować za plecami, ale szybko do mnie dociera, że to kompletnie bez sensu.

— To po to przyjechałaś do stolicy? Mówiłaś, że chcesz zdobyć porządny fach, a tymczasem...

— To nie tak — przerywam mu, bojąc się usłyszeć zarzut, który niewątpliwie zaraz padnie z jego ust. — Wszystko ci wyjaśnię.

Próbuję się bronić, ale ojciec chyba nie zamierza mnie dopuścić do głosu. To do niego niepodobne. Zawsze taki cichy, ugodowy, a tymczasem... Cóż, jak widać, nie znam go aż tak dobrze, jak sądziłam.

— A w ogóle, to jak ty wyglądasz? Co ty masz na twarzy?

Wstrzymuję oddech. Przecież nie dalej jak kilka minut temu, w windzie... O Chryste.

W panice zerkam na szklany blat stołu, licząc, że w jego odbiciu zdołam się upewnić, że na mojej twarzy nie ma śladu *zbrodni*. Obraz jest lekko zniekształcony, ale na tyle wyraźny, bym mogła odetchnąć z ulgą, że nie mam na buzi nic, co by mnie zdemaskowało.

— Nigdy się nie malowałaś w ten sposób — oznajmia naraz.

I wszystko jasne. Chodziło mu tylko o szminkę. Dzięki Bogu, bo zapadłabym się pod ziemię, gdyby ojciec nakrył mnie *na czymś* takim.

— Bo nie było okazji.

— Okazji, powiadasz — powtarza po mnie, wykrzywiając twarz. Z niezadowoleniem kiwa głową. — To też przy okazji znalazłaś sobie bogatego sponsora — rzuca z ironią?

Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy. Ale to nie ze złości tak reaguję. Ojciec ma rację. Ten mój układ z Iwańskim, ta nasza pożał się Boże umowa, to zwykły sponsoring. A to oznacza, że jestem dziwką.

Maksymilian

Moja rozmowa z Johanssonem nie trwa zbyt długo. Lars zaprosił mnie i *moją narzeczoną* na obiad, podczas którego ma dojść do sfinalizowania umowy. Sądziłem, że bardziej ucieszy mnie ta nowina, ale wcale się tak nie stało. Nagle odkryłem, że już zależy mi trochę mniej, że

zdobycie Johanssonów jako nowych partnerów biznesowych nie było szczytem moich marzeń.

Co zatem było? Tego akurat jeszcze nie wiem.

— Gdzie jest... moja narzeczona? — pytam Roksany, kiedy wychodzę ze swojego gabinetu.

Rozglądam się. Nigdzie nie mogę dostrzec Mai.

— W konferencyjnym, panie prezesie.

Robię zdziwioną minę.

— Ma gościa — wyjaśnia naprędce.

— Gościa?

Od razu myślę o tej jej przyjaciółce. W końcu próbowała złapać Maję kilka razy. Może więc złożyła jej niezapowiedzianą wizytę?

Mam do przekazania *swojej narzeczonej* wieści, które z pewnością ją ucieszą, ale uznaję, że mogę z tym poczekać. Niech sobie wyjaśnią z koleżanką, co mają do wyjaśnienia. Nie będę im przeszkadzał.

— Jak dziewczyny skończą, to daj mi znać — mówię i na powrót kieruję się do gabinetu.

— Dziewczyny? — słyszę za plecami, więc zatrzymuję się i powoli odwracam. — Pańskiej narzeczonej nie odwiedziła kobieta.

Wiem, że zachowuję się nienaturalnie, ale nagle oblewa mnie zimny pot, gdyż jak zwykle wyobrażam sobie zbyt wiele. Jeśli bowiem Mai nie odwiedziła Anita, to kto? Przecież sama mówiła, że nie ma w Warszawie znajomych.

Bez słowa ruszam w stronę konferencyjnego. Emocje z każdym krokiem rosną, ale nie ma innego sposobu, muszę tam wejść.

Nawet nie pukając, naciskam klamkę i otwieram drzwi. Już od progu słyszę podniesiony męski głos, od którego jeżą mi się włosy na głowie.

— To też przy okazji znalazłaś sobie bogatego sponsora?!

Maja wbija wzrok w podłogę. Wygląda tak, jakby lada moment miała się rozpłakać. I nagle mnie zauważa. Wydierający się na nią facet także.

— O wilku mowa — tym razem zdaje się, że mówi do mnie. — Jakiż to zaszczyt mnie kopnął, że sam prezes dołączył do naszej rozmowy?

— Tato... — jęczy Maja.

A więc wszystko jasne. Ten facet to jej ojciec, który w moim odczuciu pozwala sobie na zbyt wiele.

— Nie znam pana — próbuję mówić opanowanym głosem, choć daleko mi do spokoju — ale nikomu, nawet ojcu mojej dziewczyny, nie pozwolę na takie zachowanie na moim terytorium.

— Na pana terytorium — powtarza po mnie z drwiną mężczyzna.

— Tak. Moje biuro jest moją własnością. Więc albo się pan uspokoi, albo...

— Albo co? — mężczyzna podnosi na mnie głos. — Wyrzuci mnie pan?

Zamierzam mu powiedzieć, że się nie zawaham, jeśli mnie do tego zmusi, ale wówczas ojciec Mai rusza w stronę wyjścia.

— Proszę się nie kłopotać. Sam wyjdę — mówi na odchodne.

— Tato!

Postawa Mai świadczy o tym, że zamierza za nim pobiec. Nie mogę na to pozwolić.

Podchodzę do drżącej na całym ciele dziewczyny i ją obejmuję.

— Puść — mówi zrezygnowanym głosem, a w jej oczach błyszczą łzy. — Tata nie powinien był się o tym dowiedzieć. On nie zrozumie. Muszę go zatrzymać — dodaje nagle, czym tylko potwierdza moje przypuszczenia, i próbuje mi się wyszarpnąć.

Ja jednak trzymam mocno i nie zamierzam jej puścić. Rozmowa tych dwojga w tak

silnych emocjach grozi katastrofą. A tego wszyscy chcemy uniknąć.

— Maks, do cholery!

— Ochłoń. Dajcie sobie czas. Potrzebujecie go, żeby nabrać dystansu.

— Dystansu? O czym ty mówisz? Nie znasz mojego taty. Nie wiesz, jaki jest. On... on...

— W jej oczach nadal migoczą łzy.

— Obiecuję to zmienić — mówię łagodnie.

— Co? — Maja jest roztrzęsiona, ale przygląda mi się z całą powagą. I już się nawet nie szarpie. — Jak mam to rozumieć?

— Jeszcze dziś pojedziemy do twojego rodzinnego domu i wszystko wyjaśnimy twojemu ojcu.

— Co? — powtarza piskliwym głosem. — Nie możemy powiedzieć mu prawdy! On nie zrozumie.

— To powiemy mu to, co chce usłyszeć.

— Ale Maks!

Tylko pocałunek może choć na moment zamknąć jej usta. Robię to z przyjemnością, całuję ją. Namiętnie, wpychając język do jej ust, szukając jej języka.

Zadziwiająco, jak wspaniale smakuje, jak pięknie na mnie reaguje...

Rozdział 26.

Maja

— Przecież mówiłeś...

— Wiem, co mówiłem, Maju — odpowiada. — I dotrzymam słowa. Jeszcze dziś zabiorę cię do ojca. Ale potem, jak zjemy obiad z Johanssonami i jak wreszcie podpiszę tę umowę.

— To już dziś? — wrywa mi się. Nie potrafię zapanować nad smutkiem, który wkrada się w moje słowa.

Iwański w odpowiedzi kiwa głową i przez moment uważniej mi się przygląda.

— Nie cieszysz się?

— Oczywiście, że się cieszę — odpowiadam pospiesznie. Próbuję się nawet uśmiechnąć.

— Maju?

Raczej mi nie uwierzył, bo wciąż bada mnie wzrokiem.

— Martwię się o tatę.

W zasadzie mówię prawdę. Przygnębia mnie fakt, że rozstaliśmy się w gniewie.

— Nic mu nie będzie. Twój ojciec nie wygląda na takiego, który łatwo się poddaje. W zasadzie pod tym względem jesteś do niego podobna — stwierdza, mrugając do mnie.

— Dobrze rozumiem, że to nie był komplement?

Maks powściąga uśmiech i kręci głową.

— Bycie upartym nie zawsze popłaca.

— I kto to mówi? — burczę.

Nie zamierzam mu przypominać, że on sam, żeby osiągnąć swój cel, poświęca się do tego stopnia, że udaje mojego narzeczonego, czym niewątpliwie udowadnia swój upór.

— Niepokoi mnie fakt, że tata nie odbiera ode mnie telefonu — dorzucam po chwili.

— Bo jest na ciebie zły.

— Wiem, ale dotąd, choćby nie wiem co się wydarzyło, nigdy mnie tak nie potraktował.

— Bo dotąd był pewien, że swoją malutką córeczkę ma wyłącznie dla siebie. Dopiero dziś poczuł zagrożenie, kiedy na twoim palcu odkrył ślad świadczący o przynależności do innego faceta — mówi i podnosi moją dłoń, na której widnieje pierścionek, po czym ją całuje.

— Uważaj, Iwański, bo jeszcze uwierzę, że się zakochałeś — dowcipkuję, mimo że nadal nie jest mi do śmiechu.

Jak widać, mój *niewinny żarcik* robi na nim spore wrażenie, bo natychmiast poważnieje.

— Wyglupiam się — wyjaśniam pospiesznie i wstaję z jego kolan. — Dobrze wiem, że nie byłbyś w stanie się we mnie zakochać — dodaję, udając, że wcale mnie to nie obchodzi.

— Dlaczego tak uważasz?

— Bo nie urodziłam się wczoraj, Maks. Mężczyzn takich jak ty pociąga inny typ kobiet.

— Inny typ kobiet — powtarza po mnie z zadumą. — Gdzieś ty to wyczytała? W jakimś babskim, feministycznym magazynie?

— Mam rozumieć, że się mylę? — Zmieniam taktykę. Skoro sam zaczął. — I że cię pociągam?

— Zdaje się, że już ci to udowodniłem. Nie raz zresztą — mówi jakby odrobinę rozdrażnionym głosem.

— Ale zakochać się byś we mnie nie mógł, prawda? — Nie odpowiada, tak jak przypuszczałam, więc dorzucam kąśliwie: — Wszystko jasne. Za wysokie progi.

— Co ty bredzisz?! — Unosi się. — Nie czuję się lepszy tylko dlatego, że mam

pieniądze, a tobie ich brakuje. I nie dlatego nie mogę się w tobie zakochać.

— Zapytam cię o coś jeszcze — przerywam mu, bo widzę, że powoli traci kontrolę. Jest coraz bardziej rozżłoszczony tą rozmową. — Czysto teoretycznie. Tylko bądź ze mną szczerzy, dobrze? — Kiedy kiwa głową, choć jak na moje oko bez przekonania, pytam: — Nie możesz czy nie chcesz?

— Nie rozumiem. — Patrzy na mnie jak na wariatkę. A więc dobrze wie, o co pytam.

— Nie możesz czy raczej nie chcesz się we mnie zakochać? — doprecyzowuję, ryzykując, że może się to dla mnie źle skończyć.

— Ta rozmowa staje się bez sensu — warczy i również się podnosi.

— Odpowiedz, Maks — nalegam mimo wszystko, choć wiem, że balansuję na bardzo niebezpiecznej krawędzi.

Obserwuję go, jak zaczyna się nerwowo przechadzać po gabinecie. Patrzę, jak nabiera w płuca powietrza, a potem wypuszcza je ze świstem. Widzę, jak bije się z własnymi myślami.

— To nie tak.

— A jak? — pytam nieustępliwie.

— Ja po prostu... — Znów dostrzegam rozterki na jego twarzy, zaciskające się raz po raz szczęki, drgające na policzkach mięśnie. — Nie wierzę w miłość, Maju.

* * *

Jego wyznanie zaskakuje mnie do tego stopnia, że postanawiam dłużej nie ciągnąć tego tematu. Nagle bowiem postrzegam go w innym świetle. Ból w jego głosie sprawił, że zaczynam może nie tyle go rozumieć, ile mu współczuć. I naraz dociera do mnie, że Maks jest nieszczęśliwym człowiekiem. Bo człowiek, który nie kocha lub który broni się przed miłością, nie może być w pełni szczęśliwy, spełniony. To zupełnie tak, jakby chciało się ugasić pragnienie szklanką wody wypełnioną tylko w połowie. Miałam kiedyś koleżankę, której rodzice, pomimo że tworzyli z pozoru szczęśliwy związek — mieszkali ze sobą, a nawet przed innymi udawali, że się szanują — unikali się wzajemnie, nieustannie się mijali, po prostu nie znosili być razem. Nie kochali się, nie szanowali, ale tkwili w związku tylko przez wzgląd *na dobro* dzieci. Przyglądałam się temu z boku i nikogo nie oceniałam. Ale pewnego dnia dorosłam i zrozumiałam, że takie relacje, wyzute z uczucia, z miłości, która nadaje sens każdemu ludzkiemu istnieniu, źle wpływają nie tylko na samych *zakochanych*, ale także na przyglądające się temu dzieci. Szansa, że nie popełnią błędów rodziców i nie będą powielać schematów, jest bowiem znikoma.

Ja miałam więcej szczęścia, bo wychowywałam się w domu pełnym miłości. Rodzice nie szczydzili sobie wzajemnych czułości, okazywali je sobie na każdym kroku. Zawsze gdy wspólnie całą rodziną zasiadaliśmy do stołu, oni zajmowali miejsca najbliżej siebie. Ojciec u szczytu stołu, mama z boku bądź odwrotnie, byleby blisko, razem. Patrzenie na nich zawsze sprawiało mi przyjemność. Drobne gesty, takie jak głaskanie po policzku czy trzymanie się za rękę, były dla mnie dowodem na to, że miłość jest naprawdę piękna i bezcenna. Wyjątkowa. I sama o takiej marzyłam.

Nietrudno się domyślić, że Maks nie zaznał tego szczęścia. On nie miał rodziny, która byłaby dla niego wzorem do naśladowania. Żal mi go. Pewnie dlatego zamyka się na miłość.

— Pięknie wyglądasz — rozlega się znienacka jego głos gdzieś za moimi plecami. Nie słyszałam, jak wszedł, więc odrobinę się zlekłam.

— Dziękuję — odpowiadam, mocując się z zapięciem łańcuszka, który dobrałam do kreacji. — Ale to zasługa mojego szefa. Ma dobry gust — chwalebę go.

Sukienka rzeczywiście jest ładna i pasuje do okazji. Jej krój idealnie podkreśla moją talię.

Nie jest ani za krótka, ani za długa, a jej stonowany kolor, brudny róż, nie rzuca się przesadnie w oczy tak jak w przypadku tej czerwonej sukni, którą włożyłam na ostatnią kolację z Johanssonami. Tamta kiecka była naprawdę wyzywająca.

— Pomogę ci — mówi Maks, widząc, że wciąż nie radzę sobie z zapięciem.

Jego chłodne palce delikatnie muskają moją skórę, powodując, że na moim ciele natychmiast pojawiają się przyjemne dreszcze. Wstrzymuję oddech i bezwiednie opuszczam powieki. Zaciągam się aromatem jego zmysłowych perfum, a z moich ust wydobywa się bezgłośny jęk.

— Jeśli nie przestaniesz — słyszę tuż koło ucha — to spóźnimy się na spotkanie, na którym tak bardzo mi zależy.

— Przepraszam.

Natychmiast otwieram oczy i odwracam się w jego stronę. Spoglądam na znajdującą się o centymetry od mojej twarzy, na płonący z pożądania wzrok.

— Maju... — W jego głosie słychać ostrzeżenie, ale też dobrze mi już znaną nutę, która oznacza, że bardzo mnie teraz pragnie.

Wspinam się na palce, przytrzymując się o jego szerokie ramiona, i cmokam go w policzek, czym go wyraźnie zaskakuję.

— Dziękuję — szepczę tuż przy jego policzku i dodaję: — Chodźmy już.

Jest zaskoczony. Właściwie dotąd nie widziałam go aż tak zdezorientowanego. A to potwierdza moją teorię. Maks nie zaznał czułości. Nie był nawet jej świadkiem. Dlatego zamknął się na miłość. Czy moim zadaniem jest go na nią otworzyć? Jeszcze tego nie wiem. Ale odpowiedź poznam już wkrótce. Przyrzekam.

Maksymilian

Czuję się... dziwnie, kiedy Maja się tak zachowuje. Gdy całuje mnie w TEN sposób, dotyka. Kiedy tak na mnie patrzy...

Kobiety, z którymi się dotąd zadawałem, nigdy nie posunęły się aż tak daleko, a zarazem nie zachowywały się tak niewinnie i subtelnie. One wszystkie były pewne siebie i wiedziały, jak ze mną postępować. Każda z nich doskonale znała moją *instrukcję obsługi*. Maja raczej jej nie znała. W każdym jej niepewnym dotyku, przelotnym pocałunku, niewinnym spojrzeniu kryła się zagubiona, a nawet złęczona dziewczyna. A ja przecież takich nie znosiłem najbardziej. Dlaczego więc tolerowałem to wszystko? Dlaczego nie byłem w stanie powiedzieć jej wprost, czego od niej oczekuję?

Dręczą mnie pytania, na które nadal nie znam odpowiedzi, ale w tej chwili uznaję, że powinienem się skupić na spotkaniu z Johanssonami. Muszę wreszcie dokończyć to, co zacząłem. Potem zajmę się sobą i własnymi *problemami*.

— Cieszę się, że już dobrze się czujesz, kochanie — Anne Lise zwraca się do Mai, która posyła jej lekko zaskoczony uśmiech. — Maksymilian powiedział nam o twoim zabiegu.

— A tak — odpowiada jej dziewczyna.

— Musisz być bardzo odważna, że zdecydowałaś się na coś tak ekstremalnego. Mnie chyba brakuje ikry, bo raczej nie dałabym rady. Na myśl, że coś mogłoby pójść nie tak... — Pani Johansson wzdyga się teatralnie.

— Proszę mi wierzyć, ja też się bałam. Nawet bardzo. Ale miałam przy sobie ukochanego, który swoim optymizmem dodawał mi otuchy — odpowiada Maja i kładzie dłoń na mojej ręce, która spoczywa na stole.

Po raz kolejny w tak krótkim czasie zaskakuje mnie. Ale nie aktorską grą czy starannie

dobranymi słowami, a takim gestem. I coraz mniej podoba mi się własna reakcja, albo raczej jej brak, na takie zachowanie. Żadnej innej kobiecie nie pozwoliłbym robić tak... dziwnych rzeczy.

Anne Lise zerka wymownie na męża i oboje zgodnie kiwają głowami. Ufają nam, wierzą w to, co widzą. Wiem, że powinienem się cieszyć, bo przecież właśnie na tym mi zależało, ale nagle jakoś nie potrafię. Odczuwam jedynie ulgę, ale radości nie ma w tym żadnej.

— A powiedzcie, kochani, ustaliliście już datę ślubu? — docieka Johansson.

— Pobierzemy się w przyszłym roku — odpowiadam prędko, udając pewnego siebie, by nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń. — Chcemy wziąć ślub w kościele, zrobić wielkie przyjęcie, a do tego potrzeba trochę czasu. Oczywiście czujcie się zaproszeni. Prawda, kochanie? — Spoglądam na Maję, która przez moment nic nie mówi. Mam nadzieję, że tylko potwierdzi i nie zacznie wdawać się w tę niepotrzebną dyskusję.

— Oczywiście — odpowiada.

— A myślałaś już o sukni?

O ile Maja rzeczywiście nie ciągnęła tematu, o tyle jej rozmówczyni najwyraźniej ma na to *ogromną* ochotę.

— Jeszcze nie.

— To musisz, koniecznie. Jeśli chcesz, mogę ci pomóc w wyborze kreacji. Moja znajoma modystka ma wejścia do najlepszych butików w mieście. Pewnie do salonów sukien ślubnych też. Mogłabym wraz z nią cię tam zabrać, kochanie. Co ty na to?

— Nie wiem — odpowiada Maja, a pod stołem ściska moją drugą, wolną rękę, co chyba oznacza, że liczy na moją pomoc. Właściwie już otwieram usta, bo zamierzam rzucić jakieś tanie kłamstwo typu: „Moja siostra się tym zajmie”, ale szybko się okazuje, że Maja świetnie radzi sobie sama. — Myślałam raczej, żeby do ślubu pójść w sukni mamy.

Zadziwia mnie, choć nie jestem pewien, czy mówi prawdę. Ale nawet jeśli pomysł z tą suknią po matce to zwykła ściema, okazuje się strzałem w dziesiątkę, bo Anne Lise wydaje się szczerze i pozytywnie, rzecz jasna, zaskoczona.

— To może zostawmy kobiety i ich sprawy — odzywa się nagle Lars — i pójdźmy tam — mówiąc to, wskazuje na odrębny pokój, gdzie zawiera się transakcje biznesowe — by sfinalizować wreszcie nasz kontrakt.

— To świetny pomysł — odpowiadam z entuzjazmem, choć nieco przesadzonym, bo udawanym. Naprawdę jakoś już mnie to nie cieszy tak jak na początku.

Widząc, że Johansson podnosi się z krzesła i całuje w policzek żonę, robię to samo. Wstaję od stołu, pochylam się nad Mają i cmokam ją przelotnie — nie chcę być gorszy.

Wyływające na policzki dziewczyny rumieńce są dla mnie wielką niewiadomą. Robiłem znacznie bardziej sprośne rzeczy, nawet w obecności Johanssonów, więc nie pojmuję jej reakcji.

A co, jeśli...

Nie, to wykluczone. Ona nie ma prawa się we mnie zakochać.

Rozdział 27.

Maja

Maks momentami jest taki uroczy, że tracę wcześniejszą pewność siebie — tę z czasów, gdy myślałam o nim jak o dupku. Już nawet nie jestem pewna, kiedy gra, a kiedy po prostu idzie na całość i wpada we własne sidła. A może to tylko moje pobożne życzenie?

— Powiedz mi, skarbie — docieka Anne Lise, gdy tylko zostajemy same — jak to się stało, że suknia twojej mamy przetrwała aż do dziś?

— Moja ukochana mama była bardzo sentymentalna — odpowiadam zgodnie z prawdą.

— A może trzymała ją specjalnie dla ciebie? — dopytuje.

Uśmiecham się. Całkiem możliwe. Ach, gdyby żyła, zapytałabym ją o to wprost.

— Wraz z suknią zachowała także frak ojca — chwałę się.

— Frak? Twój tata szedł do ślubu we fraku? — Kobieta zdaje się naprawdę zszokowana tym odkryciem. — Może jeszcze powiesz, że na głowie miał cylinder, a do kościoła wiozły ich białe konie zaprzężone do bryczki?

— Nie wiem, czy były białe, ale zapytam taty, jak nadarzy się okazja — odpowiadam z pełnym uśmiechem na ustach.

— O Chryste — zachwycą się pani Johansson. — Toż to musiał być ślub jak z bajki.

— Tak. Taki właśnie był. W pamiątkowym albumie nie brakuje zdjęć, które są na to dowodem. Ale koni na nich jakoś nie widziałam — dodaję mocno przesadzonym, aczkolwiek mimo wszystko zawiedzionym głosem.

Anne Lise uśmiecha się leciutko i z uznaniem kiwa głową.

— A Maks? — pyta nagle.

— Co z nim?

— Też zamierza ubrać się jak księżę z bajki na wasz ślub?

— Nie wiem — odpowiadam, marszcząc nos. — Maks nie jest tak ugodowy jak mój ojciec. — Mrugam do niej porozumiewawczo. A prawda jest taka, że raczej nie wyobrażam go sobie w takim wydaniu.

— Tak, faktycznie. Od lat krążą o nim różne opinie. — Tym razem to ona puszcza do mnie oko. — Ale jak widać, ktoś go bardzo odmienił. — Znów posyła mi przeuroczy uśmiech.

Nie odpowiadam, bo nie chcę dłużej kłamać. Po prostu zmieniam temat, a po chwili zaczynamy rozmawiać o błahostkach, takich tam babskich pierdołach. Muszę przyznać, że po raz pierwszy czuję się tak swobodnie w obecności pani Johansson. Nie boję się już, że coś pójdzie nie tak. Nie muszę dłużej grać, bo i sytuacja tego nie wymaga. Jestem po prostu sobą. I jest mi z tym dobrze, przyjemnie.

* * *

— Jesteś zadowolony? — pytam Maksa, kiedy wypożyczonym samochodem jedziemy autostradą.

Zerka na mnie, jednocześnie skupiając się na prowadzeniu, ale nie odpowiada. Wydaje się, że nie zrozumiał pytania albo w ogóle mnie nie słuchał.

— Pytałam, czy jesteś zadowolony — powtarzam więc.

— To zależy.

— Od czego? — Intryguje mnie.

— Od tego, o co pytasz — odpowiada zdawkowo.

Zaskakuje mnie coraz bardziej i jednocześnie zasiewa we mnie zwątpienie. Własna niepewność podpowiada mi, żebym nie ciągnęła tego tematu, a jednak wygrywają wrodzony upór i przekora, więc oznajmiam:

— Chciałabym wiedzieć, czy jesteś zadowolony z podpisania kontraktu z Johanssonami.

— Tak.

— A nie wyglądasz na takiego — mówię wprost.

Wiem, jak się ekscytował tą współpracą, ile o nią zabiegał, a teraz? Cóż, nie sprawia wrażenia szczęśliwego.

— Po prostu jestem zmęczony.

Nie mówi mi prawdy, jestem tego pewna. Zamierzam jednak zaproponować mu zmianę, za kierownicą rzecz jasna. Maks prowadzi już od przeszło trzech godzin. Ma prawo czuć zmęczenie. Najpierw jednak muszę go spytać o coś jeszcze, bo wiem, że nie da mi to spokoju.

— To o co chodzi z tą drugą sprawą?

— Nie rozumiem. — Spogląda na mnie, wyraźnie oczekując wyjaśnień.

— Kiedy cię zapytałam, czy jesteś zadowolony, odpowiedziałeś, że to zależy od tego, o co właściwie pytam. Coś jest nie tak?

— O czym rozmawiałaś z Anną? — pada rzeczowe pytanie.

— O niczym szczególnym. — Wzruszam ramionami. — Dlaczego pytasz?

— Obie dziwnie się zachowywałyście. Przez cały wieczór.

— Nie wiem, o czym mówisz. Zachowywałam się tak jak zwykle. Chociaż może masz trochę racji. Byłam mniej zestresowana niż przy poprzednim spotkaniu. Ale chyba sam rozumiesz dlaczego.

Nie odpowiada, ale wyraźnie analizuje moje słowa.

Żeby wypełnić słowami ciszę, która nagle nastąpiła, wychodzę z propozycją:

— Mogę cię zmienić, jeśli chcesz.

A gdy Maks spogląda na mnie z niedowierzaniem, dodaję:

— Sam mówiłeś, że jesteś zmęczony.

— Dam radę — odpowiada, a ja natychmiast ucinam temat.

Dla mnie bowiem wszystko jest jasne. Maks boi się dać mi poprowadzić. Po tej kraksie z udziałem jego samochodu nie ufa mi, a raczej nie wierzy w moje umiejętności. Jak zwał, tak zwał. Jedno jest pewne: już sobie nie pojeżdżę.

Maksymilian

Kiedy siedząca na fotelu pasażera dziewczyna wreszcie przestaje gadać, zapada w drzemkę. Jest mi to na rękę. Nie mam bowiem ochoty na kolejne przesłuchanie, zwłaszcza że ledwie się powstrzymuję, żeby jej wprost nie wygarnąć, co mi chodzi po głowie. A chodzi, i to całkiem sporo. Już przed spotkaniem z Norwegami Maja wysyłała mi pewne sygnały, których, jak mi się wydaje, raczej nie powinienem lekceważyć. Zachowywała się inaczej niż dotychczas. Zadawała niewygodne pytania i okazywała mi czułość, która momentami była tak krępująca, że nie byłam w stanie stwierdzić, czy nadal jest udawana. Na spotkaniu też nie było lepiej. Czerwieniła się, czego ja nie umiem zrobić na żądanie. Zresztą nie pamiętam, żeby kiedykolwiek się czerwieniła. Może zdarzyło mi się to raz albo dwa. Może nawet wtedy, kiedy Andrzej nakrył mnie w moim pokoju, jak posuwałam tamtą dziewczynę. Jak jej było na imię? Już nawet nie pamiętam. Za to doskonale pamiętam, jak się wówczas poczułem. Cóż, było mi wstyd. Mogłem chociaż zamknąć drzwi na klucz, czego oczywiście nie zrobiłem, będąc tak napalonym gówniarzem.

Niemniej wracając do mijającego właśnie dnia, do spotkania... Po powrocie do stolika zarówno żona Larsa, jak i moja udawana narzeczona zachowywały się dziwnie. Mógłbym przysiąc, że gadały o mnie, choć Maja stanowczo temu zaprzeczyła. Ale ja, mimo że znałem ją tak krótko, wyrobiłem sobie o niej jedną, niepodważalną opinię: ona nie umie kłamać. Aż dziw, że z moją pomocą tak omamiła Johanssonów.

— Ojej, zasnęłam — słyszę naraz jej zaspany głos. — Przepraszam, Maks. Nie powinnam.

— Dlaczego tak uważasz?

— Bo to bardzo egoistyczne z mojej strony — wyjaśnia, poprawiając się w fotelu. — Powinnam mówić, zabawiać cię rozmową.

Uśmiecham się. Jej argumenty mnie rozbrajają i natychmiast mija mi do niej cała moja wcześniejsza niechęć.

— Naprawdę nic się nie stało — zapewniam ją.

— O Chryste, Maks! Zaraz będziemy na miejscu — wybucha nagle, zauważając mijany właśnie drogowskaz.

— Tak.

— Dlaczego mnie nie obudziłeś?

— Tak słodko spałaś, że nie miałem serca.

— To błąd! Mamy jeszcze tyle spraw do obgadania, zanim spotkamy się z ojcem. — Wydaje się spanikowana.

— Przestań się nakręcać. — Próbuje ją uspokoić. — Wszystko pójdzie jak z płatka.

— Oby.

— Poradziliśmy sobie z Norwegami, to damy radę i twojemu ojcu — kwituję i mrugam porozumiewawczo.

— Nie znasz go. Jego nie tak łatwo zwięść. Jedno małe potknięcie i po nas. — Pokazuje wymownie, jakby ktoś miał jej podciąć gardło.

Wybucham niekontrolowanym śmiechem. Zabawna jest.

— Wszystko będzie dobrze — zapewniam po chwili i odruchowo chwytam jej dłoń.

Puszczam ją, gdy zauważam, że Maja mi się przygląda. W TEN dziwny sposób. Udaję jednak, że tego nie dostrzegam.

— Zachowujmy się tak jak dotąd, a nie powinniśmy mieć żadnych kłopotów — mówię, głęboko w to wierząc. — Nawet z twoim ojcem.

— Obyś się nie mylił.

Na moment nastaje cisza. Widzę jednak, że to tylko stan przejściowy. Na twarzy dziewczyny maluje się bowiem niepewność, a ta bez wątpienia oznacza pytania. Mnóstwo pytań, a ja nie jestem pewien, czy mam ochotę na nie odpowiadać.

— Maks?

Zaczyna się.

— Co będzie potem?

— Co według ciebie oznacza „potem”?

— Obiecałeś mi pomoc i uspokoić tatę. Wcześniej podpisałeś kontrakt z Johanssonami. Dopełniła się moja rola, a nasza umowa powoli zaczyna się kończyć, prawda?

Nie odpowiadam od razu, bo nie znam odpowiedzi. Oczywiście nie chcę, żeby Maja odchodziła, zwłaszcza teraz, ale jeśli się na to zdecyduje, nie będę jej zatrzymywał. Może i jestem draniem, lecz również człowiekiem honoru.

— To zależy — odpowiadam więc.

— Od czego? — pyta bez wahania i przygląda mi się z wypisaną w oczach

niecierpliwością.

— Raczej od kogo — poprawiam ją. — Wszystko w twoich rękach, Maju. Jeśli chcesz zostać i nadal bawić się ze mną na tych samych zasadach, sprawisz mi radość. Ale jeżeli...

— Jeżeli będę chciała więcej? — kończy za mnie. Nie odpowiadam, bo nawet nie dopuszcza mnie do głosu. — To chciałeś powiedzieć, prawda?

Kiwam lekko głową, powstrzymując się od zbyt cichych w tej chwili słów.

— To co wtedy, Maks? Odpowiedz — naciska.

— Nie możesz chcieć więcej. Dotychczasowy układ musi ci wystarczyć.

— A co, jeśli dla mnie to za mało?

— Maju! — ostrzegam ją.

Nie chcę się z nią kłócić, zwłaszcza że za chwilę dojedziemy do jej rodzinnego domu, gdzie czeka nas przeprawa z jej nadopiekuńczym tatusiem.

— Odeślesz mnie? — Ale ona nie ustępuje.

— Nie psuj tego, co wydaje się idealne. Przecież jest nam ze sobą dobrze. W normalnych relacjach, w łóżku także.

— W normalnych relacjach... — powtarza po mnie i spogląda przed siebie z zadumą.

Zjeżdżam z drogi i zatrzymuję samochód. Patrzę na nią, oczekując, że złoży mi deklarację, która będzie satysfakcjonująca dla nas obojga.

— Maju?

— Jedźmy już — mówi ochryplym, lekko oschłym głosem. — Jest już późno. Jak się nie pośpieszymy, tata zdąży zamknąć bramę. O ile już tego nie zrobił — dorzuca jeszcze, a potem odwraca głowę i udaje, że patrzy w ciemność.

Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że w ten sposób chce ukryć przede mną łzy, które są oznaką czekających mnie kłopotów.

Cholera, dlaczego Maja uparła się, żeby to wszystko popsuć?

Rozdział 28.

Maksymilian

Wreszcie parkuję pod właściwym adresem. Dom jest wiekowy, ale na swój sposób urokliwy. Nawet gdy patrzy się na niego z zewnątrz i widzi się właściwie jedynie jego zarys w świetle lamp, które w tych egipskich ciemnościach uwidaczniają każdy jego narożnik, wydaje się ciepły i przytulny, jak na rodzinny dom przystało. Trochę przypomina mi ten, w którym się wychowywałem, zanim siostra wzięła mnie pod swoje skrzydła. Dom babci nie był jednak tak okazały. To była raczej skromna, typowo wiejska chatka, niepodpiwniczona, w przeciwieństwie do tego, przed którym właśnie stoję.

— Maks? — odzywa się nagle Maja. — Chcesz się wycofać?

— Nic z tych rzeczy — odpowiadam, a potem wyskakuję z auta, otwieram drzwi od strony pasażera i podaję Mai ramię. — Chodźmy, kochanie. Miejmy to wreszcie za sobą.

Uśmiecha się niepewnie, co oznacza, że powoli odzyskuje stracony wcześniej humor.

„Od razu lepiej” — chwale ją w myślach, a potem prowadzę ją w stronę wejścia. Właściwie to ona prowadzi mnie, ale nie przeszkadza mi to. W końcu jest u siebie, nie odwrotnie.

— Nie stresuj się tak — szepczę jej do ucha, kiedy stajemy pod drzwiami.

Czuję, jak zaczyna drżeć. Jestem pewien, że nie jest jej zimno. W tak krótkim czasie nie zdążyłaby zmarznąć.

— Staram się — odpowiada, a potem stuka do drzwi.

Mija chwila, zanim dochodzi nas odgłos kroków, ale w końcu słychać zgrzyt przekręcanego w zamku klucza, a potem drzwi się otwierają i staje w nich ojciec Mai.

— Możemy wejść? — pyta niepewnie dziewczyna, której ramię wciąż splecione jest z moim.

Mężczyzna najpierw patrzy na nas przez zmrużone oczy, ale po chwili bez słowa przepuszcza nas w progu. Oczywiście kiedy go mijam, nie omieszka posłać mi złowrogiego spojrzenia. Ignoruję je jednak. Nie jestem smarkaczem, na którym takie rzeczy mogłyby wywrzeć wrażenie.

— Przepraszam cię, tato — znów odzywa się Maja. — Głupio wyszło, wiem — wzdycha i jest naprawdę przejęta. — Ale postaraj się mnie chociaż zrozumieć. I wysłuchaj tego, co mam ci do powiedzenia, zanim do końca mnie potępisz.

Odpowiada nam cisza, a to nie wróży najlepiej. Ojciec mojej przyszywanej dziewczyny jest bardziej uparty i zawzięty, niż przypuszczałem. Maja zdecydowanie odziedziczyła te cechy po nim, muszę to przyznać po raz kolejny.

— Wejdźcie do środka — odpowiada, a jego głos już nie brzmi tak jak w moim biurze. Wydaje się nieco łagodniejszy. — Nie będziemy rozmawiać w progu.

Wchodzimy więc głębiej, ale nie docieramy zbyt daleko, bo Maja zatrzymuje się nagle. Spoglądam zdumiony, jak zdejmuje buty i dyskretnie pokazuje mi, że mam zrobić to samo.

Przyznam szczerze, że tego się nie spodziewałem, ale... Nagle przypomniało mi się, że w domu mojej babci również panował taki zwyczaj. Właściwie nie jestem pewien, z czego wynikał, ale chyba chodziło o to, że ludzie ze wsi zawsze szanowali swoją pracę bardziej od mieszcuchów, jak ich miała w zwyczaju nazywać moja babka.

Żeby tylko przewidziała, że i ze mnie wyrośnie kiedyś rasowy mieszcuch...

Oczywiście nie mam z tym problemu i pozbywam się obuwia, podobnie zresztą jak skórzanej kurtki, którą założyłem na tę *wyjatkową* okoliczność. Rzadko noszę się tak zwyczajnie,

ale teraz uznałem, że sytuacja tego wymaga. Dlatego postawiłem na większy luz i garnitur zamieniłem na zwykłe dzinsy, sweter w serek oraz ramoneskę.

Zanim udamy się dalej, pomagam jeszcze Mai z kurtką, którą odwieszam we wskazanym przez nią miejscu.

— Chłop...

Nie wiem, co chce powiedzieć Maja, bo zanim skończyła, nagle dochodzi nas wołanie z głębi domu.

— Majka?

Nie mija sekunda, a naszym oczom ukazuje się rośli, młody mężczyzna, który podbiega do nas i bierze *moją dziewczynę* w ramiona, przy tym jej „Majeczkując”. Podejrzewam, że to niejaki *Piotruś Pan*, ale gdy pieszczotliwie nazywa go Pawełkiem, włosy jeżą mi się na karku. Prostuję się i instynktownie zaciskam dłonie w pięści. Jestem pewien, że nie umyka to uwadze starszemu z mężczyzn, który stoi nieopodal, ale mało mnie to obchodzi.

Gdy wydaje mi się, że dłużej nie będę w stanie zapanować nad emocjami, młody mężczyzna przestaje wreszcie wirować z *moją dziewczyną*, którą odstawia na miejsce. Oboje spoglądają na mnie w tym samym momencie, a z ust nie znikają im uśmiechy.

— A więc tata miał rację — odzywa się nagle chłopak.

Tata? Co prawda Maja wspominała o bracie, ale nazywała go Piotrem. Cóż, może zapomniała wspomnieć o Pawle, a może celowo zachowała tę wiadomość dla siebie, by wzbudzić we mnie zazdrość? Zamierzam się tego dowiedzieć. Wszystko w swoim czasie.

— Moja młodsza sis poderwała najlepszą partię w mieście. No nieźle, mała — dorzuca i trąca swoją siostrę w ramię, przez co ta lekko się potyka.

Mierzę go wzrokiem. Wkurza mnie.

— Zachowuj się, Paweł — upomina go ojciec, ale młody mężczyzna zdaje się nie zwracać na to większej uwagi.

— A gdzie Piotrek? — dopytuje Maja.

— No jak gdzie? Baluje. Nie wiesz, jaki on jest? — Wzrusza ramionami. — Cześć. — Paweł nagle wypuszcza siostrę z objęć, odwraca się do mnie i podaje mi dłoń. — Jestem młodszym ze starszych braci Majki. Paweł Sokołowski. Nie mogę uwierzyć, że ściskam dłoń samemu Maksymilianowi Iwańskiemu — dodaje, szczerząc do mnie zęby.

— Wystarczy Maks — odpowiadam i spoglądam wymownie na ojca Mai, z którym dotąd oficjalnie nie miałem okazji wymienić się tego typu uprzejmościami.

— Chodźmy do salonu — proponuje chłopak i idzie w stronę otwartej przestrzeni. Zapala światło i pokazuje, żebyśmy do niego dołączyli.

Maja zerka na mnie niepewnie, ale kiedy kiwam lekko głową, rusza za bratem, a ja podążam w ślad za nią. Na samym końcu idzie pan domu, który wciąż podejrzliwie na mnie patrzy.

— Rozgość się, Maks — Paweł nie przestaje trajkotać. — Pogadamy, a tymczasem moja siostrzyczka zrobi nam jakąś herbatę. Możesz też przygotować kanapki, sis, bo zgłodniałem.

— Sam możesz to zrobić — odpowiadam bez wahania, na co stojąca u mojego boku dziewczyna robi wielkie oczy. Za to jej ojciec uśmiecha się pod nosem, czym mnie pozytywnie zaskakuje. — Maja jest zmęczona podróżą — tłumaczę, choć nie muszę. Robię to wyłącznie dla niej.

— Myślałem, że...

— To lepiej nie myśl — przerywam mu — tylko zakasuj rękawy i bierz się do roboty.

— Maks, to dla mnie żaden problem — wtrąca się Maja.

— Domyślałem się, ale nie pozwolę ci się forsować, kochanie — odpowiadam i chwytam

jej rękę, po czym składam na niej pocałunek. Chcę ją w ten sposób uspokoić i jednocześnie zapewnić o szczerych zamiarach.

Paweł spogląda na mnie spođe łba. Ale po chwili rusza, jak nietrudno się domyślić, w stronę kuchni.

— Imponujące — odzywa się ojciec Mai. — Że też się to panu udało. Prawda, córuś?

— Proszę mi mówić po imieniu — odzywam się, zanim Maja zdąży otworzyć usta. — Nalegam — dodaję, gdy widzę, że tego nie komentuje. W końcu podaję mu rękę i także wymieniamy uściski.

— Wojtek — mówi, potrząsając moją dłoń.

Właściwie od tego powinniśmy zacząć nasze poprzednie spotkanie. Uważam jednak, że jeszcze nie wszystko stracone i możemy jakoś zatrzeć pierwsze złe wrażenie.

— Usiądźmy — mówi po chwili pan domu, więc we troje zajmujemy miejsca przy okrągłej ławie: Wojtek na fotelu, ja z jego córką na kanapie.

— Może więc wyjaśnisz mi, co takiego mi się udało? — wracam do poprzedniego tematu.

I właściwie pytałem Mai, ale odzywa się jej ojciec:

— Gdy na horyzoncie pojawia się Majeczka, moi synowie natychmiast potrzebują jej pomocy. Kiedy jej nie ma, radzą sobie jakoś, ale wystarczy, że w domu zjawia się ich siostra, od razu czegoś od niej chcą. W dodatku każdy z nich potrafi użyć odpowiedniego argumentu, żeby na nią wpłynąć i osiągnąć zamierzony cel.

— Czyli chce mi pan powiedzieć, że ją wykorzystują? — podłapuję, a on uśmiecha się powściągliwie, zerkając jednocześnie na Maję, która przewraca oczami.

— Zaraz tam wykorzystują — pufa Maja. — Zwyczajnie brakuje im damskiej ręki. Tobie także, tatusiu — dodaję, a jej ojciec znów raczy ją ciepłym uśmiechem.

— No dobrze — mówi Wojtek. — To teraz może skupmy się na was.

Zaczyna się.

Maja

— Kochamy się, tato — mówię pierwsza, chwytając Maksa za rękę.

— Kochacie — powtarza ojciec, kiwając głową. — Nie uważacie jednak, że na takie deklaracje potrzeba trochę więcej czasu? Że o pierścionku nie wspomnę. Ten powinien pojawić się znacznie później.

— Ma pan rację, znamy się z Mają krótko — odzywa się Maks — ale zapewniam, że darzę pana córkę najgłębszym uczuciem. — Bierze moją dłoń w swoją i ją całuje.

— Miałeś mi mówić po imieniu — ojciec napomina Maksymiliana, czym mnie zaskakuje. Iwański również wygląda na zdziwionego, bo kiwa przepaszająco głową. — I skąd ten pośpiech? — pyta tata, zerkając wymownie na moją dłoń, na której połyskuje brylant zatopiony w białym złocie. — Może ty jesteś w...

— Nic z tych rzeczy, tatusiu — przerywam mu, zwłaszcza że czuję napinające się mięśnie Iwańskiego. — Po prostu się kochamy i chcemy spędzić razem resztę życia, prawda, skarbie?

Spoglądam na siedzącego obok mnie mężczyznę, który uśmiecha się niepewnie, ale kiwa głową.

— Nie wyglądasz na przekonanego, Maks — słusznie zauważa tata.

— Coś przegapiłem? — wtrąca się Paweł, wchodząc nagle do salonu z tacą w rękach. Zaparzył dzbanek herbaty, a nawet zrobił kanapki z wędliną i pomidorem. Takie jak lubię.

— Zapewniam cię, a właściwie was, że mam najszczerze zamiary wobec waszej — podkreśla wymownie, zerkając również na mojego brata — córki i siostry.

— Spróbowałbyś nie — warczy mój brat.

Oj, chyba mój domniemany narzeczony nagrabił sobie u *szwagra*. Muszę więc interweniować.

— Obu was zapewniamy, że nie macie powodów do niepokoju. Maks i ja zakochaliśmy się w sobie i chcemy ze sobą być. Tylko tyle.

— Albo aż tyle — burczy Paweł, przez co Iwański mierzy go chłodnym spojrzeniem. — Kiedy tata powiedział mi o WAS... — podkreśla, zupełnie jakby naraz nie w smak mu był mój związek z Maksymilianem. A wcześniej, zanim Maks zapędził go do kuchni, wydawał się pełen empatii. — Sądziłem, że staruszek koloryzuje, że coś przekręca. Wiesz, jaki jest tato. I jak bardzo chce cię chronić.

Tak, to akurat prawda. Stąd ta jego poranna reakcja, gdy usłyszał takie *newsy*. Ewidentnie przerosły go emocje.

— Ale, jak widać, nic mu się nie pomyliło. A ty weszłaś w paszczę lwa, Majka.

Już otwieram buzię, bo chcę mu powiedzieć, żeby sobie darował i nie nakręcał tym samym ojca, który wydaje się pogodzony z sytuacją, ale nie dopuszcza mnie do głosu.

— Twój chłopak ma reputację największego podrywacza w stolicy. Wiesz, na co się piszesz, siostra?

Czuję, jak uścisk palców, które oplatają moją dłoń, pogłębia się. Muszę więc działać, zanim mój przyszły, choć zarazem niedoszły mąż i mój rodzony brat skoczą sobie do gardeł.

— Sam nie jesteś święty, więc się nie wypowiadaj.

— Porównujesz moje poczynania do wyskoków tego... faceta? — Paweł nie kryje oburzenia.

— Niczego ani nikogo nie porównuję. Ale...

— Wpisz sobie w internet jego nazwisko, a sama zobaczysz...

— Dość! — Ojciec postanawia wkroczyć do akcji. Nie jestem pewna, po czyjej właściwie jest stronie, ale mam nadzieję, że uda mu się zamknąć usta mojemu bratu, bo obawiam się, że Maks dłużej nie zniesie obleg, które kryją się w zarzutach kierowanych pod jego adresem. — Twoja siostra jest już na tyle dorosła, że ma prawo decydować sama o sobie. I ani tobie, ani mnie, ani nikomu innemu nie wolno podważać jej decyzji.

— Dziękuję, tato — mówię, zaskoczona i wzruszona jednocześnie.

— Przyjdzie czas, to podziękujesz. Teraz się częstujcie.

Po słowach ojca przy stole zapanowała dziwna atmosfera. Domyślałam się, co sugerował, mówiąc, że mu podziękuję, gdy przyjdzie na to odpowiedni moment. Tata chyba nie wierzył, że mój związek z Iwańskim przetrwa. Przekonaliśmy go, że istnieje, ale, jak widać, nie dawał mu szans.

Wiem, powinnam się cieszyć z takiego obrotu spraw, bo przecież jadąc tutaj, właśnie na tym zależało mi najbardziej, ale nagle jego osąd bardzo mnie zabolął.

— A może napijemy się wina? — odzywa się ponownie tata, po czym idzie w stronę barku, z którego wyjmuję karafkę z winem własnej produkcji. — Na rozluźnienie i dobry sen.

— Z przyjemnością — odpowiada Maks. — Twoja córka wspominała o rodzinnej winnicy. Tym bardziej jestem ciekaw tego trunku.

Tata nie odpowiada, ale nieznacznie się uśmiecha. Najwyraźniej takiej odpowiedzi się spodziewał.

— Ja przyniosę kieliszki — proponuję i wyjmuję z witryny szkło, które ustawiam na stole. Ojciec rozlewa wino, a następnie wznosi toast, czym po raz kolejny mnie zaskakuje.

— Za was. Za waszą miłość — dodaje, a potem wszyscy stukamy się kieliszkami.

Paweł wciąż ma naburmuszoną minę, ale zdaje się, że powoli przechodzi mu złość, zwłaszcza kiedy Maks zachwala wino.

— Miałaś rację, Maju — mruczy wymownie Iwański, kosztując pierwszy, a potem kolejny łyk. — Twój tata zna się na rzeczy, a wino smakuje wybornie.

Nie jestem pewna, czy poruszałam kiedyś ten temat z Iwańskim, ale nawet jeśli improwizuje, całkiem dobrze wpływa to na atmosferę, jaka wcześniej pomiędzy wszystkimi zapanowała.

— Wygląda... — Maks przerywa na chwilę i obraca kieliszek w dłoni, pozwalając czerwonej cieczy swobodnie rozlać się na ściankach cienkiego szkła — również bardzo dobrze. Zapach — znów zawiesza głos, pochyla nos nad krawędzią lampki i zaciąga się aromatem wina — boski. Co to za szczep?

„No i się zaczęło” — myślę lekko znużona, ale i zadowolona. Tata może godzinami gadać o winie, a wiadomo, że nic tak nie jednoczy ludzi jak wspólna pasja i rozmowa.

* * *

— Chodźmy spać — proponuję, kiedy temat winnicy zaczyna się powoli wyczerpywać.

Wstaję od stołu i spoglądam na Maksa, który, jak widzę, dobrze się bawi.

— Ty idź, kochanie — odpowiada tata. — Ja zajmę się gościem.

— Ale jak to? — pytam, choć od razu powinnam się domyślić, co się kryje za tymi słowami.

— Twój chłopak zajmie dziś pokój gościnny. Tak, ten sam, który sąsiaduje z moją sypialnią. Dlatego nie obawiaj się, niczego mu nie zabraknie. Dopilnuję tego. Osobiście.

Rozdział 29.

Maksymilian

NO BEZ JAJ!

Naprawdę nie mogę w to uwierzyć. Nie dość, że czuję się w tym domu mało komfortowo — nie, czas przyznać, że chwilowy spokój, którego doznałem, gdy rozmawialiśmy o winnicy, uleciał i znów czuję się tu jak intruz, który wlaźł z buciorami na prywatny teren — to jeszcze dostałem pokój obok sypialni pana domu.

Serio?

Wojtek, zanim posłał córkę na górę, powiedział jeszcze, że jej łóżko jest zdecydowanie za małe, żeby pomieścić dwie dorosłe osoby. Jednak nie musiał tego dodawać. Ja doskonale wiedziałem, że mimo świadomości, że jego córka już dawno mi się oddała, chciał zagrać mi na nosie i chronić jej *cnotę*, choćby na tę jedną noc. Stąd pokój, a właściwie gościnna sypialnia na końcu korytarza, do którego wiedzie drewniana, skrzypiąca podłoga. Poza tym odnoszę wrażenie, że ściany są tu tak cienkie, że nie amortyzują dźwięków. Aż nazbyt wyraźnie słyszę odgłosy życia toczącego się w sąsiednim pomieszczeniu.

„Ta noc będzie trudna” — przyznaję to wreszcie w myślach. „Nie, ta noc będzie koszmarem”.

* * *

Budzę się skoro świt. Właściwie za oknem panuje jeszcze ciemność, która zdaje się powoli przechodzić w ponurą szarość, ale wiem, że nastał nowy dzień, bo czuję się już wypoczęty.

Przyznaję, że wieczorem bardzo się myliłem, sądząc, że nie zmruję oka w obcym domu. Jak się okazało, pomimo wcześniejszych obaw, zasnąłem jak kamień. I naprawdę się wyspałem. Wciąż jednak nie jestem pewien, czy to zasługa tego rewelacyjnego wina, czy może samego miejsca. Wino było pyszne. I mocne. Ale za to w domu, w tym pokoju, przez całą noc panowała błoga cisza. Jestem pozytywnie zaskoczony.

Przeciągam się. Prostuję nogi i ręce, prężę resztę ciała. Czuję się naprawdę fantastycznie, choć nie wierzyłem, że zdołam się zrelaksować. Maja była na górze, daleko ode mnie, a ja tu, na dole, pod baczynym okiem i uchem jej ojca. Muszę przyznać, że odrobinę rozbawiła mnie ta sytuacja, ale przyjąłem ją z godnością i uszanowałem narzucone mi zasady. Nie przywykłem, by ktokolwiek mi rozkazywał, ale ten jeden raz postanowiłem nie być szefem.

Teraz jednak chcę znów być sobą. Pragnę zobaczyć *swoją dziewczynę*. Oczywiście mam świadomość, że nie mogę tak zwyczajnie do niej pójść na górę, ale mam nadzieję, że ona będzie równie stęskniona i wpadnie jej do głowy, żeby zejść na dół.

Ubieram się, a potem na palcach, żeby nie zbudzić śpiącego za ścianą Wojciecha, wychodzę na korytarz. Podłoga skrzypi okrutnie, o czym miałem okazję przekonać się już wczoraj, więc jestem bardzo ostrożny i stąпам niczym baletnica. Wreszcie udaje mi się dobrnąć w miejsce, gdzie po naszym przybyciu odwiesiliśmy kurtki. Chwytam więc skórę i przechodzę dalej, na ganek. Zakładam pozostawione tam buty i wychodzę na zewnątrz.

Na dworze panuje chłód. Wkładam więc kurtkę i stawiam kołnierz. Rozglądam się, omiatając wzrokiem stare, choć zachowane w całkiem dobrym stanie budynki gospodarcze. Zerkam również na dom. Też jest wiekowy, ale równie dobrze utrzymany, co mnie dziwnie cieszy. Dotąd cenilem sobie nowoczesność i płynące z niej luksusy i wygody. Dziś jednak,

przyznaję, zaczyna mi się podobać coś innego. To pewnie jeszcze nic nie znaczy i z pewnością nie zamieniłbym wielkomiejskiego, komfortowego życia na wiejską sielankę, ale myślę, że od czasu do czasu dobrze byłoby wpaść do takiego miejsca i się zwyczajnie zresetować, odpocząć od miejskiego zgiełku.

Ta myśl napawa mnie dziwnym spokojem, ale i wywołuje pewnego rodzaju obawę, która od dłuższego czasu nie daje mi spokoju. Nachodzi mnie bowiem refleksja: Dlaczego akurat tutaj o tym pomyślałem? Czy może to mieć ścisły związek z tą jedną, konkretną dziewczyną? Czy to właśnie udawany związek z Mają sprawił, że zacząłem inaczej postrzegać różne sprawy?

Ruszam do samochodu i ze schowka wydaję paczkę papierosów. Skończyłem z nałogiem ładnych parę lat temu. Teraz palę tylko okazjonalnie, dla towarzystwa lub w stresujących sytuacjach. Nie jestem jakoś przesadnie zdenerwowany, ale niepokoje mnie pewna myśl, która od jakiegoś czasu chodzi mi po głowie i którą boję się nawet poddać własnej, wnikliwej analizie. Dlatego nagle mam ochotę zapalić, zaciągnąć się dymem, poczuć w płucach znajome pieczenie, a w głowie lekki zawrót.

Tak też robię. Zamykam na chwilę oczy i delektuję się tą chwilą. Jest naprawdę przyjemnie, do czasu, aż ktoś wyjmie mi papierosa z ust. Tym kimś okazuje się Maja — odkrywam to zaraz potem, jak unoszę powieki.

— Oszalałeś?! — naskakuje na mnie, choć stara się być bardzo cicho.

— Co ty wyprawiasz? — pytam, zupełnie nie rozumiejąc jej przesadzonej reakcji.

— CO-JA-WYPRAWIAM? — sylabizuje, a papierosem ciska na ziemię i depcze go.

— Czy cię przypadkiem nie ponosi?

— Mnie? — Wskazuje na siebie palcem. — Nie widziałam, żebyś wcześniej miał z tym problem.

— Bo nie mam.

W zasadzie nie wiem, dlaczego się przed nią tłumaczę. Powinienem raczej jej nawrzucać, bo stanowczo na zbyt wiele sobie pozwala.

— To dlaczego to robisz?

— Bo lubię.

— Jesteś aż tak głupi? — warczy.

No i po dobrze rozpoczętym poranku. Spoglądam na nią ze złością. Obiecała mi, że będzie mnie szanować, a tymczasem znów zaczyna przekraczać granice.

— Ustaliliśmy, że...

— Już się ciebie nie boję — przerywa mi ze złością. — Ale o ciebie tak — dodaje, nim zdołam się odezwać.

Nie wiem, albo tylko z obawy o finał tej rozmowy udaję, że nie mam pojęcia, jak zinterpretować sens zasłyszanych właśnie słów, dlatego nadal milczę.

— Moja mama była nałogową palaczką — odzywa się nagle, patrząc na mnie ze współczuciem, którego od niej nie oczekuję. — Tata przez wiele lat prosił ją, żeby zerwała z nałogiem, ale ona twierdziła, że to silniejsze od niej. Wiesz, na co zmarła? — pyta ze łzami w oczach.

Nagle nie mam pojęcia, co robić. Nadal mam ochotę jej przypomnieć, że takie zachowanie jest niedopuszczalne, że obiecała mi nie zachowywać się w taki sposób, ale odczuwam też silną potrzebę, by ją przytulić.

Chyba oszalałem i raczej w przyszłości tego pożałuję, ale w tej jednej chwili wybieram opcję numer dwa.

Maja

— Chodźmy na spacer — słyszę, więc odsuwam się od niego, zadzieram głowę i spoglądam na jego twarz. — Pokażesz mi winnicę.

— Dobrze — szepczę wzruszonym głosem. — Skoczę tylko po kurtkę. Chłodno dziś.

Maks nie odpowiada, jedynie patrzy na mnie z troską, która wciąż zdaje się do niego nie pasować, ale w której coraz bardziej mu do twarzy.

Wracam na moment do domu i biorę kurtkę, którą zakładam po drodze.

— Już. Jestem gotowa — oznajmiam, stając obok wciąż wnikliwie przyglądającego mi się mężczyzny.

Zaskakuje mnie, kiedy zagarnia mnie ramieniem.

— Prowadź więc — mówi, a ja obieram kurs na pole winorośli.

Przez całą drogę wiodącą na pole obsadzone setkami sadzonek winogron milczymy. Widzę jednak, że Maks rozgląda się uważnie i taksuje wzrokiem zarówno plantację, jak i całą okolicę.

— Podoba cię się tutaj? — pytam.

Pograżony we własnych myślach mężczyzna wreszcie na mnie spogląda.

— To aż tak widać?

Kiwam głową i uśmiecham się lekko.

— Cóż, zdaje się, że zapomniałem, jak urokliwie bywa w takich miejscach. Mówiłem ci, że moja babcia miała chatkę na wsi?

Tym razem to ja dla odmiany kręcę głową.

— No to mówię ci teraz — oznajmia i szczerzy się jak łobuz, dzieciak, który wraca wspomnieniami do najlepszych wakacji spędzonych właśnie na wsi, u ukochanej babci. — Mieszkałem z nią i moją siostrą. Przez jakiś czas — dodaje z westchnieniem. — Kiedy umarła, umieszczono nas w rodzinie zastępczej, a potem, gdy Marietta stała się pełnoletnia, przejęła nade mną opiekę.

— Masz wspaniałą siostrę — chwale. — Szlachetna z niej osoba.

— To prawda. Marietta ma sporo wad, ale jedno trzeba jej przyznać: ma wielkie serce. I w pierwszej kolejności nigdy nie myśli o sobie, a o innych.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Czuję, że w jego słowach jest ukryte drugie dno.

— Mari... W wieku osiemnastu lat wyszła za Andrzeja, żeby dostać opiekę nade mną. Nikt by jej nie dał nastolatka, gdyby nie pozycja i pieniądze jej męża.

— Chcesz mi przez to powiedzieć, że ich małżeństwo było fikcją?

Jakoś nie mieści mi się to w głowie. Wtedy w gabinecie, kiedy Andrzej prosił, aby ją pozdrowić, nie sprawiał wrażenia takiego, któremu ekszona byłaby obojętna. Marietta zresztą też nie zachowywała się tak, jakby jej były nigdy nic dla niej nie znaczyły. Na własne oczy widziałam, jakie targają nią emocje, kiedy o nim wspomniałam.

— Początkowo tak. We troje żyliśmy pod jednym dachem, stanowiliśmy przykład idealnej, patchworkowej rodziny, ale to były tylko pozory. Z biegiem czasu wszystko się zmieniło, a między moimi opiekunami pojawiło się uczucie.

— Więc co się zdarzyło, że się rozstali?

— Nie wiem tego na pewno... — wzdycha. — Ale chyba ja.

— Co: ty? Nie rozumiem.

— Andrzej zapragnął dziecka. Traktował mnie jak syna. Zabierał na mecze, do kina, na koncerty. Ale chciał mieć własnego potomka.

— A Marietta nie? — właściwie to bardziej stwierdzam, niż pytam. Odpowiedź nasuwała

się sama.

— Nie. Twierdziła, że nie jest gotowa. A ja uważam, że przerosło ją bycie zarówno starszą siostrą w roli mężatki, jak i prawnym opiekunem.

— Tak myślisz?

Maks kiwa głową. I ma ponurą minę, jakby obwiniął o to siebie.

— Ale jak to? — dociekam. — Andrzej chciał dziecka natychmiast, już? Naciskał na nią?

— Tego akurat nie wiem. Byłem za młody, by mieszać się w ich sprawy. Coś mi wówczas umknęło, ale jestem niemal pewien, że w głównej mierze właśnie o to im poszło. Po latach dowiedziałem się, że moja siostra, zamiast pogadać szczerze z mężem czy nawet ponegocjować z nim, oszukała go. Nie znam szczegółów, ale coś się tam musiało wydarzyć.

— Przykro mi, Maks — mówię, zatrzymując się i zaplatając mu ręce na szyi.

— Było, minęło.

Wcale nie.

Powoli chyba zaczynam rozumieć, dlaczego mój oszukany narzeczony zarzeka się, że nie wejdzie w kolejny związek. Najpierw zostawiła go matka, potem jeszcze siostra oszukała męża. Zbyt wiele zobaczył, za dużo doświadczył. Stąd ten mur, który wokół siebie zbudował.

Czy istnieje więc szansa, żeby go zburzyć? Tego akurat nie wiem, ale mam nadzieję się dowiedzieć.

Rozdział 30.

Maksymilian

— A co tam jest? — zmieniam temat. Ostatnie, czego pragnę, to litość.

— Tam? — Maja zdaje się lekko zdezorientowana, ale spogląda w miejsce, gdzie i ja patrzę. Kiwam głową, więc odpowiada: — To składzik na narzędzia.

— Składzik, powiadasz? — Chrząkam wymownie.

— Nawet o tym nie myśl, Iwański.

Uwielbiam, kiedy karci mnie wzrokiem i zwraca się do mnie w ten sposób. Nikt nigdy mnie tak nie nazywał — co najwyżej mówiono do mnie „panie Iwański” — tylko ONA tak robi.

— Myślę — odpowiadam zadziornie i nie czekając dłużej, chwytam ją za rękę i ciągnę w stronę drewnianej budki.

— Ktoś może nas zobaczyć. — Maja zaczyna się rozglądać w popłochu.

— Wszyscy jeszcze śpią.

— Spali, jak wychodziłiśmy. Teraz nie wiemy tego na pewno.

— Szukasz wymówki? Nie chcesz mnie? — pytam, kiedy docieramy do składziku.

— Wiesz, że to nieprawda, ale...

Naciskam klamkę i wpycham Maję do środka, po czym niezwłocznie do niej dołączam, zamknawszy uprzednio drzwi.

— Pragnę cię do szaleństwa — mówię, a potem biorę ją w ramiona i zaczynam całować. Momentalnie się rozplywa, robi się całkowicie bezbronna. I za chwilę znów będzie tylko moja.

Wsuwam dłonie pod materiał jej spodni. Piszczyci cicho, bo mam zmarznięte palce. Chwytam oba jej pośladki i lekko ściskam, jednocześnie przyciągając jej biodra do swoich. Napieram na nią, mocno. Chcę, żeby poczuła, jak bardzo jej pragnę.

— Maks... — jęczy mi prosto w usta. — Nie powinniśmy...

Nie zamierzam jej słuchać. Po prostu muszę ją mieć, tu i teraz.

— Maju... — stękam, marząc, by osiąść ją jak najprędzej.

I pewnie zaraz by do tego doszło, gdyby nie nawoływanie dochodzące gdzieś z zewnątrz:

— Maju? Córusi?

To Wojciech. Rozpoznaję już ten głos.

Dziewczyna odskakuje ode mnie jak oparzona. Poprawia ubranie, przygląda włosy. Niepotrzebnie. Winę ma wypisaną na twarzy.

— Tu... — odzywa się niepewnie zmienionym, lekko ochrypłym głosem — jesteście, tato.

Po chwili drzwi składziku otwierają się, a w progu staje Wojtek. Przygląda się nam, obojgu. Jestem pewien, że ma świadomość, w czym nam przeszkodził, choć, jak się szybko okazuje, nie zamierza z nami o tym rozmawiać.

— Co tu robicie? Pokazujesz Maksymilianowi narzędzia?

— Tak! — odpowiada mu córka z przesadnym entuzjazmem. — Uwierzysz, że Maks nie wiedział, do czego to służy? — dodaje szybko, biorąc do rąk jeden z sekatorów. Wygląda na ostry.

Próbuję powstrzymać uśmiech, ale wiem, że będzie to trudne, bo czuję, jak drgają mi kąciki ust.

— Naprawdę? — To pytanie stary Sokołowski kieruje do mnie.

Oczywiście ma świadomość, że jego córka gada głupoty, bo i on ma wyraźny kłopot z

zachowaniem powagi. Pociera szczękę, przy okazji nieznacznie zasłaniając usta.

W odpowiedzi wzruszam jedynie ramionami.

— To sekator — wyjaśnia wówczas, chyba bawiąc się najlepiej z całej naszej trójki. — Bardzo ostry. Można nim ścinać kiście winogron. Świetnie sobie poradzi także z gałązkami, nie tylko tymi drobnymi. Trzeba bardzo uważać, kiedy się go używa — dodaje jeszcze, biorąc z rąk córki narzędzie. — Chwila nieuwagi — dorzuca, szczękając ostrzem i rzucając mi ostrzegawcze spojrzenie — a można stracić... — zawiesza głos i przenosi wzrok na moje spodnie w okolicy rozporka — palec.

— Dlatego zawsze jestem ostrożny — odpowiadam i obejmuję Maję ramieniem. — Prawda, kochanie?

Dziewczyna jest tak zaabsorbowana toczącą się pomiędzy mną a jej ojcem rozmową, że nie może wydusić z siebie ani słowa. I na znak, że się ze mną zgadza, jedynie kiwa głową.

* * *

— Naprawdę nie trzeba, ale dziękuję — mówię, gdy ojciec Mai przed wyjazdem wręcza mi butelkę wina, którego miałem okazję skosztować podczas kolacji.

— Nie dziękuj. Mam nadzieję, że kiedy spotkamy się następnym razem, ty zaserwujesz mi jeden z twoich specjałów.

— Oczywiście — odpowiadam, choć nie jestem pewien, czy do owego spotkania w ogóle dojdzie. Nie mam pojęcia, jak potoczy się moja relacja z jego córką. Nasz związek wciąż jest bowiem... rozwojowy. Jego charakter będzie zależeć od tego, czego tak naprawdę będzie oczekiwać Maja. Wszystko w jej rękach.

— Wino winem, tatau — przyłącza się do rozmowy. Zagląda do koszyka, który przed chwilą wręczył mi jej ojciec. — Ale całej reszty nie musiałeś dokładać. Przecież to zapasy na całą zimę. I niekoniecznie dla dwóch osób.

— Podzielicie się. Maks mówił, że ma siostrę.

— Tak?

Maja spogląda na mnie zaskoczona. Wiem, że jej konsternacja nie wynika z tego, że nie wiedziała o istnieniu mojej siostry, a jedynie z faktu, że nie miała pojęcia, że powiedziałem o tym jej ojcu. Cóż, napomknąłem o Mari, kiedy Maja udała się na górę, a jej brat chwilę potem pobiegł za nią. Gołym okiem widać było, jak bardzo są ze sobą zżyci. To właśnie wtedy coś mnie wzięło i pochwaliłem się siostrą. W zasadzie nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Może nie chciałem być gorszy?

— Marietta pewnie się ucieszy — odpowiadam. — Przepada za miodem — dodaję, kiedy Maja bierze do rąk jeden ze słoiczków. — Zwłaszcza z wiejskiej pasieki, a nie przemysłowej.

— Oczywiście — rzuca wówczas i słoik z miodem na powrót umieszcza w koszyku. — Dziękujemy, tato.

Wojtek uśmiecha się ciepło. Wcześniej zbyt pochopnie go oceniłem. To dobry i szlachetny człowiek. I bardzo kocha swoją córkę.

— Chodź, niech cię wyściskam przed wyjazdem. — Rozpościera ramiona, w których szybko ląduje jego ukochana córeczka.

Wzrusza mnie ten widok. Za to moja własna reakcja odrobinę niepokoi...

Maja

Maks, odkąd wyjechaliśmy, zachowuje się inaczej. Dziwnie. Jest zamyślony, jakby nieobecny. Oczywiście zapytany, czy wszystko w porządku, potwierdza. Ale wiem, że coś jest

nie tak. Zdradza go mina. Wygląda, jakby coś go trapiło. Zamierzam z nim o tym pogadać, ale uznaję, że zrobię to dopiero, gdy dotrzemy na miejsce. Nie chcę go rozpraszać, bo przed nami długa i męcząca droga.

* * *

Oczywiście znów odpłynęłam. Nie mogło być inaczej. Byłam tak znużona ciszą i płynącą z głośników delikatną muzyką, że zmorzył mnie sen.

— Cholera. — Poprawiam się na siedzeniu. — Jesteśmy już w Warszawie? Dlaczego mnie nie obudziłeś?

— Niby po co? — Maks wzrusza ramionami. — Gdybyś miała potrzebę skorzystać z toalety, sama byś o to poprosiła.

W sumie ma rację. Ale przecież nie o to mi chodziło.

— Poza tym spałaś tak słodko, że nie miałem serca cię budzić — dorzucza nagle.

Zauważam, że zmienił mu się nastrój. Już nie jest taki jak wtedy, kiedy wyjeżdżaliśmy z Kalska. Na powrót wydaje się być sobą.

— Podrzucę cię na Złotą, a ja na moment podjadę do biura.

— Nie możesz z tym poczekać do jutra? — pytam z troską. Wygląda na przemęczonego.

— Jutro jest sobota — odpowiada z krzywym uśmiechem.

— Ach tak, zapomniałam. — Marszczę nos i ledwie się powstrzymuję przed stwierdzeniem na głos, że zakochani czasu nie liczą. W ostatniej chwili gryzę się w język.

— Wysadź mnie przy Rondzie — mówię jedynie, kiedy zauważam, że powoli się do niego zbliżamy. Maks na mnie spogląda. Nie wydaje się przekonany. — Przejdę się, rozprostuję nogi. Stąd na Złotą czterdzieści cztery jest naprawdę niedaleko, a spacer dobrze mi zrobi.

— Na pewno? — Patrzy na mnie uważnie, choć jednocześnie skupia się na prowadzeniu samochodu.

— Na pewno. Nie martw się o mnie — dodaję, kiedy zjeżdża na prawy pas, włącza awaryjne i wypuszcza mnie na chodnik. — Widzimy się w domu — mówię na odchodne, zamykam drzwi i ruszam przed siebie.

Po drodze wstępuję do sklepu po świeże pieczywo. Zgłodniałam, a na obiadokolację chcę podać tosty. Zrobię je na wytrawnie i na słodko, do wyboru. W koszyku, który uszykował nam tata, widziałam zielone pesto ze słonecznika i jarmużu. Zamierzam posmarować nim ciepłe grzanki, dodać pomidory pokrojone w plastry oraz mozzarellę. Te w słodkiej wersji wystarczy posmarować miodem. Ciekawa jestem, które bardziej zasmakują Maksowi.

* * *

— Zapomniałeś kluczy? — śmieję się, kiedy podchodzę do drzwi, żeby je otworzyć.

— Niestety odebrano mi je, jak wiesz — pada odpowiedź, a w progu staje Marietta z przyklejonym do ust uśmiechem. — Czyli mam rozumieć, że mojego brata sztywniaka wciąż nie ma w domu?

— Wciąż?

— Próbuję was złapać od rana. Właściwie już wczoraj chciałam się z wami spotkać, żeby wam powiedzieć, że wyjeżdżam.

— Ale jak to wyjeżdżasz? — podłapuję natychmiast. Doskonale pamiętam, że jutro na kolacji ma się zjawić Andrzej. Nietrudno się było domyślić, co kombinował Maks. Chciał doprowadzić do spotkania tych dwojga.

— No normalnie. Zasiedziałam się już zbyt długo, więc pora na mnie.

— Serio? — wdycham niepoczyszona.

Nawet nie muszę udawać zawiedzionej, bo naprawdę jestem. Po tym, co usłyszałam od Maksa, i mnie zaczęło bardzo zależeć, żeby tych dwoje dało sobie kolejną szansę. W końcu z tego, co zdążyłam zaobserwować, wywnioskowałam, że i Andrzej, i Marietta nadal są sami.

— A nie możesz zostać do niedzieli?

— Nie. Już nawet kupiłam bilet, więc... — Rozkłada bezradnie ramiona. — Chciałam to z wami przedyskutować, ale byliście niedostępni.

— Pojechaliśmy do mojego domu, do Kalska — wyjaśniam naprędce.

— Do Kalska? A gdzie to jest? — Marietta robi zdziwioną minę.

— W lubuskim, niedaleko Zielonej Góry.

— To tam, gdzie nie mają tramwajów?

Nie ona jedna tak reaguje. Większości moich znajomych, których poznałam na studiach, a którzy nie pochodzą z tych okolic co ja, Zielona Góra kojarzy się właśnie z tym niezaprzeczalnym faktem — brakiem tramwajów. Jakby to był jakiś koniec świata.

— Dokładnie — potwierdzam, bo nie zamierzam właśnie w tej chwili ciągnąć tego tematu.

— Mój brat pojechał poznać twoją rodzinę? — pyta jakby samą siebie. — Niebywałe. — Kiwa z uznaniem głową.

Mam ochotę wypytać ją, dlaczego tak uważa, ale w tym momencie mam ważniejszą rzecz do zrobienia. Muszę przegadać z nią pewną niecierpiącą zwłoki sprawę.

— To kiedy zamierzasz wyjechać?

— Jutro. Z samego rana.

Nie jestem pewna, czy postępuję słusznie, ale postanawiam zadziałać po swojemu i postawić wszystko na jedną kartę.

— Dobrze się składa! — Klaszczę w dłonie, podsycając entuzjazm. — Bo dziś mieliśmy zamiar zaprosić cię na kolację. Wpadniesz?

Rozdział 31.

Maksymilian

Kiedy Maja dzwoni do mnie i informuje, że jutrzejsze spotkanie jest przełożone na dziś, początkowo mam ochotę jej przerwać i oznajmić, że nic z tego nie będzie. Żeby przygotować wystawną kolację — tylko taka wchodzi w rachubę, bo chcę w ten sposób jeszcze raz podziękować Andrzejowi za pomoc — trzeba mieć pełną lodówkę. A z tego, co wiem, nasza świeci pustkami. Ale zanim zdołam jej wejść w słowo, oznajmia mi, że poprosiła o pomoc Mariettę i dadzą sobie ze wszystkim radę. Nie wątpię. A i sam pomysł ściągnięcia Mari też mi się spodobał.

Chociaż nie będzie mi potem suszyła głowy, że ją zwabiłem podstępem.

— Zadzwoń tylko do Andrzeja — dodaje jeszcze Maja. — Przekonaj go, żeby wpadł dziś, a nie jutro.

— A co, jeśli odmówi?

— A czy tobie ktokolwiek odmawia, Iwański?

— Rzadko.

— Sam widzisz. Postaraj się zatem, a my z Mari zajmiemy się resztą.

— Mari? — podłapuję szybko.

— Spodobało mi się to zdrobnienie, a twoja siostra nie ma nic przeciwko, żebym się do niej tak zwracała — pada rzeczowa odpowiedź.

— Jasne — mówię, unosząc jedną brew.

Oczami wyobraźni już widzę je obie w kuchni przepasane fartuszkami, z rękami upapranymi w mące...

„Fantazja cię ponosi, Iwański” — ganię się w myślach, a potem żegnam się z Mają i się rozłączam. Muszę przecież jeszcze porozmawiać z Andrzejem.

* * *

Śmiejąc się z żartu, który Andrzej rzuca na chwilę przed opuszczeniem windy, wchodzimy do mojego mieszkania. W powietrzu unosi się zapach pieczonego mięsa, a także mieszanina innych aromatów. Ale to cynamon dominuje, więc podejrzewam, że Mari upiekła moją ulubioną szarlotkę. Liczę, że nie zapomniała o lodach, które z tym ciastem tworzą nieodzowny duet.

— Ależ zapachy — chwali Andrzej, zdejmując płaszcz i odwieszając go w holu. — Zdolna ta twoja dziewczyna.

— Nie tylko ona — mówię, ale on początkowo albo nie zrozumiał aluzji, albo rzeczywiście jeszcze nie zauważył swojej byłej żony. Mari z pewnością go dostrzegła. Od razu, gdy tylko przekroczył próg mojego mieszkania.

Z miną niewiniątka spoglądam na siostrę. Jeszcze przed momentem o czymś rozmawiała z Mają, ale kiedy usłyszała głos należący do Andrzeja, nagle stanęła jak wryta pośrodku salonu i tylko wymownie milczy.

— Prawda, siostrzyczko? — zagaduję ją przesłodko, licząc, że nie doskoczy do mnie i nie przegryzie mi tętnicy. W tej chwili wygląda tak, jakby była do tego zdolna. — Ta szarlotka, której zapach czuć już w holu, to twoja zasługa. Mam rację?

— Marietta? — Andrzej patrzy, jakby zobaczył ducha.

— Przepraszam — mówię i wymownie pukam się w czoło. — Na śmierć zapomniałem ci

powiedzieć, że Mari też wpadnie.

— Jasne — mruży mój szwagier, ale na szczęście się nie wycofuje, czego nie mogę powiedzieć o siostrze, która jest zdolna nawet do tego, by teraz wyminąć nas w progu i zatrzasnąć nam drzwi przed nosem.

— Co on tu robi? — słyszę wyraźnie, jak SZEPCZE na ucho stojącej nieopodal dziewczynie.

Maja ma zakłopotaną minę. Wyraźnie nie chce okłamywać Marietty ani też urazić Andrzeja. Jak widać, ma więcej taktu od mojej siostrzyczki, która mogłaby się od niej uczyć savoir-vivre'u.

— Andrzej wpadł na kolację, bo...

— Dobra, dosyć ściemniania — przerywa mi Mari. — Skoro już jest, to wystarczy i dla niego.

Miła jak zawsze.

— Zanim jednak zasiądziecie przy stole — odzywa się naraz surowszym tonem — idźcie do łazienki i umyjcie ręce. Obaj — rozkazuje. — Andrew — kiedy byli parą, często się tak do niego zwracała — w tej swojej klinice może mieć styczność z zarazkami. A ty? — mówiąc to, celuje we mnie palcem. — Któż może wiedzieć, co przed chwilą było w twoich rękach, braciszku — dodaje z sarkazmem, w dodatku insynuując Bóg wie co.

Widzę, że Maja aż rozdziawia usta z zażenowania, ale na szczęście tego nie komentuje. I dobrze, bo nie mam ochoty jeszcze się przed nią tłumaczyć. Już wystarczy, że siostra przypomniała mi, jak to wyglądało, kiedy byłem jej podopiecznym. Poza tym na dziś mam dość takich wrażeń.

Przewracam oczami i pokazuję Andrzejowi, żeby siedł za mną. Oczywiście nie protestuje i razem podążamy korytarzem.

— Uknułeś to sam czy pomogła ci w tym twoja dziewczyna? — słyszę, kiedy tylko znikamy za drzwiami łazienki.

— Skąd wiesz? — Uśmiecham się pod nosem.

— Bo znam cię nie od wczoraj. I dotąd jakoś niespecjalnie wtrącałeś się w nasze, to znaczy moje i twojej siostry — poprawia się — sprawy.

Miło, że nadal myśli o sobie i Mari jak o parze. To może oznaczać, że jeszcze nie wszystko stracone.

— Wiesz, bo...

— Bo się zakochałeś, prawda? — wchodzi mi w słowo. — Stąd to nagłe zainteresowanie moim byłym już związkiem z twoją siostrą?

— To nie tak — bronię się.

— Nie kłam, Maks. Nie warto.

— Zamierzasz teraz wyjść? — pytam, widząc, że kończy myć ręce i sięga po ręcznik.

— Tak. W tej chwili wyjdę z łazienki, pójdę do salonu i zjem kolację w towarzystwie, którego nie do końca się spodziewałem.

— Dziękci, Andrzej. — Oddycham z ulgą.

— Nie mnie należą się podziękowania, a twojej dziewczynie. Myślisz, że chciałbym jej zrobić przykrość i wyjść właśnie w takim momencie? Widziałeś ten zastawiony stół? Przecież tak się napracowała.

— Nie ona jedna — podkreślam, mając nadzieję, że spojrzy łaskawszym okiem również na moją pyską, ale kochaną siostrę.

— Wiem. I doceniam to — słyszę w odpowiedzi.

Maja

Początkowo sądziłam, że ten wieczór skończy się katastrofą, ale chyba się myliłam. Oczywiście, tak jak podejrzewałam, byli małżonkowie nie od razu potrafili się rozluźnić, ale nie od dziś wiadomo, że wspólne posiłki zbliżają ludzi, więc poprawa ich nastrojów nastąpiła już przy stole.

— Pyszny ten miód — zachwala Andrzej, chrupiąc jedną z przyrządzonych przeze mnie grzanek.

Gdy układałyśmy z Mariettą menu, chciałam z nich zrezygnować. Wydały mi się niedostatecznie wykwintne jak na tak ważną okazję. Ale ona się uparła. Zapewniała mnie, że to znakomita przystawka. I jak widać, miała rację.

— Prawda? — potakuje Mari, na co jej były mąż uśmiecha się do niej z uznaniem.

Zaczynam rozumieć, dlaczego Maksymilian w zasadzie nigdy się nie pogodził z rozstaniem tych dwojga. Już na pierwszy rzut oka wydają się do siebie pasować niczym dwie połówki jabłka.

— Jest znakomity — odpowiada jej mężczyzna. — Jeszcze takiego nie jadłem.

— To miód lawendowy — ośmielam się wtrącić.

— Lawendowy? — dziwi się. — Nie słyszałem o takim.

— Nic dziwnego. Do niedawna w Polsce praktycznie nikt o nim nie słyszał. Ta odmiana wywodzi się bowiem ze słonecznej Hiszpanii. Potem swoją popularność zdobyła także w Portugalii, Francji, a nawet Chorwacji. W naszym kraju mało kto uprawia masowo lawendę, z której nektaru powstaje ten unikatowy miód. Ja na szczęście mam sąsiadów, którzy się tym zajmują.

— Twoi sąsiedzi uprawiają lawendę?

Andrzej wydaje się szczerze zainteresowany tym tematem, co bardzo mnie cieszy. Wreszcie dotarło do mnie, że moje obawy były mocno przesadzone. Sądziłam, że w ogóle nie znajdę wspólnego języka z człowiekiem jego pokroju. W końcu pochodzimy z dwóch różnych światów. A tu taka miła niespodzianka.

— Tak — odpowiadam z entuzjazmem. — Sporo z nią zachodu, dlatego w Polsce jest wciąż mało popularna, choć ma wiele zastosowań.

— Co masz na myśli, mówiąc o jej zastosowaniach?

— Lawenda nie służy jedynie pszczołom do produkcji miodu. Robi się z niej olejek eteryczny, suszy się ją. Ma szerokie zastosowanie w kosmetologii, a nawet w kuchni — wyjaśniam, uśmiechając się do Maksa, który kiwa z uznaniem głową. Nie do końca jestem pewna, o co mu chodzi, ale wydaje mi się, że zaimponowałam mu wiedzą.

— Dalej nie rozumiem, dlaczego w Polsce jest tak mało lawendowych plantacji — odzywa się ponownie Andrzej. — W końcu powstają z niej same przyjemne rzeczy — dorzuca, po czym zatapia zęby w kolejnej minigrzance i oblizuje się ze smakiem.

Raduje mnie ten widok. Zresztą nie tylko mnie. Mari patrzy teraz na swojego eks, jakby miała ochotę osobiście zlizać resztki miodu z jego ust. Hm...

— Problem polega na tym, że ścina się ją głównie ręcznie, a do tej pracy potrzeba ludzi, których niestety zwłaszcza w tych mniejszych gospodarstwach zaczyna brakować.

— Jak to? Ludzie nie chcą pracować?

— Chcą, ale na określonych zasadach. Mało kto w dzisiejszych czasach wykonuje stricte ręczną robotę. Od tego są maszyny, a człowiek ma za zadanie tylko umieć je obsługiwać.

— A nie ma maszyn do zbioru lawendy? — docieka Andrzej.

— Oczywiście, że są. Ale nawet najlepsza maszyna nie jest w stanie zrobić wszystkiego. Co prawda można nią masowo wyciąć lawendowe pole, ale na tym kończy się jej przydatność. Resztę, tak czy siak, muszą zrobić ludzie. Łodyżki z kwiatami trzeba posegregować. Z jednych robi się olejek, z którym nie ma aż tyle zachodu, a inne trzeba związać w pęczki i umieścić w suszarni. To monotonna i żmudna praca. W dodatku sezonowa. A jak wiadomo, czasy, kiedy w sezonie, czyli latem, młodzież chętnie zatrudniała się u rolników, żeby dorobić podczas wakacji, skończyły się dawno temu.

— To prawda — odpowiada Andrzej. — Pamiętasz, Mari, jak postanowiliśmy wysłać Maksa na szparagi do Niemiec? Ależ się buntował. A jak nas wtedy nienawdził!

— Nieprawda — wtrąca się Maks. — Byłem na was zły, bo nawet nie spytaliście mnie o zdanie. Ale szybko zrozumiałem, że wyszło mi to na dobre. To właśnie tam, na środku szparagowego pola, w palącym słońcu, dotarło do mnie, że chcę osiągnąć w swoim życiu coś więcej, że za wszelką cenę pragnę odnieść sukces i nie być zależny od nikogo.

— I dokonałeś tego — chwali go siostra.

W mojej głowie jednak jak echo odbijają się słowa: „nie być zależnym od nikogo”.

Rozdział 32.

Maksymilian

— Stało się coś? — pytam, korzystając z tego, że Andrzej właśnie zabawia rozmową moją siostrę.

— Nie.

Maja nie mówi mi prawdy. Widzę to. I znam ją już trochę. Coś wytrąciło ją z równowagi. Jeszcze nie wiem co, ale zamierzam się tego dowiedzieć. Wkrótce. A może nawet szybciej, niż przypuszczałem, gdyż Marietta właśnie oznajmia, że jest zmęczona i powinna odpocząć przed jutrzejszą podróżą.

— Odprowadzę cię — proponuje Kwiatek, czym wzbudza moją ciekawość. Nie jestem pewien, czy mój szwagier ma świadomość, że jego była żona tymczasowo mieszka za ścianą.

— Jesteś pewien? — pyta niewinnie Mari, co lekko mnie bawi.

Ach, te kobiety i ich gierki...

— Tak — odpowiada z przekonaniem. — Poza tym na mnie też już czas. Ja również powinienem odpocząć. Przez ostatni tydzień pracowałem przez dwanaście godzin dziennie.

— Powinieneś zwolnić tempo — upomina go Marietta, a ja uśmiecham się pod nosem.

Znam ten ton i wiem, że to jeszcze nie koniec jej wywodu na temat dbania o własne zdrowie. Liczę tylko, że dokończy, kiedy wyjdą, a najlepiej za drzwiami mieszkania, w którym obecnie pomieszkuje. Naprawdę mam nadzieję, że ten wieczór dla tych dwojga jeszcze się nie skończył. Zresztą nie tylko dla nich. Sam także mam jeszcze plany, które zamierzam zrealizować. Wkrótce.

— Dzięki, Maks. — Tym razem Andrzej zwraca się już tylko do mnie. — Za zaproszenie i za wszystko — dodaje, a potem ściska moją dłoń. — Tobie także dziękuję, Maju. — Uśmiecha się do niej ciepło, po ojcowsku. — Jesteś wspaniałą osobą, a Maks ma wielkie szczęście, że zjawiłaś się w jego życiu. I mam nadzieję, że nie zapomnicie o mnie, jak będziecie sporządzać listę gości — dorzuca tajemniczo.

— Jakich gości? — dociekam, szczerze zaintrygowany.

— No jak to jakich? Weselnych!

Maja odpowiada nieśmiałym, ale pełnym wdzięku uśmiechem. A ja? Cóż, mnie nie pozostaje nic innego, jak tylko to potwierdzić.

— Nie schrzań tego, Maksymilianie — dodaje jeszcze zniżonym do szeptu głosem, kiedy odprowadzam jego i moją siostrę do drzwi. Pamiętam, że w przeszłości zwracał się do mnie tak oficjalnie tylko wtedy, kiedy na coś mu zależało, a wiedział, że będę stawiał opór. — Takiej dziewczyny nie znajdziesz już nigdzie, więc nie wypuszczaj jej z rąk. Dobrze ci radzę.

Nie odpowiadam. Nie chcę być niemiły, mówiąc mu, że moje życie to moja prywatna sprawa. Poza tym gdybym się uniósł, Andrzej mógłby zacząć się domyślać, że mój związek z Mają w zasadzie nic nie znaczy. A przecież nie po to starałem się zachowywać pozory tak długo, żeby teraz to spektakularnie spieprzyć.

— Widzimy się jutro — woła Marietta do Mai, która została w salonie. — Wpadnę się pożegnać przed wyjazdem.

— Oczywiście — odpowiada. — Spokojnej nocy.

— I stosunkowo udanej — dorzucam, nie mogąc się powstrzymać.

— Oj, braciszku, braciszku. Ty chyba nigdy się nie zmienisz.

— I za to właśnie mnie kochasz.

Dostaję od niej kuksańca, a potem Mari wraz Andrzejem opuszczają moje mieszkanie.

Zamykam drzwi i odwracam się powoli w stronę siedzącej przy stole dziewczyny. W dłoni trzyma kieliszek z winem, którym kręci prawie niewidoczne kółka. Jest zamyślona i zdaje się mnie nie zauważać. Podchodzę do niej i dopiero, gdy zatrzymuję się u jej boku, zadziera głowę i spogląda mi w oczy.

— Co się dzieje? — pytam łagodnie.

Nie odpowiada. Przynajmniej już nie kłamie i nie zapewnia, że nie dzieje się nic.

— Maju? — Przykucam obok niej, bo zaraz znowu spuszcza głowę.

— Oszukaliśmy ich wszystkich, Maks — wydusza z siebie nagle. — Twoją siostrę, szwagra, Johanssonów, a nawet mojego ojca.

— Od początku taki był nasz plan, już zapomniałaś?

— Nie, nie zapomniałam — odpowiada z westchnieniem. — Ale dziś poczułam się wyjątkowo podle. Zrozumiałam, że manipulujemy innymi. W imię czego, się pytam?

Nie odpowiadam od razu, bo zaskoczyła mnie tym krótkim, pełnym pretensji wywodem. A przecież do niczego jej nie zmuszałem. Właściwie trochę tak, ale przecież oboje dobrze wiemy, że gdyby naprawdę tego nie chciała, nie doszłoby między nami do żadnej umowy. Nie doszłoby do niczego. Dlaczego więc teraz czyni mi o to wyrzuty?

— Miałaś mi pomóc w przeciągnięciu Johanssonów na moją stronę — przypominam jej.

— Więc dlaczego nie poprzestaliśmy wyłącznie na nich? — unosi się. — Po co ta... cała reszta? Czy był jakiś sens, żeby urządzać aż taką szopkę przed własnymi rodzinami?

— To ty powiedziałaś Marietcie, że jesteś moją dziewczyną. Nie zapominaj o tym — rzucam z pretensją. — To jedno kłamstwo pociągnęło lawinę kolejnych.

— Czyli to wszystko moja wina, tak? — podnosi głos, po czym odstawia kieliszek z winem na stół i wstaje z krzesła.

Podnoszę się i ja, choć na razie tkwię w miejscu. Patrę jedynie, jak Maja podchodzi do okna i spogląda na panoramę miasta. Warszawa nocą wygląda naprawdę pięknie. Widzę, że jej także się podoba, że ją zachwyca. Mam więc nadzieję, że dzięki tym widokom nieco ochłonie, bo naprawdę nie chcę się z nią dłużej kłócić. Wolę ten czas spożytkować na coś innego.

— To nasza wina — poprawiam ją po chwili, gdy wreszcie podchodzę do niej i staję za jej plecami. — Wspólna.

Odwraca się do mnie powoli i patrzy mi w oczy.

— Chyba czas to odkręcić, Maks.

— Co chcesz odkręcić?

— Powinniśmy powiedzieć bliskim prawdę. Tylko im. Zasłużyli na nią.

— Ale po co? Nie lepiej to zostawić tak, jak jest? Już sobie wyobrażam minę twojego ojca, kiedy dowie się, co zrobiliśmy. Przecież on mi wyrwie jaja, a ciebie...

— Obawiasz się, że zamknie mnie w klasztorze? — sarka. — Może powinien.

— Nikomu niczego nie będziemy tłumaczyć, słyszysz? — Chwytam ją za ramiona i lekko potrząsam. — Nasze relacje to wyłącznie nasza sprawa. I to my decydujemy, jak wyglądają i jak długo będą trwały. Zrozumiałaś?

Maja

Zrozumiałam, aż za bardzo. Maks nigdy nie potraktuje mnie poważnie i nigdy nie będę dla niego kimś istotnym. Dla niego jestem jedynie atrakcją, kochanką, jedną z wielu, które z pewnością miał przede mną. I nic tego nie zmieni. A do mnie nagle dociera, że nie jestem w stanie się tym zadowolić.

Uczepiam się jego ramion, wspinam się na palce i zamykam mu usta pocałunkiem. Tylko tak mogę powstrzymać tę rozmowę, która od początku nie miała większego sensu. To jedyny sposób, by zapobiec katastrofie, na którą chyba nie jestem jeszcze gotowa.

— Kochaj mnie, Maks — szepczę w jego usta.

Wiem, że moja prośba brzmi dwuznacznie, ale już nic nie mogę na to poradzić. Stało się, powiedziałam na głos to, co od jakiegoś czasu zaprzęta mi głowę. Chyba naprawdę się zakochałam.

Oczywiście, tak jak przypuszczałam, Maks odbiera to po swojemu. Chwyta moje pośladki, odrywa mnie od podłogi i sadza na sobie okrakiem. Całuje mnie żarliwie. Wpija się w moje wargi zachłannie, penetruje językiem wnętrze moich ust. Trochę brutalnie rzuca mnie na jedną z kanap, a sam zaczyna zdejmować z siebie ubranie. Patrzy mi w oczy, kiedy pozbywa się każdej z warstw, aż wreszcie staje przede mną zupełnie nagi. Jest piękny. Jego ciało jest wspaniałe, boskie, niczym wykute z marmuru lub innego drogiego kruszcu. Wygląda jak jakiś mityczny bóg.

Zawisa nade mną, a nasze wargi znów się łączą w krótkim, ale namiętym, pełnym niecierpliwości pocałunku. Następnie Maks znów się ode mnie odsuwa, by ze skupieniem, patrząc mi przy tym w oczy, zdjąć i ze mnie ubrania. Kiedy tak na mnie spogląda, moje ciało zaczyna wrzeć. Gdyby nie fakt, że od początku wiedziałam, iż Iwański nie będzie w stanie obdarzyć mnie uczuciem, pewnie właśnie w tym jednym momencie mogłabym uwierzyć, że jest inaczej.

Gdy i moje ciuchy lądują na podłodze, Maks znów zaczyna mnie całować. Jest blisko, ale wciąż kontroluje sytuację. Zwisa nade mną, ociera się o mnie swoim wielkim penisem, ale nadal zachowuje dystans.

— Proszę — wyduszam głosem niepodobnym do mojego. — Weź mnie. Teraz — dodaję, obłapiając jego nagie, spięte pośladki.

Wtedy Maks jedną dłonią chwyta za oba moje nadgarstki i umieszcza mi je nad głową. Krępuje mnie, zaskakuje. Przecież dotąd tego nie robił.

Jest podniecony, tak jak ja. Ale z jego oczu oprócz żaru bije również powaga, której nie rozumiem.

— Co ty ze mną robisz? — mówi jakby do siebie, całując moją szyję i skubiąc zębami płatek mojego ucha. — Oszaleję przez ciebie — dodaje, gryząc odrobinę za mocno, czego zdaje się nawet nie zauważać. — Przez ciebie staję się kimś innym. — Zasyssa niemal do bólu skórę na mojej szyi. — Nie lubię takiej wersji siebie — kwituje.

Nie wytrzymuję dłużej. I wcale nie chodzi o ból, który mi zadaje. Jego słowa ranią mnie bardziej.

Udaje mi się wyszarpnąć jedną rękę i go odpycham, ale jest jak w amoku, więc ani drgnie.

— Puszczaj — rozkazuję drżącym głosem, a kiedy nie reaguje, uwalniam i drugą rękę, po czym wykrzykuję: — Złaż ze mnie, do cholery!

Chyba wreszcie coś do niego dociera, bo gdy udaje mi się spod niego wyśliznąć i wstać, patrzy na mnie, choć nadal w sposób, jakby niczego nie rozumiał.

— Maju?

On także podnosi się z kanapy. Próbuje mnie dotknąć, ale odsuwam się od niego. Muszę wyjść, choćby do innego pokoju. Potrzebuję dystansu, samotności. Dłużej tego nie znoję.

— Chcę być sama — mówię łamiącym się z narastającego żalu głosem. A potem znikam w sypialni.

Chwytam leżącą na łóżku narzutę i okrywam nią swoje nagie, rozdygotane ciało. Siadam

na skraju łóżka, zasłaniam twarz dłońmi i zanoszę się płaczem.

* * *

Nie wiem, jak długo stał w progu i na mnie patrzył. Zauważam go dopiero w chwili, kiedy siada obok mnie. Zachowuje odległość, ale uważnie mi się przygląda.

Wierzchem dłoni wycieram mokre od łez policzki. Pociągam nosem, spuszcza głowę. Nie powinien mnie teraz widzieć, nie w takim stanie.

— Tylko mi nie mów, że się we mnie zakochałaś.

On już nawet nie pyta. On to stwierdza.

— Nie taka była nasza umowa — dodaje, po czym dorzuca z pretensją: — Dlaczego nagle postanowiłaś wszystko popsuć?

CO ON PIERDOLI?!

Zaczynam się śmiać. Histerycznie. A potem do moich oczu znów napływają łzy. Lekceważę je. Jego także. Odskakuję, co omal nie kończy się upadkiem na podłogę, kiedy Iwański próbuje dotknąć mojego ramienia.

— Do cholery, Majka! Nie zachowuj się tak. Nie psuj wszystkiego do końca.

I jeszcze na mnie krzyczy...

— Myślisz, że można popsuć coś, co jest już doszczętnie rozpieprzone? — wyduszam z siebie ochryplym głosem. — Nie przerywaj mi — ostrzegam go, kiedy widzę, że otwiera usta, by to zrobić. — To koniec, Maks.

Iwański kręci głową i nerwowo pociera szczękę. Wstaje i zaczyna się przechadzać w tę i z powrotem.

— Nie pozwolę ci odejść — odzywa się nagle, a ja uśmiecham się przez łzy i potrząsam z niedowierzaniem głową. — Mamy umowę...

— Wiesz, gdzie możesz ją sobie włożyć?

— Nie przeginaj — ostrzega mnie, ale to nie powstrzymuje mnie przed dopowiedzeniem reszty, która wreszcie musi być powiedziana na głos.

— Jeśli myślisz, że z powodu długu, twoich cholernych pieniędzy, których mi nie szczydziłaś, będę twoją seksualną niewolnicą, to jesteś w błędzie.

— W dupie to mam! — wykrzykuje z gniewem. — Dobrze wiesz, że od samego początku w tym wszystkim nie chodziło o pieniądze czy rzekomy dług.

— Nie? — kpię. — Więc o co?

Wstaję. Chcę poczuć się pewniej, bo kiedy siedzę, a on tak krąży obok mnie, czuję niepokój.

— Było nam dobrze — odpowiada nagle. — Dlaczego postanowiłaś to zepsuć?

— Nie planowałam tego, Maks — mówię, czując naraz kluchę w gardle.

— Jasne — drwi. — Od początku wysyłałaś sprzeczne sygnały, ale zbagatelizowałem je. Sądziłem, że jesteś silniejsza.

— Silniejsza? — powtarzam po nim.

— Wierzyłem, że wykazesz się większym rozumem niż inne laski. Przecież byłem dla ciebie dobry. Mogłaś mieć wszystko, czego zapragniesz. Miałaś tylko...

— Być twoją prywatną dziwką — kończę za niego.

Nie potwierdza ani też nie zaprzecza. A więc wszystko jasne.

— Wyjdź — rozkazuję, czując, że dłużej nie zniósę jego widoku. — Idź precz, Iwański! — wykrzykuję ze złością, kiedy wciąż stoi w miejscu.

Na szczęście wreszcie spełnia moje żądanie, a ja zostaję sama.

СНОМІКО _ WARNIA

Rozdział 33.

Maja

Po nieprzespanej nocy i morzu wylanych łez wyglądam koszmarnie. Mam zapuchnięte oczy i czerwony nos, z którym nawet mój niezawodny jak dotąd puder nie daje rady. Podobnie jak z malinkami na szyi, które dziś wyglądają jak siniaki. Próbuję je jeszcze ukryć pod ubraniem, ale to również nie jest proste, bo jadąc do Warszawy, nie zabrałam żadnego golfu. A zatem musi wystarczyć zwykła bluzka.

Z lekką odrazą jeszcze raz zerkam w swoje lustrzane odbicie. Naprawdę nie prezentuję się dobrze. Ale już nic nie mogę na to poradzić.

Sięgam po swoją szczoteczkę do zębów i wraz z balsamem do ciała pakuję ją do kosmetyczki, która, jak reszta rzeczy, łąduje w walizce. Zanim opuszczę łazienkę, rozglądam się, czy przypadkiem czegoś tu nie zostawiłam. Nie chcę zapomnieć o czymkolwiek, bo boję się, że wówczas musiałabym tutaj wrócić. A tego naprawdę nie mam zamiaru zrobić. Ten rozdział w moim życiu uważam za zamknięty.

Wracam do sypialni. Jeszcze raz poprawiam pościel, głaszcząc dłonią niewidoczne dla oczu fałdki, a potem wychodzę na korytarz.

Maks nie jest sam. Z salonu dochodzi mnie również głos Marietty. Nie chcę im przeszkadzać, ale nie zamierzam też tkwić tutaj dłużej niż to konieczne. Jednak nagle, gdy robię krok do przodu, pada moje imię. Zatrzymuję się więc.

— Ale co ty mówisz, Maks? Maja jest dla ciebie stworzona.

— To koniec, Mari.

A więc tak zamierza to załatwić...

— Ale jak koniec? Przecież planowaliście ślub. Maja nosi na palcu pierścionek zaręczynowy.

— Który zawsze może zdjąć — burczy Maks.

Te słowa sprawiają, że czuję pieczenie pod powiekami, bo naraz dociera do mnie, że Maks kolejny raz mnie zawiódł, oszukał. Muszę jednak zapanować nad łzami. Dłużej nie mogę się kompromitować. Zwłaszcza przed Mariettą.

Zdejmuję pierścionek i kładę go na blacie komody, obok której właśnie przystanąłam. Nie zatrzymam go, to pewne.

— Ale co ty chrzaniasz? — unosi się Mari. — Chcesz rozpieprzyć związek przez jedno nieporozumienie? Nie popełniaj moich błędów, braciszku. Nie warto.

— Mój przypadek jest inny — obruszył się Maks. — Ja, w odróżnieniu od ciebie, siostrzyczko — zaznacza złośliwie — byłem wobec Mai uczciwy. To ona oszukała mnie.

— Auć — słyszę naraz, a po chwili Marietta dodaje: — Maks, pogadajcie jeszcze. Szczerze. Nie psujcie czegoś tak pięknego przez głupi błąd. Kto ich nie popełnia?

Muszę wyjść z ukrycia, bo dłużej nie jestem w stanie tego słuchać. Może i go zawiódłam, bo rzeczywiście obiecałam mu coś innego, ale nie mogłam pozwolić, żeby zrzucał na mnie całą winę. On był winny na równi ze mną.

— Maju...

Marietta zauważa mnie pierwsza. Zdaje się lekko zmieszana moim nieoczekiwanym pojawieniem się. Nie ona jedna. Ja także czuję się nieswojo, zwłaszcza po tym, co przed chwilą usłyszałam.

Biorę głębszy wdech i ruszam w ich kierunku. Myślałam, że Maks już niczym mnie nie

zaskoczy, ale właśnie to robi. Wygląda bowiem na zdziwionego, gdy wymownie spogląda na mój bagaż.

— Cieszę się, że złapałam cię jeszcze przed wyjazdem — zwracam się do Mari, unikając jego spojrzenia. Stoi nieopodal, z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni. Przygląda mi się, taksuje wzrokiem całą moją sylwetkę. Pewnie znów nie podoba mu się moja stylówka. Mam to gdzieś.

— Przełożyłam wyjazd. O parę dni — odpowiada niepewnie Mari, po czym dodaje: — Umówiłam się z Andrzejem. Na wieczór.

— Nawet nie wiesz, jak się cieszę. — Przytulam ją, a właściwie to chyba ona tuli mnie, co sprawia, że czuję się wzruszona i rozczulona. Odsuwam się więc prędko, bo nie chcę się rozpłakać. Obiecałam sobie więcej tego nie robić. — Dobrze się składa, że cię widzę, bo tata kazał mi to tobie dać — wyjaśniam, siląc się na beztroski ton, po czym idę na moment do kuchni i wyjmuję z koszyka, który zostawiłam tam poprzedniego dnia, dwa słoiki z miodem. — Przekaż, proszę, jeden Andrzejowi. Zapomniałam to zrobić wczoraj.

— A nie możesz sama mu go dać?

Wiem, co kombinuje, ale nie uda jej się. Nie zostanę tu ani dnia, ani nawet godziny dłużej, niż to będzie konieczne.

— Muszę wracać do domu. Potrzebują mnie tam.

— Jasne — sarka Maks. — Potrzebują służącej.

Rzucam w jego kierunku gniewne spojrzenie. Nie ma prawa nikogo osądzać, zwłaszcza że ja byłam mu potrzebna tylko do jednego.

— Może ja was jednak zostawię?

— Nie! — odpowiadam zbyt głośno. — Spieszę się na pociąg.

— Maks, pozwolisz, żeby Maja tłukła się pociągiem? — Mari spogląda na brata, który patrzy na mnie wściekłym, pozbawionym empatii wzrokiem.

— Nie rób tego — mówię tylko, na co Marietta już otwiera buzię. Nie zamierzam jednak dopuścić jej do głosu. — I tak zrobię, co zechcę.

— Jasne — odzywa się Iwański. Zauważam też, że kręci głową. Ignoruję jego wymowne gesty.

— Pójdę już — mówię ochryplym, zmienionym głosem i ostatni raz omiadam wzrokiem miejsce, w którym na krótko byłam szczęśliwa. — Do widzenia — rzucam jeszcze na odchodne, chwytając po drodze swój odwieszony w holu płaszczyk, a potem robię to, co zapowiedziałam. Wychodzę.

Nie czuję ulgi, na którą tak czekałam. Ogarniają mnie żal i smutek, które rozdierają mi serce. Szybkim krokiem zmierzam do windy. Jestem taka roztrzęsiona, że nie mogę wcisnąć przycisku, żeby ją przywołać. Szybko odkrywam, że mimo zapewnień, iż więcej tego nie zrobię, płacze. Jednak nic nie mogę na to poradzić.

Maksymilian

— Nie bądź osłem, Maks! Biegnij za nią!

Marietta naprawdę mnie wkurwia. Nie pomaga mi. Poza tym nie ma prawa się w to mieszać. To nasz problem, mój i Mai.

Nasz...

Nie ma już NAS, bo ta uparta dziewczyna postanowiła to speprzyć.

— Nie zaczynaj znowu — ostrzegam ją, czując coraz większą niepewność.

— Gdybyś był dzieciakiem, przysięgam, że dostałbyś za swoje.

„Jasne, natarłabyś mi uszu” — przelatuje mi przez głowę.

— Nie strasz — warczę jedynie.

— Do cholery, Iwański, ogarnij się!

Uśmiecham się ponuro. Jeszcze do niedawna to ONA tak się do mnie zwracała.

— Nie widziałeś, co się z nią działo, gdy stąd wychodziła? Jeśli coś jej się stanie, to będzie twoja wina, Maks.

Naraz przypominam sobie nasze pierwsze spotkanie. Była taka nierozważna, że omal nie wpadła pod koła mojego samochodu. Mari może mieć rację. Tylko głupiec by nie zauważył, jakie emocje nią targają.

— Dobrze, pójdę — mówię i już ruszam do wyjścia. — Ale wiedz, że robię to tylko dlatego...

— Nieważne. Pospiesz się.

Chwytam kurtkę i kluczyki od auta. Uznaję bowiem, że jeśli ta uparta dziewczyna da się przekonać, zawiozę ją na miejsce. Rzeczywiście podróżowanie pociągiem to nie najlepszy pomysł.

Opuszczam mieszkanie. Dostrzegam ją przy windzie. Dygoce na całym ciele tak bardzo, że nie jest nawet w stanie jej przywołać. Ten widok naprawdę chwyta mnie za serce.

Podchodzę do niej niezwłocznie i kładę dłoń na jej trzęsącej się ręce. Nie zabiera jej, ale spogląda na mnie z wyrzutem. Widok łez na jej ślicznej buzi powoduje we mnie jeszcze większe poczucie winy. A przecież nie chciałem jej zranić. Gdyby tylko była w stanie mnie zrozumieć...

Nadjeżdża winda. Drzwi się otwierają, a Maja od razu się ode mnie odsuwa, wchodzi do środka i wciska się w najdalszy kąt. Jeżeli myśli, że to mogłoby ją przede mną ochronić, to jest w błędzie. Gdybym tylko chciał... Ale nie chcę. A właściwie... Chryste, co ze mną?

— Zawiozę cię, dokąd zechcesz — odzywam się pierwszy, próbując nad sobą zapanować. Nagle bowiem mam ochotę przyprzeć ją do ściany, całować, pieprzyć.

— Nie musisz.

— Zawiozę cię — dodaję z uporem.

* * *

Mniej więcej w połowie drogi zaczyna sypać śnieg. Widoczność się pogarsza, warunki na jezdni także. A w dodatku jestem spięty jak nigdy dotąd. Przytłacza mnie ta sytuacja. Widok skulonej dziewczyny siedzącej na fotelu pasażera powoduje we mnie poczucie winy.

Zaciskam palce na kierownicy.

„Niech cię szlag, Iwański” — besztam się w myślach.

Nagle postanawiam zjechać z drogi. Ale nie robię tego, żeby chwilę odpocząć czy rozprostować nogi, choć początkowo właśnie to próbuję sobie wmówić. Zatrzymuję się, bo chcę jeszcze raz z nią pogadać. Właściwie nie wiem, na co jeszcze liczę, ale mam pewność, że muszę spróbować, po raz ostatni.

Gdy parkuję samochód na leśnej ścieżce, zauważam jej niepewny wzrok. Zdaje się, że pomyślała o tym samym co ja. Łechce mnie ta myśl. Może jeszcze nie wszystko stracone?

— Przejdźmy się — mówię, gasząc silnik. — Proszę — dodaję, widząc, że ani drgnie.

Wysiada, nawet nie czekając, aż otworzę przed nią drzwi, i rusza przed siebie. Jestem tuż za nią. Patrzę, jak jej buty oblepia śnieg. Mam nadzieję, że nie jest jej w nich zimno. Szpilek raczej nie nosi się przy takiej pogodzie.

Zerkam wyżej. Nie jestem pewien, czy robi to świadomie, ale kręci pupą.

Zaciągam się rześkim leśnym powietrzem i wdycham.

— Jeśli cię zraniłem, przepraszam. — Wreszcie zdobywam się na odwagę, żeby

przemówić.

— Po co to robisz, Maks?

Maja zatrzymuje się nagle i odwraca w moją stronę. Przyglądam się jej twarzy. Mam nadzieję, że nie zacznie znów płakać. Dłużej nie zniósę widoku jej łez.

— Bo chcę, żebyś mnie zrozumiała.

— Ale co ja mam zrozumieć? Nie chcesz mnie.

— To nieprawda. Bardzo ciebie chcę. Żadnej nie chciałem tak jak ciebie.

— Do cholery, dobrze wiesz, że nie o to mi chodziło!

— To mogłoby nam wystarczyć. Obojgu. Było nam ze sobą tak dobrze. — Podchodzę do niej i przypieram ją do drzewa, które ma za plecami. — Dlaczego nie potrafisz zrozumieć, że ja nie nadaję się do normalnego związku? — pytam, chwytając w dłonie jej twarz i zmuszając ją, żeby popatrzyła mi w oczy. — Dlaczego chcesz mnie zostawić, skoro mogliśmy przeżyć razem jeszcze tak wiele?

Muskam ustami jej usta. Nie odpycha mnie, więc pogłębiam pocałunek. Smakuje cudownie, rozkoszuję się tą chwilą.

— Pragnę cię — mówię w jej rozchylone usta. — Chcę cię tu i teraz. — Łapię ją za pupę i dociskam do własnych bioder.

— Nie, Maks... — odpowiada bez przekonania.

— Proszę — nalegam, nie przerywając pocałunku. — Proszę, oddaj mi się.

Nie protestuje już, więc uznaję to za przyzwolenie. Odpinam jej spodnie i zsuwam z jej bioder wraz z bielizną. Wsuwam rękę pomiędzy jej uda. Jest mokra, podniecona równie mocno jak ja. Obracam ją, rozpinam swoje spodnie i uwalniam kutasa, po czym się w nią wbijam. Pieprzę ją, ostro. Jęczy głośno, więc jest jej dobrze. Przyspieszam, wbijam się mocniej, głębiej. Chcę szybko poczuć spełnienie, chcę przeżyć to kolejny raz. Z nią.

Dochodzę. Oddycham przez usta, zamykam oczy. Gdy je otwieram, świat mi wiruje. Trwa to raptem chwilę, więc zaraz z niej wychodzę i poprawiam spodnie. Jest zimno. Zdecydowanie za zimno na dłuższe paradowanie z gołym tyłkiem.

— Ubierz się, bo się przeziębisz — upominam ją, kiedy widzę, że stoi w bezruchu. — Maju?

Dopiero teraz to do mnie dociera. Ona płacze. Znowu. Nie jestem jednak pewien, co jest powodem jej łez. Gdzieś z tyłu głowy pojawia się myśl, że byłem zbyt ostry, że ją skrzywdziłem. Nie zniósłbym tego.

— Maju, kochanie, zrobiłem ci krzywdę? — Dotykam jej ramienia, ale wtedy ona ode mnie odskakuje. Szybko naciąga spodnie, poprawia płaszcz. — Maju?

— Nie mów tak do mnie. Nie kochasz mnie, więc nie masz prawa mnie tak nazywać.

— Chciałem tylko być miły.

— I właśnie dlatego, że chciałeś być miły, znów mnie wykorzystałeś? — naskakuje na mnie.

— Nie wykorzystałem cię, do cholery! — i ja unoszę się coraz bardziej. — Chciałaś tego równie mocno jak ja!

— Ale już nie chcę. Odwieź mnie do domu — żąda i szybko wraca do samochodu. Dołączam do niej.

Nie mogę w to uwierzyć. Maja znów zachowuje się jak rozkapryszona gówniara, która tupie nóżką, gdy na coś ma ochotę lub czegoś bardzo nie chce.

— To właśnie dlatego wszystko spieprzyłaś — oznajmiam, starając się opanować gniew, który przebija z mojego głosu. — Jesteś niezdecydowana. Działasz pod wpływem emocji. I ciągle zmieniasz zdanie. Raz czegoś chcesz, a za chwilę już nie. W życiu nie można mieć

wszystkiego. Im wcześniej to zrozumiesz...

Milknę, widząc, że chwyta za klamkę samochodu. Łapię ją za rękę i ostatni raz powstrzymuję przed idiotycznym pomysłem, na który wpada. Nie zamierzam bowiem pozwolić jej wysiąść. Nie tu, w środku lasu. Muszę ją odwieźć do domu.

CHOMIKO - WARNIA

Rozdział 34.

Maksymilian

Nie mam pojęcia, dlaczego jej na to wszystko pozwalam. Może gdybym był bardziej stanowczy, nasza relacja nadal by trwała. Tymczasem uległem jej raz czy dwa, a ona natychmiast postanowiła skorzystać z okazji i wejść mi na głowę. W dodatku zaraz po tym, jak mi się oddała, zarzuca mi, że ją wykorzystałem. Jak śmie?

— Będziesz się tak na mnie dąsała już do samego domu? — pytam, ale ona nie zamierza mi odpowiedzieć. Udaje, że mnie nie słucha. Twarz ma zwróconą ku szybie.

Wzdycham i potrząsam głową.

Boże, daj mi cierpliwość do tej kobiety.

Postanawiam skupić się już wyłącznie na jeździe, ale nagle zauważam, jak Maja wyjmuje z kieszeni telefon. Odpisuje na jakąś wiadomość — niestety nie zdążyłem zauważyć, z kim czatuje. Zresztą to już chyba nie moja sprawa, choć gdy sobie wyobrażę, że być może niedługo zaczniesz się umawiać z innymi mężczyznami...

Wolę o tym nie myśleć.

I nagle to dostrzegam. Teraz rozumiem, dlaczego wcześniej chowała ręce w kieszeniach płaszcza. Sądziłem, że jest jej chłodno, choć w aucie panowała optymalna temperatura. Tymczasem okazuje się, że próbowała przede mną ukryć brak pierścionka. Zdjęła go. Nie wiem dlaczego w takim pośpiechu, ale wcale mi się to nie podoba.

— Zamierzasz go sprzedać? — pytam wprost.

Chyba mnie nie rozumie, bo patrzy na mnie jak na idiotę.

— Sądziłem, że go zachowasz. Na pamiątkę. I że ponosisz go ciut dłużej. Myślałem, że ci się podoba.

— O czym ty mówisz, do cholery? — odzywa się wreszcie.

— Zdjęłaś pierścionek.

Nie odpowiada, ale zaciska dłonie w pięści. Wydaje się... urażona.

— Zatrzymaj samochód — rozkazuje, czym mnie zaskakuje. — Zatrzymaj się! — wrzeszczy, kiedy nie reaguję na jej prośbę.

Nie pozostaje mi nic innego, jak ją spełnić. Zjeżdżam na pobocze, włączam awaryjne, a ona... otwartą dłonią uderza mnie w twarz.

— Oszalałaś?

Jestem wściekły. Przez ułamek sekundy mam ochotę jej oddać. Ostrzegłem ją, że pewne rzeczy są niedopuszczalne, a jednak wciąż je robi.

— Nie pozwolę się obrażać. Nie chcę od ciebie nic. Nigdy nie chciałam. I też niczego nie wzięłam. Jeśli nie wierzysz, to poproś siostrę, żeby ci to udowodniła. Albo wiesz co? — dorzuca z drwiną. — Sama to zrobię.

Patrzę, jak Maja wybiera z kontaktów numer Marietty. Łączy się z nią na wideokonferencji. Mari odbiera, ale nie kryje zaskoczenia.

— Mam prośbę — rzuca na wstępie Maja. — Mogłabyś pójść do mieszkania brata?

— Ale po co?

— Po prostu to zrób.

— Nie mam kluczy — słyszę w odpowiedzi, więc chyba najwyższa pora dołączyć do rozmowy.

— Kolejne zapasowe są w tej komodzie przy wejściu — wyjaśniam. Nie muszę tego

robić, ale po prostu jestem ciekawy, o co tym razem chodzi Mai.

Na moment nastaje cisza, ale po chwili Marietta oznajmia, że znalazła klucze.

— Idź do sypialni — odzywa się ponownie Maja. Mija chwila, gdy dodaje: — A teraz otwórz szafę.

Oczywiście moja siostra spełnia jej prośbę, a moim oczom ukazują się ubrania, które kupiłem dla *swojej dziewczyny*.

— Są twoje... — zaczynam, ale nie pozwala mi dokończyć.

— Nigdy nie były — przerywa mi ze złością. — A teraz bądź tak miła, Mari, i opuść sypialnię.

— Nie wiem, co to za gra, w którą próbujecie mnie wciągnąć, ale nie podoba mi się — burczy Marietta z niezadowolenia, mimo to wykonuje każde polecenie.

— Zatrzymaj się — odzywa się Maja. — Zerknij w lewo. Jest na komodzie.

Marietta podnosi pierścionek, który niewątpliwie zostawiła tam *moja dziewczyna*.

W osłupieniu patrzę na Maję, która właśnie kończy rozmowę z moją siostrą. Oczekuję wyjaśnień, choć wiem, że po moim wcześniejszym wystąpieniu nie mam do tego prawa.

— Zdjęłam go. Wedle życzenia — słyszę jedynie.

Nie komentuję tego, bo po raz pierwszy od bardzo dawna mam w głowie taki mętlik, że nie wiem, co powiedzieć.

* * *

Zamierza wysiąść od razu, gdy tylko parkuję auto przed jej rodzinnym domem, ale nie mogę jej na to pozwolić. Łapię ją za rękę w ostatniej chwili, gdy już chwyta za klamkę. Nie chcę, żeby mnie zostawiła, zwłaszcza że wciąż nie ustaliliśmy, co dalej.

— Puść — mówi smętnym, pozbawionym emocji głosem.

— Porozmawiajmy jeszcze — nalegam.

— Chyba już nie mamy o czym — odpowiada. — Skończyło się, Maks. Było... pięknie — wzdycha, a ja czuję, jak coś chwyta mnie za gardło. — Nic nie może przecież wiecznie trwać.

Po tych słowach uśmiecha się nieznacznie, choć nadal smutno. Prawdopodobnie uświadomiła sobie, że przypadkiem zacytowała utwór Anny Jantar. Znam tę piosenkę. Moja babcia często jej słuchała. Na początku jest coś o schodach, kwiatach i kurzu w kącie. W tekście pojawiają się słowa, które głęboko zapadły mi w pamięć.

Wtedy dziwisz się, że tak kocham nieprzytomnie,

Jakby zaraz świat miał się skończyć.

Kiedy pytasz mnie, czemu rzucam się jak w ogień

Wprost w ramiona Twe, myślę sobie

Nic nie może przecież wiecznie trwać,

Co zesłał los, trzeba będzie stracić.

Nic nie może przecież wiecznie trwać,

Za miłość też przyjdzie kiedyś nam zapłacić

Posępnieję, ale nagle z zamyślenia wyrzywa mnie głos Mai:

— To nie piosenka, Maks. — Ma poważny głos. — To też nie film, książka czy inny utwór, w którym autor może do woli zmieniać fabułę. To, co nas łączyło, nigdy nie powinno było się wydarzyć.

— Dlaczego nie chcesz dać mi szansy? — pytam mimo wszystko. — Czemu tak bardzo zależy ci na tych wszystkich mrzonkach, deklaracjach dozgonnej miłości? Po co ci to? Przecież było nam tak dobrze.

Znów raczy mnie ponurym uśmiechem. Ten jednak jest przepełniony jeszcze większym

smutkiem i niezrozumieniem.

— Powiedziałeś kiedyś, że nie wierzysz w miłość, Maks.

Kiwam głową. Tak właśnie powiedziałem, bo to szczerza prawda. Miłość to stek bzdur. To nic niewarte deklaracje, pierdoły, które potrafią zniszczyć każdy związek. Przekonałem się o tym, kiedy umarł mój ojciec, a matka, zatracona w miłości do niego, odeszła, odbierając sobie życie. Jej rozdzierające serce krzyku nie zapomnę do końca swoich dni. Widoku również...

Po tym, jak lekarz podpisał akt zgonu i go zabrali, padła na kolana, a z jej płuc wyrwał się szloch. Mnie także dławił żal, a po moich policzkach nie przestawały płynąć łzy. Pragnąłem ją pocieszyć, choć sam również potrzebowałem ukojenia. Ale ona zdawała się mnie nie dostrzegać. Rozpacz i cierpienie po stracie ukochanego męża pochłonęły ją bezgranicznie.

Jak zatem mam wierzyć w te wszystkie brednie? Miłość to bzdura, cierpienie, na które nie zamierzałem pozwolić. Nigdy więcej.

— Bo to prawda — odpowiadam szczerze i uparcie jak nigdy dotąd. — Nie wierzę w miłość.

— Dlaczego zatem nie uwierzysz we mnie? — pada nagle pytanie, na które niestety nie znam odpowiedzi.

Maja

Czemu wciąż to sobie robię? Dlaczego rozpaczam nad sprawą, która z góry była skazana na porażkę?

Próbuję otrzeć łzy, ale moje próby okazują się zbyteczne, bo nawet jeśli udaje mi się na moment osuszyć policzki, to za chwilę znów robią się mokre.

Dojeżdżamy na miejsce. Zauważam, że samochodu taty nie ma na podjeździe, więc liczę, że na nikogo się nie natknę. Bracia na ogół nie pojawiają się w domu do późnego wieczora, więc i z nimi nie powinno być kłopotu. Nie chciałabym, żeby ktokolwiek z moich bliskich widział mnie w takim stanie.

W pośpiechu opuszczam samochód i podbiegam do drzwi. Grzebię w torbie w poszukiwaniu kluczy. Niestety nie od razu je odnajduję, bo dygocę na całym ciele, co bardzo mnie rozprasza. Wreszcie jednak udaje mi się je wyszperać. Wsuwam klucz do zamka, przekręcam, ale okazuje się, że drzwi wcale nie są zamknięte.

Cóż, widocznie mam dziś wyjątkowego pecha.

Zanim wchodzę do środka, ostatni raz oglądam się za siebie. Maks uparcie mi się przygląda zza szyby samochodu. Nie robi nic, żeby mnie zatrzymać lub dać mi wreszcie jasny sygnał, żebym to ja raz na zawsze zakończyła tę niezdrową relację. Prawdopodobnie do samego końca liczył, że zmienię zdanie i wrócę z nim do Warszawy jako jego kochanka, a co gorsza, jego utrzymanka. Jednak nie mogę tego zrobić, bo myśl, że kiedyś mógłby się mną znudzić, po prostu mnie przerasta.

Przekraczam próg ganku, starając się być nad wyraz cicho, ale wówczas wpadam na Piotrkę.

— Majka? — Mój brat patrzy na mnie z dobrze mi znaną troską. — Co się stało? Czy ten... — Zerka ponad moją głowę przez niedomknięte drzwi wejściowe. — Zajebię go.

— Piotrek!

Rzucam się biegiem za bratem, który mnie przesunął i z zaciśniętymi w pięści dłońmi zbliża się do samochodu, w którym nadal tkwi Maks. Niestety, jak się szybko okazuje, właśnie teraz, jak na złość, Iwański wysiada z auta. A mój brat? RzUCA się na niego z pięściami. Oczywiście Maks próbuje się bronić, ale Piotrek ma przewagę. Bierze Maksa z zaskoczenia, więc

w zasadzie już pierwszym strzałem lekko go ogłusza.

— Piotrek, zostaw go! — piszczy i szarpie brata za ramię. — Zostaw, do cholery! — Próbuję go jeszcze odciągnąć, ale zamiast tego tracę równowagę i upadam.

Nie jestem pewna, czy to właśnie z mojego powodu, ale naraz sytuacja się odwraca. Teraz to Maks uderza mojego brata. Kilka razy, aż Piotrek zaczyna chwiać się na nogach.

— Nic ci nie jest? — Kiedy z nim kończy, podbiega do mnie i podaje mi dłoń. Ignoruję go i podnoszę się sama.

— Zostaw mnie. Daj wreszcie spokój mnie i mojej rodzinie — mówię jedynie, a potem zagarniam ramieniem brata i wchodzę z nim do mieszkania.

— Maju! — dobiega jeszcze zza moich pleców, ale zamykam drzwi. Nie chcę słyszeć nic więcej. Ani słowa...

* * *

Jest mi okropnie wstyd, ale mówię ojcu całą prawdę. Od początku do końca. Nie umiem powstrzymać emocji i łez, które wciąż się pojawiają w moich oczach, ilekroć wspominam zawód, jaki mnie spotkał.

— Zakochałam się, tatau — chlipię. — Bez pamięci. W największym draniu, na jakiego mogłam trafić.

— Jesteś tego pewna?

— Nie rozumiem, o co pytasz — mówiąc to, pociągam nosem.

— Naprawdę uważasz, że Maks jest draniem? — doprecyzowuje ojciec.

— Zawiódł mnie, tato — jęczę, czując, że jeśli nie przestanie drażnić tego tematu, za chwilę znów się rozplaczę. — Powiedział wprost, że mnie nie kocha i nigdy nie pokocha.

— Czasem słowa to jedno, a czyny to drugie.

— Nie, tato! — unoszę się. — Nie chcę tego słuchać!

Nie zamierzam bowiem karmić się złudną nadzieją. Od wczesnej młodości marzyłam o mężczyźnie, jedynym, ukochanym, który wskoczyłby za mną w ogień. Maks nie był zdolny do takich czynów. On...

Nieważne.

— Nie próbuj wpływać na moją decyzję, tatau — dodaję, siląc się na nieco łagodniejszy ton. — Maksymilian Iwański to przeszłość.

— Kochasz go, Maju.

— Ale się odkocham! — Złoszczę się.

Nie poznaję własnego ojca. Nigdy się tak nie zachowywał. Sądziłam nawet, że kiedy pozna całą prawdę, będzie się ciskał jak obaj moi bracia. Oj tak, gdy Paweł dowiedział się, co mnie spotkało, także zaczął się odgrażać, że gdy Iwański wejdzie mu w drogę, to porachuje mu kości. A co robił tata? Nic. Słuchał mnie, pocieszał. I rozmawiał ze mną w taki sposób, że doprowadzał mnie do szewskiej pasji.

Niech cię szlag, Iwański!

Rozdział 35.

Pół roku później...

Maja

Budzi mnie mój własny szloch, który wyrywa mi się z piersi. Przez moment zastanawiam się, gdzie jestem, co jest prawdą, a co za chwilę okaże się tylko snem, jednym z koszmarów, które męczą mnie od wielu tygodni.

Pocieram twarz. Jestem zmęczona. Już nie pamiętam, kiedy przespałam całą noc. Ilekroć zapadam w drzemkę, budzę się zalana łzami. We śnie bowiem powracają wspomnienia, a te powodują ból i przeogromną pustkę, z którą zupełnie sobie nie radzę.

Straciłam go, bezpowrotnie...

* * *

Klubik „Dla Elizy” stworzyłam z myślą o niej, mojej ukochanej mamie. Ale też aranżując go od podstaw, myślałam o artystach: malarzach, rzeźbiarzach, pisarzach i poetach, muzykach. Miałam również na uwadze fotografów, których prace jako pierwsze zawisły na ścianach mojej chluby. Tak właśnie potocznie nazywałam „klubo-knajpę”, którą zaprojektowałam i w którą tchnęłam życie za namową taty. Ojciec bardzo mi pomagał. We wszystkim. Począwszy od remontu tego starego warzywniaka, który przez lata stał pusty, a który teraz pełnił funkcję lokalu kulturalno-rozrywkowego, skończywszy na wniesieniu starego pianina, które niegdyś należało do jego ukochanej żony, a nawet zawieszeniu na ścianach fotografii początkującego fotografa, który pochodził z okolic. Tatę pochłonęło urządzenie tego miejsca równie mocno jak mnie. Gdyby nie on, bez wątpienia nie dałabym rady ożywić tego miejsca. Tak, ten lokal powstał dzięki niemu. To jego zasługa.

— Wszystko będzie dobrze, szefowo — odzywa się nagle Oliwia.

Nie upominam jej po raz kolejny, że nie musi zwracać się do mnie tak oficjalnie, bo czuję się zbyt zmęczona i nawet nie chce mi się mówić, co zdarza mi się bardzo rzadko. Ale taka jest prawda. Jestem przemęczona, bo od rana jestem na nogach. Wszystkiego dopilnowywałam osobiście, bo i wszystko ma być tak, jak to sobie precyzyjnie zaplanowałam. Jutrzejsze wydarzenie jest dla mnie wyjątkowym przeżyciem, więc musiałam zadbać o każdy detal.

— Szkoda tylko, że nie znaleźliśmy pianisty — wzdycha dziewczyna.

— Trudno — odpowiadam markotnym głosem. — W życiu nie można mieć wszystkiego.

Wspominam dzień, w którym usłyszałam te słowa od Maksa. Wciąż ogarnia mnie smutek, kiedy o tym myślę, a że jestem w naprawdę kiepskiej formie, szybko odpycham tę myśl, odsuwam jak najdalej, próbując zapomnieć zarówno o niej, jak i o Iwańskim.

— W zasadzie tak — odpowiada z rozmysłem Oliwia. — Ale naprawdę szkoda, że się nie udało. Niestety mieliśmy zbyt mało czasu.

Już tylko kiwam głową, bo nic nie zamierzam dodawać. Oliwia ma rację. Otwarcie klubiku miało się odbyć za dwa tygodnie, w weekend, więc nie było pośpiechu, zwłaszcza przy planowaniu dodatkowych atrakcji, takich jak koncert pianistyczny. Jednak żadne z nas się nie spodziewało, że przyjdzie nam zrobić otwarcie wcześniej. Niestety zmusiły nas do tego... okoliczności.

— Dobra, zamykajmy na dziś. Odprowadzę cię, szefowo.

— Nie musisz. Poradzę sobie.

— Ale chcę.

Oliwia łapie mnie pod ramię i obie zmierzamy do wyjścia. Doceniam jej troskę i dobroć płynącą prosto z serca. Mam nadzieję, że Piotrek wreszcie również to zauważy, że w ogóle dostrzeże tę dziewczynę, bo na razie wydaje się głuchy i ślepy na jej starania. Tak, moja pracownica zadurzyła się w moim bracie i tylko szuka okazji, by się z nim niby przypadkiem spotkać. Dlatego nie protestuję, kiedy po raz kolejny chce mnie odprowadzić do domu. Pozostaje mi tylko wierzyć, że tego nie pożałuje, a mój brat nie okaże się typem podobnym do...

Nieważne, już nie chcę o nim myśleć.

Maksymilian

Oczywiście, że cieszę się radością siostry i jej odzyskanym szczęściem, ale to, że nagabuje mnie do *czegoś*, co nie ma najmniejszego sensu, naprawdę mnie mocno wkurza. Marietta chyba zapomina, że jeszcze do niedawna sama nie chciała słyszeć o swoim byłym.

„Do niedawna...” — myślę, z rozrzewnieniem rozgrzebując kilka miłych wspomnień.

Mari i Kwiatek dwa dni po tej aranżowanej kolacji, w którą wrobiliśmy ich oboje z Mają, wpadli do mnie wieczorem i obwieścili, że postanowili dać sobie kolejną szansę. Ani wtedy nie wypytywałem ich o szczegóły, ani później nie zapytałem wprost, co właściwie skłoniło ich do powrotu. Byłem po prostu zbyt pochłonięty własnymi problemami.

— Dlaczego do niej nie zadzwonisz? — docieka Mari, choć przed chwilą wyraźnie dałem jej do zrozumienia, że kończymy ten temat raz na zawsze.

— Nie wiem, drogi szwagrze — w tym momencie zwracam się już tylko do Andrzeja, licząc, że mnie wesprze — jak ty to wszystko znosisz. Naprawdę jestem pod wrażeniem twojej cierpliwości do tej... istoty.

— Zakochany człowiek jest zdolny do znacznie większych poświęceń, Maks.

I ty, Brutusie?

— Nie wiem, o czym mówisz. — Wzruszam ramionami. — Najwyraźniej nigdy nie byłem zakochany.

— Phi, też mi coś — fuka Marietta. — Gdybym cię nie znała, braciszku, mógłbyś mi wciskać takie kity. Ale tak się składa, że...

Chryste, ona naprawdę nie ma litości. Jak się na coś uweźmie, to w kółko o tym gada. Nawet Maja tyle nie mówiła, choć bardzo często miała zgoła odmienne zdanie od mojego i chętnie to manifestowała.

— Koniec tematu, Mari — ostrzegam ją. W zasadzie wysyłam sygnały obojgu, bo Andrzej też, zdaje się, ma jeszcze coś do powiedzenia.

— Oczywiście uszanujemy twoją decyzję, Maks.

Uff. A jednak na mojego szwagra zawsze mogę liczyć.

— Ale...

Albo i nie.

Łypię na niego okiem. Jemu pozwalam na ciut więcej niż siostrze, bo on nigdy nie wchodził mi na głowę tak jak ona. Po prostu był mi rodziną i przyjacielem jednocześnie. I zawsze miałem w nim wsparcie. A Mari mi stale matkowała, choć dawno temu przestałem tego potrzebować.

— Chcę ci tylko powiedzieć, że kiedy byłeś z Mają...

— Kwiatek! — rzuca ostrzegawczym tonem. Tyle razy go prosiłem, żeby nie wracał do tematu tej dziewczyny.

— Nigdy nie widziałem cię szczęśliwszego — mąż mojej siostry kontynuuje mimo wszystko.

— Dobra. Dość! Kończę tę bezsensowną rozmowę — oznajmiam. — Muszę lecieć. I chyba już jestem spóźniony. — Zerkam wymownie na zegarek.

Oczywiście łąę. Nigdzie się nie spieszę, zwłaszcza że mamy leniwe sobotnie popołudnie.

— Leć, leć — zaczepia mnie Mari. — Tylko nie zahacz o druty.

— Bardzo zabawne — rzucam przez ramię i opuszczam szacowne towarzystwo, które za wszelką cenę postanowiło mi zjechać humor.

* * *

Przedemną wolne popołudnie, a nawet cały wieczór, i właściwie nie mam co ze sobą zrobić, więc udaję się do restauracji. Dawno nigdzie nie wychodziłem. Właściwie po odejściu Mai prawie w ogóle nie opuszczam mieszkania. W zasadzie nie mam na to czasu. *Niektórzy* powiadają, że broniąc się przed nieuchronnym — cokolwiek mają na myśli — uciekłem w pracę. Nie spieram się o to, po prostu robię swoje. A że roboty mam naprawdę sporo, zwłaszcza po otwarciu nowego działu z produktami Johanssonów, zwyczajnie mi to odpowiada.

Dziś jednak postanawiam wyjść do ludzi. Kto wie, może przy odrobinie szczęścia zjem obiad z jakąś fajną laską? A może nawet obiad przeciągnie się do kolacji, a ta do śniadania w hotelowym pokoju? Chyba bym tego chciał, bo dawno nie byłem z kobietą. Właściwie, odkąd odeszła Maja, nie byłem na żadnej randce czy nawet zwykłej schadzce, która na ogół sprowadza się tylko do jednego. Dobrze, że Mari o tym nie wie, bo pewnie palnęłaby mi gadkę o lizaniu ran. Ostatnio stale mi wytyka, że zaszyłem się w domu, że zdziaiałem. Bla, bla, bla.

Od jakiegoś czasu po mieście krążą dobre opinie na temat Floor No 2, więc wybieram się do Marriotta. Ponoć swoim bogatym menu są w stanie zadowolić każdego, nawet najbardziej wymagającego klienta. Szczerze na to liczę, bo ostatnio stałem się naprawdę kapryśny, jeszcze bardziej wymagający niż dawniej. Dlatego od jakiegoś czasu praktycznie gotuję sobie sam. Okazjonalnie wpadam na obiad do siostry i szwagra. Dziś jednak postanowiłem iść o krok dalej.

Podaję kelnerowi numer swojej rezerwacji, a ten prowadzi mnie do stolika i wręcza mi zestaw kart. Ledwie otwieram pierwszą z nich, a słyszę znajomy głos:

— Maksymilian?

Podnoszę wzrok znad trzymanego w rękach menu i napotykam spojrzenie Anne Lise. Uśmiecha się do mnie i pokazuje, że bym się do niej przyłączył. Oczywiście nie wypada odmówić.

— Witaj, Anne. — Obejmuję ją serdecznie i całuję w policzek. — Nie wiedziałem, że jesteście w Polsce. Lars nie wspominał, że się tu wybieracie w najbliższym czasie.

— Przyjechałam sama. Mojego męża zatrzymały obowiązki służbowe.

— A ciebie co ściągnęło do Warszawy? — pytam. — Jeśli to jakieś tajemnicze sprawy zawodowe, objęte klauzulą poufności, to nie odpowiadaj.

— Nie tym razem, Maks. Umarł ojciec mojej serdecznej przyjaciółki, więc wsiadłam w samolot i jestem.

— Rozumiem. — Kiwam potakująco głową.

— Nie mogłam w takiej chwili zostawić jej samej — dodaje Anne, a potem jeszcze przez chwilę snuje jakąś romantyczną, choć pełną bólu opowieść. Właściwie udaję, że jej słucham, bo nie znoszę takich ckliwych historyjek. Nie cierpię słuchać o tym, jak to ludzie tracą bliskich, a potem przez lata usychają z miłości, jak cierpią w imię dozgonnej miłości. Ja mam na to inną teorię. Uważam, że ludzie sami się krzywdzą, kiedy z powodu głupiego, bezsensownego i *dozgonnego* uczucia nie są w stanie pójść naprzód. Moja matka także nie potrafiła. Była młoda,

gdy ojciec umarł, ale nie umiała wyjść z domu, znaleźć sobie kogoś i w efekcie zmarnowała życie nie tylko sobie.

— A ty? — pyta nagle Anne Lise, wrywając mnie z chwilowego zamyślenia.

— Co ja?

— Też przyszedłeś sam? Pewnie Maję znudziły już te twoje biznesowe spotkania, co? — Mruga do mnie porozumiewawczo. Udaję, że tego nie widzę. — Maks? — Anne spogląda na mnie nieodgadzionym wzrokiem. Nie wiem, czy czegoś się domyśla, czy może ja stałem się przewrażliwiony na tym punkcie.

— Maja odeszła — odpowiadam szczerze, dziwiąc się jednocześnie, że ta informacja jeszcze nie dotarła do Johanssonów.

— Odeszła... — Siedząca na wprost mnie kobieta ma niewyraźną minę.

— Wybacz, jeśli mnie źle zrozumiałaś. Maja mnie zostawiła.

— Naprawdę? — Anne patrzy na mnie jak na wariata. Zupełnie jakby dawała mi do zrozumienia, że było odwrotnie, jakby coś wiedziała. Nie, to przecież niemożliwe. — Mówisz poważnie? Przecież widziałam, jaka była w ciebie zapatrzona. Darzyła cię szczególnym uczuciem. Dlaczego więc zdecydowała się na tak desperacki krok?

— Przepraszam, ale nie chcę o tym mówić. — Poprawiam się na krześle, bo zaczynam odczuwać skrępowanie przez tę rozmowę.

Kiedy zabiegałem o kontrakt z firmą jej męża, kłamstwa, którymi sypałem jak z rękawa, zupełnie mi nie przeszkadzały. Teraz jednak coś się zmieniło. W tej chwili znów poczułem się jak złamas.

— Nic z tego nie rozumiem, Maks — kontynuuje Anne Lise, zupełnie jakby nie słyszała ostatniego zdania, jakie padło z moich ust.

Mam dość. Mam, kurwa, dość! I bez względu na konsekwencje, jakie mi przyjdzie ponieść, postanawiam wreszcie powiedzieć całą prawdę.

— To wszystko było...

— Sfingowane — pani Johansson kończy za mnie.

Nie mam pojęcia, skąd o tym wie, ale kiwam głową. I mimo że jest mi wstyd jak nigdy dotąd, odważam się, by spojrzeć w oczy swojej rozmówczyni.

— Wiedziała o tym od samego początku — słyszę naraz.

— Co? — Przyglądam jej się uważnie. Szukam jakiegokolwiek oznaki, że mnie wkręca, że po prostu tylko sobie ze mnie żartuje, ale ona wydaje się bardzo poważna. — Ale jak to? Dlaczego więc...? — jąkam się, brakuje mi słów. — Twój mąż też o tym wie?

Anne Lise kiwa głową.

— Chryste — jęczę. Naprawdę mi wstyd. — Czemu zatem podpisaliście ze mną ten cholerny kontrakt? Co sprawiło, że zmieniliście zdanie, chociaż latami przy nim obstawaliście? Nic z tego nie rozumiem.

— Dlaczego pozwoliłeś jej odejść, Maksymilianie? — Zamiast odpowiedzi słyszę jedynie pytanie, na które nie jestem przygotowany. — Przecież ją kochałeś, a ona ciebie. Nie zaprzeczaj — ubiega mnie, zanim otwieram usta, żeby ją poprawić. — Znam się na tym, Maks. Czemu więc zmarnowałeś tę szansę?

— To skomplikowane — odpowiadam jedynie.

— Bo miłość na ogół bywa skomplikowana. Ona nie kroczy prostymi ścieżkami, pozbawionymi zakrętów czy wybojów. Ona nie wybiera też skrótów. Gdyby wszystko było w niej proste, nieskomplikowane, miłość stałaby się przereklamowana. Bo miłość nie znosi nudy, Maks, i nie ma też mdłego, cukierkowego smaku, po który z reguły każdy chętnie sięga. Miłość jest tworem przeznaczonym dla wybrańców, którzy zdobywają go z niezwykle wytrwałością i z

pieczołowitością potrafią o niego zadbać. Miłość ma słodko-pikantny smak i tylko prawdziwy koneser dostąpi zaszczytu jej skosztowania.

— Nie odzywam się, tylko patrzę w oczy siedzącej po drugiej stronie stołu kobiecie.

— Maja teraz bardzo cię potrzebuje, Maksymilianie.

Nie od razu pojmuję, co chce mi powiedzieć, ale wystarczy chwila, a coś zaczyna mi świtać w głowie i ogarnia mnie narastający z każdą upływającą sekundą niepokój.

— Co... chcesz przez to powiedzieć? — Próbuję przełknąć gulę, która nagle zaczyna dławić moje gardło.

Wtedy pani Johansson chwyta obie moje dłonie w swoje pomarszczone ręce i lekko kiwa głową.

Nie. To nie może być prawda.

CHOMIKO - WARNIA

Rozdział 36.

Maksymilian

— Uderz mnie jeszcze raz, a...

— A co? — drwi ze mnie, gówniarz jeden. Jest uparty i zawzięty jak jego siostra. Nieważne, że nie ma ze mną żadnych szans, nie podda się. Jestem tego pewien.

— Co tu się, do jasnej cholery, dzieje?

Na szczęście lub nie — to się jeszcze okaże — drugi z braci reaguje w porę. Nie chcę dłużej szarpać się z Pawłem, bo nie zamierzam zrobić mu krzywdy. On nie jest taki bystry jak „Piotruś Pan” i choćby nie wiem co, nie da mi rady. Niemniej prawego sierpowego drugiego z braci zapamiętam na długo.

— Paweł! Zostaw go! — Piotrek odciąga brata za kołnierz. — Wracaj do środka.

Chłopak nie od razu reaguje, ale po chwili rezygnuje z chęci obicia mi gęby.

— Dobrze — odzywa się nagle, choć wciąż patrzy na mnie z chęcią mordy wypisaną na twarzy. — Ale robię to tylko dlatego, że ty mnie o to prosisz. W innym wypadku oberwałby.

— Dziękuję — zwracam się do starszego z braci, gdy tylko zostajemy sami. Nie odpowiada, jedynie zerka na mnie z niechęcią. Po chwili jednak pada rzeczowe pytanie:

— Po co tu przyjechałeś?

— Podwoziłem tu przyjaciółkę, Annę — wyjaśniam najprościej, jak to tylko możliwe.

— Naprawdę chcesz w mordę? — syczy, zaciskając dłonie w pięści.

— Źle mnie zrozumiałeś — reflektuję się szybko. — To jest Anna — oznajmiam i wskazuję na dystygowaną, starszą kobietę w szykownym kapeluszu, która właśnie przekracza próg kościoła.

— Ty naprawdę jesteś jakimś jebanym zbokiem? — pieje Piotrek.

A ten dalej swoje. Nadal nic nie rozumiał.

— Anne Lise Johansson to także przyjaciółka twojej siostry. Poznały się... — Na moment wracam myślami do tamtego dnia, ale uznaję, że w tej chwili nie ma czasu na wyjaśnienia. — Nieważne. Pani Johansson przyjechała z Norwegii, żeby wesprzeć twoją siostrę, pocieszyć ją w żałobie.

Powiedziała mi o wszystkim zaraz po tym, jak zacząłem się tego domyślać.

— Wobec tego co ty tutaj robisz? W co pogrywasz tym razem, Iwański?

A więc powiedziała im prawdę. W sumie to dobrze, bo ja, gdy tylko przyznałem się do oszustwa, od razu poczułem ulgę.

Zerkam na chłopaka, który w tym momencie wydaje mi się tak bardzo podobny do własnej siostry. Nie wiem, czy to kwestia samego wyglądu, czy może sposobu, w jaki się do mnie zwrócił. Prawdopodobnie gdyby nie okoliczności, kazałbym mu odzywać się do mnie z większym szacunkiem, ale teraz daję sobie z tym spokój.

— Przyjechałem, bo... — Jeszcze przez chwilę zastanawiam się, czy powiedzieć mu prawdę, choć nie mam pojęcia, jak na nią zareaguje, ale ostatecznie kończę: — Kocham twoją siostrę.

No i znów oberwałem. Cóż, tym razem chyba naprawdę zasłużyłem.

Maja

Próbuję być dzielna, ale kiedy stoję nad grobem ojca, puszczają mi wszystkie hamulce.

Zalewam się łzami, ledwie łapię oddech i gdyby nie silne ramiona moich braci, pewnie upadłabym na ziemię. Kiedyś to właśnie jego tak podtrzymywali.

Spoglądam na ojca pogrążonego w żalobie i czuję ucisk w klatce. Ledwie panuję nad łzami, ale dla niego staram się być silna.

Zerkam na braci, którzy podtrzymują go po obu stronach, a w moim gardle pojawia się olbrzymia klucha. Obaj, podobnie zresztą jak ja, próbują być dzielni, choć wszyscy dobrze wiemy, że robią to na pokaz. Śmierć matki, na którą w zasadzie powinniśmy być przygotowani, spadła na nas wszystkich tak nagle, tak nieoczekiwanie. I sprawiła, że całe nasze życie naraz legło w gruzach. Już nic nie będzie takie samo...

Trawi mnie rozpacz i gniew, który kieruję do całego świata. Do NIEGO także. Krzyczę w myślach na Boga, mam do niego pretensję o to, że zabrał mi kolejną ukochaną osobę. Przecież tata był okazem zdrowia. Miał już swoje lata, ale był pełen energii, wigoru. Ostatnio wręcz ożył, jakby dopiero otrząsnął się po stracie mojej matki. Widziałam pasję w jego oczach, zapał, kiedy pomagał mi w urządzaniu klubiku. Był ze mnie taki dumny. Cieszył się, że spełniam marzenie jego ukochanej żony. I snuł ze mną plany na przyszłość. Opowiadał o tym, że jak już wszystko ruszy pełną parą, wynajmiemy prawdziwego artystę, który zagra na cześć mamy *Dla Elizy* Beethovena. Ona przecież uwielbiała grać ten utwór. A teraz? Nie ma go już. I nigdy więcej go nie zobaczę.

Zabił go tętniak. Szybko. We śnie. Pocięsza mnie myśl, że nie cierpiał tak jak mama, ale nadal nie godzę się z jego stratą. Potrzebuję go. Tak bardzo...

Ledwie stoję na nogach, kiedy żałobnicy składają nam kondolencje. Zaciskam usta w cienką kreskę, słuchając tych wszystkich zapewnień, że „wszystko będzie dobrze”, tych przesiąkniętych współczuciem słów „trzymaj się” czy „bądź dzielna, dla taty”.

„Dla taty to ja zakładałam różowe sukienki, kiedy byłam małą dziewczynką!” — krzyczy we mnie niemy głos.

— Skarbie...

To Anne Lise. Nie spodziewałam się, że zjawi się na pogrzebie mojego ojca. Utrzymywałam z nią kontakt przez cały czas, odkąd wyjechałam z Warszawy, mając ją wysypany z palca opowieściami, zmyślając na poczekaniu historie, które nigdy się nie wydarzyły — robiłam to dla NIEGO. Gdy uznałam, że ma już dość tych kłamstw, wspomniałam o rozstaniu wynikającym z niezgodności charakterów. Anne Lise bardzo mi współczuła, a kiedy podczas ostatniej rozmowy, jaką odbyłyśmy, napomknęłam o śmierci taty, płakała razem ze mną. Jednak nie podejrzewałam, że mam w niej aż taką przyjaciółkę i że odwiedzi mnie właśnie w tak trudnym dla mnie momencie.

Padam jej w ramiona i zanoszę się płaczem, choć sądziłam, że wyczerpałam na dziś zasób łez.

— Płacz, kochanie, płacz. Wkrótce poczujesz ulgę.

Oczywiście nie wierzę jej, ale nic nie mówię. Po prostu daję się ponieść emocjom.

* * *

Portret ojca stoi na kontuarze w głównej części lokalu. Kiedyś była tutaj strefa sprzedażowa, teraz urządziliśmy tu kawiarnię. Dalej, w głębi, gdzie niegdyś znajdowało się zaplecze, dziś jest galeria, na której końcu stoi zapomniane przez *cały świat* pianino. Tak, mama była częścią tego świata.

Zerkam na fotografię. Tata uśmiecha się. Ma takie pogodne spojrzenie...

— Taki właśnie był mój ukochany tatko Wojciech. — Nagle zdaję sobie sprawę z tego, że powiedziałam to na głos. Tyle szykowałam się do tej uroczystej przemowy, a teraz ta zaczęła

toczyć się sama. — Był wspaniałym człowiekiem. Kochał ludzi. Uwielbiał im pomagać.

Na sali najpierw zrobiło się gwarno, a następnie zapanowała cisza, ludzie potakują jedynie głowami.

— Był jedynym mężczyzną, na którego mogłam liczyć. I był mężem mojej mamy, z którą się właśnie znów połączył. Żegnaj, tato — dodaję zdławionym głosem i daję znać braciom, że czas wznieść toast. Ja niestety nie dam rady. Muszę wyjść, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Na miękkich nogach ruszam do wyjścia. I nagle do moich uszu dociera muzyka. Początkowo przelatuje mi przez głowę myśl, że to bracia włączyli TEN utwór na laptopie. Obaj bowiem dobrze wiedzieli, jak bardzo zależało mi na tym, żeby w ten sposób oddać hołd obojgu rodzicom. Ale po chwili, kiedy moje uszy przyzwyczajają się do dźwięków, doznaję olśnienia. Ktoś gra na pianinie mamy. Dawno nie słyszałam jego brzmienia, ale jestem pewna, że słodka muzyka płynie właśnie spod jego dawno nieotwieranego wieka. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że Oliwia jednak kogoś znalazła.

Zatrzymuję się w miejscu i powoli odwracam w stronę, z której nie przestaje dochodzić melodia. Nie mogę dostrzec, kim jest ów pianista, bo przestrzeń wypełnia ogrom osób, które przyszły pożegnać tatę. Zerkam wówczas na Oliwię, uparcie wierząc, że to jej sprawka, tylko zapomniała mi o tym powiedzieć, i że zaraz mi wszystko wyjaśni, ale ona wydaje się równie zdziwiona jak ja. Wtedy odnajduję wzrokiem chłopaków. Moi bracia sprawiają wrażenie tak samo poruszonych jak ja, więc, jak mniemam, także nie mieli z tym nic wspólnego. Nie wiem dlaczego, ale nagle zerkam na Anne Lise, która spogląda na mnie zaszklonymi oczyma, a potem znów patrzę na jednego z braci, który *winę* ma wypisaną na twarzy. Nie wiem, co przeszkrobał Piotrek, ale gdy mu się tak przyglądam, widzę, że sprawia wrażenie zakłopotanego, co jest do niego zupełnie niepodobne.

Ruszam zatem w głąb drugiego pomieszczenia. Stojący mi na drodze ludzie rozstępują się. I właśnie wtedy go zauważam. Jest pochłonięty grą, ale jednocześnie na mnie zerka. Spod jego palców, które rytmicznie uderzają w klawisze, ulatuje muzyka. *Dla Elizy...*

Nie wytrzymuję. Obracam się na pięcie i wybiegam z budynku. Na dworze panuje upał, a mnie nagle robi się zimno i czuję, że dygoczę.

— Maju? — słyszę za sobą.

Rozpoznaję TEN głos, co nie oznacza, że w ogóle mam ochotę go słuchać.

— Maju? — powtarza, a potem czuję jego rękę na moim ramieniu. — Zatrzymaj się.

— Zostaw, mnie Maks! — Próbuję się wyszarpnąć, ale zamiast tego on bez najmniejszego problemu odwraca mnie w swoją stronę. — Do cholery, Iwański!

Jest poważny, ale kiedy tak go nazywam, jego oczy zaczynają się uśmiechać. Rozprasza mnie to.

— Odsuń się — mówię i go odpycham. Pozwala mi na to, choć wiem, że gdyby tylko zechciał, nie miałabym z nim żadnych szans. — Nie powinienes tu przyjeżdżać — dorzucam, krzyżując ramiona na piersiach. — Mam zgadywać, który z moich braci ci to zrobił? — pytam niemal z marszu.

Ma podbite oko, a Piotrek patrzy na mnie jak ciele. Nietrudno się domyślić, że to jego sprawka.

— To nic. Zasłużyłem.

— A pewnie, że zasłużyłeś! Ale skoro mamy już wszystko wyjaśnione, to bądź tak miły i...

— Kocham cię, Maju — przerywa mi.

Zasłaniam rękami uszy. Nie chcę tego słuchać. Od razu przypomina mi się rozmowa z ojcem. Czyżby miał rację?

— Nie — zaprzeczam mimo wszystko. — Ty przecież nie wierzysz w miłość.

— Możesz zatykać uszy — mówi, łapiąc w swoje dłonie moje ręce. — Możesz nawet tupać, jeśli tylko chcesz, ale to prawda.

— Wiesz, kim jesteś? — Szamoczę się z nim, próbuję go odepchnąć, a nawet uderzyć, choć na dziś Maks ma raczej dość prania po pysku, a skutkuje to jedynie tym, że wpadam na niego, a właściwie wprost w jego ramiona.

— No kim? — pyta, patrząc na moje usta. Nie czeka jednak na oblegi, których ma prawo się spodziewać, tylko dodaje: — Jestem mężczyzną, na którego od dziś po wsze czasy będziesz mogła liczyć. Nigdy więcej cię nie zawiodę, kochanie. Przyrzekam — zapewnia, a potem sięga do kieszeni spodni, wyjmując pierścionek i wsuwa go na mój palec.

— Idź do diabła, Iwański.

— Z tobą wszędzie. Nawet do samego piekła.

CHOMIKO - WARNIA

Epilog

Kilka miesięcy później...

Maja

Nie sądziłam, że zdołam mu wybaczyć. Miesiącami pielęgnowałam w sobie niechęć i głęboką urazę do Maksymiliana, ale wystarczyło, że nagle zjawił się na pogrzebie taty...

Oczywiście nie dałam mu się tak od razu ugłaskać. Miał mi sporo do wyjaśnienia, jeszcze więcej do obiecania. Nie miałam zamiaru mu ustępować. Już nie. Teraz to ja zamierzałam być szefową. Zwłaszcza w tym związku. Żadnych ustępstw, czyste i jasne zasady. I miłość. Tak, nigdy więcej nie pozwolę Iwańskiemu zwątpić w jej istnienie, w jej siłę.

Niemniej, kiedy tamtego dnia z jego ust usłyszałam historię małego chłopca, który zmagał się z depresją matki, zmięкло mi serce.

Maks opowiedział mi ze szczegółami, jak wyglądało jego życie, gdy umarł ojciec. Jego mama nie poradziła sobie z odejściem męża. Kochała go tak bardzo, że nawet dla własnych dzieci nie była w stanie dźwignąć się z żaloby i depresji, z którą się zmagала. Pewnego dnia odeszła. Przegrała z bólem i żalem do całego świata. Targnęła się na własne życie.

Jej dzieci wiele przeszły, zwłaszcza Maks, który był zbyt mały, żeby zrozumieć, co tak naprawdę się wydarzyło. Zachowanie jego matki, jej *dramatyczna* decyzja wpłynęły na całe jego życie. Opowiedział mi o wszystkim, ze szczegółami, których mi nie szczędził. Mówił o tym, jak otarł się o ubóstwo. Nigdy nie użył słowa „bieda”, choć wywnioskowałam, że zdecydowanie lepiej pasowałyby do tej jakże smutnej opowieści. Jego babcia, do której po odejściu matki trafił wraz z Mari, bardzo się starała, ale prawda była taka, że nie dawała sobie rady. Była schorowana i sama potrzebowała opieki. Pewnego dnia umarła, a Maks trafił do domu dziecka. Nie powiedział tego wprost, ale nietrudno się domyślić, że to właśnie wtedy poprzysiągł, że nigdy nikogo nie pokocha, bo miłość niesie za sobą jedynie cierpienie. Nieszczęścia, które spadały na niego po kolei, sprawiły, że Iwański zamknął się na uczucia — a przynajmniej głęboko wierzył, że mu się to udało.

Słuchałam tej chwytającej za serce opowieści i łkałam jak mała dziewczynka. W pewnym momencie chciałam ją nawet przerwać, widząc, jak bardzo zraniony czuje się mój ukochany, gdy wraca do przeszłości, która kładła się cieniem na jego dorosłym życiu. Ale Maks wciąż mówił...

— Tak bardzo się myliłem — powiedział, splatając palce swojej dłoni z moimi palcami. — Sądziłem, że jak zamknę swoje serce, zbuduję solidny — mówiąc to, uniósł nasze połączone dłonie i zacisnął je mocniej — mur, to nigdy nie zaznam cierpienia. Ale byłem głupcem, gdy myślałem, że to w ogóle możliwe — przerwał, wzdychając. — Nie było dnia, żebym za tobą nie tęsknił, Maju — wyznał po chwili. — Nie było nocy, żebym nie budził się i nie błędził dłońmi po pustej poduszce, szukając ciebie.

— Maks...

— Pozwól mi dokończyć — przerwał mi jak zwykle. — Kiedy od Anne Lise usłyszałem o śmierci twojego ojca, coś we mnie pękło. Poznałem go osobiście i wiem, że był wspaniałym człowiekiem. Twoją matkę kochał — tamtego wieczoru sam mi to powiedział — do szaleństwa, ale się nie poddał, gdy odeszła. Cierpiał, ale nigdy się nie poddał. To właśnie wtedy, kiedy przypadkiem wpadłem na Annę, ja również zapragnąłem zawalczyć. Nagle chciałem być taki jak on, jak Wojtek, facet, który walczył do końca. — Maks starł kolejne łzy z moich policzków. —

Tego dnia odżyły wszystkie wspomnienia, w których nie mogło zabraknąć ciebie. — Pocałował opuszki moich palców. — W mojej głowie, niczym rozpędzone tornado, zaczęły przewijać się obrazy, krótkie filmy, w których grałaś główną rolę. Patrzyłem na ciebie, doświadczając nieznanego mi dotąd ciepła i dobroci. Odtwarzałem każdą spędzoną z tobą chwilę, a moje serce napęniało się radością, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłem. To wtedy zrozumiałem, że nie mogę dłużej być tchórzem, że nie chcę już uciekać. I że nawet gdybym miał cierpieć do końca swoich dni po twoim odejściu, to i tak chcę resztę życia spędzić z tobą. Nieważne, czy to będzie rok, miesiąc, dzień, godzina czy nawet jedna minuta. Chcę przeżyć z tobą tyle czasu, ile będzie nam pisane. Bo kocham cię jak nikogo innego, Maju.

— A ja kocham ciebie, Maksymilianie Iwański. — Tego dnia nie byłem w stanie zapanować nad łzami, nad morzem łez.

Cztery lata później...

Maksymilian

Patrzę na naszą fotografię oprawioną w złotą ramkę i uśmiechając się z rozrzewnieniem, z lekkim niedowierzaniem kręcę głową. Nadal nie mogę uwierzyć, że dałem się Mai namówić na cały ten ślubny cyrk. Maja w białej, koronkowej sukni, która niegdyś należała do jej matki, i ja we fraku, który przeleżał w szafie w jej rodzinnym domu chyba z pół wieku. Na fotografii wyszedłem jak... Hm, człowiek z innej epoki. Frak, który należał do ojca Mai, do tego lakierowane buty i cylinder, w którym wyglądałem niczym woźnica tej szykownej, pozłacanej karocy, którą powoziły cztery białe konie.

„Jeszcze tylko brakowało, żeby Maja kazała mi zapaść się mysim wąsik” — przelatuje mi przez głowę, a ja uśmiecham się szerzej. Pewnie i na to bym się zgodził. Nie byłem, nie jestem i nigdy nie będę pantoflarzem. Po prostu wiem, że dla Mai, kobiety, którą kocham nad życie, byłbym w stanie zrobić znacznie więcej. W miłości bowiem liczą się nie tylko wierność, zaufanie czy szacunek. Ważne są także drobnostki, detale, wszystkie te pierdoły, często nawet głupoty, które przeżywane razem, we dwoje, budują nierozzerwalny związek na całe życie.

— Tata, tata! — wyrywa mnie z zamyślenia uradowany głos Wojtusia. — Zabiezesz mnie do mamy?

— Oczywiście, że cię zabiorę — mówię, sadzając sobie malca na ramionach.

Uznaję, że czas zakończyć spacer po winnicy i udać się do klubokawiarni, gdzie ostatnio rezyduje moja żonka. Muszę przyznać, że Maja świetnie sobie radzi z prowadzeniem własnego biznesu. Jest szefową jak się patrzy. Naprawdę miło mnie zaskoczyła, udowadniając, że umie zarządzać i że wychodzi jej to tak dobrze. Świetna jest w tym, co robi. Jestem z niej dumny.

Kiedyś sądziłem, że nie ma lepszego szefa ode mnie, ale, jak widać, myliłem się. Szybko odkryłem, że Maja ma dryg do interesów, więc nasze role trochę się pozamieniały. Postanowiłem porzucić wielkomięjskie życie na dobre. Podświadomie od dawna o tym marzyłem, ale dotarło to do mnie tego dnia, gdy Maja zabrała mnie po raz pierwszy do swojego domu w Kalsku.

Przeniosłem się na farmę. Poszedłem śladami mojego zmarłego teścia i zacząłem produkować wino, a funkcję prezesa „Duszy wina” powierzyłem Johanssonom. Nie oponowali, a ja nie sądziłem, że tak bardzo spodoba mi się moje nowe, sielskie życie. A jednak...

Przepadłem w nim, równie mocno jak w kobiecie, za którą poszedłbym nawet do samego piekła.

* * *

— Pa, synku, pa! — Oboje machamy i wołamy za oddalającym się Wojtusiem.

Oliwia i Piotrek postanowili wziąć naszego synka na spacer. Jak widać, mojej żonie bardzo odpowiada taka sytuacja. Bowiem gdy tylko z synem uczepionym do szyi przekroczyłem próg tej jej klubokawiarni, patrzyła na mnie jak na smakowite ciacho. Dosłownie pożerała mnie wzrokiem. Nie jestem głupcem i doskonale wiem, co jej chodzi po głowie. Odkąd zaczęliśmy starać się o kolejne dziecko, Maja nie przepuszcza żadnej okazji. Jest taka niecierpliwa i nienasycona, a jednocześnie chwilami bywa niemożliwa. Jak to Maja. Po pierwszej nieudanej próbie miała lekki kryzys. Płakała i mówiła, że coś z nią jest nie tak. Nie jestem pewien, czy dzisiaj rano wrócił, bo moja żona znów była nieznośna. Chciałem kochać się z nią pod prysznicem, ale zbyła mnie, wymawiając się naszym synem, który nadal smacznie spał w swoim łóżku, i zostawiając mnie sfrustrowanego i niespełnionego. Jak widać, nie ma śladu po jej porannej złości, a Maja — jestem o tym przekonany — liczy na szybki numer, choćby na zapleczu. Moja mała żółta.

— Maks? — Zagryza dolną wargę. Wie, jak to na mnie działa, cwaniara jedna.

— Tak, kochanie? — Oczywiście udaję, że nie robi to na mnie żadnego wrażenia. Robi, wielkie. Od razu staję się twardy.

— Może pomógłbyś mi rozpakować tamtą skrzynkę? — Wskazuje na mały składzik, gdzie trzyma część zaopatrzenia.

— Skrzynkę, powiadasz. — Chrząkam wymownie, a ona robi minę niewiniątka. — Jeśli chodzi tylko o skrzynkę...

— Maks! — Maja szturcha mnie pod żebra. — Nie odgrywaj się za rano.

— Nie odgrywam się — mówię, a potem popycham ją w stronę uchylonych drzwi. — Ale na pewne rzeczy trzeba sobie zasłużyć, Iwańska.

Drocę się z nią i zwracam się do niej tak, jak ona miała w zwyczaju zwracać się do mnie.

— Zapamiętałeś. — Całuje mnie i śmieje się w moje usta. — Niedobry ty — dorzuca, a nasze usta łączą się w namiętym pocałunku.

Koniec

Od autorki

Podziękowania, jak zawsze, lecą do moich Czytelników. Który to już raz się powtarzam... Nieważne. Jak zwykle powiem tak: każda kolejna powieść powstaje z myślą o Was i dla Was, rzecz jasna. Dzięki, że ze mną jesteście!

Dziękuję również Wydawcy. Za zaufanie, za zaangażowanie, za kolejne wspólne „dzieci”, które leci w świat.

Nie może też zabraknąć podziękowań dla moich dwóch przyjaciółek — Wy już wiecie, o kim mowa, moje drogie panie. Naprawdę cieszę się, że Was mam.

I oczywiście niezmiennie pragnę podziękować mojemu ukochanemu mężowi. Jestem cholerną szczęściarą, wiesz? Bo mam Ciebie. Inaczej nie dałabym sobie rady z tym wszystkim. Twoje wsparcie, szacunek, miłość, przyjaźń są WSZYSTKIM, czego mi potrzeba. Bądź więc obok mnie, ze mną. ZAWSZE ♥

CHOMIKO - WARMIA

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion ✓

Spis treści

Prolog Wcześniej... Maksymilian Maja Rozdział 1 Teraz... Maja Kwadrans wcześniej...
Maksymilian Rozdział 2. Maja Maksymilian Rozdział 3. Maja Maksymilian Rozdział 4. Maja
Maksymilian Rozdział 5. Maja Maksymilian Rozdział 6. Maja Maksymilian Rozdział 7. Maja
Maksymilian Rozdział 8. Dwa tygodnie później... Maja Maksymilian Rozdział 9. Maja
Maksymilian Rozdział 10. Maja Maksymilian Rozdział 11. Maja Maksymilian Rozdział 12. Maja
Maksymilian Rozdział 13. Maja Maksymilian Rozdział 14. Maja Maksymilian Rozdział 15. Maja
Maksymilian Rozdział 16. Maja Maksymilian Rozdział 17. Maksymilian Maja Rozdział 18. Maja
Maksymilian Rozdział 19. Maja Maksymilian Rozdział 20. Maksymilian Maja Rozdział 21.
Maksymilian Maja Rozdział 22. Maksymilian Maja Rozdział 23. Maksymilian Maja Rozdział 24.
Maja Maksymilian Rozdział 25. Maja Maksymilian Rozdział 26. Maja Maksymilian Rozdział 27.
Maja Maksymilian Rozdział 28. Maksymilian Maja Rozdział 29. Maksymilian Maja Rozdział 30.
Maksymilian Maja Rozdział 31. Maksymilian Maja Rozdział 32. Maksymilian Maja Rozdział 33.
Maja Maksymilian Rozdział 34. Maksymilian Maja Rozdział 35. Pół roku później... Maja
Maksymilian Rozdział 36. Maksymilian Maja Epilog Kilka miesięcy później... Maja Cztery lata
później... Maksymilian Od autorki

СНОМІКО _ WARNIA